

Niech
CI SIĘ SPEŁNIĄ
marzenia

POWIEŚĆ



BARBARA O'NEAL

Nowa powieść autorki bestsellera

Jak znaleźć przepis na szczęście



BARBARA O'NEAL

Niech
CI SIĘ SPEŁNIA
marzenia



Przełożyła
Katarzyna Makaruk

Wydawnictwo Literackie

*Najdroższej Amarze:
Oby do końca twych dni
przepęłniała cię pełna miłości życzliwość.
Oby powodzenie, spokój i szczęście
zawsze były z tobą.*

MIODOWA FARMA LAVENDER

Hrabstwo Yamhill, Oregon

Strona główna/Sklep/Blog/Wskazówki/Filozofia

Współbiesiadników nie należy dobierać pod względem płci, pozycji czy przeżytych lat, ale pod kątem umiejętności jedzenia – i picia! – łączącej pasję z powściągliwością. Powinni cieszyć się posiłkiem, a jego przygotowanie i degustację traktować jak sztukę.

M.F.K. Fisher, *Serve It Forth*



PROLOG

W ciszy poranka Lavender Wills jak co dzień obeszała farmę. Słońce czy deszcz – a bywało, że deszcz w dolinie Willamette w stanie Oregon padał rześisty – maszerowała z psami wzdłuż lawendowych pól i szklarni aż na łąki, do przenośnych kurników z kurami przeznaczonymi na ubój, żeby sprawdzić, czy w nocy nikt się do nich nie zakradł. Obejrzała siatkę wokół kurników, okrążyła ule i zawróciła wzdłuż zagonów warzyw. Część z nich wciąż jeszcze przykrywały plastikowe tunele, które z łatwością dawało się rozkładać na zimę i składać na wiosnę.

Prawie ośmiokilometrowy spacer, jeśli doliczyć obejścia. Pozwalał utrzymać sprawność i zdrowie, toteż nawet w wieku osiemdziesięciu czterech lat trasa zwykle nie sprawiała Lavender większej trudności.

Zwykle.

Ostatnio jednak zdarzało się, że czuła cień czasu deptający jej po piętach. Pojawiał jej się wtedy przed oczami obraz samej siebie, jak pokonuje tę drogę w wieku lat czterech i dziewiętnastu, nim wyjechała, by szukać przygód, w wieku lat trzydziestu dwóch i czterdziestu sześciu, kiedy wpadała do domu w odwiedziny, wreszcie w wieku lat sześćdziesięciu i siedemdziesięciu trzech, gdy w końcu sama zaczęła prowadzić farmę. Zawsze smukła, zawsze na tej samej ścieżce, maszerująca do najbardziej odległych zakątków farmy i z powrotem. Zawsze z psem, czasem z dwoma lub trzema. Zwykle rasy border collie, bo to takie dobre psy do pracy. Tyle ich było przez lata, a mimo to pamiętała imiona wszystkich: Jacob, Mike i Andy, Percival i Athena. Ukochany Rome, najlepszy z całej bandy, odszedł trzy lata temu.

I wiele innych. Także ludzi. Choć była najstarsza z rodzeństwa, przeżyła całą czwórkę. Rodzice zmarli dawno temu, podobnie jak wszyscy kuzyni, których знаła, i bratanek, którego długo opłakiwała. Nie żyła większość jej przyjaciół.

Czasami kiedy Lavender obchodziła farmę, wyobrażała sobie, że obserwuje któreś z nich, człowieka albo psa. Kogoś, kogo kiedyś kochała. Matkę, jak w słomkowym kapeluszu zbiera maliny. Reine, przyjaciółkę z podstawówki, która zmarła ostatniej wiosny, jak szuka grzybów. Zdarzało się, że widziała Rome'a, jak pędzi przed siebie, jego czarna sierść lśni, a wysoko uniesiony ogon smaga powietrze.

Nie zauważyła żadnych nadnaturalnych znaków wskazujących na to, że czas zbierać się z tego świata. W rzeczywistości, pomijając dziwne łupanie w kościach, czuła się tak samo dziarsko jak zawsze. Umysł wciąż miała sprawny, dość sprawny, żeby trzy razy w tygodniu prowadzić bloga – przedsięwzięcie, które dziesięć lat

temu miało być tylko chwytem marketingowym, a stało się czymś znacznie ważniejszym. To było jej forum, miejsce, gdzie mogła dać wyraz swojej miłości do roli, opowiedzieć, jak dbać o zwierzęta hodowlane i jak uprawiać zdrowe warzywa na nieskażonej ziemi. W sieci znalazła też trzy inne blogerki, z którymi stworzyła zżytą grupę Czterech Smakoszek.

Ale przede wszystkim blog stanowił pretekst, by oddawać się namiętności do lawendy – jej uprawie, zbieraniu i wykorzystywaniu na rozmaite sposoby.

Nie, wciąż czuła się pełna życia.

A jednak... Tego ranka obudziła się w ciszy przedświt i wiedziała. Życie zatoczyło koło. Tego uczy rola. Prędzej czy później spocznie w ziemi, o którą troszczyła się przez lata. Co stanie się wtedy z farmą? Z farmą, która była jej największym osiągnięciem.

Nie mogła pozwolić, żeby trafiła w ręce siostrzeńców. Obaj byli biznesmenami, mieszkali w Portland i rzadko tu zaglądali. Nie kochali ziemi i pewnie by ją sprzedali. Lavender nie miała o to do nich pretensji. Ale farma była zbyt cenna, zbyt ważna dla rodzącego się środowiska producentów żywności organicznej, żeby mógł ją kupić byle kto.

Szła zadumana. Lawenda i miód, świeże jajka i delikatna wełna. Królestwo dla odpowiedniego spadkobiercy. Godnego następcy.

I właśnie wtedy na ostatnim zakręcie zobaczyła Ginger stojącą nieopodal uli. Długie rude włosy spływały jej na ramiona, a twarz znowu była młoda i niezwykle piękna. Tego ducha, ducha kobiety, z którą przyjaźniła się przez prawie siedemdziesiąt lat i która w zeszłym roku umarła w Carmel-by-the-Sea, Lavender ujrzała po raz pierwszy. Ginger zrywała leśne kwiaty, bez trudu zginając kolana, a na jej dłoniach – tych samych, które na koniec ją zawiodły – nie było widać niszczycielskich sęków. Lavender czekała, ale Ginger się nie odwróciła. Nie zdawała sobie sprawy z obecności przyjaciółki.

Gdy Lavender wróciła do swego małego biura, włączyła komputer i napisała maila.

OD: lavender@miodowymbloglavender.com

DO: czterysmakoszki@yahoogroups.com

TEMAT: Urodzinowy jubel

Dobra, dziewczyny, to już oficjalne. Postanowiłam, że 30 czerwca zorganizuję małą uroczystość z okazji osiemdziesiątych piątych urodzin. Tego dnia, gdybyście nie wiedziały, przypada niebieski księżyc, a to znak, którego żadna z nas nie powinna lekceważyć.

Wszystkie wiecie, że dom jest maleńki, ale dookoła jest mnóstwo miejsca. Weźcie ze sobą te wasze przyczepy, które stoją i się kurzą, a ja

już się postaram o wodę i prąd. Jesteśmy gotowi na dodatkową pomoc w sezonie zbiorów i strzyżenia owiec i mamy całą masę przyłączy.

Lawenda będzie akurat w pełnym rozkwicie – a to widok, którego nie chciałybyście przegapić – i będziemy mogły na zmianę popisywać się swoimi wyjątkowymi umiejętnościami kulinarnymi. Albo i nie – wszystko zależy od okoliczności (nie chcę wskazywać palcem, ale, Valerie, mogłabyś zadbać o wino. O ile będzie oregońskie).

Kto jest za? Ruby, pora przestać tęsknić (doprawdy!) za Liamem i trochę się rozerwać. Jesteś za młoda, żeby tyle czasu się zadrećcać. Valerie, zamartwiałaś się o córkę, więc weź ją ze sobą, a my już się o to postaramy, żeby miała co robić na słońcu. Praca to dobre lekarstwo na wszystko. No, na prawie wszystko. A, Ginny, słyszałam, że wciąż masz obiekcje, że twoja niewdzięczna rodzina sobie bez Ciebie nie poradzi. Uważam, że ta przyczepa, którą chwaliłaś się na blogu, zjawiała się w Twoim życiu nie tylko po to, żeby stać na podjeździe i irytować męża i sąsiadów. Bierz ją i PRZYJEŹDŹAJ!

Dziewczyny, przygoda czeka. A ja nie robię się coraz młodsza.

Lavender



Dead Gulch, Kansas

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Z aparatem w dłoni Ginny Smith pochyliła się nad martwą naturą, którą ułożyła na kuchennym blacie. Jej mąż Matthew zrobił dla niej namiot bezcieniowy, ale gdy tylko się dało, wołała korzystać z naturalnego oświetlenia, a to był jeden z najlepszych punktów w domu. Jasnozielony blat i smugi rozproszonego światła, które wpadało przez duże kuchenne okno, sprawiały, że wszystko wydawało się pogodniejsze. To był jeden z sekretów jej bloga.

Tego popołudnia fotografowała kawałek pistacjowego placka. Dwie grube warstwy białego ciasta otulone najbledszą zielenią. Piękno tkwiło w głębi ostrości, delikatności śnieżnobiałych okruchów na popękanej, porcelanowej powierzchni zabytkowego talerza, w kuszącym kolorze lukru. W tle widać było staromodny szklany wazon pełen bzu, który Ginny właśnie zerwała z krzewów rosnących przy domu. Na pierwszym planie leżało sześć pistacji w różnym stanie rozneglizowania, budząc dekadencjne skojarzenia.

Ginny pstrykała i przesuwiała się, pstrykała i przesuwiała, robiła najazdy i odjazdy, nucąc Bacha. Muzyka dobiegała z iPod'a, którego dwa lata temu dostała na gwiazdkę od Christie, swojej córki. Grała dość głośno – Ginny miała nadzieję, że zagłuszy pustkę w jej sercu.

Myślała o zaproszeniu od Lavender. Znowu.

Rano wyskoczyła do sklepu po małą paczkę pistacji, bo kiedy wczoraj wieczorem robiła ciasto, zapomniała zostawić parę do zdjęcia. Choć nie były niezbędne, miała czas, żeby wpaść do Hy-Vee, kiedy Matthew wyszedł do pracy – o tej porze roku najlepsze światło było około wpół do jedenastej – a dopieszczone detale zawsze były znakiem rozpoznawczym jej zdjęć.

Wyszła z supermarketu i postanowiła zajrzeć jeszcze do drogerii, żeby kupić wstążkę – oczyma duszy widziała zawijas z cienkiej, lśniącej fioletowej satyny, podkreślający kolor bzu. Po drodze minęła Morning Glory Café...

I zamarła w bezruchu.

Właśnie w tym momencie, stojąc i gapiąc się przez szybę, postanowiła, że pojedzie do Oregonu.

Szokująca decyzja. Nigdy w życiu nigdzie nie wyjeżdżała, pominąwszy ten jeden raz, kiedy wybrała się do Minneapolis na ślub kuzynki. Nie pojechała nawet do Cincinnati na pogrzeb rodziny Valerie. A to dlatego, że – do czego przyznawała

się tylko przed sobą – była tchórzem i bała się jechać sama.

A już na pewno nigdy nie prowadziła samochodu przez ponad trzy tysiące kilometrów, tym bardziej z przyczepą.

Tego ranka jednak w Morning Glory zauważyła swoje trzy najlepsze przyjaciółki. Siedziały i jadły naleśniki z bekonem. Bez niej. Wszystkie były wystrojone, więc pewnie po śniadaniu wybierały się do Wichita na wiosenne zakupy. Karen podpięła długie włosy grzebieniem, starannie ułożone kosmyki spływały z czubka głowy niczym fontanna, w uszach miała kolczyki z koralikami. Marnie założyła szary top z Victoria's Secret z haftowanymi brzegami, a Jean pomalowała usta czerwoną szminką, co w połączeniu z krótko ostrzyżonymi włosami wyglądało bardzo elegancko.

Przyjaźniły się we cztery już prawie czterdzieści lat, odkąd usiadły razem w czwartej klasie podstawówki na lekcji u pani Klosky. Ginny wiedziała o nich wszystko, a one prawie wszystko o niej. Oczywiście nie wspominała im o swoim życiu erotycznym. To byłoby zbyt upokarzające. No i nikt nie wiedział o jej blogu, dopóki artykuł w magazynie Marthy Stewart nie odkrył jej tajemnicy.

– A czego się spodziewałaś? – spytał Matthew z pewnym niesmakiem. – Że nikt cię nie rozpozna?

Może właśnie t e g o . Może myślała, że nikt nie skojarzy Ginny, gospodyni domowej, którą znał całe życie, z blogiem Ciasto Marzeń, nawet gdy zobaczy zdjęcie w magazynie. No bo ile osób w Dead Gulch czyta „Martha Stewart Living”? W końcu to nie „Family Circle”.

A m o ż e spodziewała się, że będą z niej dumni. Blog miał sześćdziesiąt tysięcy czytelników. D z i e n n i e . Nigdy nie przypuszczała, że ludziom aż tak spodobać się jej zdjęcia, przepisy czy cokolwiek, ale w skrytości ducha była z siebie bardzo, bardzo dumna. Nie znała nikogo (nie licząc internetowych przyjaciółek, rzecz jasna), kto dokonałby czegoś podobnego.

W dodatku przedsięwzięcie okazało się ogromnie dochodowe. Przynosiło znacznie większe zyski niż praca w supermarkecie. Pieniądze napływały z różnych źródeł, przede wszystkim z reklam. Mogła przebierać w najlepszych ofertach i dyktować własne ceny. Niezły grosz przynosiły też fotografie. Popyt na nie zaczął jej przysparzać tylu kłopotów, że musiała zatrudnić kogoś do pomocy, kto realizowałby zamówienia i otworzył sklepik na Etsy. Jej asystentka, kobieta, która pracowała wirtualnie z Wisconsin, odpowiedziała, żeby część prac sprzedawać także w ramkach i w wersji matowej, co potroiło dochody z tego źródła. Zasugerowała też, żeby wysyłać newsletter do osób, które chcą zostać fotografami, i ten pomysł okazał się najbardziej lukratywny ze wszystkich. Co tydzień Ginny rozsyłała subskrybentom porady i wskazówki. Początkowo wydawało się to szaleństwem – w końcu co ona wiedziała o fotografii? – ale niebawem jej uczniowie

sami zaczęli odnosić sukcesy, może więc mimo wszystko pomysł nie był aż taki głupi.

Gdy ludzie z magazynu „Martha Stewart Living” skontaktowali się z nią, żeby napisać duży artykuł, Ginny zaczęła zdawać sobie sprawę, że nie uda jej się dłużej utrzymać bloga w tajemnicy. Prędzej czy później ktoś w miasteczku skojarzy Ginny z Ciasta Marzeń z Ginny Smith, która pracowała w supermarkecie jako dekoratorka wyrobów cukierniczych, dopóki blog jej nie wyzwolił.

Matthew oczywiście wiedział, że zarabia na zdjęciach. Nie zdawał sobie jednak sprawy z zasięgu bloga ani jak sławna stała się jego żona, zanim nie uświadomili mu tego ludzie z magazynu.

W ten poniedziałkowy poranek, stojąc na chodniku z dziurą ziejącą w piersi, Ginny przełknęła łyżę.

Czego się spodziewała?

Na pewno n i e t e g o, że przyjaciółki się od niej odwrócą. Że mąż będzie czuł się zażenowany. Że matka będzie jej wbijała szpile. Tylko trzy osoby ucieszyły się z jej sukcesu. Były to jej córka, jej siostra Peggy i przyjaciółka Karen. Ale choć Karen dzielnie Ginny kibicowała, nigdy nie była najsilniejsza z paczki. W konfrontacji z Marnie, która była na Ginny w ś c i e k ł a, Karen nie miała żadnych szans.

Dotknięta do żywego Ginny ruszyła do drzwi i otworzyła je szarpnięciem. Przytwierdzony do szczytu dzwonek zadzwieczał gwałtownie, uderzając o szybę, i wiele osób spojrzało w jej stronę. Łącznie z trzema zdrajczyniami, które miały na tyle przyzwoitości, żeby poczuć się niezręcznie.

– Zapomniałyście do mnie zadzwonić? – spytała Ginny z cierpkim uśmiechem.

Karen sprawiała wrażenie zakłopotanej. Żeby pokryć zmieszanie, odsunęła czwarte krzesło.

– Witaj, kochana – poklepała siedzenie. – Dołącz do nas.

Ginny się zawahała. Chciała wierzyć, że wszystko to tylko pomyłka.

Jean otarła usta chusteczką.

– Siadaj, Ginny. Robisz z siebie widowisko. Może ty to lubisz, ale my nie.

Ginny poczuła, że policzki jej płoną, a do oczu napływają łzy. Jak zawsze, kiedy wzbierała w niej wściekłość. Jakaś jej część chciała usiąść i wybaczyć im ich zachowanie, bo miała już dość zamieszania. Ta część, która była piątkową uczennicą i przewodniczącą komitetu rodzicielskiego, ta, która nigdy nie farbowała włosów, choć wiedziała, że gdyby to zrobiła, wyglądałaby lepiej. Właśnie o n a wołała do Ginny, żeby usiadła.

Tego dnia jednak, gdy założyła bloga i zamieściła pierwsze zdjęcie – kawałek czekoladowego tortu z okruchami na spękanej powierzchni zabytkowego talerza z motywem kwiatowym – narodziła się inna Ginny. I czy jej się to podobało, czy

nie, teraz nie było już odwrotu.

– Myślałam, że będziecie ze mnie dumne – powiedziała – a wy się wstydzicie. Nie wiem, czy dlatego, że same się na nic podobnego nie zdobyłyście, czy dlatego, że zaczęłyście się zastanawiać, co byście mogły osiągnąć, gdybyście nie marnowały czasu na ploteczki, naleśniki i roztrząsanie tego, jak zostałyście oszukane przez życie. Ale to bez znaczenia.

Wszystkie trzy gapiły się na nią jak na kosmitkę.

– Ginny, robisz za wielkie halo... – zaczęła Karen.

Przerwała jej Marnie, cała czerwona na twarzy:

– Myślisz, że jesteś taka ważna? – wysyczała, zerkając przez ramię. – Wszystko zepsułaś.

– Nie – odparła Ginny. – To wy wszystko zepsułyście.

Teraz, pochylając się nad martwą naturą w kuchni, wiedziała, że pojedzie do Oregonu. Wiedziała też, że Matthew będzie wściekły. A matka będzie ją ostrzegała przed wszystkimi strasznymi rzeczami, które czyhają „w świecie” na samotną kobietę.

Nic jej to jednak nie obchodziło. Weźmie ze sobą psa i pojedzie. Sama. I po raz pierwszy w życiu przeżyje przygodę.

SMAK NIEBIESKIEGO KSIĘŻYCA

blog o pysznym jedzeniu...

Ach, wiśnie!

Rozpływam się z rozkoszy. Czystej wiśniowej rozkoszy. W następnym wcieleniu będę wiśnią. Rozłożę delikatne różowe płatki w promieniach wiosennego słońca, a miodne pszczoły będą brzęczały nad moimi słupkami i spijały nektar, przynosząc zapładniający pyłek. A potem szczelnie zamknę kwiat i będę odpoczywać, kołysana przez jasne poranki i deszczowe popołudnia, aż napęcznieję, stanę się ogromna i tłusta, czerwona czerwienią warg i soczysta. I wtedy delikatne palce zerwą mnie i z czułością wsuną w gorące, łapczywe usta złąknionej kobiety. Jej język owinie się wokół mojej krągłości, poczuję, jak wybucham w jej gardle, spływam kaskadą do żołądka, karmiąc ją i zanosząc światło słońca do jej ciała.

Przyszła pora na wiśnie. Możecie je przyrządzać na rozmaite sposoby, jeśli tylko macie chęć. Możecie dodawać je do ciast, naleśników i sałatek. Choć tak naprawdę po co? Najlepiej je po prostu zjeść.

Wiśnie są bogate w witaminę C i błonnik. Mają właściwości przeciwzapalne i są wykorzystywane w leczeniu artretyzmu. Wieść niesie, że dobrze wpływają na płodność.

Dajcie się skusić na kilka.

Serdeczności,

Ruby



ROZDZIAŁ DRUGI

Pierwsza na farmie Lavender pojawiła się Ruby Zarlingo. Przyjechała z San Francisco tydzień wcześniej, żeby pomóc w przygotowaniach. Ruby wiedziała, że Lavender jest silna. Ale takiego ogromnego przyjęcia nie powinno się organizować w pojedynkę.

No i, prawdę mówiąc, Ruby musiała się uwolnić od ojca. Protestował przeciwko pomysłowi, żeby „całą drogę” jechała sama, jakby miała lat siedemnaście, a nie dwadzieścia sześć. I jakby nigdy nie prowadziła ciężarówek znacznie większych niż malutki kamper z przyczepą, którą po długich namowach ojciec pomógł jej przerobić na kuchnię.

Musiała przyznać, że podróż była znacznie cięższa, niż się spodziewała. Poranne nudności towarzyszyły jej stale, nie tylko o poranku. Pierwszy raz w życiu zachowywała się jak maruda, ogromna maruda, która głównie wymiotuje, próbuje uspokoić żołądek i wymiotuje dalej.

Ruby zawsze wyobrażała sobie, że farmę w Oregonie otacza las, a drzewa sięgają aż linii pól, tuląc się do siebie pod złowrogimi chmurami. Sądziła, że będzie przypominała Hicksville.

Ale teraz, czekając na możliwość skrętu w lewo (zablokowaną przez niecierpliwych portlandczyków i turystów spoza stanu krążących po winnicach hrabstwa Yamhill), widziała, jak bardzo się myliła. Miodowa Farma Lavender w swej złotozielonej świetności rozsiadła się pod słonecznym niebem, pośród wysokich gór w oddali i łagodnych wzgórz nieopodal. Na sąsiedniej łące brykały jagnięta. Para młodo wyglądających czarno-białych krów z wielkimi uszami przeżuwała trawę i spoglądała na Ruby obojętnym wzrokiem. (Skąd jej przyszło do głowy, że wyglądają młodo? Przecież krowy nie mają zmarszczek). Na zboczach wzgórz w oddali pyszniły się winnice, jak na jakimś włoskim pejzażu.

Ruby czuła napór aut za plecami, ale kiedy ciągnie się przyczepę, nie sposób szybko skręcić w lewo. Żeby się uspokoić, pogwizdywała starą balladę. Wytrącona z równowagi zaczęła myśleć o ojcu, głównym powodzie jej zmartwień w tej chwili. Przypomniała sobie, z jak wielką dezaprobatą odniósł się do jej podróży. Miał swoje racje, po części uzasadnione, po części jednak były to pozostałości z czasów, gdy jako dziecko omal nie umarła na białaczkę.

W sznurze samochodów z naprzeciwka pojawiła się większa przerwa. Ruby

wcisnęła gaz, skręciła z wielką starannością i wciągnęła przyczepę na wysypany żwirem plac. Zaparkowała przed starym piętrowym wiejskim domem, który przerobiono na sklep. Fioletowo-zielony napis na drewnianej tablicy, pięknie rzeźbionej i malowanej, głosił: „MIODOWA FARMA LAVENDER”. Poniżej wymienione były dostępne dobra: „MIÓD, PRODUKTY Z LAWENDY, ŚWIEŻE ARTYKUŁY”.

Otoczyła ją opalizująca bańka szczęścia i Ruby roześmiała się w głos. Wreszcie dotarła na miejsce! Położyła dłoń na brzuchu i powiedziała:

– I co ty na to, maluchu? Chodźmy się trochę rozejrzeć.

Wyskoczyła z samochodu i wciągnęła w nozdrza woń farmy, ziemi i nawozu z nutą trawy. Ale nie lawendy. Kępki fioletowych kwiatów rosły przed sklepem, chwyciła więc jeden, urwała i podniosła do twarzy.

– Gdyby każdy tak robił, szybko zabrakłoby kwiatów do podziwiania – zagrzmiął ktoś za jej plecami.

– Przepraszam. – Odwróciła się. – To nawyk. Jestem kucharką. Wszystko wacham.

Mężczyzna mógł mieć trzydzieści kilka lat i Ruby dobrze wiedziała kto to. Z maili Lavender, która wspominała o rozterce, w jaką wprawilo ją jego przybycie. Zatrudniła go w ciemno, na podstawie życiorysu – chłopak ze wsi, weteran z Iraku, któremu bardzo zależało, żeby znów pracować na farmie. Lavender desperacko potrzebowała administratora, który pomógłby jej prowadzić rozwijający się interes, i spodobało jej się brzmienie jego głosu przez telefon.

Ale kiedy się zjawiał, okazało się, że jest małomówny, melancholijny i o wiele za przystojny. W typie, który – jak poskarżyła się przyjaciółkom – prowokował kłopoty.

Ruby przekrzywiła głowę. Był od niej starszy, ale rozumiała, co Lavender miała na myśli. Raczej rdzenny Amerykanin niż biały, choć jak w wypadku wielu ludzi w dzisiejszych czasach trudno by było rozszyfrować jego pochodzenie – wszystko razem się wymieszało, przybierając kolor karmelu, złotego brązu i formę orlego nosa. Mógł być Tillamookiem, czyli miejscowym Indianinem, ale też Meksykaninem, Irańczykiem albo... Nie sposób odgadnąć. Włosy miał gęste, czarne, kręcone, ciało wyrzeźbione przez pracę: taszczenie siana i lodu, przrzucanie nawozu i ładowanie ciężarówek. Ale tym, co przykuwało uwagę, była jego niedostępność, podszyta smutkiem rezerwa.

– Ty musisz być Noah – powiedziała. – Ja jestem Ruby, przyjaciółka Lavender.

– Domyśliłem się. – Lekko uścisnął jej dłoń i obrzucił wzrokiem przyczepę, którą Ruby pomalowała w stylu Fridy Kahlo. Pasował do jej zasad żywienia. – Ta weganka, tak?

Jego słowa zabrzmiały szyderczo, ale nie sądziła, żeby to było celowe. Choć

zdarzało się, że ludzie traktowali jej dietę bardzo osobiście.

– Tak. W dzieciństwie chorowałam na białaczkę i kiedy postawiono diagnozę, mój ojciec uznał, że oboje powinniśmy przejść na weganizm. – Obdarzyła go swoim najpromienniejszym uśmiechem, którym zwykle rozbrajała konfrontacyjnie nastawionych koneserów i wielbiących mięso kucharzy, i wskazała na swoją zdrowo wyglądającą sylwetkę. – Jak widzisz, zadziałało.

Odchrząknął.

– Lavender jest w warzelnii miodu. Zaprowadzę cię.

– Warzelnia miodu – powtórzyła Ruby, powstrzymując się, żeby nie podskoczyć. – Ale s u p e r!

Noah wprawdzie nie wywrócił oczami, tylko obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem, ale Ruby była przyzwyczajona do takich reakcji. Jej były chłopak Liam – na samą myśl o nim czuła ukłucie bólu tuż pod lewą pierś – zwykle czuł się zawstydzony nieustannie dobrym humorem Ruby. Pochodził z Nowego Jorku i mawiał, że jej pogoda ducha kole w oczy.

Na niektóre rzeczy jednak nie ma rady. Ruby z natury była pogodna. Teraz, kiedy szła za Noahem, wzbierała w niej cudowna, ożywcza radość, dodając jej skrzydeł. Zza każdego zakrętu wyglądała nowa wspaniałość. Kury swobodnie drepczące wokół! Niebieskie góry wiszące nad doliną niczym zasłony! Kawałek nieba między stodołą a dachem!

Szli dobrze wydeptaną ścieżką w dół łagodnego zbocza. Dwie kury, jedna lśniąc czarna z czymś czerwonym na głowie (ciekawe, jak to się nazywa?), a druga cętkowana i brązowa, dreptały obok. Na wzgórzu po lewej, nieopodal zabudowań gospodarczych, stodół i szop, widać było inne, dziobiące w piasku.

– Dzień dobry, panie kogucie – powiedziała Ruby. – Świetnie pan wygląda.

– To akurat pani – sprostował Noah. – Jedna z naszych niosek. Czyli kura.

– Aha. – Pewnie będzie wiedział, jak się nazywa to czerwone. – A to coś na głowie? Co to takiego?

– Grzebień.

– Ach, prawda. Kiedyś wiedziałam. – I powtórzyła pod nosem „grzebień”, żeby mieć pewność, że nie zapomni.

Przed nimi rozciągało się pole poprzecinane zagonami warzyw. Wznosiły się i opadały niczym schludne pagórki przykryte słomą. Mężczyzna w kraciastej koszuli i kapeluszu z szerokim rondem pochylał się nad jednym, delikatnie wyciągając marchewkę i otrzepując ją z ziemi. Kawałek dalej kobieta zbierała buraki i wkładała je do koszyka. Ruby osłoniła oczy ręką.

– Ile warzyw!

– Kilka akrów – uściślił Noah.

Ruby nieraz zdarzało się wstawać o świcie, żeby znaleźć najświeższe

i najdorodniejsze produkty.

– Sprzedajecie je na targu?

– Część. – Głos Noaha nieco złagodniał. – Część trafia do odbiorców indywidualnych z kooperatyw spożywczych. Ale najczęściej kupują restauracje.

Ruby pokiwała głową.

– Zróżnicowana klientela to zawsze dobre rozwiązanie. – Tego nauczyła się w świecie restauracji.

– Rzeczywiście.

Skręcił na dróżkę między polami a stodołami. Granicę ogrodów warzywnych znaczyła kępa drzew, która przesłaniała widok na resztę farmy.

– A gdzie lawenda? – spytała wreszcie Ruby.

– Zaraz zobaczysz.

Ruszyli w górę. Minęli stodołę i zagrodę. Dalej Noah poprowadził ją przez szpaler krzewów z ciemnozielonymi liśćmi w kształcie serca – może bżów, ale Ruby nie zawsze była pewna, co jest czym w świecie roślin. Szła za nim, jakby wkraczała do jakiegoś magicznego królestwa.

Odsunął się na bok, odsłaniając widok, i wskazał przed siebie.

– Oto i ona.

– Och! – Ruby wypuściła powietrze.

Długie szeregi krzewów wypełniały kontury pól. Jasnofioletowe, ciemnofioletowe, białe i blad różowe, idealnie okrągłe krzaki sięgały do pasa. Kołysały się ospale w podmuchach wiatru, ukazując blade spody liści. Wyglądały jak fale, jak woda. Ruby uniosła ręce do ust.

– O mój Boże!

– Spokojnie, bez pośpiechu – powiedział Noah. – Warzelnia jest tuż obok, po prawej. Ja muszę wracać do pracy.

Ruby się nie poruszyła. Prawie nie oddychała. Może, pomyślała, może w r e s z c i e znalazła swój cel? Tu, pośród tych oszałamiających pól, wśród lawendy.

Czy kiedykolwiek widziała coś równie pięknego?
K i e d y k o l w i e k?

Wysoka, smukła kobieta z krótko ostrzyżonymi siwymi włosami wyłoniła się z budynku obok.

– Mówiłam, że to widok, którego nie można przegapić – powiedziała, podpierając się pod boki. Głos miała silny i pewny, wręcz młodzieńczy.

– Lavender! – Ruby szeroko rozpostarła ramiona, a Lavender odpowiedziała jej gorącym uściskiem.

– Och, dziewczyno, tak się cieszę, że cię widzę!

Na tle pełnej – nie grubej, co to, to nie – figury Ruby Lavender wydawała się

szczupła jak nastolatka, same mięśnie i żyłasta siła.

– Ja też – odparła Ruby i ku jej własnemu zdumieniu łyzy zakręciły jej się w oczach.

I nagle, ni stąd, ni zowąd, chwyciła ją fala mdłości. Oderwała się gwałtownie od Lavender, podbiegła do krawędzi pola i zwróciła ciasteczka prosto do niewielkiego rowu. Otarła usta wierzchem dłoni i odwróciła się, nieświadomie kładąc rękę na miło zaokrąglonym brzuchu.

– Przepraszam – powiedziała. – Myślałam, że poranne mdłości zdarzają się tylko rano, ale ja mam je cały czas.

Lavender przekrzywiła głowę. Miała kanciastą twarz, wystające kości policzkowe i silną szczękę.

– Jesteś w ciąży?

Ruby pokiwała głową.

– Szósty miesiąc.

– Myślałam, że nie możesz mieć dzieci.

– Ja też – odparła Ruby i znowu ją uderzyła niewiarygodność całej tej sytuacji. Otworzyła szeroko oczy. – Ale jestem. Mówią, że to prawdziwy cud.

– Więc jesteś szczęśliwa?

Ruby położyła na brzuchu obie dłonie i roześmiała się.

– Tak. Bardzo. B a r d z o!

– Zatem gratulacje, kochanie. – Lavender otoczyła Ruby ramieniem i ruszyła, zostawiając warzelnię za sobą. – Chciałam dać ci spróbować miodu, ale najpierw trzeba cię będzie nakarmić. Co powiesz na filiżankę herbaty na początek?

– Świetny pomysł. O ile później wrócimy do warzelni.

– Obiecuję. Nie uda ci się od tego tak łatwo wykręcić!

Lavender pomogła przyjaciółce się rozlokować. Ruby zaparkowała kampera w przestronnym miejscu pod osłoną wysokich sosen. Pozbawiono je najniższych gałęzi, żeby nie przesłaniały widoku na wzgórza wokół farmy. Miała tu znakomity punkt obserwacyjny – widziała i lawendę, i dom. Podłączyła do mediów samochód i przyczepę. Przyczepę w zasadzie zajmowała kuchnia, ale dla wygody zainstalowała tam również prysznic, bo w kamperze mieściły się tylko sypialnia i przenośna toaleta.

Było już po południu i Ruby zrobiła się senna, tak senna, jak bywała w dzieciństwie. To kolejna rzecz związana z ciążą. Senność spadała na nią teraz jak zakłęcie i była tak nieodparta, że mogła jej się tylko poddać. Dlatego, nie zawracając sobie nawet głowy otwieraniem przyczepy, wślizgnęła się do kampera, zablokowała otwarte drzwi, żeby nie zamknął ich wiatr, i zvaliła się na łóżko.

Łóżko zajmowało większą część samochodu. Wybebeszyła kampera, gdy miała

osiemnaście lat i chciała zwiedzać kraj. Zainstalowała wówczas największe i najmniejsze łóżko, jakie udało jej się znaleźć, i wstawiła ogromne okna, żeby nad materacem mógł hulać wiatr. Główna przestrzeń magazynowa znajdowała się pod łóżkiem, ale na zabezpieczonych siatką półkach trzymała rzeczy, które sprawiają, że życie staje się łatwiejsze: książki, szczotkę, skarpetki na zimne noce i mapy podróży. Ściany obita tkaniną, żeby nadać wnętrzu kobiecy charakter – dzięki deseniowi z pastelowych pasków można się tu było poczuć jak w domu. Na tkaninę techniką deкупаżu naniosła obrazki ze swojego życia – ojciec i ona; fotografia z zamierzchłych czasów: matka, ojciec i ona razem, zanim Ruby zachorowała; zdjęcie roześmianej matki w bikini, z długimi blond włosami spadającymi na brązowe ramiona i plecy; najprzeróżniejsze zwierzaki; jej przyjaciele. I Liam. Mnóstwo Liama. Powinna go czymś zakryć, ale na razie nie miała do tego serca.

Zwaliała się na łóżko, kopniakiem zrzuciła buty i pozwoliła, żeby otulił ją wiatr. Nabrała zwyczaju wpatrywania się w tę piękną twarz z rzymskim nosem i kuszącymi ustami. Miał najponętniejsze usta na świecie, usta, które chciała całować bez przerwy. Nosił kozią bródkę, co uważała za przesadę. Zupełnie niepotrzebny dodatek do...

Pukanie w ścianę przyczepy wyrwało ją z zadumy.

– Hej, kochanie – rozległ się głos Lavender. – Przyniosłam ci miskę owoców i trochę krakersów. Ja nigdy nie byłam w ciąży, ale moje siostry powtarzały, że krakersy uratowały im życie.

Ruby usiadła, mrugając.

– Dziękuję – powiedziała i przycisnęła rękę do piersi. – To takie miłe.

– A tu masz hasło do Internetu – Lavender podała jej żółtozieloną samoprzylepną karteczkę. – Jakies cztery czy pięć miesięcy temu Noah zainstalował tu superrouter, więc nie powinno być kłopotów, nawet jeśli wszyscy będziemy z niego korzystać.

– Dzięki! Mogę się łączyć z Internetem przez telefon, więc nie ma problemu.

Lavender zajrzała do wnętrza kampera.

– Cała ty. Cudo. – Poklepała drzwi. – Teraz odpoczywaj. A ja przygotuję kolację.

– Och, nie trzeba! Planowałam...

– Nie bądź głuptasem. Potrafię upichcić coś wegańskiego, wiesz? Roślin nie wynalazło wasze pokolenie.

Ruby zachichotała.

– W takim razie dziękuję.

Wsparta na stosie haftowanych, ozdobionych szkiełkami egzotycznych poduszek, wyciągnęła laptopa ze specjalnie wyściełanej przegródki. Uruchomiła go, odnalazła właściwą sieć, wpisała hasło, upewniła się, że połączenie działa,

i zalogowała się na bloga, żeby sprawdzić, czy nie ma tam żadnego spamu. Ostatni wpis, ten o wiśniach, pochodził sprzed kilku dni. Musi zamieścić coś dziś wieczorem albo jutro. Niektórzy blogerzy pisali codziennie, Ruby jednak nigdy nie lubiła zbyt ściśle trzymać się terminów. Z Czterech Smakoszek tylko Ginny pisała bloga dzień w dzień, i to przez prawie siedem lat. Niewiarygodne.

Smakoszki „narodziły się” niecałe pięć lat temu, w ciągu kilku miesięcy. Lavender znalazła jeden z lawendowych przepisów Ruby, skontaktowała się z nią, żeby zapytać, czy może go wykorzystać na swoim blogu, i tak zaczęły czatować. Valerie napisała do Lavender w sprawie kojarzenia lawendy z winem, odbyły burzę mózgów i w rezultacie Val dołączyła do grupy. Ginny pojawiła się ostatnia. Jej blog dopiero zaczął przyciągać uwagę, kiedy pewnej nocy natknęła się na niego Ruby i zaprosiła Ginny do wspólnej rozmowy.

Na początku omawiały przede wszystkim techniczne i marketingowe kwestie związane z blogowaniem. Co robić z czytelnikami, którzy próbowali zdominować bloga albo sprawiali kłopoty. Jak sobie radzić z kaprysmi oprogramowania. Jak zwiększyć liczbę gości. Ruby i Ginny podzielały zamiłowanie do dobrych zdjęć, choć Ruby wolała swoich szukać w sieci. Valerie była głosem rozsądku i mądrości życiowej. Lavender sprawiała, że nie przestawały się śmiać.

Zabawne, pomyślała Ruby, ziewając. Zabawne, że choć były tak różne, stały się dla siebie tak ważne. I to mimo dzielących je lat i kilometrów.

Leniwie kliknęła na *Ciasto Marzeń* Ginny i nadrobiła zaległości w lekturze. Valerie przestała zamieszczać posty dwa lata temu, po śmierci męża. Na blogu Lavender wciąż była informacja o Świącie Niebieskiego Księżyca. Impreza miała się odbyć w przyszły weekend.

Wreszcie śpiąca, nie panując nad sobą, otworzyła Google Maps, wybrała adres w Seattle, kliknęła na małego człowieczka i przełączyła się na widok ulicy, żeby móc podziwiać dom. Piętrowy, z cegły, ze spadzistym dachem i mnóstwem okien, z których część wychodziła na zatokę, a część na widoczne w oddali pasmo gór Olympic. Z Internetu wiedziała, że to najlepsza okolica w Seattle, więc dom, choć zaliczał się do niedużych, wart był prawie milion dolarów. W Zillow znalazła informację, że miał cztery sypialnie, trzy łazienki, jedną toaletę i prawie trzysta trzydzieści metrów kwadratowych. Od frontu rosły przed nim azalie i bukszpany, na piętrze widać było szkło witrażowe.

Naprawdę ciarki przechodzą, ile informacji można znaleźć dzięki Zillow i Google Maps. Istny raj dla stalkerów.

Ruby jednak nie była prawdziwą stalkerką, bo dom należał do jej matki. Czy też raczej do męża matki, ona sama bowiem nie pracowała. Była pełnoetatową mamą trojga futbolistów, dwóch dziewczynek i chłopca, najmłodszego z gromadki. Któraś raz satelita uchwycił obraz samej Cammy w całej jej smukłej blond

doskonałości. Wnosiła do domu zakupy spożywcze. Zdjęcie było tak szczegółowe, że Ruby mogła odcyfrować logo Whole Foods Market na biodegradowalnych torbach.

Tamto zdjęcie dawno zniknęło, to jednak wydawało się całkiem nowe. Trawnik był zielony.

Napięcie zelzało, Ruby zamknęła program i wsunęła laptopa na miejsce. Przymknęła oczy i wyobraziła sobie, że sypialnia z tyłu domu, ta z narożnym oknem wychodzącym na zatokę, należy do niej. Że czuje zapach jedzenia przygotowywanego w kuchni i słyszy głos matki rozmawiającej przez telefon.

Zasnęła.

CIASTO MARZEŃ

Ciasto na drogę

Oto superprosty przepis na ciasto do kawy – takie, które nie będzie się rozpadało i które bez problemu możecie zabrać ze sobą na piknik albo do przyczepy, gdy wybieracie się w podróż.

Tak, jutro rano wyruszam na spotkanie przygody. Ratunku!

Superproste ciasto z kruszonką

Ciasto

- 2 szklanki mąki
- $\frac{1}{2}$ szklanki cukru
- 2 łyżeczki proszku do pieczenia
- $\frac{3}{4}$ łyżeczki soli
- $\frac{3}{4}$ łyżeczki sody oczyszczonej
- $\frac{1}{3}$ szklanki masła, bardzo delikatnego
- 1 roztrzepane jajko
- $\frac{1}{2}$ szklanki maślanki

Posypka

- $\frac{1}{2}$ szklanki brązowego cukru
- 2 łyżeczki cynamonu
- 2 łyżki roztopionego masła
- $\frac{1}{2}$ szklanki posiekanych orzechów włoskich

Wsyp suche składniki do miski i dokładnie wymieszaj. Połącz ze sobą składniki mokre i wymieszaj z suchymi. Wlej całość do nasmarowanej tłuszczem kwadratowej formy.

W oddzielnej misce połącz składniki kruszonki. Posyp nią wierzch ciasta. Piecz 30 minut w piekarniku rozgrzanym do 175°C.

87 komentarzy

Hilda12

Udanej podróży, Ginny! Zazdrość, zazdrość, zazdrość!

Nancyb

Robiłam takie ciasto dzieciom, kiedy wracały ze szkoły. Budzi cudowne wspomnienia: jesiennych popołudni i zapachu cynamonu rozchodzącego się po domu!

CrochetPeg

Baw się dobrze, siostrzyczko! Będę z Tobą całą drogę. Kocham Cię!

Pippin987

Nancy, ja też! Uwielbiam kruszonkę, choć lider w mojej grupie Strażników Wagi pewnie by się wkurzył. Ale nie umiem jej sobie wyobrazić ze słodzikiem. LOL!

TinaR

Ginny, tak się cieszę, że Cię poznam!!!!!!!!!!!!!! Ale będzie zabawa.

Nancy, to takie urocze, że piekłaś to ciasto dzieciom. Codziennie? Wciąż pieczesz?

Berniebright

Dobrej zabawy!

Więcej komentarzy >>>>



Dead Gulch, Kansas

ROZDZIAŁ

TRZECI

Przyczepa, z którą Ginny miała jechać do Oregonu, była pierwszą rzeczą, którą kupiła za pieniądze z bloga. Od stuleci kochała się w zabytkowych airstreamach i kiedy jej przyjaciółka Valerie, która przez wiele lat pisała bloga o winie, odziedziczyła taką przyczepę po sąsiadce, Ginny niemal umarła z zazdrości. Musiała się z tym zdradzić, bo Cztery Smakoszki w końcu nakłoniły ją, żeby rozejrzała się za czymś podobnym dla siebie.

Wydawało się, że to głupota, naprawdę. Gdzie miałyby ją zabierać? Nigdy nigdzie nie jeździła, a prowadziła tylko taurusa, który z całą pewnością nie nadawał się do ciągnięcia przyczepy.

Lavender zapytała ją wtedy: „A gdzie byś chciała pojechać?”.

I w jednej chwili Ginny pomyślała o Kolorado. To przecież stan obok, niedaleko. Zawsze chciała się tam wybrać, zobaczyć góry, które wydawały się tak spokojne i dziewicze, a ich szczyty były tak ostre na zdjęciach. Wyobrażała sobie, że parkuje małego airstreama – może model Bambi – pod ogromną sosną i spogląda na góry. Niebieskie pod namiotem błękitnego nieba.

Okazało się, że na świecie jest mnóstwo miłośników przyczep w stylu retro, nawiązała więc z nimi kontakt przez Internet. Początkowo czuła się onieśmielona, mówiła, że się tylko zastanawia, i pytała, czego powinna szukać.

Obejrzała w sieci pewnie z pięćset airstreamów z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Uznała, że te z lat czterdziestych są trochę za stare, a te z siedemdziesiątych – zbyt nowoczesne. Trzymała się więc wybranego okresu, a i tak miała w czym przebierać.

To Lavender podsunęła Ginny Coco, Bambi z 1964 roku. Od razu wiedziała, że to przyczepa dla niej. Ściśle biorąc, nie był to egzemplarz klasyczny. U dołu wymalowano cały ogród róż stulistnych, w środku zaś dokonano wielu przeróbek. Przyczepa należała do pewnej artystki, przyjaciółki Lavender z czasów Pan Am, i zjeździła z nią cały świat. Córka kobiety starannie naprawiła wszystko, co szwankowało, na przykład toaletę i osie, i odnowiła wszystko, co się zniszczyło, zachowując możliwie dużo z artystycznego wystroju.

Ginny kupiła ją z miejsca. Za pełną cenę, o czym do dziś nikomu nie powiedziała. Nikt tak naprawdę nie wiedział, ile pieniędzy zarobiła, mogła je więc wydawać, jak jej się żywnie podobało. Skłamała Matthew i swojej rodzinie, że

zapłaciła za przyczepę dwadzieścia jeden tysięcy, a i tak ta suma wszystkich rozwścieczyła. Jej siostra Connie stwierdziła, że jest samolubna, że te pieniądze mogły posłużyć jako zaliczka na poczet domu dla jej córki albo jako wsparcie finansowe dla kuzynów – farmerów, którzy ucierpieli wskutek sytuacji gospodarczej. Jej druga siostra, Peggy, była podekscytowana. Wciąż powtarzała, że powinny się razem gdzieś wybrać, może do Las Vegas?

Matthew nie miał nic przeciwko. To była jedna z rzeczy, które ustalili na początku małżeństwa – że każde będzie miało własne pieniądze. Ginny nie chciała być od niego zależna. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie życie. Nawet w ich małym miasteczku zdarzało się, że ludzie zakochiwali się w kimś, kto nie był ich małżonkiem, i co rusz kilka nieszczęsnych kobiet rozwodziło się, tocząc batalie z mężami.

Nie. Taką kobietą Ginny być nie chciała. Zaczęła pracować w supermarkecie już sześć tygodni po porodzie – kolejny punkt zapalny w rozmowach z Connie: pracować, kiedy ma się takie małe dziecko! – i przeniosła się do cukierni, gdy Christie miała trzy lata.

Kiedy Ginny przywiozła airstreama z Kansas City, gdzie się wybrała, żeby go obejrzyć, Matthew oznajmił, że nie zamierza nigdzie jeździć z przyczepą. Nie lubił biwaków, łowienia ryb ani polowań. Żadnych tego typu rozrywek. Cenił sobie wygodę, jedzenie bez domieszki piasku, śniadania na porcelanie, a nie na papierowym talerzyku. To jej pasowało. Wcale nie chciała, żeby z nią jeździł, choć miała dość rozsądku, żeby zachować to dla siebie.

Ginny w istocie ani trochę nie obchodziło, co kto myślał o jej airstreamie. Kochała go i przez całą zimę na różne sposoby urządzała po swojemu, wykorzystując wyroby z płótna i ceramiki oraz zdjęcia, które zrobiła specjalnie po to, żeby je zawiesić na ścianach.

Teraz, w sobotni czerwcowy wieczór, pakowała do środka mnóstwo rzeczy przyniesionych z domu. Papierowe ręczniki i zapalki, herbatę, kawę i śmietankę w proszku, pudełko cukru w kostkach, bo nie będzie się rozsypywał tak jak zwykły, musztardę, majonez i sól. Oczyma wyobraźni widziała, jak nalewa kawę do turkusowego ceramicznego kubka, dosypuje śmietanki i idzie do drzwi, żeby wypić ją na zewnątrz – na łonie natury.

– Tu jesteś!

Głos matki wyrwał ją z przyjemnej zadumy.

– Cześć – powiedziała Ginny.

Uła z trudem wdrapała się po schodkach. Nie była gruba, ale sprawność fizyczna nigdy nie należała do jej mocnych stron. Zatrzymała się w drzwiach, jakby w środku mogły się czaić tygrysy, i powiedziała:

– Ale tu kolorowo.

– To jeden z powodów, dla których mi się podoba.

– Moim zdaniem wygląda jak wiktoriański dom publiczny, ale rozumiem, że każdy co innego uważa za piękne.

Ginny zmrużyła oczy, jednak nawet w tak rozmazanym obrazie nie dostrzegła nic, co przywodziłoby na myśl burdel.

– Powiedziałabym, że raczej secesyjny niż wiktoriański.

– Nieważne. Dlaczego zawsze musisz robić ze mnie głupią?

– Nie chciałam. – No, może jednak troszeczkę. – Przepraszam.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

Ginny pokiwała głową. To był burdel. Dom dziwki. Poczowała podmuch j u t r a na szyi, chłodny powiew szerokiej drogi.

Ula pogrzebała w torebce i wyciągnęła maleńką paczuszkę.

– Przyniosłam ci prezent.

Zaskoczona i wzruszona Ginny otworzyła pakunek. Gwizdek!

– Będiesz mogła zagwizdać, gdyby ktoś próbował cię zgwałcić – wyjaśniła Ula. – Może ci się wydawać, że kobietom w twoim wieku takie rzeczy się nie zdarzają, ale nie tylko młode i ładne padają ofiarami gwałcicieli.

– Wiem, dziękuję. – Ginny powiesiła gwizdek na wieszaku obok zlewu. – Zabieram ze sobą Willow.

Willow, jej pies, mieszanka border collie, owczarka i nowofundlanda, była dużo mądrzejsza niż większość ludzi i potrafiła ostrzegawczo szczekać. Głośno i zażarcie. Była czarna, miała złote, łobuzerskie uszy owczarka, białą łatę na piersi i nos nowofundlanda, ale rozum w całości border collie.

– Jak chcesz wieźć psa?

– Będzie jechała ze mną w samochodzie, mam – powiedziała łagodnie Ginny. – Wejdiesz i napijesz się kawy? Albo czegoś innego?

– Nie, nie. Muszę jechać do sklepu. Kiedy wyruszasz?

– Jutro bladym świtem.

Ula zrobiła krok do przodu i uścisnęła Ginny.

– Wiesz, że moim zdaniem to szaleństwo, ale uważaj na siebie i melduj się regularnie, dobrze?

Trzymając matkę w objęciach, Ginny wyczuła zapach pudru dla dzieci i lakieru do włosów. Kobieta po sześćdziesiątce nie powinna pachnieć jak staruszka.

– Dobrze – odparła. A prostując się, dodała: – Wiesz, że zawsze możesz zajrzeć na mojego bloga. Będę pisała codziennie.

Ula pokiwała głową.

– Postaram się pamiętać – powiedziała, jakby to było zadanie ponad jej siły, i ciężko stąpając, zeszła po schodkach.

OD: ginny@ciastomarzen.com

DO: czteryismakoszki@yahoogroups.com

TEMAT: Niespodzianka!

Hej, dziewczyny. Pamiętacie, jak myślałam, że nikogo nie obchodzi, że wyjeżdżam? Hahahaha. Co za pomyłka. Urządzili mi przyjęcie pożegnalne. Miała być niespodzianka, ale Matthew powiedział mi o wszystkim (to podłe z jego strony, tak zepsuć przyjemność Peggy i Christie, ale to mnie chciał zranić, nie je. Podejrzewam, że wcale nie cieszy się z mojego wyjazdu aż tak, jak mówi). W każdym razie udawałam zaskoczoną, bo obie zadały sobie mnóstwo trudu, żeby wszystko zaplanować. Większość czarnej roboty odwaliła Peggy, ale podejrzewam, że obie codziennie wisały na telefonie. Christie przyleciała z Chicago tylko na jedną noc, jednak sądząc po drobiazgach i po tym, że wszystko było urządzone z takim smakiem, musiała maczać w tym palce. Brzmi to trochę tak, jakby mojej mamie i siostrze brakowało gustu, ale to nieprawda. Mama zrobiła tort, który wyglądał jak airstream. Na podstawie zdjęcia z mojego bloga (a myślałam, że nigdy tam nie zagląda!). A Peggy, moja młodsza siostra, specjalnie zamówiła torbę kurierską, bo uznała, że pewnie zechcę mieć coś na ramię.

Muszę wam powiedzieć, że poczułam się wystraszona i smutna. Przyszli wszyscy ludzie, którzy mnie kochają i których znam całe życie. Kuzyni, ciotki, wujkowie, zadzierający nosa szwagier i nasi przyjaciele. Na myśl o tym, że ich opuszczam, strasznie się wzruszyłam. Nigdy w życiu niczego podobnego nie robiłam. Tak jakby owładnęło mną coś dzikiego i pchało naprzód, niemal bez udziału rozumu. Już za nimi wszystkimi tęsknię, a przecież jeszcze nawet nie wyjechałam! Christie mówiła, że to normalne. Tak samo było z nią, kiedy szła do college'u, i potem, gdy jechała do Georgetown na studia medyczne i kiedy wyprowadzała się do Chicago.

Przygotowała mi playlistę na iPod. Ściągnęłam ją sobie, zanim zaczęłam pisać tego maila.

A teraz chyba czas się zbierać. Nie mogę uwierzyć, że w końcu Was spotkam. Chciałabym, żebyś Ty też tam była, Val!!!!

GINNY

OD: valerie@winnatancerka.com

DO: czteryismakoszki@yahoogroups.com

TEMAT: Re: Niespodzianka!

Jestem z Ciebie taka dumna, Gin!!! Też chciałabym być z Wami.

Uściski i całusy. V.

OD: ruby@smakniebieskiegoksiezycyca.com

DO: cztery smakoszki@yahoogroups.com

TEMAT: Re: Niespodzianka!

Za każdym razem, kiedy opuszczam jakieś miejsce i przenoszę się w inne, wszystkie kąty, włączniki światła i zapachy tego starego nagle stają się wyjątkowe i bezcenne. I rzeczywiście takie są. Każda chwila życia jest wyjątkowa i bezcenna.

Ale w pewnej chwili tęsknota ustępuje miejsca niecierpliwości, a zdarza się, że czuję obie naraz, skłębione. I czasami wydaje mi się, że to, co czuję, zależy od tego, jak to nazwę. Więc jeśli jutro rano zaschnie Ci w ustach, a w brzuchu poczujesz motylki, powiedz sobie, że to nie strach, tylko niecierpliwość.

Serdeczności,

Ruby

OD: lavender@miodowybloglavender.com

DO: cztery smakoszki@yahoogroups.com

TEMAT: Re: Niespodzianka!

Bierz tyłek w troki, moja panno, i przyjeżdżaj, choćby się waliło i paliło. Kupiłaś przyczepę, bo chciałaś przeżyć przygodę. I przygoda właśnie na ciebie czeka.



ROZDZIAŁ CZWARTY

W łagodnym fioletowym przedświcie Ginny i Willow kursowały cicho w tę i z powrotem między przyczepą a dżipem, którego Ginny w końcu kupiła. Szybko zapakowała ostatnie drobiazgi, miękkie legowisko dla psa, bluzę, całą masę przekąsek i smakołyków, a także zapasową smycz na krótkie spacery po drodze.

To była niespokojna noc. Ginny budziła się o 23.45, 1.32 i 3.10. Wreszcie o 4.02, najciszej jak potrafiła, wyslizgnęła się z łóżka, zastanawiając się, co n a j l e p s z e g o wyprawia, zeszła na dół i zaparzyła kawę. Z gorącym kubkiem w ręku włączyła laptopa, którego zabierała w podróż, prywatny komputer, należący tylko do niej, i machnęła mailem do Czterech Smakoszek, wiedząc, że minie trochę czasu, zanim przyjaciółki go przeczytają. Była rannym ptaszkiem, a tylko w Ohio, gdzie mieszkała Valerie, była późniejsza pora.

W ciszy i ciemności sączyła kawę, czytając komentarze na blogu. Tego ranka było ich już osiemdziesiąt dziewięć. Wszyscy życzyli jej szczęścia, pojawiło się kilka nowych zaproszeń, parę wskazówek i porad, między innymi namiary na dobrą restaurację we Frisco po drodze przez Góry Skaliste.

Dzięki komentarzom poczuła się lepiej. Przyjęła zaproszenie dwóch wiernych czytelniczek mieszkających w dwóch różnych miejscowościach po drodze. Świadomość, że gdzieś tam czekają na nią dobrzy ludzie, okazała się krzepiąca.

W pewnym sensie społeczność blogerska była bardziej realna niż jej rodzina. A już na pewno z dużo większym entuzjazmem odnosiła się do jej podróży.

Zamieściła radosną odpowiedź: „Już ubrana! Nie mogę się doczekać!” i poszła na górę. Willow nie odstępowała jej na krok.

W sypialni leżało ubranie na drogę, czyste, wyprasowane i gotowe: rybaczkę w kolorze khaki z mnóstwem kieszeni – Lavender poleciła jej stronę dla wagabundów, gdzie można było znaleźć szybkoschnące ciuchy na podróż – prosta czerwona bluzka bez rękawków, w której jej oczy wydawały się jeszcze bardziej niebieskie, i stare awaryjne tenisówki ze skarpetkami do kostki. Willow leżała w progu z łapami schludnie wyciągniętymi przed siebie i dyszała z językiem zwisającym z pyska. Obserwowała Ginny jasnożółtymi oczami, czujna i zaciekawiona. Wiedziała, że coś się dzieje i że ona też jest tego częścią.

Ginny uklękła i ucałowała psa w nos.

– Tak się cieszę, że cię spotkałam – wyszeptała, pamiętając, że Matthew śpi w pokoju obok.

Psiaka, którego cztery lata temu przyniosła do domu z Walmartu, jej mąż nie

powitał ze szczególnym entuzjazmem. Grupa wolontariuszy próbowała znaleźć zwierzakom dom, kiedy wzrok Ginny przyciągnęła Willow, która w całej swej szczenięcej słodkości siedziała z tyłu, nadstawiając uszu. Gdy Ginny spytała, czy może ją obejrzeć, jedna z wolontariuszek się zawahała.

– Zastanawiam się, czy jej nie zatrzymać.

– Och – odparła Ginny dziwnie zawstydzona. – Przepraszam, myślałam, że wszystkie są do adopcji.

Stojąca obok kobieta odwróciła się i spojrzała na dziewczynkę surowo.

– Bo są, skarbie, nie przejmuj się.

Wzięła szczeniaka i włożyła go Ginny w ramiona. Willow westchnęła. Sierść psa była miękka i gęsta jak futro niedźwiedzia. Ginny zanurzyła w niej nos, wyczuła zapach słońca i trawy. I przepadła.

– Witaj – powiedziała cicho.

Willow polizała ją w brodę w geście życzliwego powitania, wcale jej przy tym nie obśliniając. Żółte oczy uważnie studiowały twarz Ginny. To był pies, który serio traktował swoje obowiązki, pies, z którym będzie musiała się dogadać.

Zabrała ją więc do domu. Matthew wprowadził się wkurzył, ale go zignorowała. Nie chodzi o to, że była nieczuła. Po prostu odkąd odeszła z cukierni i pracowała w domu, potrzebowała towarzystwa.

– Chodź, damy ci jakieś śniadanie – powiedziała teraz i obie zeszły na dół.

Ginny otworzyła puszkę i wyłożyła zawartość do ceramicznej miski, którą zamówiła online. Odkryła, że w dzisiejszych czasach można znaleźć mnóstwo ekskluzywnych akcesoriów dla zwierząt. Kiedy Willow jadła, jej pani piła kawę, patrząc, jak na niebie pokazuje się coraz więcej słońca. Żołądek znowu fiknął jej koziółka.

To się dzieje naprawdę!

Zamierzała przygotować Matthew śniadanie i dopiero potem wyjechać, ale ponieważ wczoraj na przyjęciu był nieznośny, zdecydowała, że tylko pocałuje go na pożegnanie i rusza w drogę.

R u s z a w d r o g ę! Kiedy szła po schodach, zakręciło jej się w głowie, zamusowało pod czaszką. Zatrzymała się w progu i bąbelki spłynęły w dół kręgosłupa.

Matthew siedział na łóżku kompletnie ubrany, w dżinsach, koszuli i tenisówkach, zawsze zbyt białych. Przy jego nogach stała walizka.

– Jadę z tobą – oznajmił.

Przez długą chwilę tylko na niego patrzyła. Bąbelki rozlały się jej po szczęce i napłynęły do uszu. Stopy Matthew były ustawione równiutko, jedna przy drugiej, białe skarpetki podciągnięte na tę samą wysokość.

W zamęcie, jaki zapanował w jej głowie, Ginny pomyślała nagle o Czterech

Smakoszkach, o Valerie, która tyle straciła, o Ruby, która była młoda i dzielna, o Lavender, która przeżyła całe życie bez męża i wydawało się, że zupełnie go nie potrzebuje.

– Nie – usłyszała własny głos. – Jadę sama.

Te słowa zaszokowały ją samą, ale gdy je wypowiedziała, poczuła, że jej kręgosłup się prostuje. Jakby była Lavender, metr siedemdziesiąt osiem na bosaka.

Niektórzy mężczyźni mogliby się upierać, niektórzy mogliby próbować narzucić jej swoją wolę. Matthew nigdy nie załatwiał spraw w ten sposób.

– To śmieszne, że chcesz jechać tak daleko sama, chociaż nigdy nie wyściubiłaś nosa poza stan – stwierdził.

– Nic mi nie będzie – odparła, ale jego słowa poruszyły w niej strunę niepokoju, wyciągnęły na wierzch wszystkie lęki i przypomniały o jej braku pewności siebie. – Przecież egzamin zdałam na piątkę. I ćwiczyłam jazdę z przyczepą. To wcale nie takie trudne.

– Na drogach w Kansas. Ale co będzie w górach? Jak chcesz przez nie przejechać? Jesteś dziewczyną z Kansas.

Kolejne szarpnięcie niepokoju.

– Nic mi nie będzie – powtórzyła.

Rzucił jej gniewne spojrzenie.

– Bzdura. Za dwa dni będziesz płakać i tęsknić. Znam cię, Ginny. Nie należysz do kobiet, które radzą sobie same.

Łzy zaszczypały ją w oczy, ale powstrzymała je, choć z trudem. Nie ma mowy, żeby zobaczył, że płacze.

– Dlaczego jesteś taki nieprzyjemny, i to przed samym wyjazdem? Mieliśmy mnóstwo czasu, żeby to przedyskutować.

– Może nie wierzyłem, że rzeczywiście pojedziesz.

– To tylko trzy tygodnie, Matthew. Najwyżej miesiąc. Będę wśród przyjaciół...

– Wśród przyjaciół? Przyjaciele to ludzie, którzy byli z tobą całe życie, którzy przyniosą ci zapiekankę, kiedy umrę, pomogą, gdy będziesz stara. – Kącik lewego oka zaczął mu drgać. – Wcale nie znasz tych kobiet. A poza tym one są z innej klasy.

To był nokaut. Matthew miał rację. Ojciec Ruby był internetowym milionerem, Valerie swego czasu była sławną tancerką, żoną pilota. Tylko Lavender żyła życiem, które Ginny знаła, choć i ona przez wiele lat pracowała jako stewardesa i latała po świecie, zanim nie uziemili jej w biurze i nie wróciła na farmę.

Ginny była nikiem, rzuciła studia, a potem pracowała w cukierni w supermarkecie. Pozostałe Smakoszki lubiły ją pewnie tylko dlatego, że nigdy jej tak naprawdę nie s p o t k a ł y.

Co ona wyprawia?

Ale gdy tak stała, ugodzona do żywego, coś powoli rosło w jej sercu. Przypomniła sobie wszystkie te wieczory, kiedy przeczesywała Internet w poszukiwaniu airstreama. Przypomniła sobie moment, kiedy dostała od Lavender linka do Coco, jej secesyjnej przyczepy. „Ty i ja”, powiedziała Coco, otwierając okna i drzwi, żeby wpuścić Ginny do środka.

– Jadę – oznajmiła mężowi. – Sama. Na dole jest świeża kawa. Będę miała ze sobą komórkę, więc możesz do mnie dzwonić.

Spoglądał na nią twardo i widać było, że drży.

– Ginny, jeśli stąd wyjdiesz, nie wracaj.

– Nie gadaj głupstw.

– To wcale nie są głupstwa. Zrobiłaś ze mnie pośmiewisko w oczach całego miasta. Pan Ciasteczko. Mąż tej sławnej blogerki. Byłem cierpliwy, ale tego już za wiele. Nikt z moich przyjaciół nie może zrozumieć, dlaczego pozwalam ci jechać.

– Wcale mi nie p o z w a l a s z, bo nie muszę prosić o pozwolenie! Nigdy nie byliśmy tego typu małżeństwem.

Popatrzył na nią przeciągle. Pulsowanie pod lewym okiem przybrało na sile. Zawisły między nimi wszystkie rozmowy, które Ginny bezskutecznie próbowała przeprowadzić, wszystkie rzeczy, które chciała wydobyć na światło dzienne: Dlaczego nie uprawiamy seksu? Jesteś gejem? Masz romans? O co chodzi?

Jakby słysząc jej myśli, spytał nagle:

– Ginny, chodzi o seks?

Westchnęła.

– Nie tylko.

– Nie rozumiem, dlaczego wciąż robisz z tego taki problem. Nie jesteśmy dziećmi. Jesteśmy dobrym małżeństwem.

Ostrożnie, łagodnym głosem powiedziała:

– Przyszłam pocałować cię na pożegnanie. Muszę jechać.

– Nie chcę, żebyś mnie całowała. Idź już.

Zabolało bardziej, niż się spodziewała. Odwróciła się jednak na pięcie, zagwizdała na Willow i wyszła z domu przekonana, że Matthew pójdzie za nią. Słońce wschodziło w różu i złocie, opromieniając dach airstreama niczym zapowiedź wszystkich tych dobrych rzeczy, które na nią czekały. Otworzyła drzwi z tyłu, żeby wpuścić psa do środka. Willow umościła się na posłaniu i czujnie nadstawiała uszu.

Ginny obejrzała się na dom. Już wyglądał jak miejsce, w którym mieszkała dawno temu. Jedna z ciemnoczerwonych peonii właśnie zakwitła. Ginny podeszła, zerwała kwiat i wsunęła go sobie we włosy.

A potem usiadła za kierownicą, położyła rękę na brzuchu, w którym trzepotały motylki, i uruchomiła samochód. W iPodzie miała playlistę od Christie

i wyjeżdżając, włączyła muzykę.

Ryknęło *Born to Be Wild* i Ginny wybuchnęła śmiechem. Christie wiedziała, w jaki ton uderzyć. Podniesiona na duchu uchyliła w wyobraźni kapelusza przed córką i skierowała się w stronę autostrady. Postanowiła, że te bąbelki, które krążyły w jej krwi, i motylki w brzuchu nazwie euforią.

Dopiero kiedy spojrzała we wsteczne lusterko, przez głowę przemknęło jej pytanie: Czyżbym zostawiała męża?



Sobota po południu

ROZDZIAŁ PIĄTY

Do Rocky Ford, ojczyzny najlepszych na świecie kantalup – melonów cukrowych, Ginny dotarła tuż po trzeciej. Jedna z wiernych czytelniczek, komentująca jej wpisy niemal codziennie, zaproponowała, żeby po drodze zjadła podwieczorek razem z nią i jej przyjaciółkami.

Spotkanie z ludźmi, z którymi przez lata kontaktowała się przez Internet, wydawało się znakomitym pomysłem, teraz jednak Ginny poczuła się niepewnie. Zgodnie ze wskazówkami Tiny minęła Tastee Freez i zaparkowała na wolnym miejscu za restauracją. Wyłączyła silnik i przez chwilę siedziała nieruchomo z telefonem w dłoni.

A gdyby tak nie dzwonić, tylko jechać prosto do Manitou Springs, gdzie zaplanowała pierwszy nocleg? Chciała zobaczyć Manitou, odkąd skończyła dziewięć lat i Marnie przywiozła jej stamtąd miedziane bransoletki i słodkie kamyczki. Znalazłaby jakąś wymówkę. W końcu czy to spotkanie faktycznie było dla Tiny aż tak ważne? Ginny pewnie przeceniała znaczenie swojej osoby, sądząc, że jakaś nieznajoma marzy, żeby ją poznać z powodu głupiego bloga. Przecież wszyscy twierdzą, że blogi to przeżytek. A poza tym...

Zrobiła głęboki wdech. I wypuściła powietrze.

Co by powiedziała Lavender? „Dziewczyno, bierz tyłek w troki i ruszaj na spotkanie przygody”.

Wystukała numer, który dostała od Tiny. Głos w słuchawce był radosny, dużo młodszy i bardziej kulturalny, niż się spodziewała.

– Ginny? Witaj! – wykrzyknęła kobieta, czy może dziewczyna. – Czekam jak na szpilkach! Będę za dwie minuty.

I rozłączyła się, zanim Ginny zdążyła cokolwiek powiedzieć. Ginny schowała komórkę do kieszeni i wysiadła z wozu, uśmiechając się mimo woli. Wzięła Willow na smycz i zaprowadziła ją do kępy starych wiązów, gdzie pies najpierw przykucnął z ulgą, a potem zaczął węszyć w trawie.

Miasteczko było małe, miłe i nijakie. W Tastee Freez panował spory ruch – zaglądali tu zarówno przejezdni, jak i miejscowi w szortach i z kucykami. W maleńkim centrum wzniesionym z kamienia pewnie na początku XX wieku znajdowały się sklep odzieżowy, kilka restauracyjek i sklep z artykułami przemysłowymi. Zupełnie jak w Dead Gulch.

Prawie nowa czarna furgonetka z kobietą szaleńczo machającą do Ginny zatrzymała się na wolnym miejscu parkingowym. Kobieta była drobna, miała trzydzieści kilka lat. Wskoczyła z samochodu, trzaskając ciężkimi drzwiami. Modne duże okulary przeciwsłoneczne wsunęła na czubek głowy.

– Ginny? – Błysnęła zębami.

Ginny nagle zawstydziała się swojego podróżnego stroju i zwykłej fryzury. Tina miała na sobie wyprasowaną czerwono-białą bluzkę w grochy, białe rybaczki i sandały na koturnie, z wiązaniem wokół smukłych kostek. W czarnej masie długich, kunsztownie ufryzowanych włosów było widać kasztanowe refleksy.

Matka zawsze powtarzała, że jeśli czuje się onieśmielona, powinna skupić się na rozmówcy. Zastosowała się więc do tej rady i przywołała na twarz szeroki uśmiech.

– Tina? Jakaś ty młoda! I śliczna!

– Och, wcale nie – roześmiała się Tina, ściskając Ginny. – Co za radość wreszcie cię widzieć! Przygotowałyśmy dla ciebie z przyjaciółkami prawdziwą ucztę, więc ruszajmy. Samochód i przyczepę możesz zostawić tutaj, nic im się nie stanie. To lokal mojego kuzyna, uprzedziłam go, że przyjedziesz. Zamknij tylko przyczepę i jedziemy. Pewnie umierasz z głodu i zmęczenia! Ile kilometrów zrobiłaś? – Nie czekając na odpowiedź, przykucnęła elegancko, niczym pin-up girl, i przywitała się z Willow. – Ale z ciebie ślicznotka. Też dostaniesz coś pysznego. Będziesz mogła rozprostować nogi i pobiegać po ogródku. – Otworzyła drzwiczki, żeby wpuścić psa na wąskie siedzenie z tyłu szoferki. – Wsiadaj, włączę klimatyzację.

Ginny zamrugła i wróciła do samochodu, próbując dopasować Tinę ze swoich wyobrażeń – czterdziestoparoletnią, może nieco puszystą, najzwyczajszą w świecie gospodynię domową – do tego wulkanu energii. Złapała aparat, zamknęła auto i sprawdziła drzwiczki przyczepy.

Przynajmniej nie będzie musiała dużo mówić.

Tina jechała wiejską drogą nieco szybciej, niż zrobiłaby to Ginny, paplając i majstrując przy radiu. W oddali długi szereg topól znaczył bieg rzeki Arkansas. Drzewa było widać też bliżej, wśród gęsto obsianych pól. Rosły tu głównie melony, z których słynął region.

– Mam nadzieję, że uda ci się zrobić jakieś ciekawe zdjęcia. Stawałyśmy na rzęsach, żeby upiec coś dobrego. Wykorzystałyśmy mnóstwo twoich przepisów. Robiłaś to już kiedyś? Spotykałaś się ze swoimi czytelnikami?

Ginny zaczęła od pierwszego pytania, a potem przeszła do następnego, tak jak zrobiłaby to online. Na początku, kiedy komentarze zaczęły się mnożyć, czuła się przytłoczona – najpierw czterdzieści, potem sto. Jak miała odpowiedzieć na wszystkie? Ale pisali je ludzie, którzy poświęcili czas, żeby zajrzeć na jej bloga i skomentować post, dlatego robiła wszystko, co w jej mocy, by im odpowiedzieć.

– Na pewno będzie tyle okazji, że nie będę wiedziała, co wybrać – odparła. –

I bardzo się cieszę, że skorzystałyście z moich przepisów. To pierwszy raz, kiedy spotykam się z czytelnikami. – Kiedy zaczęła mówić, zorientowała się, że miejsce zwykłej Ginny zajmuje niepostrzeżenie Ginny z Ciasta Marzeń, znacznie bardziej pewna siebie i dowcipna, naprawdę kochająca to forum, które nieoczekiwanie udało jej się stworzyć. Uśmiechnęła się do Tiny. – Bardzo dziękuję za zaproszenie.

Tina klepnęła dłonią w kierownicę.

– Jestem taka dumna! Ginny z Ciasta Marzeń u nas, w Rocky Ford!

Okazało się, że Tina mieszka w wielkim, bardzo pięknym domu modułowym przycupniętym pod wiązami wśród rozległych pól. Na tyłach rozciągała się zielona szachownica ogrodu warzywnego, a między dwoma największymi drzewami były rozwieszane sznury na bieliznę. Donice z czerwonymi pelargoniami na ganku wyglądały, jakby dzielnie odpierały zakradającą się ze wszystkich stron samotność.

– Wychowałeś się na farmie? – spytała Ginny.

Tina pokiwała głową.

– I zarzekałam się, że jak dorosnę, nigdy tu nie wrócę. Ale wiesz jak jest. Zakochałam się i wyszłam za męża, a on oczywiście był miejscowym farmerem.

– Byliście parą od liceum?

– Znałam go w szkole, ale nie. Prawdę mówiąc, udało mi się stąd na jakiś czas wyrwać. – Otworzyła drzwiczki z tyłu, wypuściła Willow i zapatrzyła się w dal. – Studiowałam w Fort Collins, zrobiłam dyplom nauczycielki i zamierzałam wyjechać do Denver, ale przyjechałam do domu na wakacje i spotkałam Toma. – Wzruszyła ramionami. – To dobry człowiek. – Uśmiechnęła się smutno. – Nigdy nie pozwoliłby mi podróżować po kraju samej, tak jak ty.

Ginny spojrzała jej w oczy.

– Zdziwiłabyś się.

Trzasnęły drzwi i na dużą werandę wyszła kobieta.

– Tina, nie możesz jej tak zawłaszczać.

Wszystkie trzy weszły do środka.

Tina odwiozła Ginny do przyczepy.

– Mogłabym... Nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym zajrzała do środka?

– Ależ skąd! To moja duma. I radość. – Ginny wyciągnęła kluczyki z kieszeni. – Uwielbiam się nią chwalić.

– To była taka frajda czytać na blogu, jak jej szukałaś. A potem znalazłaś. Lavender ci pomogła, prawda?

– Należała do jej przyjaciółki. – Ginny otworzyła drzwiczki i gestem wskazała, żeby Tina weszła pierwsza. – Ginger Holmes. Była artystką, mieszkała w Carmel-by-the-Sea. Zmarła w zeszłym roku, a jej córka chciała się pozbyć przyczepy, więc miałam szczęście.

– Och, ale tu pięknie – westchnęła Tina, przyciskając ręce do piersi. – Całe to drewno i wykończenia. Secesyjne, prawda?

Ginny pokiwała głową, spoglądając na wewnątrz świeżym wzrokiem. Usłyszała cichy brzęk i poczuła w powietrzu zapach oceanu. Wyobraziła sobie, że siedzi na plaży o zmierzchu ze słodko-cierpkim mai tai w dłoni i patrzy na zachód słońca.

Tina dotknęła kuchenki i maleńkiego zlewu, a potem zajrzała do sypialni. Kiedy się odwróciła, Ginny spostrzegła, że jest bliska łez. Pod wpływem impulsu objęła ją i przytuliła.

– Tak ci zazdrozczę – wyszeptała Tina. – Wiele bym dała, żeby robić to co ty.

Ginny cofnęła się i spojrzała jej w oczy.

– Ja natomiast jestem przerażona – wyznała i obie się roześmiały. – Ale też ogromnie szczęśliwa.

– Będę śledzić twoją podróż na blogu.

– I może zaczniesz planować własną przygodę.

Tina uścisnęła jej rękę.

– Może.

SMAK NIEBIESKIEGO KSIĘŻYCA

blog o pysznym jedzeniu...

Jedzenie na pocieszenie

Od czasu do czasu każdy z nas potrzebuje pochłonąć wyborną kombinację tłuszczów i węglowodanów „na pociechę”. Z takim głodem w sercu obudziłam się dziś o trzeciej rano, po kilku dniach spędzonych w podróży na Miodową Farmę Lavender.

Moje lekarstwo to serowe fettuccine z orzechami nerkowca, zieleniną i fasolą. Zwykle używam makaronu pełnoziarnistego, ale jeśli macie ochotę na klasyczny, nikt nie będzie miał wam tego za złe. Z makaronem i zieleniną wspaniale kontrastuje fasola z natką i cytryną. To naprawdę sycący posiłek.

Orzechy nerkowca stanowią wyborne źródło zdrowych dla serca tłuszczów i są prawdziwą kopalnią minerałów, w tym żelaza, magnezu i cynku. Są bogate w błonnik, białko i... jak wiecie, smakują wyśmienicie.

Fettuccine z kremem z nerkowców, zieleniną i fasolą

Zacznijcie od kremu z nerkowców, a potem będzie już z górki – wystarczy wymieszać go z makaronem, zieleniną i gotowe. Łatwizna! To bardzo pożywne danie, ale przecież nikt nie musi o tym wiedzieć.

Krem z nerkowców

$\frac{1}{2}$ szklanki orzechów nerkowca moczonych przez noc w 2 szklankach wody albo gotowanych przez 3 minuty i odsączonych

$\frac{1}{2}$ szklanki odżywczych płatków drożdżowych (nie drożdży w proszku!)

2 szklanki wody

1 łyżeczka mielonej gorczycy

Wszystkie składniki zmiksujcie na gładką masę. Jeśli nie macie superblendera w rodzaju Vitamixu, przecedźcie całość przez sitko. Podgrzejcie na niedużym ogniu. Dodajcie sól do smaku i odrobinę czystego sojowego albo migdałowego mleka, jeśli krem za bardzo zgęstnieje.

500 g makaronu typu fettuccine

Gotujcie zgodnie ze wskazówkami na opakowaniu, około 10 minut. Gdy woda zacznie wrzeć, przygotujcie zieleninę jak poniżej.

1 szklanka białej fasoli dowolnego rodzaju (ja uwielbiam półksiężycowatą, a ostatnio często używałam peruwiańskiej ze względu na przepiękny kolor), ugotowanej albo z puszki
Jeśli będziecie ją gotować, zacznijcie od namoczenia dzień wcześniej.

Zielenina

4 szklanki szpinaku typu baby albo kapusty liściastej – umytych i przebranych

1 cebula, posiekana z grubsza

3 ząbki czosnku drobno siekanego albo przeciśniętego przez prasę

2 łyżki oliwy z oliwek

Na patelni o grubym dnie rozgrzejcie oliwę. Dodajcie cebulę i smaźcie na średnim ogniu do zeszklenia. Dodajcie czosnek i mieszajcie przez 2 minuty. Dorzućcie zieleninę i podgrzewajcie, aż zwiędnie. Połączcie z fasolą.

Gorący makaron wrzućcie do dużej miski (jeśli trzeba, ogrzejcie go w ciepłej wodzie), dodajcie zieleninę z fasolą i wymieszajcie z kremem z nerkowców. Smacznego!

Przepisy

Przystawki

Dania główne

Przekąski

Słodkości

Spis alfabetyczny

Kategorie

O Ruby



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy Ruby się obudziła, na dworze panowała ciemność. Nie zwykła, wieczorna ciemność, tylko głęboka i głucha, taka, jaka zapada po północy. Ruby musiała iść do toalety, nic nadzwyczajnego ostatnimi czasy, gdy jednak z powrotem wyciągnęła się na łóżku z trzema poduszkami, tak jak lubiła najbardziej – jedna pod głową, jedna w objęciach i jedna między kolanami – zdała sobie sprawę, że nie zaśnie. Czuła się całkowicie rozbudzona.

Czasami tak bywało. Wzruszyła ramionami, odkryła kołdrę i otworzyła drzwi kampera. Za dnia widziała pasmo błękitnych gór na horyzoncie i pofałdowane pola zieleni. Teraz była tylko aksamitna ciemność, tu i ówdzie poznaczona samotnymi światełkami nad jakąś stodołą czy werandą w oddali.

Powietrze było delikatne i chłodne. Ruby wsunęła stopy w japonki, zdjęła kluczyki do przyczepy z haczyka przy drzwiach i wyszła na dwór. Zadarła głowę i spojrzała w czyste nocne niebo rozświetlone przez miliony – nie, miliardy! – gwiazd. Pośrodku w stronę horyzontu spływała Droga Mleczna. Na zachodzie nisko nad ziemią wisiał księżyc. Ogarnęło ją poczucie cudowności.

I głód. Umierała z głodu. Oczyma wyobraźni zobaczyła chleb i suszone na słońcu pomidory, jakiś owoc, może coś więcej. Może nawet coś ugotuje, żeby do reszty nacieszyć się pięknem chwili – dzieckiem w brzuchu, błyszczącymi gwiazdami nad głową i nocą otulającą ziemię niczym czarowny płaszcz.

Otworzyła przyczepę i weszła do środka, zapalając światło przy drzwiach. Powitało ją lśnienie stali nierdzewnej – wyposażenie profesjonalnej kuchni w mikroskali. Razem z ojcem przeczesła całe miasto i Internet w poszukiwaniu odpowiednich sprzętów. Podstawę stanowił Airstream Bambi z 1968 roku, którego jej kamper mógł holować bez trudu.

Dzięki pożyczce od ojca Ruby wybebeszyła przyczepę, wymieniła osie i podłogi, przeprowadziła nawet drobny remont szkieletu. A wtedy wpadł jej tato, który uważał się za geniusza w dziedzinie twórczych rozwiązań i był gotów pomóc w przeróbce airstreama. To on wymyślił szafki z wysuwanymi półkami. To on znalazł kuchenkę – sześć palników w rozmiarze mini – u producenta w Europie i pomógł wybrać Ruby materiały, dzięki którym wewnątrz było zarazem bezpieczne i piękne. W przyczepie zainstalowano podwójny piecyk, bo pieczenie było ostatnim krzykiem wegańskiej mody, i chłodnię na tyłach, która dzięki segmentowej budowie

efektywnie wykorzystywała energię – Ruby w dowolnej chwili mogła włączyć chłodzenie w którymś z segmentów albo w całości. W drugim końcu airstreama zamontowano stół i dwie ławy, na których mogła usiąść, przygotowując jedzenie.

Na długiej półce nad okienkiem znajdowała się kolekcja książek kucharskich. Ruby sięgnęła po ulubioną, Moosewood, mocno sfatygowaną od częstego używania, i przekartkowała ją w poszukiwaniu inspiracji. Szukała czegoś, na co miałyby ochotę i na co znalazłyby się składniki. Zaopatrzyła się wprawdzie w podstawowe produkty – makarony i orzechy, przyprawy i zioła, rozmaite ziarna, mąki, suszoną i puszkowaną fasolę oraz bulion – ale chłodnia była prawie pusta. Zamierzała uzupełnić zapasy na miejscu, bo chciała, żeby przyczepa ważyła jak najmniej. W lodówce był tylko długi karton mleka sojowego, trochę natki oraz żelazny zestaw cytryn, cebuli i czosnku. Ruby pozwoliła, żeby jej myśl popłynęła w kierunku tego, na co miałyby ochotę ciało. Oczyma wyobraźni zobaczyła fettuccine, czosnek... krem z orzechów nerkowca. Tak, właśnie to. Zaczęła nucić pod nosem.

W przyczepie znajdowało się kilka luksusowych gadżetów, prezentów niespodzianek od ojca. Należała do nich stacja dokująca do iPhone'a, za którego płacił, żeby mogli pozostawać w kontakcie. Ruby podłączyła do niej telefon, wybrała playlistę, którą układała przez lata, a potem ściszyła dźwięk. Rzuciwszy okiem na zagrody i kurniki, zredukowała głośność jeszcze o jeden stopień. Kury pewnie spały w najlepsze.

Innym prezentem od ojca był profesjonalny restauracyjny robot kuchenny, dla bezpieczeństwa umieszczony w oddzielnej szafce. Ruby wyjęła go i zamontowała miskę z ostrzami. Same przygotowania podziały na nią uspokajająco. Czowała, jak napięcie schodzi jej z karku i ramion, przesuwa się wzdłuż kręgosłupa i wsiąka w podłogę. Przez otwarte drzwi wpadł podmuch wiatru, rozwiewając jej włosy.

Właściwie odkąd sięgała pamięcią, gotowanie było dla niej ucieczką. Zaczęła jako dziecko od ciast i ciasteczek. Gdy przyszedł czas wyboru studiów, wiedziała, że chce się uczyć gotowania w jakiejś szacownej wegańskiej placówce. Nie miała zbyt wielkiego wyboru. Pojechała studiować wegańską kuchnię do Nowego Jorku i tam próbowała zahaczyć się w biznesie.

Wsypała dwie szklanki orzechów nerkowca do niewielkiego rondelka, zalała wodą i gotowała trzy minuty. Nie była to może metoda idealna – lepiej byłoby moczyć je przez noc – ale Ruby była głodna już teraz.

Przesypała orzechy do robota i dodała nieco wody. Ten przepis zawsze sprawiał, że zaczynała myśleć o Liamie, dlatego go unikała. Nie mogła jednak robić tego w nieskończoność. Dzisiejszej nocy jej ciało domagało się kremowej smakowitości, pociechy, którą mogło mu zapewnić połączenie tłuszczów i solidnej porcji węglowodanów.

Ruby poznała Liama w Green Table, ekskluzywnej wegańskiej restauracji w modnej dzielnicy Lower East Side. Szef kuchni Kevin Morrell uczył się u Alice Waters i kilku innych orędowników zdrowej, ekologicznej żywności. Wygrał program kulinarny w telewizji i w ten sposób zdobył pieniądze na otwarcie własnej restauracji. Serwowano tu wyłącznie wegańskie jedzenie, wszystko było znakomitej jakości, ale jeśli chodzi o pracowników, Kevin słynął z wybuchowego temperamentu. Liam był jego prawą ręką – był tak samo opanowany, jak Kevin gwałtowny.

Kiedy Ruby ujrzała Liama po raz pierwszy, skrobał marchewkę, a girlandy obierków wpadały do miski. Pracował dokładnie i szybko, pogwizdując pod nosem. Jego dłonie były prawdziwym dziełem sztuki – smukłe, silne, nieskazitelnie czyste, z idealnie owalnymi paznokciami. Opalona skóra, złote włoski na przegubach. Chciała je namalować – ich widok przywodził jej na myśl mnicha przygotowującego posiłek w jakimś średniowiecznym klasztorze. Śmieszny pomysł. Nigdy nie była w Europie, więc skąd miałyby wiedzieć, jak to wyglądało! A jednak obraz był wyraźny: Liam w szorstkim brązowym habicie, rękawy podwinięte za łokcie, zioła suszące się za jego plecami, oprawiony zając na drewnianym stole, obok deski do krojenia.

Zakręciło jej się w głowie. Poczwała nawet zapach kopru i krwi. I akurat kiedy zaczęła się zastanawiać, skąd ona, przez prawie całe życie weganka, miałyby wiedzieć, że oprawione zwierzę to zając, Liam ją zauważył.

– Hej – powiedział niskim głosem – ty musisz być Ruby.

Spojrzała na niego lekko zdezorientowana i przepadła w jego jasnozielonych oczach. Zakochała się z miejsca, od pierwszego wejrzenia. Tak jakby znała go od zawsze i tylko musiała sobie przypomnieć jego imię. Serce nie zabiło jej szybciej, wypełniło się za to po brzegi czymś na kształt słońca. Albo muzyki.

Na twarzy Liama malowało się zdziwienie.

– Skąd ja cię znam?

Poczwała w gardle musujący śmiech.

– Nie mam pojęcia. Z czternastego wieku?

Patrzył na nią długo, przeciągle, omiatając wzrokiem oczy, usta i piersi, a jej coraz bardziej kręciło się w głowie. Gdyby mogła, pocałowałaby go od razu, musiała jednak poczekać, aż i on się zorientuje, że się w sobie zakochali.

Co zrobił, nim dzień dobiegł końca. Ich początek był szybki i jednoznaczny. Zabrał ją do swojego ciasnego mieszkania nad nocnym klubem, którego puls i odgłosy przenikały przez podłogę. Kochali się całą noc, ledwie znajdując czas na to, żeby coś zjeść. Nigdy wcześniej nie spotkało jej nic równie magicznego. Nim miesiąc dobiegł końca, zamieszkali razem i przez sześć lat byli nierozłączni.

Ruby zagotowała wodę na makaron, posiekała cebulę i podsmażyła ją razem

z czosnkiem na oliwie z oliwek. Nocne powietrze w przyczepie wypełnił zapach jedzenia.

Liam, Liam, Liam. Jej mnisi kochanek. To wyobrażenie okazało się boleśnie prawdziwe. Czasami trudno było z nim wytrzymać, zaspokoić jego potrzebę ascezy. Rezygnował z wina albo chleba. Pościł. Biegał kilometrami. Bywało, że nie uprawiali seksu, bo wołał się rozciągać.

Ale kochał ją – bez wątpienia, do szaleństwa i z taką zaborczością, z jaką mężczyzna potrafi kochać kobietę. To była jedna z tych rzeczy, które w nim uwielbiała – gwałtowna, namiętna, gdy przestawał się kontrolować, niezaprzeczalna, romantyczna i zazdrosna miłość. Nie znosił, kiedy patrzyli na nią inni mężczyźni, bo bał się, że któryś może jej wpaść w oko. Martwił się, że jest dla niej za stary – kiedy się poznali, ona miała dwadzieścia, on dwadzieścia osiem lat. Bał się, że od niego odejdzie.

Dziewięć miesięcy temu ni stąd, ni zowąd oświadczył, że odchodzi. Wyprowadził się do innej kobiety. Ruby była w szoku. To nie miało sensu. Zupełny n o n s e n s . Absolutnie niczego nie podejrzewała.

N i c z e g o .

Wariowała. Była przekonana, że to jakaś pomyłka i że Liam się opamięta. Wciąż razem pracowali i zdarzało się, że Liam nie potrafił się jej oprzeć. Ciągnął ją wtedy na zaplecze – w gorączce albo złości – a ona na to pozwalała. Poddawała się w nadziei, że on oprzytomnieje, ocknie się, wróci do rzeczywistości. Któregoś razu po tym, jak pieprzyli się w maleńkiej toalecie dla personelu, dysząc ciężko, ujęła jego twarz w dłonie.

– To ja – powiedziała. – Ja.

Pocałował ją tak mocno, że miała wrażenie, jakby ją uderzył, a potem uciekł.

Wszystko to zaczęło się na Ruby odbijać. Przyjaciele martwili się, że traci na wadze i za dużo pije. Rozsypywała się. Ona, która zawsze była ich opoką. Teraz oni starali się zapewnić jej wsparcie.

W końcu znalazła w sobie dość odwagi, żeby odejść z pracy. Spytała ojca, czy mogłaby na jakiś czas przyjechać do San Francisco. Dopóki znów nie zacznie myśleć jasno. Paul Zarlingo był ekscentrykiem, wynalazcą, który zbił fortunę w czasach internetowego boomu, a potem wycofał się z interesu. W wychodzącej na ocean przeszklonej rezydencji całymi dniami wymyślał najrozmaitsze rzeczy. Opatentował ponad siedemdziesiąt wynalazków.

Jasne, powiedział Paul, przyjeżdżaj do domu. I tak, wypłakując oczy, Ruby spakowała całe swe życie, sześć wspólnie spędzonych z Liamem lat. Miał odebrać rzeczy już po jej wyjeździe, a potem oddać klucze właścicielowi, zjawił się jednak wcześniej.

Ruby udało się już nieco opancerzyć, ale okazało się, że nie dość. Stał

w drzwiach, a jego jasne oczy płonęły. Widząc cienie wokół tych gorejących oczu, poczuła ukłucie bólu. Jakby nie spał od wielu dni.

– Dlaczego to się dzieje? – spytała, rozsypując się znowu.

Wepchnął ją do pokoju i przytrzymał.

– Nie płacz, Ruby – powiedział. – Proszę, nie płacz. Tak mi przykro. Nie umiem tego wyjaśnić, ale tak musi być.

I wtedy go uderzyła. Pierwszy raz w życiu uderzyła kogokolwiek. Walnęła go pięścią w ucho i krzyknęła, gdy złapał ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Całowali się mocno, uderzając zębami o wargi, aż usta zaczęły jej krwawić i jeszcze wiele dni potem były posiniaczone. Opadli na gołą podłogę i p i e p r z y l i s i ę pośrodku pustego mieszkania. Kiedy skończyli, plecy paliły ją żywym ogniem, a on miał pozdzierane kolana. Na ramieniu, w miejscu, gdzie ją ugryzł, zrobił jej się siniak. Liam miał plecy poznaczone długimi pręgami, a na szyi malinkę.

Wreszcie wstał bez słowa, ubrał się i wyszedł.

Teraz, na lawendowej farmie w środku nocy, Ruby ostrożnie wsypała ulubiony makaron do wrzącej wody i położyła rękę na łuku brzucha. Był łagodniejszy, niż się spodziewała, poduszka wsunięta pod fartuch. Poczęte w napadzie wściekłości, w gniewie, ale poczęte.

Cud. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu spodziewała się dziecka. Nie chciała wiedzieć, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Może do końca nie będzie chciała. Może będzie wołała, żeby to była niespodzianka. Niezbyt praktyczne, ale fajne.

Gdy makaron był już gotowy, dodała namoczone w oliwie z ziołami suszone pomidory, białą fasolę podsmażoną z cebulą i czosnkiem, posypała grubo mielonym pieprzem i solą himalajską, polała kremem z nerkowców i wymieszała. Trochę zieleniny – szpinak, kapusta liściasta albo jarmuż – wprowadziłoby nutę ziemi, ale i tak danie było pyszne. Wręcz znakomite. Zdjęła fartuch i usiadła w drzwiach z talerzem na kolanach.

Powąchała, a potem skosztowała swego dzieła i westchnęła z zadowolenia. Nad jej głową wciąż błyszczała Droga Mleczna. Księżyc przesunął się w stronę horyzontu, oświetlając kępę drzew. Jakieś zwierzątko przemknęło przez zarośla obok i wyrzało spomiędzy liści. W ciemności widać było tylko jasne oczy. Ruby wzięła kolejny kęs, obserwując je bacznie.

Zwierzątko wyślizgnęło się z gąszczu i zaczęło skradać w jej stronę, trzymając się blisko ziemi. Kot, doszła do wniosku Ruby, i napięcie w karku zelzało.

– Cześć, kotku. Chcesz trochę? – Rzuciła kawałek na ziemię.

Po chwili kot podkradł się do makaronu i obwąchał go.

– Niedobre, co? – powiedziała Ruby z uśmiechem. Zwierzątko, maleńki czarny

kotek z białą plamką na piersi, usadowiło się kilka metrów dalej. Siedziało w idealnym bezruchu, obserwując ją okrągłymi żółtymi oczami. – Zdaje się, że koty wolą bardziej krwiste dania.

Rzuciła jeszcze trochę fettuccine na ziemię i nonszalancko wróciła do jedzenia. Kot skradał się centymetr po centymetrze, a gdy znalazł się dostatecznie blisko, ostrożnie ugryzł makaron.

I właśnie wtedy, kiedy tak siedziała pod nocnym niebem w towarzystwie kota, poczuła, że dziecko w jej brzuchu się poruszyło. W pierwszej chwili nie zorientowała się, co to, ale wrażenie trzepotania, a potem nurkowania zaraz się powtórzyło. Zdumiona położyła rękę na brzuchu, z zewnątrz jednak nie wyczuła tego, co działo się w środku.

– Cześć, dzieciaku – powiedziała. – Cieszę się, że tu jesteś.

Gdy podniosła wzrok, kota już nie było, ale to nie miało znaczenia. Ta noc była pełna cudów. Gwiazd, jedzenia i dzieci nurkujących w brzuchach matek.

– O rany – powiedziała Ruby, spoglądając w niebo.

Z pobliskich drzew dobiegło ją sapnięcie, warkot, a potem odgłosy walki. Ruby wstała, próbując przeniknąć wzrokiem ciemność. Zaniepokoiła się o życie kotka. Wypadł pomiędzy drzew i pędem rzucił się w jej stronę. Minał ją i schował się do przyczepy. Za nim wybiegło inne zwierzę, wyglądało jak wynędzniały pies. Zatrzymało się ze spuszczoną głową. Jego oczy zalśniły, gdy spostrzegło Ruby.

Ruby zamarła z talerzem w dłoni. To nie był pies, tylko kojot ze złotą kryzą, długim ogonem i nosem. Patrzył na nią całe wieki, a potem nagle odwrócił się i skoczył między drzewa.

Obejrzała się przez ramię. Kociak przykucnął pod stolikiem z rozszerzonymi ze strachu oczami. Ze zjeżonym futerkiem wyglądał, jakby był dwa razy większy. Bardzo, bardzo powoli weszła do kuchni i zamknęła za sobą siatkowe drzwi.

– Już dobrze, skarbie. Naprawdę. Możesz tu dziś zostać. Bo założę się, że nie masz ochoty wracać do tego gościa.

Podeszła do niego i wtedy kociak zasyczał. Cofnął się, wbijając jak najgłębiej w kąt.

– W porządku – powiedziała, podnosząc ręce w geście poddania. – Nie zamierzam cię dotykać.

Usiadła po turecku na podłodze przed kuchenką i ostrożnie zdjęła z haczyka przy zlewie ścierkę do naczyń. Zmiała ją nieco i położyła na podłodze. Niestety, nie miała do jedzenia nic, co nadawałoby się dla kota.

Zwierzątko po chwili przyjęło nieco wygodniejszą pozycję i ułożyło łapki przy piersi. Oczy zaczęły mu się przymykać.

Ruby ziewnęła. Z pełnym brzuchem wyciągnęła się na podłodze i tylko na chwilę zamknęła oczy. Myślami popłynęła ku Ginny. Ciekawe, gdzie się teraz

podziewa.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po przystanku w Rocky Ford Ginny wróciła na trasę z brzuchem pełnym sałatki ziemniaczanej, smażonego kurczaka i trzech kawałków ciasta według jej własnych przepisów. Był wśród nich jeden z jej pierwszych przebojów, tort szwarcwaldzki w wersji, w której morze cukru zastąpiły wiśnie. Właśnie to ciasto postanowiła sfotografować – spytała, czy może ustawić je na blacie, na który padało przytłumione światło ze świetlika. Zrobiła też wiele zdjęć uginającego się stołu, kilka ujęć grupowych, aż wreszcie nastawiła samowyzwalacz, żeby sfotografować się ze wszystkimi. Jedząc, rozmawiając i słuchając kobiet opowiadających o blogach, które chciałyby prowadzić, o książkach, które ostatnio czytały, i o wymarzonem sprzęcie fotograficznym, Ginny układała w głowie tekst nowego posta.

Pierwszego z podróży.

Jechała Highway 50 i czuła się podekscytowana. Jak zwyciężczyni. Zmęczenie po całym dniu w samochodzie znikło. Było dopiero wpół do szóstej – mnóstwo czasu, żeby dotrzeć do Manitou przed zmrokiem. Miała już upatrzony kemping i zamierzała jutro obejrzeć miasteczko, a potem wspiąć się na Pikes Peak.

Ziewnęła, zerkając we wsteczne lusterko na swój domek na kółkach. Dzisiejszej nocy będzie w nim spać po raz pierwszy.

Dwadzieścia minut później, podekscytowana zmianą krajobrazu, rzuciła okiem na góry w oddali. Błękitne i masywne piętrzyły się na tle zachodniego nieba, lecz ich szczyty zakrywały niskie, ciemne chmurzyska. Zmarszczyła brwi.

– Zaczekajcie, aż zaparkuję – powiedziała na głos.

Pędziły sobie jednak z burzą na spotkanie i gdy Ginny dotarła do Pueblo, słońce i góry znikły. Przemknęło jej wówczas przez myśl, że może powinna się zatrzymać i przeczekać, ale nie było wiatru ani błyskawic, a od Manitou dzieliło ją zaledwie osiemdziesiąt kilometrów autostradą. Radio ostrzegało przed burzami, ale w informacjach dla kierowców ani słowem nie wspomniano o tym, że warunki na drodze mają być niebezpieczne. Nie zaobserwowano żadnych tornad.

Po prostu zrób to i już.

Ruszyła na północ z motylkami w brzuchu. Była prawie na miejscu! Jedną nogą!

Pięć minut później wjechała w deszcz. To była najdziwniejsza rzecz, jaką widziała po drodze – z jednej strony zupełnie suchy asfalt, z drugiej ściana deszczu.

Padło tak, że aż cały świat pociemniał. Ulewa przyniosła ze sobą kakofonię dźwięków – deszcz dudnił o dach i maskę, opływając za plecami airstreama. Ginny włączyła światła i zwolniła. Serce jej waliło, gdy inne samochody mijaly ją pędem, opryskując pióropuszcami wody przednią szybę.

Obok przemknął średniej wielkości sedan. Ścisnęła kierownicę tak mocno, że aż zabolaly ją ręce, ale nie przyspieszyła. Wciąż jechała sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. Przed sobą miała furgonetkę posuwającą się naprzód z podobną prędkością, za plecami maleńkie autko, które korzystało z osłony jej przyczepy, żeby utrzymać się na drodze.

Lada chwila, powtarzała sobie, a wyjedzie z tej ściany deszczu.

Jednak mijał kilometr za kilometrem, a ulewa nie słabła, zamieniając autostradę w prawdziwą rzekę. Ginny miała wrażenie, że ciągnie za sobą milion chwiejnych ton, ale ponieważ prawie nie było wiatru, to raczej strach jej ciążył, nie przyczepa.

– Nie ma strachu – nuciła pod nosem – nie ma strachu, nie ma strachu, nie ma strachu.

Ramiona zaczęły ją piec, a potem palić z napięcia. Bolał ją kark. I oczy.

Gdy nagle z mroku wyłonił się postój, Ginny ruszyła w jego stronę. Po twarzy spływały jej łzy. Nie miała wolnej ręki, żeby je otrzeć, więc pozwoliła im po prostu płynąć w szalonej mieszance ulgi i przerażenia. Zaparkowała samochód i przyczepę na wolnym miejscu obok pół tuzina półciężarówek i kilkudziesięciu samochodów. Padający nieprzerwanie deszcz zmoczył ją, gdy sięgała po aparat i torebkę. Wypuściła Willow i obie pobiegły do airstreama. Otworzyła przyczepę, wpuściła psa do środka i usiadła na łóżku, cała się trzęsąc.

A potem schowała twarz w dłoniach i rozplakała się na dobre. W co ona się wpakowała?

Sporo później Ginny obudził nos Willow trącający ją w rękę. Na dworze było ciemno i wciąż padało, choć nie tak gwałtownie jak przedtem. Słysząc było łagodny stukot kropli o dach.

Poruszyła się i usiadła, cała zeszywniała. Willow cofnęła się i merdając ogonem, szarpnęła łbem w stronę drzwi.

– Och, przepraszam, skarbie. Tylko coś na siebie narzucę.

Przyniosła kurtkę, włożyła ją i naciągnęła kaptur na głowę. Wzięła Willow na smycz i wyszły na gęstą mżawkę. Większość samochodów już odjechała, ale kilka ciężarówek wciąż stało na parkingu ze zgaszonymi silnikami. Na autostradzie jedno za drugim z rykiem przejeżdżały auta. Ciężkie chmury wisały nisko, więc Ginny trzymała głowę spuszczoną. Willow załatwiła swoje sprawy i otrząsnęła się z wody.

– Moja kolej – powiedziała Ginny, ruszając w stronę łazienki.

Miała wprowadzić toaletę w przyczepie, ale wolała skorzystać z postojowej, skoro była taka możliwość.

W środku nie było nikogo, wzięła więc Willow ze sobą. Pies czekał grzecznie, aż jego pani wyjdzie z kabiny. Ginny zdjęła kurtkę i bluzkę i powiesiła je na wieszaku. Umyła się przy zlewie i wytarła papierowym ręcznikiem. Twarz w lustrze była szara, zmęczona. Miała cienie pod oczami.

– Co za przygoda – powiedziała na głos. W brzuchu czuła nieznośny ciężar. To był głupi pomysł.

Jakby słysząc jej myśli, Willow cichutko zaskomlała.

– Żartowałam – uspokoiła ją Ginny, zakładając z powrotem ubranie. – Jak już dotrzemy na farmę Lavender, będzie lepiej.

Akurat gdy skończyła, do łazienki weszła młoda kobieta z długimi rudymi włosami upiętymi tak, żeby nie spadały jej na twarz.

– Cześć – powiedziała z australijskim akcentem. – Ale leje, co?

Ginny przewróciła oczami.

– Makabra. Jechałaś w tym deszczu?

– Tak. – Kobieta podeszła do zlewu, odkręciła wodę, namydliła ręce i zaczęła je energicznie szorować. Z lustra zerknęły na Ginny atramentowe oczy. – To twój airstream?

– Tak! I moja pierwsza podróż.

– Fantastyczna przyczepa. Bambi, prawda?

– Bambi. Długo szukałam odpowiedniego egzemplarza.

Dziewczyna ochlapała wodą twarz.

– Sama chciałabym taką mieć.

Ginny poczuła, że coś jej puszcza w gardle. Nareszcie mogła znowu mówić, a nie tylko krzyczeć.

– Założę się, że jak przyjdzie odpowiedni czas, to i ty znajdziesz swoją.

– Masz rację. – Australijka osuszyła twarz i otworzyła kosmetyczkę.

Ginny zagwizdała na Willow.

– Trzymaj się – powiedziała do dziewczyny.

– Dzięki, kochana. Ty też.

Kiedy Ginny znalazła się z powrotem w przyczepie, włączyła światło nad stolikiem, włożyła dres i grube skarpetki, a potem otworzyła laptopa. Bateria była świeżo naładowana. Czekał na nią mail od Valerie.

OD: valerie@winnatancerka.com

DO: ginny@ciastomarzen.com

TEMAT: Moja córka została Indianką

MIEJSCE: gdzieś na krańcu świata, Południowa Dakota

Cześć, Ginny. Jak tam podróż? Wciąż o Tobie myślę, wyobrażam sobie, jak wreszcie jedziesz przez te swoje góry, i zastanawiam się, czy

rzeczywistość okazała się równie fascynująca jak Twoje wyobrażenia. Dotarłaś w końcu tam, gdzie chciałaś? Niestety, nie pamiętam, którego miałaś wyjechać. A to wszystko dlatego, że moje nastoletnie dziecko wysłało mi mózg do cna.

Jesteśmy w drodze już sześć i pół dnia. Sześć dni w samochodzie z ukochaną córeczką. Sześć dni pielgrzymki śladami rdzennych Amerykanów. Widzieliśmy grób Tecumseha, miejsce narodzin Siedzącego Byka i śmierci Szalonego Konia.

Hannah przyczepiła do ściany w przyczepie pocztówki z Siedzącym Bykiem i Czerwoną Chmurą. Codziennie rano godzinami prostuje włosy, a potem wplata w nie pióra. Muszę przyznać, że rezultat jest zdumiewający. Ma wystające duńskie kości policzkowe po ojcu i ciemne włosy po mnie, więc z łatwością mogłaby uchodzić za Indiankę. Ale tak to już jest z ludźmi o mieszanym pochodzeniu, prawda? Mogą się wtopić, stać się kimś innym. Nie to co ja, najczarniejsza kobieta w sześciu hrabstwach. Nie to co Ty, piegusko. I nie to co nasza porcelanowa laleczka Ruby ze swoimi wielkimi, niebieskimi oczami.

Okropnie nudzę, przepraszam. Tak chciałabym przyjechać do Was na farmę zamiast objeżdżać te wszystkie wigwamy i pola bitew. To strasznie przygnębiające, a ja mam już dosyć przygnębienia. Czas zacząć nowe życie, znaleźć nowy początek. Tylko co starzejąca się, owdowiała baletnica może robić przez resztę życia? Czy czterdzieści siedem lat to nie za późno, żeby zacząć od nowa? Kochana, czy my przypadkiem nie mamy już z górki? Naprawdę nie wiem.

Czasami w poczucie winy wpędza mnie już samo to, że chcę nowego początku. Młode (no dobra, młodsze) wdowy zaczynają od nowa, ale może matki, które straciły dzieci, nie. Tylko że ja nie widzę sensu, żeby wciąż tkwić w poczuciu straty. Nie widzę, jak by się to miało przysłużyć mojej córce. Nie widzę, żeby przydawało znaczenia mojemu życiu. Mój ojciec mawiał, że ludzie potrafią się podźwignąć po rzeczach, które nie mieszczą się w głowie. Podejrzewam, że jako Czarny znad Missisipi dobrze wiedział, co mówi. Lepiej niż większość z nas.

Głównym powodem, dla którego chcę ruszyć z miejsca, jest Hannah. Bo ona wciąż tkwi w chwili, gdy w naszych drzwiach stanęli mundurowi, żeby potwierdzić najgorsze podejrzenia. A nie może się ruszyć, bo nie pozwalają jej na to przyjaciele. Ja zaś nie mogę się ruszyć, bo jestem Kobieta, Która Straciła Rodzinę w Tej Strasznej Katastrofie Lotniczej. To hamuje nas obie. W San Diego możemy zacząć od nowa. I żyć nad oceanem.

W pewnym sensie ta podróż już odnosi skutek. Hannah wprawdzie postanowiła zostać rdzenną Amerykanką, ale przynajmniej przestała się wciskać w ciuchy sióstr. Nie jest jeszcze do końca sobą, ale też nie stara się być nimi.

Szczerze mówiąc, myślałam, że po dwóch latach będziemy dalej. Że ja będę dalej. Tak strasznie mi ich brakuje. Może to nie do uniknięcia? Może to już zawsze będzie część mnie?

Och, przepraszam! Znowu marudzę. Pora przestać się uzalać i zacząć od nowa.

Proszę, napisz o swoich przygodach. Umieram z ciekawości.

Serdeczności,

Val

OD: ginny@ciastomarzen.com

DO: valerie@winnatancerka.com

TEMAT: Re: Moja córka została Indianką

MIEJSCE: gdzieś na krańcu świata, Kolorado

Cześć, Val. Przede wszystkim ściskam Cię mocno. I powtórzę to, co mówiłam już dziesiątki razy: postępujesz słusznie, i to w bardzo trudnych okolicznościach. Jesteś świetną matką, a ja jestem dumna, że zdecydowałaś się działać, zamiast tkwić w marazmie.

Gdzie jestem? Szczerze mówiąc, nie wiem. Okropnie leje, a ja jestem wyczerpana jazdą i muszę zamieścić posta na blogu. Napiszę więcej jutro wieczorem.

Ale tak, jestem w podróży i to jest i podniecające, i przerażające, i milion innych rzeczy. Sama nie potrafię rozstrzygnąć.

Nie mogłabyś po prostu wpaść na farmę po drodze? Co to za problem?

Nie mam pojęcia, jak można uciec przed tęsknotą. Może zresztą wcale byś tego nie chciała. Cieszę się, że ta Wasza wycieczka pomaga Hannah. Ogromnie Cię podziwiam.

Wiem, że brzmię jak zdarta płyta i tak naprawdę nie odpowiadam na Twojego maila, ale słowo daję, oczy mi się zamykają. Jutro napiszę więcej.

Proszę, przyjeźdź na farmę. Proszę, proszę, proszę.

Serdeczności,

padnięta Ginny

Ginny wysłała maila, zamieściła garść zdjęć na blogu, napisała szybkiego posta

i wyłączyła komputer. Willow wskoczyła na łóżko i położyła się przy ścianie, tak jak ją tego nauczyła – wielka, ciepła pociecha, gdy czuła się samotna.

Naciągnąwszy niezniszczalną kołdrę puchową i poprawiwszy poduszki, Ginny zamknęła oczy. Wyobraziła sobie, że przyczepę otacza ochronny krąg. Obok niej Willow pochrapywała kojąco. Krople deszczu stukały w dach airstreama.

I właśnie wtedy, tak jak przewidział Matthew, poczucie samotności zwały się na nią jak lawina. Wszystkie te kilometry, które przejechała, cała przebyta odległość wydała jej się szaleństwem. I gdzie wylądowała? Na uroczym kempingu nad rzeką? W górach? Nie, na postoju przy autostradzie, obok ryczących ciężarówek.

W domu Matthew leżał już pewnie w łóżku i czytał jakiś kryminał. Ginny wyobraziła sobie swoją kuchnię, blat, którego zazdrościły jej siostry, nową kuchenkę z piecykiem, na parapecie wazon z różami z ogrodu. Jak mogła zostawić swoje róże? Matthew na pewno o nie nie zadba i zmarnieją.

Wyobraziła sobie rękę delikatnie odgarniającą jej włosy z czoła. I mogłaby przysiąc, że zanim zasnęła, dobiegły ją dźwięki muzyki i stukot kostek lodu o szkło.

MIODOWA FARMA LAVENDER

Hrabstwo Yamhill, Oregon

Strona główna/Sklep/**Blog**/Wskazówki/Filozofia

Na lawendowej farmie ta część czerwca należy do naszych ulubionych. Radośnie odurzone pszczoły fruwać nad polami, jagnięta brykają w trawie, a my robimy ser, żeby w pełni wykorzystać sezon.

<zdjęcie owcy i kozy>

Ta para to Hester i Pilar. Pilar jest ocaleńcem, trafiła do nas poobijana i wycieńczona, ale jak widzicie, naszemu miejscowemu czarodziejowi Noahowi udało się doprowadzić ją do dobrej formy. W tym roku pierwszy raz ma młode i świetnie sobie radzi. Czasami ocaleńcy wykazują się największą delikatnością.

Owczy ser nie jest tak popularny w Ameryce jak krowi, ale niech to was nie powstrzymuje. Oto nasze najlepsze produkty, dostępne w ograniczonej ilości:

Manchego z dodatkiem rozmarynu

Pecorino w liściach orzecha włoskiego

Malvarosa (jeden z moich ulubionych!)



ROZDZIAŁ ÓSMY

W poniedziałek rano, już po swym codziennym obchodzie, Lavender wyszła za dom i ruszyła ścieżką między drzewami na tyły farmy. Poranek był słoneczny i zapowiadał się upalny dzień. Rozgorączkowane pszczoły zbierały pyłek i nektar z milionów kwiatów. To był widok, który lubiła najbardziej. Uwielbiała patrzeć na owady tak pewne swego miejsca i celu. Miała wrażenie, że wyczuwa zapach miodu z uli, gdy przechodziła obok.

Szła do domku administratora przycupniętego nad strumieniem, który okrążał farmę w aż nazbyt malowniczy sposób. O tej porze roku płynął wartko, wciąż zasilany przez śnieg topniejący w górach.

Noah siedział na stopniach werandy w skarpetkach i z kubkiem kawy w dłoni. Włosów, jak zwykle za długich – w geście buntu przeciwko żołnierskim czasom, jak sądziła Lavender – nie zdążył jeszcze uczesać, a oczy miał zapuchnięte od snu. Lub tego, co w przypadku Noaha Tso za sen uchodziło. Noah znany był z tego, że wystarcza mu godzina albo dwie wykradzione nocnym koszmarom.

Tak właśnie się dzieje, kiedy mężczyźni wysyła się na wojnę. Czegoś ich to pozbawia. W czasie drugiej wojny światowej Lavender była nastolatką, a przecież wtedy mężczyźni walczyli bardzo długo. Większość całymi latami. Noah był na trzech misjach w Iraku i na jednej w Afganistanie i teraz marzył tylko o miejscu, gdzie nikt nie będzie od niego oczekiwał pogaduszek na bzdurne tematy i udziału w idiotycznym życiu towarzyskim. Chciał, żeby go zostawiono w spokoju, chciał spędzać czas na roli. Lavender niemal widziała otaczające go duchy, a ponieważ ją także nawiedzały cienie z przeszłości, bardzo mu współczuła.

Ale były też dobre strony tej sytuacji. Noah okazał się najlepszym administratorem, jakiego kiedykolwiek miała. Był też ogromnie przywiązany do zasad, które wprowadziła dwadzieścia pięć lat temu, zanim jeszcze stały się modne: żywność, którą produkowała, musiała być organiczna, pełnowartościowa i naturalna.

Kobiety zabiegające o jego względy Noah traktował z taką rezerwą, że zyskał łatkę nieprzystępnego i zarozumiałego aroganta – typowa reakcja w sytuacji, gdy ludzie nie wiedzą, co myśleć. Był przystojny, więc chciały, żeby zwracał na nie uwagę, a ponieważ tego nie robił, czuły się zażenowane.

– Dzień dobry – powiedziała Lavender. – Masz chwilkę?

– Jak zawsze. – Otarł twarz ręką. – O co chodzi?

Usiadła obok niego na stopniu, lekko stękając. Strzykało jej w kolanach bez względu na ilości pochłanianego imbiru.

– Jakies problemy z ogrodzeniem?

– Naprawilem małe rozdarcie wczoraj po południu, ale to mogło być cokolwiek. – Noah zwrócił na nią swe zielone jak woda i przenikliwe niczym laser oczy. – Masz paranoję.

Lavender potrząsnęła głową.

– Nie – powiedziała, wysuwając dolną wargę. – Wade ma chętkę na tę ziemię, wspomnisz moje słowa. A kiedy ja umrę, ani się obejrzysz, jak moi siostrzeńcy mu ją sprzedadzą.

Pokiwał głową.

– On ją zniszczy, Noah. Każdą piędź. Zamieni ją w kolejne przedsięwzięcie Wade’a Markuma i wszystko, nad czym pracowałam przez lata, przypadnie.

– Wciąż mi to powtarzasz, ale nie wiem, czego ode mnie oczekujesz. Sprzedaj farmę już teraz. Zmień testament.

Uniosła brew.

– Chcę ciebie.

– Nie mogę – powiedział, potrząsając głową. – Przepraszam.

– Hm – zrobiła głęboki wdech. – No cóż, po to urządzam przyjęcie. Jedna z tych dziewczyn mogłaby zostać moją następczynią.

Noah zmarszczył brwi i zajrzał do kubka. Upił łyk.

– Skąd ci przyszło do głowy, że któraś da radę? Prowadzenie farmy to nie bułka z masłem.

Lavender zauważyła trzy kury drepczące po ścieżce za jej plecami. Jedna z nich, gruba, z piórami w kolorze pszenicy, zagadała w odpowiedzi na jej westchnienie, choć oczy miała wlepione w ziemię.

– Znam wszystkie trzy od lat. Każda ma coś, co sprawia, że mogłaby się nadać. – Wystawiła kciuk. – Ruby jest związana ze środowiskiem wegańskim. Poza tym jest młoda i szuka swojego miejsca w życiu. – W górę poszybował palec wskazujący. – Valerie i jej córka muszą zacząć od nowa. No i Val to najbystrzejsza osoba, jaką kiedykolwiek spotkałam. Mnóstwo czasu zajmowała się winem, a do tego potrzebna jest znajomość gleby.

Noah spojrział na nią sceptycznie.

– To ta baletnica, tak? Miastowa kobieta.

Lavender wzruszyła ramionami.

– Zawsze warto spróbować. – Odgięła środkowy palec. – Ginny wychowała się na farmie, a jest tak nieszczęśliwa, że podejrzewam, że z radością przeprowadziłaby się na Marsa.

– W takim razie zrobisz, co trzeba. Ja będę na miejscu.

Poklepała go po ramieniu.

– Zgoda. – Wstała. – Jak tam podest do tańca? Przyjechał już? – Święto Niebieskiego Księżyca miało obejmować potańcówkę jak za dni jej młodości, ze światełkami wokół desek i kapelą przygrywającą do tańca.

– Przyjechał. Przyjdź później, to ci pokażę.

– Przyjdę.

Ruszyła w stronę domu. Noah krzyknął za nią:

– Lavender, przepraszam!

Machnęła ręką. Myślał, że wie, czego chce, ona jednak знаła go lepiej. Wcale się jeszcze nie poddała.

Lavender znalazła Ruby siedzącą z filiżanką herbaty na werandzie przed domem. Ruby nie widziała, jak nadchodzi, więc nim zdążyła przywołać swój nieodłączny uśmiech, Lavender dostrzegła na jej twarzy wyraz zamyślenia. Ze swoimi prostymi jasnymi włosami, okrągłymi policzkami i pełną figurą Ruby przypominała jej rosyjską wieśniaczkę. Zanim się spotkały, Lavender wyobrażała sobie, że będzie niczym wirujący derwisz – szczupła, długonoga i żywiołowa.

I oczywiście ta żywiołowość w niej była. Radość życia, która przyciągnęła tylu ludzi do jej bloga. Ale czy człowiek może być pogodny bez przerwy?

Ruby i Lavender jako pierwsze z Czterech Smakoszek nawiązały kontakt przez Internet. Lavender natknęła się na serię postów Ruby na temat ziół, gdy przeczesywała sieć w poszukiwaniu przepisów.

– Dzień dobry – zawołała teraz. – Miałabyś ochotę na śniadanie?

– Chętnie zrobię coś do jedzenia, jeśli mnie wpuścisz – odparła Ruby. – Dziś moja kolej.

– Tylko lepiej, żeby to było coś solidnego. Umieram z głodu.

– W takim razie co powiesz na naleśniki? Masz banany?

– Tak jest, proszę pani. Mam też świeże borówki zebrane nad strumieniem. Po południu możemy podjechać do McMinnville i zrobić zakupy.

– O tak, bardzo chętnie. Potrzebuję świeżych zapasów.

W małej kuchni miejsca było tylko tyle, żeby się trzy razy obrócić.

– Muszę się napić kawy – oznajmiła Lavender. – Też chcesz czy źle ci robi na żołądek?

– Zostanę przy miętowej herbacie – uśmiechnęła się blado Ruby. – Lekarz dał mi środki przeciwwymiotne. Złamałam się i dziś rano wzięłam.

– Czasami leki się przydają.

Pracowały w ciasnym pomieszczeniu ramię w ramię w zgranej komitywie. Ruby przygotowała wszystkie składniki i rozgrzała blachę do smażenia, którą Lavender

wyciągnęła z głębi serwantki – żeliwną piękność na dwa palniki. Należała do jej matki i widać było, że pochodzi z zamierzchłych czasów.

Na jej widok Ruby aż pisnęła.

– Ale super! Od lat o takiej marzę.

– Moja mama korzystała z niej prawie codziennie przez całe życie.

– Wyobrażam sobie. – Ruby naląła oleju na ciężką blachę i starannie ją rozgrzała. Rozlewając ciasto w równe kręgi, aż pokraśniała z radości, a jej uśmiech rozświetlił połowę kuchni. – Pójdziemy dziś do warzelni?

– Pewnie.

– A, eee, masz może kocie jedzenie?

Lavender zmarszczyła brwi.

– Kocie jedzenie?

– Wczoraj w nocy w drzwiach przyczepy zjawiała się mała czarna kotka. Gonił ją kojot, więc wpuściłam ją do środka. Całą noc spała mi na brzuchu. Och! A skoro o tym mowa... – Podparła się pod boki i uśmiechnęła do Lavender szeroko. – Wyobraź sobie, że wczoraj poczułam ruchy dziecka!

Lavender zamrugła, próbując połączyć ze sobą wszystkie wątki. W rzeczywistości jednak myślała, jakim ślicznym stworzeniem jest Ruby. Jakim serdecznym. Co, u diabła, było nie tak z tym jej facetem? Zupełnie bez sensu.

– Gratulacje! Rozumiem, że to wielka chwila – powiedziała, zerkając do maili od Ginny. – Co do kota, przypuszczam, że to jeden z tych ze stodoły. Żyje tam cała kolonia, ale zdziczałych. Raczej nie wykazują ochoty, żeby spać z ludźmi.

– Dzikie koty? Jakim cudem udaje im się przeżyć, skoro tu są kojoty?

– Są szybkie, sprytnie, no i nie wszystkim się udaje.

Ruby zamrugła i zamarła z ręką w górze.

– Och – powiedziała.

Wyłożyła naleśniki na dwa talerze, wyłączyła palniki i zaniósła śniadanie na stół.

– Natura jest okrutna – odparła Lavender. Naleśniki były leciutkie i puszyste. Aż parowały od gorących jagód. – Wyglądają wybornie, dziewczyno.

Ruby poląła swoje syropem klonowym i podała butelkę Lavender.

– Wiem, że jest okrutna. Ale gdy zjawia się głodny kot, który ucieka przed kojotem, kobieta nie musi być okrutna tak jak natura. – Włożyła do ust kawałek naleśnika, unosząc brew, jakby rzucała wyzwanie.

Lavender pokiwała głową.

– W porządku. Mam tu gdzieś tuńczyka. Założę się, że mu posmakuje.

I właśnie wtedy Ruby skrzywiła się, zakryła dłonią usta, wycelowała palec wskazujący w Lavender i pobiegła do toalety.

Kiedy wymiotowała, Lavender przygotowała jej filiżankę herbaty rumiankowej

z odrobiną miodu własnej produkcji. Gdy Ruby wróciła, powiedziała:

– Spróbuj tego.

Ruby pokiwała głową, przysuwając sobie naleśniki z herbatą.

– Może teraz uda mi się coś zjeść.

CIASTO MARZEŃ

<zdjęcie kobiet – wśród nich Ginny – przed domem modułowym>

Piszę te słowa gdzieś w drodze, siedząc w swojej przytulnej małej przyczepie. Na dworze pada, deszcz stuka w dach, a w środku Willow, dobra psina, pochrapuje cicho.

Dziś miałam wielkie szczęście poznać jedną z was, Tinę Romero z Rocky Ford. Tina była tak miła, że zaprosiła mnie do siebie do domu. Razem z przyjaciółkami zrobiły kilka ciast z mojego bloga. Wielkie dzięki, Tino! Świetnie się bawiłam.

<zdjęcie tortu szwarcwaldzkiego ozdobionego dużymi soczystymi wiśniami>

Oto tort szwarcwaldzki według przepisu, który, jak może część z was pamięta, zamieściłam jako pierwszy. Śliczny, prawda? Przepis znajdziecie *tu*.

107 komentarzy

9.17 TinaR

Ginny jest taka łaskawa! Nie mogłyśmy się doczekać, żeby Ją poznać, i okazało się, że jest tak samo sympatyczna jak na blogu. Muszę powiedzieć, że zdjęcie nie oddaje Jej urody. To bardzo ładna kobieta.

9.18 Young Girl

Ale zazdroszczę! Chciałabym tam z Wami być.

9.32 Glenna

Odkąd znalazłam przepis na blogu, robiłam ten tort wiele razy. To teraz ulubione ciasto mojej rodziny.

10.10 Hilda12

Jesteś na właściwej drodze!



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ginny obudziły trzask drzwiczek i krzyki dzieci. W przyczepie było duszno, bo nie otworzyła żadnych wywietrzników ani okien, i jej ciało pokrywała teraz cieniutka warstwa potu. Willow rozwaliła się na największym wolnym skrawku podłogi, na kafelkach między kuchenką a kącikiem jadalnym. Sądząc po odgłosach, jeszcze spała. Ginny wyjrzała przez okno i zobaczyła rodzinę pakującą się do toalety na postoju. Choć nie widziała samochodu, słyszała warkot silnika ciężarówki nieopodal.

W ustach jej zaschło, kark miała zeszywniały. Chciało jej się siku.

To ci dopiero przygoda.

Wstała jednak – plecy i kolana miała sztywne od długiej jazdy – i pokuśtykała do toalety. Ubikacja była bardzo ciasna, Ginny jednak podobały się brzoza na ścianach i strzałki w stylu Arts and Crafts na lustrze. Prysznic zdobiły cztery rzędy szklanych płytek ułożonych w jodełkę. Był na tyle duży, by można w nim było stanąć. W części przyczep, które oglądała, prysznic i ubikacja znajdowały się w jednym pomieszczeniu, ona jednak uznała, że woli inne rozwiązanie. Poranek taki jak ten tylko utwierdził ją w tym wyborze.

Wyślizgnęła się z ubikacji, otworzyła wywietrznik w dachu, żeby wpuścić trochę chłodniejszego powietrza, upewniła się, że zasłonki są szczelnie zasłonięte, rozebrała do naga i weszła pod prysznic. Szybko zmyła z siebie pot z długiej nocy. Miała wrażenie, że razem z nim spływa część przygnębienia. W korzystaniu z prysznica na poboczu autostrady było coś szelmowskiego i Ginny nagle spodobał się fakt, że jest osobą, która może coś takiego zrobić.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zaszaleć i nie umyć włosów, ale ponieważ kemping, na który jechała, był już niedaleko, zdecydowała, że nie warto. Osoba, która bierze prysznic w przyczepie na parkingu, równie dobrze może przez całe rano nosić włosy związane w kucyk.

Ubrała się, nieco podniesiona na duchu. Zamierzała zrobić kawę na malutkiej kuchence, Willow jednak ziewnęła i zamerdała ogonem. Wzięła ją więc na poranny spacer.

Wyszła z przyczepy i zamarła. Temperatura na dworze nie przekraczała pewnie piętnastu stopni Celsjusza. Powietrze pachniało trawą i świeżością, jego dotyk na skórze był jak szept, jak jasne, błękitne niebo nad jej głową. Wzięła głęboki oddech,

całkowicie zaskoczona. Kto by się spodziewał takiego rześkiego poranka latem, w dodatku dzień po nawałnicy?

Na Willow wyborna jakość powietrza zrobiła mniejsze wrażenie. Pociągnęła Ginny na trawę. Zamachała do nich para z małym fikuśnym pieskiem, więc Ginny im odmachała. Dzieciaki, które ją obudziły, biegały po postoj, dając upust energii przed dalszą podróżą.

Matthew pewnie już poszedł do pracy. Było w tej myśli coś pocieszającego, Ginny jednak się przy niej nie zatrzymała. W nocy tęskniła za domem, ale teraz czuła się na swoim miejscu. Była w Kolorado, stanie, który chciała zobaczyć całe życie. Droga tu zajęła jej tak niewiele czasu, że aż wstyd.

Willow węszyła na skraju łąki okalającej postój, a Ginny pozwoliła sobie na to, żeby po prostu być – być z psem w ten wyjątkowy czerwcowy poranek. Pora była jeszcze dość wczesna, więc światło padało jasne i czyste. Obrysowywało żdźbła traw i garstkę pałkowatych kaktusów z pączkami czekającymi w gotowości na końcach łodyg. Wydobywało każdą igielkę surowych kolczastych roślin. Było pięknie.

To kępa traw zakręconych u szczytu sprawiła, że Ginny postanowiła wrócić do przyczepy po aparat. Willow radośnie pomknęła razem z nią, zaczekała, a potem potruchtowała z powrotem. Ginny zrobiła całą masę zdjęć w zbliżeniu i oddaleniu, bawiąc się głębią ostrości. Próbowwała uchwycić atmosferę świeżości, delikatne światło poranka, wrażenie początku i nadziei.

W końcu uznała, że ujęcie, na którym jej zależy, może zrobić jedynie z poziomu ziemi. Zerknęła przez ramię i zobaczyła, że na parkingu została tylko jedna ciężarówka. Położyła się więc na brzuchu, wycelowwała obiektyw w górę, na lśniące w promieniach słońca wianki traw, i pstryknęła kilka razy. Z tej perspektywy cały świat wyglądał zupełnie inaczej i Ginny zanotowała sobie w pamięci, żeby podzielić się tym spostrzeżeniem z uczniami. Sfotografowała kaktusa i krawędź dachu, a potem przeturlała się i zrobiła długą serię ujęć pyska, nosa i uszu Willow – wszystko z tej intrygującej, nowej perspektywy.

Kiedy się podniosła, zobaczyła mężczyznę, który przyglądał się jej, napełniając butelkę wodą z ujęcia. Był mniej więcej w jej wieku, nosił dzinsy i miał buty jak ranczer. Jedyna na parkingu ciężarówka z niebieską kabiną i nieoznakowaną przyczepą musiała należeć do niego.

Zawstydzona Ginny spuściła wzrok i otrzepała spodnie z kurzu.

– Ma pani śliczną suczkę – zawołał do niej.

– Dzięki.

Zakręcił butelkę i podszedł bliżej.

– Mogę ją pogłaskać? Niedawno straciłem swoją. Wie pani, jaki to ból.

Jakaś część umysłu Ginny ostrzegła, że to przecież OBCY, może być

NIEBEZPIECZNY i niewykluczone, że szykuje PODSTĘP. Jej serce jednak było poruszone.

– Och, tak mi przykro. Jak się wabiła?

Mężczyzna ukląkł obok Willow, która z godnością czekała na należny jej podziw, nie zdradzając przy tym żadnych uczuć.

– Miz Cedar. Umarła w zeszłym tygodniu. – Przesunął ręką po futrze Willow w geście zdradzającym człowieka, który zna i kocha psy. – Rak. – Odchrząknął. – Najlepsze psisko, jakie miałem w życiu.

– Nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić. Willow ma dopiero cztery lata.

– To mieszanka border collie i czego?

– Nasz weterynarz uważa, że nowofundlanda i owczarka.

– Założę się, że jest co najmniej tak samo mądra jak większość polityków.

Ginny parsknęła śmiechem.

– Co najmniej. – Mężczyzna miał falujące szpakowate włosy i silne ręce. – To pana ciężarówka?

– Tak.

Uśmiechnął się pod nosem, gdy Willow wyciągnęła szyję, żeby podrapał ją pod brodą.

– Woził pan Miz Cedar ze sobą?

– Tak – odparł szorstko. Podniósł się z kolan. – Bardzo dziękuję. Życzę szerokiej drogi.

– Dzięki – powiedziała Ginny. – I nawzajem.

Patrzyła, jak odchodzi na swoich długich nogach, i nie mogła nie zauważyć, że ma bardzo ładną pupę. To sprawiło, że poczuła się młoda. Dziarskim krokiem ruszyła do przyczepy.

– Chodź, psinko! – zawołała suczkę.

Zabezpieczyła wnętrze. Pochowała wszystkie przedmioty, które leżały luzem, i upewniła się, że nic się nie przewróci ani nie potłucze. Poświęciła też chwilę, żeby sprawdzić, czy wczorajsza burza nie wyrządziła jakichś szkód airstreamowi.

Na gładkiej powierzchni wypatrzyła kilka wgnieceń i przejechała po nich ręką, jakby całowała zdarte kolano dziecka. Jedną z rzeczy, których obawiała się najbardziej, był grad – realna groźba w krainie tornad takiej jak Kansas – ale sprawdzian wypadł pomyślnie. Aluminiowa powłoka była świetnej jakości, odporna na uszkodzenia. A co ciekawe, ponoć na słońcu większość wgnieceń zniknęła sama z siebie. Miała nadzieję, że to prawda.

Willow wskoczyła do dżipa i Ginny uruchomiła silnik. Dzień pierwszy odhaczony.

Ahoj, przygodo!

OD: ginny@ciastomarzen.com

DO: czteryismakoszki@yahoogleups.com

TEMAT: !!!!!!!!!!!

Jestem w Kolorado na Wododziale Kontynentalnym!!!!!!!!!!!! Jest jeszcze bardziej zdumiewający, niż sądziłam. Kopię się w kostkę na myśl o tym, że przez czterdzieści sześć lat życia dzielił mnie od niego tylko dzień drogi samochodem. Dziś rano kolejką górską wjechałam na szczyt Pikes Peak, skąd widać właściwie cały świat. Kilometrami. Całą drogę do Kansas i przez Wododział. Jest tak wysoko i skaliście, że aż miałam zawroty głowy. (A może to była choroba wysokościowa? Jedna kobieta tutaj źle się poczuła i trzeba ją było zwieźć na dół karetką. Wiedziałyście, że choroba wysokościowa jest aż tak poważna?)

Dziewczyny, wiecie, że nie jestem tak dobra w opisach jak Wy, ale zrobiłam mnóstwo zdjęć i niektóre są całkiem niezłe. Na przykład to:

<zdjęcie Pikes Peak>

Naprawdę robi wrażenie. Ale potem człowiek jedzie dalej i widzi kolejną fantastyczną górę. I następną. W pewnej chwili aż musiałam się zatrzymać i odpocząć, bo od tego wpatrywania się w krajobraz zaczęły mi łzawić oczy.

Jak to możliwe, że nigdy wcześniej nie byłam w Kolorado? Dlaczego zawsze tylko myślałam, żeby tu przyjechać, a nigdy tego nie ZROBIŁAM? Czasami strasznie się na siebie wkurzam za to wszystko, czego nie zrobiłam. Przy Was czuję się jak owsianka. Owsianka z Kansas. Co byście powiedziały na taką nazwę bloga? Hahaha.

Wczoraj wieczorem jechało mi się ciężko, ale dziś było dużo lepiej, i to mimo że droga prowadziła przez góry. Dopóki człowiek się nie spieszy, nie jest źle, nawet na przełęczach, choć wolałabym nie przejeżdżać tędy w deszczu albo śniegu. Au!

No dobra, padam z nóg. Idę spać!

Kocham Was i nie mogę się doczekać spotkania.

Ginny

OD: lavender@miodowybloglavender.com

DO: czteryismakoszki@yahoogleups.com

TEMAT: Re: !!!!!!!!!!!

Wygląda na to, że trafiłaś na szlak przygody, Laleczko. Ciesz się

każdą chwilą.

OD: ruby@smakniebieskiegoksiezycyca.com

DO: czterysmakoszki@yahooogroups.com

TEMAT: Re: !!!!!!!!!!!

Moja kochana!

Myślę o Tobie i serce mi rośnie. Wyobrażam sobie, jak śpisz w swojej Coco z Willow u boku, a deszcz spływa po dachu. I od razu mam ochotę Was obie przytulić. Czy Willow chrapie? Nie mogę się doczekać, żeby Cię wreszcie uściskać. Jesteś prawdziwą bohaterką.

Serdeczności,

Ruby

Miód – eliksir życia

Miód to magiczny eliksir. Powstaje z kropelek nektaru zaczerpniętego z serca kwiatów i przeniesionego na maleńkich pszczelich nóżkach do sekretnej pieczary, gdzie z czasem zamienia się w gęstą, złotą słodycz.

Nie wszyscy weganie jedzą miód, większość jednak tak, i ja należę do tej właśnie grupy. Gdy jako dziecko byłam bardzo chora, ojciec kusił mnie chlebem posmarowanym gęstym miodem, który kupował u sąsiada. Uważał, że ma w sobie alchemiczną iskrę, uzdrowicielską moc.

Niewykluczone, że miał rację. Każda partia miodu jest inna, każda jest cudownym płodem miejscowej flory – może orlika albo koniczyny, róż, pysznołówki lub gryki. Miód z tej ostatniej jest gęsty, ciemny i ostry (mój ulubiony dodatek do naleśników!).

Jestem tutaj, na farmie Lavender, zgłębiam tajniki produkcji miodu, zapoznaję się z życiem pszczół i uprawą lawendy i tańczę z zachwytem nad alchemiczną cudownością tego wszystkiego. Miód Lavender ma subtelny kolor i delikatny kwiatowy posmak.

Powszechnie znane są antybakteryjne właściwości miodu. Niektóre badania wykazują, że skutecznie redukuje on białko C-reaktywne, co być może instynktownie wyczuwał mój tato, gdy dawał mi miód, kiedy chorowałam.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ruby czego innego oczekiwała po warzelnii, która okazała się sterylnym pomieszczeniem z trzema wielkimi metalowymi destylatorami. Dotknęła ich z ukłuciem rozczarowania w sercu. Ale w końcu czego się spodziewała...

Chłodne pomieszczenie ze ścianami z szarego kamienia. Słońce wpadające przez wąskie prostokątne okna, drobinki kurzu tańczące w jego promieniach, niemal namacalne. Na drewnianym stole obok zieleniny (koper, szepcze głos w jej głowie) ogromny słój miodu w kolorze piór jastrzębia. Jej szczupłe białe dłonie – jej, ale nie jej – stawiają drewnianą beczułkę ze szpuntem z boku...

Zamrugła i wizja znikła, a ona znów znajdowała się w praktycznej warzelnii z teraźniejszości. Wzdłuż ścian zamontowano blaty ze stali nierdzewnej i zlewy, które, jak wyjaśniła Lavender, wykorzystywano do mycia produktów.

– I innych rzeczy.

– Innych rzeczy?

Lavender wyjęła korek z destylatora i zaczerpnęła miarkę złocistej cieczy.

– Zmywamy w nich krew, skarbie. To tutaj zabijamy kury.

Zaniepokojona Ruby rozejrzała się po pomieszczeniu. Zadzwonilo jej w uszach, gdy wyobraziła sobie śmierć zwierząt, krew ściekającą do odpływów...

– Spróbuj tego – powiedziała stanowczym tonem Lavender.

Dzwonienie ustało i Ruby zorientowała się, że pomieszczenie nie jest nawiedzone. Było zwyczajne, podobne do wszystkich kuchni w restauracjach, gdzie pracowała. Z łatwymi do sterylizacji powierzchniami, których wymagają współczesne standardy higieny. Wiedziała, że czyjeś ręce brały kury i zabijały pojedynczo, może...

Znów zadzwoniło jej w uszach. Sięgnęła po kubek, żeby odwrócić uwagę.

– To alkohol, prawda?

– Jeden łyk nie zaszkodzi dziecku.

Ruby poczuła zapach alkoholu, zanim kubek dotarł do jej ust. Było tam jednak coś jeszcze – złote popołudnia, słońce, kwiaty i ledwo wyczuwalna, może nawet tylko wyobrażona woń lawendy. Pozwoliła, by kilka kropli dotknęło jej języka. Napój był mocny, ognisty, ale w jego smaku wyczuła też złocistą słodycz miodu.

– Mmm, cudowny! – westchnęła. – Zachwycający!

Lavender wzięła kubek i wypila resztę, przejeżdżając językiem po podniebieniu.

Cmoknęła i kilka razy poruszyła ustami.

– To może być moja najlepsza partia. Robię miody od piętnastu lat.

– A to nie jest region wina?

– Jest.

– To dlaczego nie produkujesz win?

Ojciec Ruby uwielbiał wina i wszystko, co się z nimi wiązało, wszelkie informacje i opowieści. Kiedy Valerie pisała swojego bloga, czytał go z nabożną czcią.

– Przede wszystkim poznaj samego siebie – odparła Lavender. – Lubię cały ten galimatias związany z miodem pitnym, bo to po prostu inna forma miodu. Do wina nie miałabym cierpliwości. – Odstawiła kubek. – Chcesz zobaczyć ule?

– A pszczoły mnie nie użądła?

– Nie powinny. Będziemy się trzymać od nich z dala. Mam nadzieję, że nie jesteś uczulona.

– Nie. Tylko się boję.

– Większość ludzi się boi. Ale myślę, że ci się spodoba.

Ruby ruszyła za Lavender, rozkoszując się słońcem. Wielka czarna kura dreptała obok, jej pióra lśniły w słońcu.

– Można oswoić kurę? – spytała.

– Niektóre są przyjacielskie. Ta na przykład bardzo lubi gadać.

– A mają imiona?

– Nieoficjalne. Niektóre mają przezwiska. Tę nazywam Marthą, choć bez szczególnego powodu.

– Cześć, Martho. – Kura zagdakała niczym jakaś wścibska kumoszka i Ruby się roześmiała. – Jak się dziś miewasz?

Ko-ko-ko, odpowiedziała kura, ko-ko.

– Naprawdę? – spytała Ruby. – A co było potem?

Ko-ko-ko. Dziob, dziob. Ko.

Minęły bramę z zarośli i Ruby znów zaparło dech w piersi na widok lawendowych pól otulających wzgórze niczym gigantyczna fioletowa kołdra. Lavender ruszyła w dół między rzędami kwiatów, a Ruby podążyła za nią, muskając dłońmi czubki krzewów. Wokół krążyły pszczoły.

Dużo pszczół. Całe mnóstwo. Uwijały się zaprzątnięte swoimi sprawami, aż drgało powietrze. Ruby zatrzymała się i zatopiła w krajobrazie. Otoczyły ją kwiaty, zapach lawendy, brzęczenie pszczół, promienie słońca zalewające pagórkowaty pejzaż. Wyciągnęła ręce przed siebie i zamknęła oczy, próbując skupić się na dźwięku. A potem pozwoliła, żeby wszystko ucichło, i zrobiła wdech przez nos, zaciągając się głęboko słodką wonią lawendy. Uczucie było tak przyjemne, że

jeszcze chwila, a zaczęłyby lewitować.

Wreszcie otworzyła oczy i poddała się wrażeniom wzrokowym: kopulaste krzewy, jasno- i ciemnofioletowe, białe i różowe, każdy obrośnięty gęstwiną kwiatów, okrągłutkie i regularne jak spod sztancy.

Lavender obserwowała ją z uwagą. Ruby uśmiechnęła się do niej promiennie.

– Ale – powiedziała. – Ale! To jest fantastyczne.

– Prawda?

Gdyby Ruby była fotografką tak jak Ginny, zrobiłaby teraz Lavender zdjęcie – na tle nieba, po kolana w lawendzie. Jakby w niej pływała!

Ruszyła przed siebie, tańcząc z pszczołami. Dziecko, jak gdyby wyczuwając jej ożywienie, fiknęło w brzuchu powolnego koziołka i Ruby się roześmiała.

– Naprawdę zarabiasz na lawendzie?

– A chcesz się założyć? – Lavender wskazała piętrowy dom przy szosie. – Właśnie dlatego się stamtąd wyprowadziłam. Żeby było miejsce na sklep i destylarnię. Tam też możemy pójść, jeśli masz ochotę.

– Może zaczekajmy na Ginny, to nie będziesz musiała pokazywać dwa razy.

– Myślę, że jej się spodoba. – Lavender zerwała kwiat, zgmiotła w palcach i podała Ruby. – To Royal Velvet. Nie daje tyle olejku co Grosso, które jest najpopularniejszą odmianą lawendy, ale ma dużo czystszy zapach. Czujesz?

Ruby ostrożnie powąchała kwiat, wpuszczając na raz do zatok niewielką porcję zapachu. Wydawał się silny, mocno lawendowy, chciała jednak mieć porównanie.

– Masz też tę drugą odmianę?

– Tak. Tędy.

Dotarły do końca zagonu i ruszyły wzdłuż rzędu krzewów z kwieciami w innym kolorze. Te rośliny sprawiały wrażenie silniejszych, były wyższe, bujniejsze i kiedy Lavender zerwała kwiat, powiedziała:

– W zapachu Grosso czuć dość wyraźną nutę kamfory, co moim zdaniem pogarsza jego jakość.

Ruby powąchała kwiat i rzeczywiście wyczuła kamforę, ostrą nutę osłabiającą słodycz lawendy.

– To zdumiewające – powiedziała. – Nieraz używałam lawendy w kuchni ze względu na intensywnie fioletowy kolor.

– Racja. W kuchni króluje Provence. Ma kształt i kolor, które idealnie nadają się do potraw.

– Provence – powtórzyła Ruby. – Grosso. Royal Velvet. – Podniosła do nosa inny kwiat i różnica była tak oczywista, że aż wykrzyknęła: – Och! No jasne!

– Dobra dziewczynka – uśmiechnęła się Lavender.

– Czy to od tych upraw wzięło się twoje imię?

– Ależ skąd! Wtedy rosły tu sady orzechowe. – Przełknęła ślinę, spoglądając

w dal. Westchnęła i musnęła dłonią krzak. – Nie chciałam pracować na farmie. Uciekłam stąd, jak tylko skończyłam szkołę. Zostałam stewardesą. Chciałam zobaczyć świat. I zobaczyłam. Tak właśnie poznałam Ginger. To od jej córki Ginny kupiła przyczepę.

– Mówisz o tej artystce z Carmel, z którą się przyjaźniłaś, kiedy pracowałaś jako stewardesa?

– Ginger. – Lavender uśmiechnęła się pod nosem. – Brytyjka. Dobrze się razem bawiłyśmy.

Ruby zamruwała. Ten uśmiech, aż kipiący od szelmowskich wspomnień, sprawił, że wszystko, co wiedziała na temat Lavender, uległo nagłemu przemebłowaniu, żeby zrobić miejsce dla młodej kobiety w schludnym uniformie, latającej po świecie w poszukiwaniu przygód.

– Chętnie bym posłuchała paru opowieści.

– Lepiej mi idzie po szklaneczce miodu. Albo dwóch.

– Rozumiem. Ile miałaś lat, kiedy tu wróciłaś?

– Pięćdziesiąt siedem. Pracowałam w administracji i zaczynałam się nudzić. I wtedy mój bratanek, który prowadził farmę, nagle umarł. Trzeba było wracać. Wysupłalam oszczędności, przekształciłam farmę w gospodarstwo organiczne i zaczęłam uprawiać lawendę. Wiedziałaś, że tego właśnie chciałby Glen. Bardzo ciężko pracował, nie mogłam go zawieść. – Zamilkła i znów zapatrzyła się w horyzont. Potarła klatkę piersiową, jakby próbowała złagodzić ból złamanego serca. Ruby dobrze знаła to uczucie.

– Tęsknisz za nim.

– Był dla mnie jak dziecko. – Nagle ruszyła przed siebie. – Ciebie nie było jeszcze wtedy na świecie, prawda?

Ruby roześmiała się i pokiwała głową.

– Dziwne, prawda?

Lavender przywołała Ruby gestem i zaprowadziła ją na drugi koniec pola. Ruby obejrzała się przez ramię, podziwiając schludne rzędkie oleistych roślin. Może mogłaby pracować tu, przy tych magicznych kwiatkach? Może Lavender wzięłaby ją na uczennicę? Może mogłaby wychowywać dziecko w miejscu takim jak to...

– Słyszałaś, co mówiłam?

Ruby otrząsnęła się za zamyślenia.

– Co takiego?

– Pytałam, skąd się wzięło twoje imię.

– Mój tato lubił słuchać słuchowiska *Ruby – galaktyczna detektyw*.

– Nie żartuj! Pamiętam je.

– Naprawdę? Jeszcze nigdy nie spotkałam nikogo, kto by o nim słyszał! Ale super!

Szły przez chwilę w milczeniu wśród szeleszczących krzewów, aż w końcu Lavender spytała:

– A mama? Nigdy o niej nie wspominasz.

Ruby pomyślała o zdjęciu domu matki z Google Maps.

– Właściwie jej nie pamiętam. Odeszła, kiedy zachorowałam.

– Kiedy się dowiedziała, że masz białaczkę?

– Wiem, że to brzmi strasznie, ale była młoda i...

Wzruszyła ramionami. Zawsze w takich chwilach czuła się zawstydzona. Jakby powinna była znać prawdziwy powód. Ale nigdy go nie poznała. To było straszne – porzucić siedmiolatkę, która tak ciężko zachorowała.

Poczuła, jak silna, duża dłoń o papierowej skórze obejmuje i ściska jej własną.

– Nie zasłużyła na ciebie.

– Masz rację. – Ruby odwzajemniła uścisk i położyła rękę na brzuchu w milczącej obietnicy, że ona sama nigdy nie będzie taką matką. Przenigdy. – Na szczęście mam cudownego tatę.

– Sprawia wrażenie wspaniałego człowieka. – Chwila milczenia. – Podejrzewam, że to dziecko Liama?

– Tak. – Ruby westchnęła. – To było głupie. W dodatku zdarzyło się już po rozstaniu, tuż zanim wróciłam do domu.

– Wie o tym?

– Eee... prawdę mówiąc, nie. Jeszcze mu nie powiedziałam.

– A zamierzasz?

Ruby znowu wzruszyła ramionami.

– Chyba muszę, prawda? To jedyne słuszne wyjście. Co oznacza, że będę musiała z nim porozmawiać albo w jakiś inny sposób się z nim skontaktować, a szczerze mówiąc, to dla mnie naprawdę trudne.

Lavender pokiwała głową. Poprowadziła ją skrótem na skos i zatrzymała się na szczytce wzgórza. Na końcu pola w rzędku stały cztery białe skrzynki. Ich przeznaczenie było oczywiste.

– W tych ulach mieszkają lawendowe pszczoły. Mam też inne, po drugiej stronie farmy, ale te tutaj są tak blisko po to, żeby mogły na razie zbierać nektar tylko z lawendy.

– A co będzie, kiedy lawenda przestanie kwitnąć?

– Zbiore miód i przeniosę ule bliżej lasu i innych pól.

Ruby delikatnie pomasaowała brzuch. Pytanie Lavender sprawiło, że przed oczami stanęła jej twarz Liama. Poczuła, że znowu wzbiera w niej niepoohamowany żal. Na samą myśl o tym, że miałyby porozmawiać z ojcem swego dziecka, chciało jej się płakać.

– Wiem, że to po prostu trudne rozstanie i wszyscy przez to przechodzą – gdy

już zaczęła mówić, słowa popłynęły jej z ust wartkim strumieniem. – Ale czasem naprawdę mam wrażenie, że Liam był miłością mojego życia i że już nikogo tak nie pokocham. Choć minęło tyle czasu, wciąż jestem okropnie zraniona. Tęsknię za nim jak wariatka. Codziennie! Straszliwie! I nie potrafię przestać. To szaleństwo, nie sądzisz? Ale taka jest najprawdziwsza prawda. Był moją bratnią duszą, a potem coś się stało. Tylko nie wiem co. I czuję, że tracę zmysły, próbując to zrozumieć.

Lavender milczała przez chwilę. Pochyliła się, wyrwała długą pierzastą trawę i paznokciem kciuka zaczęła rozdzielać nasionka.

– Mogłoby się wydawać, że to dość nagła decyzja.

– Prawda?

– Rzecz w tym, że stanowcza. Nie wahał się ani chwili. Po prostu spakował manatki, wyprowadził się i zamieszkał z kimś innym.

Ruby stęknęła i położyła rękę w miejscu, gdzie w jej brzuchu coś wierzgnęło.

– To okrutne.

– Nie, to fakt. Jeśli zaczniesz dostrzegać fakty, może w końcu poczujesz się lepiej.

– Może. – Ruby pochyliła głowę. – Masz rację. Ale prawdą jest też, że zakochaliśmy się w sobie w zasadzie od pierwszego wejrzenia i byliśmy razem sześć lat.

– Może w tej drugiej kobiecie też zakochał się od pierwszego wejrzenia?

– Może – szepnęła Ruby. Czowała się tak, jakby ktoś położył jej na piersi wielki kamień. – Tylko dlaczego mam wrażenie, jakby był mi pisany?

– Bo może był ci pisany. Może miał ci dać dziecko.

Ruby podniosła wzrok.

– Masz rację! Może właśnie tak było. To zdumiewające. – Pokiwała głową. – Wyślę mu maila i powiem prawdę.

– Tak, pewnie najlepiej będzie to sobie wyjaśnić.

Małeńka iskierka nadziei, że może Liam wróci do niej – do nich, skoro będzie wiedział o dziecku – zabręczała w sercu Ruby niczym pszczoła.

– Chodź, pojedziemy do miasta po zakupy – powiedziała Lavender. – Czeka nas mnóstwo pracy przed przyjęciem. Możesz mi pomóc przy gotowaniu. Kuchnia w przyczepie na pewno nam się przyda.

– Super! – Ruby aż podskoczyła na myśl o tym, że nareszcie także ktoś inny będzie mógł skorzystać z jej przyczepy. Ojciec by się ucieszył.

Do McMinnville pojechały wiejskimi drogami, które wiły się wśród jedwabistych, żółto-zielonych pól i biegingy obok wszelkiego rodzaju ludzkich siedzib – przyczep kempingowych i wiejskich chat, nowoczesnych budynków i okazałych staromodnych domostw. Minęły ogromny, dominujący nad krajobrazem

silos i przepiękne różane ogrody. Ruby spoglądała na czarno-białe krowy, wielkie polacie upraw, których nie potrafiła zidentyfikować, winnice i plantacje lawendy.

– Dużo jest w okolicy lawendowych farm?

– O tak – odparła Lavender. Prowadziła ciężarówkę z pewnością zawodowego kierowcy, jej duże wiekowe ręce mocno trzymały kierownicę. – W połowie lata jest tu wielkie święto. To właśnie ono przyciąga najwięcej turystów.

Ruby zamyśliła się. Skoro było dużo farm, to była też pewnie spora konkurencja. Co oznacza, że niekoniecznie była to wymarzona praca dla niej. Może mała gastronomia wciąż pozostawała najlepszą opcją. Mogłaby się wystarać o pozwolenie, pojeździć wokół zatoki San Francisco i poszukać dobrego punktu.

Ta perspektywa jednak wydała jej się męcząca, co z kolei wpędziło ją w poczucie winy. W końcu to ona namówiła ojca na pożyczkę. W żołądku zaczęło jej bulgotać, spróbowała więc skupić się na czymś przyjemniejszym, na przykład na ślicznym widoku gór w oddali. Ale ponieważ minęły właśnie szczyt wzniesienia i zanurkowały w dół, wykrztusiła:

– Muszę wysiąść! – i przyłożyła dłoń do ust, starając się oddychać miarowo.

Lavender gwałtownie skrzyła na pobliski podjazd. Ruby z impetem otworzyła drzwiczki, zwymiotowała do rowu i dopiero wtedy rozejrzała się, czy nikogo nie ma w pobliżu. Starszy pan w kombinezonie i słomkowym kapeluszu spoglądał na nią z maleńkiego skrawka trawnika po drugiej stronie ulicy.

– Przepraszam! – wykrzyknęła w jego stronę. – Jestem w ciąży!

Obrzucił ją gniewnym spojrzeniem, wymamrotał coś pod nosem, a potem odszedł, tupiąc i ciągnąc po trawie rozwiązane sznurówki. Z zarośli wypadł kot i zaczął skakać, co rusz próbując je złapać.

Ruby wytarła usta.

– Przepraszam. Wiem, że to obrzydliwe.

– Wcale nie obrzydliwe. Po prostu niektóre kobiety tak mają. Robiłaś badania?

– Jasne. Lekarz powiedział, że niedługo powinno być lepiej. Większość kobiet w czwartym albo piątym miesiącu najgorsze ma już za sobą.

– Wieczorem poszukam jeszcze jakichś herbatek.

McMinnville było zwykłym małym miasteczkiem z domami stojącymi w schludnych kwartałach. Przy głównej ulicy znajdowała się restauracja o nazwie Blue Moon Tavern i Ruby zrobiła jej zdjęcie, żeby zamieścić je na blogu. Lavender wskazała stary hotel kawałek dalej.

– Warto się tam wybrać, kiedy przyjedzie Ginny.

Raptem zwolniła, spoglądając w okno restauracji.

– A niech mnie! To łajdaki.

– Co się stało?

– Moi przekłęci siostrzeńcy rozmawiają z Wade'em Markumem. – Wycelowała

palec w szybę. – To ten farmer, o którym ci mówiłam.

– Mnie nic nie mówiłaś. Może Ginny?

– Może.

Zatrzymała się i zaparkowała wielką ciężarówkę równolegle do krawężnika, jakby to był mały smart. Zwężonymi oczami wpatrywała się w okno restauracji, choć Ruby widziała w nim tylko odbicie drzew i nieba. Lavender zastukała palcami w kierownicę i kilka razy poruszyła ustami. W końcu zmęła w ustach przekleństwo.

– Cholera.

– Chcesz o tym pogadać?

– Wade ma ziemię, ponad czterysta hektarów na ukos ode mnie. Siedzi w tym biznesie od czterdziestu lat i ma chrapkę na mój kawałek. Kilka razy składał mi ofertę. Tylko że jego nie interesują lawenda, organiczne rolnictwo czy kury. Chciałby wszystko zaorać, żeby mieć gdzie wypasać owce, a już zwłaszcza jagnięta.

Ruby wydała jęk sprzeciwu.

– W Portland jagnięcina jest dziś bardzo popularna – stwierdziła rzeczowo Lavender. Kilka razy wsunęła i wysunęła dolną wargę. Zastukała kciukiem w plastik kierownicy. – Nie mam nic przeciwko jagniętom, ale flaki sobie wypruwałam, żeby stworzyć tę farmę, i nie zamierzam stać spokojnie i patrzeć, jak ktoś równa ją z ziemią.

– A co możesz zrobić?

Lavender otworzyła z impetem drzwiczki.

– Chodź.

Ruby wyskoczyła za nią w pośpiechu, ale musiała poczekać, aż przejedzie samochód, a potem drugi. W końcu ktoś się zatrzymał i ją przepuścił. Przebiegła przez ulicę, unosząc dłoń w geście podziękowania. Dopiero otwierając drzwi do lokalu, Lavender przypomniała sobie o przyjaciółce i odwróciła się, żeby sprawdzić, gdzie się podziewa. Stała tak, pomarszczona jak tylko osiemdziesięcioletka być może, wciąż jednak przy tym prosta i silna. Potężna jak czarnoksiężnik.

Albo czarownica, pomyślała Ruby, ale słowo „czarnoksiężnik” wydało jej się mocniejsze.

Zresztą nieważne. Lavender weszła do środka i stanęła przy jednym ze stolików.

– Jak się miewają moi siostrzeńcy? Nie mogą się doczekać, aż ich cioteczka wyciągnie kopyta, co?

– Lavender! – Jeden z mężczyzn zerwał się na równe nogi. Był wysoki i korpulentny jak futbolista, który zajął się handlem nieruchomościami. – Prawdę mówiąc, właśnie jechaliśmy na farmę. Zatrzymaliśmy się na późne śniadanie i wpadliśmy na Wade’a.

– Bzdura – odparła Lavender.

Wszyscy trzej mężczyźni wyglądali na zamożnych w stylu typowym dla

zachodniej części kraju. Dżinsy do pary z drogimi koszulami. Siostrzeńcy Lavender, miastowi, nosili mokasyny, Wade natomiast miał na nogach solidne, nieco ubłocone buty. Ruby była bardzo zadowolona, że udało jej się dostrzec ten szczegół.

Wade wstał.

– Może do nas dołączysz, Lavender? Właśnie rozmawialiśmy o twojej farmie i jej potencjale.

Ruby uniosła brwi. Grubo!

Lavender założyła ręce na piersi i zwróciła się do siostrzeńców:

– Wiem, że tylko czekacie, aż kopnę w kalendarz, żeby położyć łapska na farmie i rozbudować te swoje rezydencyjki...

– Nieprawda!

– Ale – ciągnęła, nie zważając na ich protesty – jak widzicie, jestem w znakomitej formie. Jak zawsze. W weekend wydaję przyjęcie z okazji osiemdziesiątych piątych urodzin. Może wpadniecie? Będziecie mogli przekonać się na własne oczy, że uprawa lawendy jest tak samo dochodowa jak produkcja jagnięciny.

– Lavender...

– Poznaliście już moją uczennicę? To Ruby Zarlingo, prowadzi znanego bloga, Smak Niebieskiego Księżyca. Powinniście tam zajrzeć.

Ruby zdążyła wyciągnąć rękę, ale Lavender wypchnęła ją z restauracji.

– Łajdaki – wymamrotała pod nosem.

Ruszyły pędem przed siebie i Ruby musiała bardzo się starać, żeby dotrzymać kroku długonogiej przyjaciółce. Dwa domy dalej Lavender wreszcie zwolniła i rozejrzała się dookoła, jakby wyrwana z głębokiego snu.

– Chodźmy na jakąś kawę czy coś. Może ciastko?

– Albo tosta – zasugerowała Ruby. Nieweganie często nie zdają sobie sprawy, że ciastka zwykle zawierają jajka i masło.

Znalazły inną restauracyjkę, Wild Wood, cudowne miejsce w stylu retro. Kelnerka, hipsterka z czarnymi włosami, krótką, równo obciętą grzywką i czerwoną szminką na ustach, z uśmiechem podała im kartę.

– Cześć, jestem Tiff. Coś do picia?

– Ja poproszę gorącą herbatę – powiedziała Ruby.

– Kawa – warknęła Lavender i obrzuciła menu gniewnym spojrzeniem, jakby to byli jej siostrzeńcy i Wade na dokładkę.

Ruby uśmiechnęła się przeprasząco, a kelnerka puściła do niej oko.

Miejsce było magiczne. Stare etykiety pralek Maytag, piwa korzennego Hires, obrazki ziemniaków, brokułów i kalafiorów na ścianach, staromodne sprzęty kuchenne – trzepaczki do jajek, tłuczki do ziemniaków, łyżki i łopatki wszelkiej maści – zwisające z sufitu. Restauratorskie „ja” Ruby było oczarowane. Poczwała, że

chciałaby zostać właścicielką takiej knajpki. Razem z jej laminowanymi stołami i winylowymi krzesłami w pastelowych kolorach. Ona oczywiście prowadziłyby kuchnię wegańską – ze zdrowymi ciastkami, przysmakami i śniadaniami. Coś w stylu waszyngtońskiego Sticky Fingers.

Poczuła przypływ podniecenia. Tak, to mogłoby być fajne! Może jednak praca w knajpie jest jej powołaniem.

Menu było typowe dla restauracji z lekką pretensją do ekskluzywności.

– To miejsce wcale nie przypomina małomiasteczkowych barów – powiedziała na głos. – Zresztą, jak się zastanowić, tamta restauracja tak samo.

– Pamiętaj, że to region win. – Lavender odłożyła kartę i splotła swe wielkie dłonie. Na części stawów widać było sęki, skórę znaczyły brązowe plamy. – W dzisiejszych czasach każdy uważa się za konesera. Oliwa truflowa tu, foie gras tam.

– Dziś już się nie mówi „koneser” – zauważyła Ruby – tylko „smakosz”.

– Racja. To tak jak my. Cztery Smakoszki. – Oczy Lavender rozbłysły niespodziewanie. – W miasteczku jest kilku sławnych szefów kuchni, gdybyś była zainteresowana.

Ruby wzruszyła ramionami.

– Zobaczmy.

Poczuła się zmęczona. Może jednak praca w knajpie n i e b y ł a jej powołaniem.

Kelnerka przyniosła napoje. Ruby zamówiła tosta z dżemem truskawkowym, bez masła, a Lavender, która wydawała się nigdy nie mieć dość, bułeczkę z cynamonem.

– Rozumiem, że to byli twoi siostrzeńcy – powiedziała Ruby. – I to oni po tobie dziedziczą.

– Tak. To nie są źli ludzie, po prostu nie chcą pracować na farmie i ja to rozumiem.

– Nie możesz umieścić w testamencie klauzuli, żeby wszystko zostało tak, jak jest?

– Nie, farma po prostu przechodzi w ręce kolejnego członka rodziny.

– To trochę krótkowzroczne. Przejęłaś ją w latach osiemdziesiątych, tak? Przecież już wtedy było wiadomo, że czasy się zmieniły i nie każdy chce pracować na roli.

– W tamtych czasach wszyscy spodziewali się, że przejmie ją Glen, syn mojego brata. Był bardzo przywiązany do farmy, zarządzał nią jak generał. Sprawił, że w ciągu trzech lat dochody wzrosły o czternaście procent. Ale jak mówiłam – głos jej się załamał, upiła więc łyk kawy – Glen zmarł. Zginął w wypadku. I wtedy ja odziedziczyłam farmę. To było straszne.

– Tak mi przykro – powiedziała Ruby.

– Był dobrym człowiekiem. Często mówił, że zamiast sadu orzechowego chce uprawiać lawendę, więc po jego śmierci ja się tym zajęłam. Poszły na to pieniądze z jego polisy. Wszystkie, co do cholernego grosza.

– I nie da się zrobić czegoś, żeby nie można było sprzedać farmy temu facetowi?

– Muszę coś wymyślić – powiedziała Lavender. – Mam nadzieję, że razem z Ginny mi w tym pomożecie.

Ruby pochyliła się i dotknęła jej dłoni.

– Założę się, że jest jakiś sposób.

Lavender chrząknęła, odsunęła kawę na bok i potarła pięścią przeponę.

– Przez tych łajdaków nabawiłam się niestrawności. Muszę się napić mleka.

CIASTO MARZEŃ

<zdjęcie>

To pierwsze ciasto z piekarnika w przyczepie. W górach noce są zimne nawet w lecie, musiałam więc coś upiec, żeby znowu poczuć się normalnie. To nie był najprzyjemniejszy dzień podróży. Przez wiatr musiałam zjechać wcześniej, ale dzięki temu mogliśmy z Willow porządnie się wyspać.

Połowa drogi za nami!

Komentarze [119]

Pippin987

Szerokiej drogi, Ginny! Świeczka, którą zapaliłam w Twojej intencji, wciąż płonie mocnym płomieniem.

nobodyknowsnuttin

Twoje ciasto przypomina to, które moja mama piekła, kiedy wracałam ze szkoły. Pycha!

justbake

Ginny, banda z Idaho nie może się doczekać spotkania! Szykujemy wielką ucztę. Daj znać, gdybyś miała się spóźnić. W okolicy szaleją pożary.

Więcej komentarzy >>>>



ROZDZIAŁ JEDENASTY

Tego pogodnego posta Ginny pisała przy stole w przyczepie, obserwując burzę, która właśnie się rozszalała. Głośna i gwałtowna ciskała błyskawicami, jakby to były strzały. Deszcz walił o dach niczym orkiestra bębniarzy. Od kurczowego trzymania kółka Ginny bolały ręce. Ścisnęła kierownicę jak w imadle, starając się utrzymać przyczepę na drodze, podczas gdy szosa wiła się serpentynami przez górskie przełęcze. Cały dzień prawdziwą zmorą był dla niej wiatr.

Uznała, że to jej się należało. Dwa poprzednie dni były łatwe, mimo że jechała przez góry.

Aż do tej pory nie padało, wiał tylko porywisty, gwałtowny wiatr. Od Wielkiego Jeziora Słonego, gdzie planowała się zatrzymać, dzieliło ją mniej niż sto kilometrów, ale nie była w stanie prowadzić jeszcze przez godzinę. Gdy wypatrzyła postój dla ciężarówek, przycupnięty na skraju małego miasteczka, z ulgą skorzystała z okazji. Na krańcu dużego parkingu stała garstka ciężarówek z naczepami. Ich silniki warczały w to zimne popołudnie.

Proste ciasto, które upiekła, wypełniło wnętrze przyczepy zapachem cukru. Zrobiło się całkiem przytulnie, a pusty talerzyk świadczył o tym, że kulinarny eksperyment okazał się co najmniej zadowalający. Ginny zamartwiała się, czy po drodze będzie w stanie piec i wrzucać zdjęcia na bloga. Nie wiedziała, czy pozwoli jej na to okoliczności podróży.

Uznała jednak, że ponieważ blog należy do niej, to ona ustala zasady. Nic wielkiego się nie stanie, jeśli na zdjęciach znajdą się ciasta upieczone przez ludzi, których spotka po drodze. W końcu nie była geniuszem wypieków – to jej fotografie decydowały o atrakcyjności bloga.

Nad głową deszcz wciąż bębnił w dach. Willow przysnęła na jej stopie.

Miło było mieć świadomość, że w lodówce są jajka i mleko, a także wiśnie, które kupiła na straganie od farmera w zachodnim Kolorado. Wprawdzie na postoju dla ciężarówek trudno było się dopatrzeć romantyzmu, uznała jednak, że to także stanowi część przygody. Miała nadzieję, że tę noc spędzi na wyspie na Wielkim Jeziorze Słonym, teraz jednak, żeby zmieścić się w czasie, musiała zrezygnować z tego pomysłu. Wyciągnęła mapę i rozłożyła na stole, żeby zastanowić się nad kolejnym etapem podróży.

Założenie, że będzie robić dziennie około sześciuset pięćdziesięciu kilometrów,

okazało się nazbyt optymistyczne. Konieczność ciągnięcia przyczepy w górę i w dół przez przełęcze spowalniała ją bardziej, niż się spodziewała. Czasami czuła się zawstydzona tym, że jest najwolniejszym pojazdem na drodze. Samochody osobowe i ciężarówki przemykały obok z rykiem, niecierpliwie migając tylnymi światłami.

One mogły mknąć przed siebie, Ginny było trudniej, bo ciągnęła przyczepę. Zdarzało się jednak, że i ona czuła zniecierpliwienie, wlokąc się za ciągnikiem z sianem albo kamperem. Tego ranka spotkała parę, na którą natknęła się w Grand Junction. Starszy pan pomachał jej, kiedy ich mijala, więc w odpowiedzi nacisnęła klakson. To sprawiło, że przestała czuć się anonimowa – stała się częścią wspólnoty.

Obmyśliła następny etap podróży, wzięła do łóżka książkę i oparła się na poduszkach. Było ciemno, musiała więc włączyć lampkę, przez co zrobiło się jeszcze bardziej przytulnie. Willow poczłapała za nią przez mikroskopijny przedsionek i wskoczyła na łóżko. Ginny zanurzyła rękę w gęstej sierści psa, włożyła na nos okulary i zaczęła czytać.

Szczęście. Tak właśnie wyglądało szczęście. Nie miała pojęcia, że można się nim cieszyć w samotności.

Musiała się zdrzemnąć, bo obudziły ją dźwięki muzyki i brzęk szkła. Gardłowy kobiecy śmiech wypełnił wnętrze airstreama i Ginny mogłaby przysiąc, że poczuła zapach smażonej cebuli. Zaburczało jej w brzuchu. Otworzyła oczy i zamrugowała.

Oczywiście w przyczepie nie było nikogo. To tylko sen. Willow przeciągnęła się, stukając pazurami w ścianę. Żadnej cebuli. Żadnej śmiejącej się kobiety.

Burczenie w brzuchu jednak zdecydowanie należało do świata jawy.

Postój dla ciężarówek miał jedną niewątpliwą zaletę – Ginny mogła zjeść tu solidny ciepły posiłek, którego nie musiała przyrządzać sama. Wciąż padało. Zwinięta w kłębek Willow spała głębokim snem, więc Ginny zostawiła ją, chwyciła parasolkę i popędziła przez parking, rozbryzgując kałuże. Po drodze przemoczyła dzinsy do kolan. Dotarła do baru, pchnęła szklane drzwi i wpadła do środka, strząsając wodę z siebie i parasolki.

Kobieta w uniformie w stylu retro, jasnobrązowym, z pasiastą różową kokardą z boku, podeszła do niej i zapytała:

– Jak się masz, skarbie? Jedyńska?

– Tak, poproszę.

Ruszyła za kelnerką ze spuszczoną głową. W lokalu wiele osób siedziało samotnie, ona jednak wciąż dziwnie się z tym czuła. Po drugiej stronie sali zauważyła rudowłosą Australijkę w kraciastej koszuli, z warkoczem przewieszonym przez ramię. Kobieta zamachała do niej, więc Ginny odmachwała w odpowiedzi.

– Proszę bardzo – powiedziała kelnerka.

Najwyższy czas nauczyć się jeść samej w miejscu publicznym.

– Dziękuję – odparła Ginny, wślizgując się do boksu.

W karcie oferowano domowe jedzenie: klops z tłuczonymi ziemniakami, stek po wiejsku, placki polane gęstym sosem. Studiowała menu z lubością, gładząc się po burczącym brzuchu.

Ktoś podszedł do jej stolika i Ginny podniosła wzrok, spodziewając się Australijki albo kelnerki. Tymczasem był to mężczyzna:

– Hej, czy to przypadkiem nie dama z psem?

Ginny zorientowała się, że go zna. To był kierowca, który chciał pogłaskać Willow na postoju w Kolorado. Ten, któremu niedawno zmarła psina.

– Och! Dzień dobry. Tak, to ja.

– Jak tam podróż?

– W porządku. – Zmarszczyła brwi. – Dziś było trochę ciężiej, choć pewnie powinnam się była tego spodziewać.

– Jasne, to się zdarza.

– Ale chyba nie radziłam sobie najgorzej, skoro pana dogoniłam.

Oczy mu zabłyśły.

– No cóż, mieszkam w Grand Junction. Miałem przerwę. Teraz jadę z nowym ładunkiem.

Ginny wybuchnęła śmiechem.

– Oczywiście, to ma większy sens.

– Mogę się dosiąść? – Wskazał na wolne miejsce po drugiej stronie stolika. – Pewnie zdążyła się już pani przekonać, że w podróży człowiek ma czasami dość własnego towarzystwa.

Zawahała się. Nie dlatego, że uznała, że jest niebezpieczny. Po prostu przyłapała się na tym, że siedzi wyprostowana, podziwiając głęboki głos i przystojną twarz nieznanego.

– Ja...

– Nie, nie, proszę się nie obawiać. – Cofnął się o krok. – Wcale nie czuję się urażony. Ale znają mnie tutaj. Jeśli pani spyta, to powiedzą pani, że nazywam się Jack Gains i dwa razy w miesiącu jeżdżę z Grand Junction do Portland.

Ginny się zaczerwieniła.

– Wcale nie sądziłam, że jest pan niebezpieczny – powiedziała. – Po prostu to wszystko – objęła gestem restaurację, drogę i przyczepę – to dla mnie nowość.

Pokiwał głową.

– Tak myślałem.

Ginny wahała się jeszcze chwilę. W myślach słyszała głos, który grzmiał: „TO NIEZNAJOMY”. Głos podejrzenie przypominający jej matkę.

– Będzie mi bardzo miło, jeśli się przysiądziesz, Jack – powiedziała, wskazując wolne miejsce po drugiej stronie boksu. A gdy mężczyzna usiadł, dodała: – Jestem Ginny Smith.

– Bardzo mi miło, Ginny. Gdzie twój pies?
– Śpi. To było nudne popołudnie. Zjechałyśmy z drogi koło drugiej i zaszyłyśmy się w przyczepie.

Jack potarł twarz.

– Tak, taki wiatr to żadna przyjemność. Sam tkwiłem na I-70 prawie trzy godziny. Słyszałem w radiu, że na południe stąd, na I-15, komuś zarzuciło przyczepą.

– Co za ulga słyszeć, że przy takiej wichurze zdarza się to nawet doświadczonym kierowcom. – Wyciągnęła ręce. Bolały ją stawy i napięte ścięgna. – Parę razy bałam się, że skończę na dnie kanionu.

– O tak, paskudne warunki. Podobno na północy płoną lasy i wiatr podsyca pożary.

– Ten deszcz powinien je ugasić.

– Jeśli tam też pada. Pogoda w górach bywa nieprzewidywalna.

Do stolika podeszła kelnerka.

– To samo co zwykle, Jack?

– Tak jest, szefowo.

Nagryzmoła coś na jasnozielonym tablecie.

– A ty już wiesz, co byś chciała, skarbie?

– Poproszę klopsa, ziemniaki bez sosu, ale z dodatkowym masłem. I kawę.

– W porządku. – Mrugnęła do Ginny, zabierając kartę. – Tylko nie pozwól, żeby cię omotał. To znany czaruś.

– Och, to nie tak – odparła Ginny, pokazując obrączkę. – Dopiero się poznaliśmy.

Jack i kelnerka zachichotali i Ginny zorientowała się, że to żart. Rumieniec wypełzający na jej policzki rozlał się na uszy i kark.

– Nie przejmuj się – powiedział Jack, pochylając się nad stolikiem. – Ma na mnie chrapkę i na wszelki wypadek znaczy teren.

Ginny nie potrafiła podnieść wzroku.

– Rozumiem.

– Zaraz wracam.

Kelnerka oddaliła się niespiesznie, a Ginny nagle stała się dotkliwie świadoma swoich stóp na podłodze, rąk na stole, błyszczącej obrączki na palcu. Cisza w boksie zdawała się tętnić.

– Skąd jesteś, Ginny?

„Przestań się zachowywać jak pensjonarka”, skarciła się w tonie historycznych romansów, które tak lubiła. Miała też słabość do pamiętników kucharzy i wspomnień dzielnych kobiet. Spojrzała Jackowi prosto w oczy.

– Z Kansas, z małej miejscowości koło Wichita.

– Znam okolice Wichita. Co jakiś czas miewam kurs do St. Louis. Co to za miejscowość?

– Dead Gulch – powiedziała i nagle ta nazwa wydała jej się śmieszna, jakby wymyślona dla zakurzonego miasteczka z westernu. – Obiło ci się o uszy?

– Przejeżdżałem tamtędy raz czy dwa. Tuż przy Highway 50, prawda? Z młynem na północnym krańcu.

Uśmiechnęła się.

– Właśnie tak.

– Rolnicza okolica. I zdaje się, że niewiele więcej.

– Nikt nie wybiera miejsca urodzenia.

– To prawda. – Pokiwał głową, stukając o stół torebką cukru. Miał długie kciuki i czyste owalne paznokcie. – Wychowałeś się na farmie?

– Tak – potwierdziła. – Tato uprawiał soję. Głównie. Mama hodowała kurczaki. Sprzedawała jajka i inne produkty na stoisku przy drodze. Niezbyt światowe życie. Nienawidziłam tego.

– Hodowla świń jest gorsza – powiedział z półuśmiechem. Kelnerka przyniosła im po dużym kubku kawy i szybko się ulotniła, wywołana przez kogoś przy drzwiach. – Wiem, bo sam dorastałem na świńskiej farmie.

– Naprawdę? – Skrzywiła się. – Świnie śmierdzą.

Otworzył torebkę i powoli, ostrożnie wsypał cukier do kubka.

– Ja też tego nienawidziłem. Miałem milion pomysłów, jak stamtąd uciec. I wiesz, co zrobiłem? W szkole wybrałem profil rolniczy. Myślałem, że może będę uprawiał brzoskwinie.

– Praca na farmie bywa różna – stwierdziła Ginny. – Brzoskwinie wydają się dobrym pomysłem. I co, próbowałeś je uprawiać?

– Nie. Ożeniłem się zaraz po szkole i szybko musiałem znaleźć sposób, żeby zarabiać na życie. Dlatego zamiast prowadzić własną farmę, zacząłem pracować na cudzej, a potem zostałem kierowcą. Prosta droga do rozwoju.

– Przykro mi. – Ginny przyglądała się, jak otwiera opakowanie śmietanki, wlewa do kubka, miesza i sięga po następne. – Nie najlepsze zajęcie dla ojca rodziny.

– Nie najlepsze.

Wreszcie kawa była gotowa. Jack upił łyk i wydał cichy odgłos aprobaty. Ginny poczuła, że ten dźwięk muska krawędź jej szczęki i spływa w dół szyi. Przyłapała się, że patrzy na jego usta.

Zaniepokojona odwróciła wzrok.

– Powiedziałem coś nie tak? – spytał Jack. – Znowu się zaczerwieniłaś. Dotknąłem jakiegoś drażliwego punktu? Znałaś kierowcę, który kogoś skrzywdził?

– Nie, nie – odparła ze śmiechem. – Po prostu...

– To wszystko dla ciebie nowość, tak?

Pochyliła się nad stolikiem, ściskając kubek w dłoniach. Otworzyła usta, zawahała się i zdecydowała, że choć raz w życiu będzie sobą. Całkowicie.

– A co byś powiedział, gdybym ci się przyznała, że tak naprawdę nigdy dotąd nie byłam poza granicami Kansas?

– Nigdy?

– Kiedyś raz, jako nastolatka, pojechałam z rodziną na wesele do Minneapolis. – Mocniej zacisnęła dłonie na kubku. Jego solidność i ciepło działały na nią krzepiąco. – Nigdy nie leciałam samolotem, nigdy nie byłam nad oceanem. I dopiero w tym tygodniu pierwszy raz w życiu zobaczyłam góry.

W kącikach jego ust pojawił się rys czułości, w szarych oczach coś złagodniało.

– A teraz jedziesz przez cały kraj, ciągnąc za sobą przyczepę. – Pochylił głowę. – Co cię do tego skłoniło?

Zgodnie z postanowieniem, żeby być uczciwą, Ginny powiedziała:

– Przyjaciółka zaprosiła mnie do Oregonu na osiemdziesiąte piąte urodziny. – Opowiedziała mu o Lavender (kolejna farma!) i Czterech Smakoszkach. – Szczerze mówiąc, dziwna z nas paczka. Gospodyni domowa z Kansas, hipsterka-weganka, Lavender i Valerie, która swego czasu była primabaleriną w Cincinnati. Pisała bloga o winie. – To Valerie pierwsza kupiła airstreama od sąsiadki i Ginny, gdy tylko zobaczyła zdjęcia, zakochała się w przyczepie bez pamięci.

– Ale skoro przyjaźnicie się we cztery, dlaczego tylko we trzy macie się spotkać na farmie?

– Valerie jest zajęta czymś innym – odparła Ginny i zamilkła. – Dwa lata temu w katastrofie awionetki zginęli jej mąż i dwie córki. Trzecia córka nie potrafi sobie z tym poradzić i Val postanowiła zabrać ją w podróż śladami Indian, bo to jej wielka namiętność.

– Fatalnie. Ile lat ma ta córka?

– Teraz czternaście.

– Po czymś takim trudno się podnieść, prawda?

– Prawda – przytaknęła Ginny.

Przypomniała sobie rozpaczliwe maile i panującą wówczas straszną atmosferę. Lavender i Ruby poleciały do Cincinnati na pogrzeb, ale choć to Ginny była Valerie najbliższa – także pod względem dzielącej je odległości – na pogrzeb nie dotarła. Nie znalazła w sobie dość odwagi.

Wtedy.

Dziś była dzielniejsza.

– Wkurzyłam się na siebie za to, że nie pojechałam na pogrzeb. Za bardzo się bałam. – Niewykluczone, że pierwszy raz powiedziała to szczerze na głos. – I stwierdziłam, że nie chcę być dłużej tą osobą.

– Więc kupiłaś sobie fikuśną przyczepę i postanowiłaś wybrać się w podróż?

– Coś w tym stylu. – Upiła łyk kawy, widząc, jak ta nowa wersja jej osoby odbija się w jego oczach. Dziwnie się czuła, opowiadając swoją historię komuś obcemu, komuś, kogo nie znała całe życie. Ogromnie wyzwalające doświadczenie. – Prowadzę bloga o ciastach i po drodze spotykam się z czytelnikami.

– Bloga?

– Nie wiesz, co to blog?

Usta mu zadrżały. Z rozdrażnienia? Irytacji?

– Pewnie, że wiem. Po prostu chciałem się dowiedzieć czegoś więcej.

– Przepraszam.

– Nie ma sprawy.

– Pracowałam w cukierni w supermarkecie – powiedziała Ginny i uśmiechnęła się smutno. – Niezbyt prestiżowe zajęcie, wiem, ale dość twórcze i całkiem je lubiłam. Aż pewnego dnia postanowiłam, że zacznę prowadzić bloga o ciastach. Przygotowałam tort szwarcwaldzki, zrobiłam zdjęcie i zamieściłam posta. – Zamilkła. Zamyśliła się nad tym, jak ta jedna decyzja zaważyła na jej życiu. Kobieta, którą była w tamto samotne popołudnie, nie potrafiłaby sobie wyobrazić obecnej chwili.

Po drugiej stronie stołu Jack przyglądał jej się znad kubka. Oczy miał jasne, w kącikach zmarszczki od śmiechu i długich godzin spędzonych na słońcu.

– I wszystko się zmieniło – stwierdziła Ginny. – Zdarzyło ci się kiedyś coś takiego? Zrobiłeś coś, jakąś drobną rzecz, która całkowicie odmieniła twoje życie?

– Kilka razy – odparł. – Najpierw spadłem z drzewa i roztrzaskałem sobie bark. Nigdy nie odzyskałem dawnej sprawności, co znaczy, że musiałem się pożegnać z karierą bejsbolisty.

– Oj!

Spojrzał w dół, odrywając kawałek serwetki.

– A potem ukradłem żonę najlepszemu przyjacielowi.

– Żonę. – To słowo zaległo między nimi, mimo że Ginny sama miała męża, który czekał na nią w domu. W pewnym sensie poczuła się bezpieczniej i odetchnęła nieco głębiej. – Byli małżeństwem?

– Nie – odparł Jack. – To było w czasach liceum. Ona przeprowadziła się do naszego miasteczka w pierwszej klasie i Carl z miejsca się w niej zakochał. Spotykali się prawie rok, a potem on wyjechał z rodzicami na wakacje, a my wylądowaliśmy razem na imprezie nad wodą. Wyglądała tak olśniewająco w żółtym bikini, że postanowiłem ją zdobyć.

Ginny się uśmiechnęła.

– Prawdę mówiąc, brzmi to romantycznie. Zwłaszcza że skończyło się ślubem.

– Chyba tak – powiedział schrypniętym głosem. – Tylko że Carl nigdy mi nie wybaczył. Straciłem przyjaciela, a małżeństwo z Debbie okazało się fatalną pomyłką. – Smutno uniósł brew. – Niezbyt do siebie pasowaliśmy.

– Dzieci?

– Nie wiesz, co to dzieci?

Roześmiała się.

– Dwoje. Teraz już dorosłe. Córka przeprowadziła się do Teksasu, a syn wciąż nie potrafi się usamodzielnąć. Mieszka z matką w Denver. A ty? Masz dzieci?

Opowiedziała mu o Christie.

– Jest taka bystra. Dostała pracę w szpitalu w Chicago. Jestem z niej bardzo dumna.

– Powinnaś.

Ginny tak dobrze się z nim rozmawiało. Gadali i gadali bez końca. Jack opowiedział jej o Labie, odważnym i żywiołowym psie, którego miał jako nastolatek. A ona uraczyła go historyjką o złotej rybce, którą wygrała na lokalnym jarmarku i która koniec końców żyła dwanaście lat. Rozmawiali o filmach i o książkach – ona lubiła dramaty i romanse, on science fiction i powieści przygodowe. Przyznał się jej, że często słucha audiobooków – teraz akurat *Gry o tron* – musiała więc zrewidować swoją opinię na temat jego inteligencji.

– Mocna rzecz. Całkiem poważna – powiedziała, składając torebkę po cukrze w harmonijkę.

– Czytałaś?

Pokiwała głową.

– Córka mnie namówiła. Nie zawsze podoba mi się to, co mi podsuwa, ale tym razem mnie wciągnęło. To taka romantyczna, magiczna seria, prawda?

Przytaknął z uśmiechem.

– Tak. Bardzo ją lubię. Kto jest twoją ulubioną postacią? Nie, zaczekaj. Niech zgadnę. Daenerys.

– Uwielbiam Daenerys – powiedziała Ginny, myśląc o smoczey królowej i jej męstwie – ale najbardziej lubię Tyriona. A ty? – Uśmiechnęła się. – Poczekaj. Niech zgadnę.

Odchylił się w oczekiwaniu. Ginny studiowała jego twarz, szerokie usta i kurze łapki wokół szarych oczu. Coś między nimi zamigotało, coś delikatnego, bladego, eterycznego. Jakby czasoprzestrzenne kontinuum nagle uległo przekształceniu.

Co za głupstwa.

– Myślę – powiedziała Ginny – że ty też najbardziej lubisz Tyriona.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Deszcz padał, a oni wciąż rozmawiali.

Dopiero po prawie czterech godzinach Ginny zorientowała się, że jest już późno.

– O Boże! Muszę lecieć. Moja biedna psina pewnie przestępuje z nogi na nogę pod drzwiami. – Poderwała się z siedzenia i wyciągnęła rękę. – Miło było cię poznać, Jack.

– I ciebie, Ginny. – Z powagą uściskał jej dłoń. Z tej perspektywy widziała srebrne pasma w jego ciemnych, falujących włosach. – Trzymaj się ciepło.

– Ty też.

Z pewnym przymusem odwróciła się i ruszyła do wyjścia. Miała już otworzyć parasolkę i wybiec na deszcz, gdy usłyszała, jak za nią woła.

– Ginny!

Podbiegł i wręczył jej karteczkę.

– To numer mojej komórki na wypadek, gdybyś miała jakieś kłopoty w drodze.

– Dzięki. – Karteczka parzyła ją w palce, więc wsunęła ją głęboko do kieszeni dzinsów. – Do zobaczenia.

Zasalutował na pożegnanie. Przez całą drogę do przyczepy czuła na sobie jego wzrok.



ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pies czekał na nią przy drzwiach, merdając ponagłajaco ogonem.

– Chodź, kochana – powiedziała Ginny. – Przepraszam. Po prostu musiałam pogadać.

Willow wyskoczyła z przyczepy, przymykając oczy na deszczu. Ginny zaprowadziła ją na skraj parkingu, próbując osłonić parasolką, i w rezultacie obie zmokły. Wreszcie Willow przykucnęła w ciemności i przez dobre pięć minut zraszała polne kwiatki. Kiedy skończyła, otrząsnęła się i spojrzała pytająco na Ginny.

– Chodź, uciekamy stąd.

Potruchtały z powrotem do przyczepy. Ginny weszła tyłem, trzymając parasolkę nad psem.

– Otrząśnij się tutaj – powiedziała, pokazując Willow, co ma zrobić, ale ona tylko popatrzyła na nią smętnie. „Dlaczego chcesz, żebym stała cała mokra?”

– No dobra, włącz.

Cofnęła się do przedsionka, żeby przepuścić Willow, i nerwowo rozejrzała za czymś, co mogłaby na nią narzucić.

Przy stole siedziała kobieta. Włosy miała związane z tyłu i popijała martini z idealnie kształtnego kieliszka.

– Co pani...

Willow otrząsnęła się z całych sił, rozpryskując wszędzie wodę. Ginny wyciągnęła przed siebie ręce, żeby się osłonić.

– Niech to szlag!

Z bijącym sercem rzuciła się po dywanik, który leżał w części wypoczynkowej. Obejrzała się na kobietę przez ramię.

Znikła.

Willow otrząsnęła się znowu, od łba aż po koniuszki palców, opryskując Ginny twarz i usta.

– Przestań, przestań!

Zarzuciła jej dywanik na grzbiet, próbując zminimalizować szkody. Ubłocone łapy wytarła ścierką do naczyń, a potem jeszcze osuszyła chodnikiem. Willow wyrwała się z jej objęć i otrząsnęła raz jeszcze, tym razem nie demolując otoczenia. Ginny zorientowała się, że serce wali jej jak oszałałe.

Zmarszczyła brwi, spoglądając w stronę stołu. Przez świetlik w dachu wpadało delikatne, lekko niebieskawe światło. Kobieta przy stole musiała być złudzeniem, grą cieni.

„Duchem”, powiedziałyby Ruby.

„Tęsknotą za towarzystwem”, uznałyby Christie.

„Igraszką wyobraźni”, stwierdziła Ginny. Chwyciła rolkę papierowego ręcznika i wytarła wszystko, co opryskała Willow – drzwiczki lodówki i piekarnika, nogi stołu, podłogę. Nawet na oknie znalazło się kilka kropel. Starła je, zaciągnęła rolety i upewniła się, że drzwi są zamknięte.

Cała drżąca wyrzuciła zużyty papier, zabrała do prania ścierkę i dywanik, a potem rozebrała się, żeby wejść pod prysznic.

Ale gdy tak stała naga, pomyślała o rękach Jacka, o jego ustach. Dotknęła piersi, brzucha, pragnąc...

Kiedy zorientowała się, o czym, a raczej o kim myśli, oderwała ręce od ciała i odkręciła wodę. Zaczęła szorować skórę, żeby się rozgrzać, i zmusiła się, żeby pomyśleć o farmie Lavender i następnym etapie podróży.

Wyszła spod prysznica, naciągnęła pidżamę, zrobiła sobie herbatę i zwinąwszy się w kłębek w kuchni, zadzwoniła do domu.

Matthew odebrał po czwartym sygnale. Był półprzytomny i dopiero wtedy Ginny zorientowała się, że u niego była już jedenasta.

– Halo? – powiedział. – Ginny, coś się stało?

– Nie, nic, przepraszam. Pomyliłam strefy czasowe. Zadzwonię jutro.

– Jezu, od godziny byłem w łóżku.

– Wiem, przepraszam. Wracaj spać.

Po drugiej stronie słuchawki coś zaszleściło.

– Wybudziłem się. A skoro już mnie obudziłaś, to możesz powiedzieć, gdzie jesteś. Wszystko w porządku?

Ginny wyobraziła go sobie, jak siedzi na łóżku bez koszulki. Sypiał tylko w bokserkach, co czasami było prawdziwą torturą, bo dzięki regularnym treningom ciało miał w znakomitej formie. Tymczasem na każdą próbę dotyku albo przytulenia reagował odmową.

– Jak dotąd jest okej. Parę razy miałam kiepską pogodę, ale dałam sobie radę.

– A teraz gdzie jesteś?

– W Utah. Chciałam dotrzeć do Wielkiego Jeziora Słonego, ale dziś mocno wiało, a teraz leje jak z cebra, więc się poddałam i zjechałam na postój dla ciężarówek.

– Bardzo mądrze. W wiadomościach mówili o złej pogodzie i trochę się o ciebie bałem.

– Mogłeś zadzwonić.

Długie milczenie.

– Myślę, że byłem zraniony.

Ginny wyprostowała palce u stóp, czując, jak napinają się jej łydki i ścięgna w kostkach.

– Nie chciałam cię zranić.

– Wiem. Dobrze się bawisz?

– Hm, czasem tak. A czasami czuję się trochę samotna. Ale mam Willow, no i są też ludzie, którzy czytają bloga. Mam nadzieję, że jutro uda mi się dotrzeć do Idaho i spotkać z czytelniczkami. W piątek rano prawdopodobnie będę już na farmie.

– To dobrze.

– A co w domu?

– Nic nowego. Wszystko po staremu. Wstaję rano, idę do pracy, wracam, jem jakieś gotowe danie, oglądam telewizję i kładę się spać.

– Wiesz, że mógłbyś jadać na mieście?

– Pewnie mógłbym, ale wyszłoby drogo.

– To prawda. – Coś, co pęczniało jak mały balonik, kiedy słuchała jego znajomego głosu, nagle oklapło. – Słuchaj, przepraszam, że cię obudziłam. Po prostu pomyślałam, że się odezwę, żebyś się nie martwił.

– Następnym razem postaraj się nie dzwonić tak późno. Trudno mi teraz będzie zasnąć.

Westchnęła.

– Postaram się. Dobranoc, Matthew. Powiedz mamie, że u mnie wszystko w porządku.

– Czekaj, Ginny. Przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

– W porządku. Dobranoc.

Rozłączyła się. Siedziała z telefonem na kolanach, spoglądając w stronę łóżka. Lampka na ścianie rzucała krąg ciepłego żółtego światła. Niespodziewanie w oczach stanęły jej łzy i popłynęły po twarzy niepowstrzymanym strumieniem. Wezbrane pragnienia dwóch dekad paliły jej skórę. Kochała męża, a w każdym razie kiedyś go kochała, ale nie mogła dłużej żyć w taki sposób.

Dwanaście lat temu Matthew zrezygnował z seksu. Oczywiście nie przyszedł i jej tego nie powiedział. Po prostu przestał się z nią kochać. Zupełnie.

Na początku była zaskoczona – do tej pory ich życie erotyczne było całkiem udane, nawet jeśli wkradła się do niego rutyna. Ona wprawdzie nigdy nie miała d o ś ć – chętnie kochałaby się kilka razy w tygodniu, jej mężowi natomiast wystarczał raz na tydzień, czasem nawet raz na dwa tygodnie – ale kiedy lądowali w łóżku, było im dobrze. Matthew był przystojnym mężczyzną, przedmiotem zazdrości jej przyjaciółek. Razem z kumplami z dawnej drużyny futbolowej ćwiczył z użyciem pustaków, dzięki czemu jego klatka piersiowa wyglądała podniecająco,

kiedy zdejmował nudną koszulę agenta ubezpieczeniowego. Miał odpowiednio gęste włosy, twarde mięśnie, gładkie, muskularne ramiona. Swego czasu lubiła zaskakiwać go pod prysznicem i gładzić jego silne ciało. Ręce, barki, klatkę. Wszystko miał takie seksowne.

Aż pewnego razu w listopadzie poślizgnął się w pracy na lodzie, upadł, złamał prawą rękę tak niefortunnie, że konieczna była interwencja chirurga, i w dodatku wypadły mu dwa dyski. Ręka z czasem wróciła do sprawności, ale plecy dokuczały mu przez lata, a od czasu do czasu cierpiał prawdziwe katusze.

Wreszcie któregoś dnia w trakcie rekonwalescencji Ginny zorientowała się, że od kilku miesięcy się nie kochali. Było to zupełnie zrozumiałe, zważywszy na okoliczności, bardzo jednak tęskniła za intymnością, bliskością, rozkoszą i tym wszystkim, co się wiąże z seksem.

Tymczasem Matthew ją odtrącił.

I od tego czasu odtrącał ją za każdym razem. Próbowала wszystkiego. Seksownej koszuli nocnej, a także wspólnego prysznica, który skończył się tak, że nigdy nie zdobyła się na powtórkę. Matthew nie zgodził się na wizytę w poradni małżeńskiej. W ogóle nie chciał na ten temat rozmawiać. Stwierdził, że po prostu nie ma ochoty.

Ginny próbowała go przekonywać. Próbowала się złościć. Podejrzewała, że może kontuzja pleców sprawiła, że stał się impotentem, zaproponowała więc viagrę. Matthew jednak wpadł we wściekłość.

Chciała porozmawiać o tym z przyjaciółkami, ale one zwykle narzekały, że mężowie wciąż je nagabują, składając im skandaliczne propozycje, podczas gdy one często wcale n i e m a j ą ochoty. Nie potrafiła im współczuć.

Zostały jej dwa wyjścia: pogodzić się z tym albo odejść. Miała trzydzieści cztery lata – co w jej środowisku uchodziło za wiek niemal starczy – nastoletnią córkę i pracowała w cukierni w supermarkecie. Gdyby odeszła od męża, co mogłaby zaoferować Christie?

Dlatego została. Z westchnieniem żalu pożegnała się z tą częścią swego życia i nikomu o tym nie powiedziała. Nikt nic nie wiedział. Ani matka, ani siostry, ani żadna przyjaciółka, ani Smakoszki.

Zupełnie nikt.

Siedziała w przyczepie z telefonem na kolanach i nagle stała się świadoma swojego ciała, skóry. Pomyślała o Jacku, kierowcy ciężarówki, i zaczęła się zastanawiać, jakby to było całować takie usta. Usta nieznanego. Jakby to było znowu, po tylu latach, z kimś się kochać.

Zawstydzona wyciągnęła aparat fotograficzny, podłączyła go do laptopa i zaczęła zgrywać zdjęcia. To właśnie ta pasja i blog ją uratowały. Po chwili zapomniała już, jak brzmiał głos nowo poznanego mężczyzny, i zatraciła się

w świecie światła, koloru i kształtu, w świecie fotografii.

Co by bez tej pasji zrobiła przez te wszystkie lata?

Pukanie było tak ciche, że Ginny ani przez sekundę nie wątpiła, że pukający – a dobrze wiedziała kto to – bardzo stara się jej nie obudzić.

Przez długą chwilę siedziała w bezruchu, spoglądając na drzwi. Willow warknęła cicho, ostrzegawczo, jak zwykle – Ginny bardzo to sobie ceniła. Przypomniało jej się, jak Jack wybuchnął śmiechem, kiedy z czegoś zażartowała. I jak na nią patrzył. Jakby była kimś godnym uwagi. Sądząc po reakcji jej niecierplivej skóry, jego oddech, sama obecność stanowiłaby zagrożenie. Zdawała sobie zresztą sprawę, że byłoby czymś niestosownym przyjmować go tylko w pidżamie.

Jej uszu dobiegł cichy dźwięk jazzowej piosenki. I gdy tak patrzyła na drzwi, zastanawiając się, czy otworzyć, jakaś część jej umysłu próbowała rozpoznać melodię. Taneczny szlagier z czasów drugiej wojny światowej? Ale skąd dobiegał?

Cichutkie pukanie rozległo się znowu. Ginny przycisnęła dłoń do gardła, czując pod opuszką palca nierówne pulsowanie krwi.

Otworzyć?

Nie otwierać?

Tylko jedno nie przyszło jej do głowy – że mógł być niebezpieczny. W głębi serca wiedziała, że tak nie jest. Był dojrzałym, zmęczonym życiem mężczyzną, może nawet trochę oportunistą, ale na pewno nie kimś, kto by ją zabił we śnie albo zgwałcił, jeśli nie chciałaby pójść z nim do łóżka.

J e ś l i? Czy to znaczy, że brała pod uwagę taką możliwość? Bo prawdę mówiąc, czego innego mógłby chcieć mężczyzna stojący przed przyczepą o wpół do jedenastej wieczorem?

Patrzyła na drzwi. A gdy uznała, że słyszy oddalające się kroki, podkraśla się do wejścia i odsunęła zasłonkę. Odchodził w deszczu ze spuszczoną głową, przygarbiony i przemoczony.

Nie zawołała go z powrotem.

SMAK NIEBIESKIEGO KSIĘŻYCA

blog o pysznym jedzeniu...

Lato!

<zdjęcie przekrojonego arbuza>

Dziś rano na targu widziałam całe stosy małych ciemnozielonych arbuzów stłoczonych niczym piłki do koszykówki w kartonowych pudłach. Cichutko do mnie wołały, błąkałam się więc, obracając je w poszukiwaniu śladów cukru, jasnych, żółtych plamek, miejsc, które dotykały ziemi, gdy wystawiały twarze na gorące słońce Meksyku. Te były poznaczone paskami jaśniejszej zieleni – podnosiłam je po jednym, ważąc w dłoni, aż znalazłam najcięższy (w stosunku do rozmiaru). A wtedy postukałam zieloną kulą, nasłuchując chlupotania, które powiedziałoby mi, czy jest dojrzały i gotowy.

Wybrałam w ten sposób jeszcze trzy i właśnie przed chwilą rozkroiłam pierwszy. Wydał dźwięk przypominający ssanie, zanim z trzaskiem pękł na pół i odsłonił ciemnoczerwone wnętrza. Ostrzem noża wykroiłam cienki jak pergamin kawałek z samego środka, wrzuciłam do ust i – kochani! – to było tak, jakby zanurkować w zimnej rzece w długie gorące popołudnie, jakby skoczyć pod zraszacz, kiedy człowiek ma pięć lat, jakby oglądać fajerwerki wybuchające nad głową.

Arbuz, sama słodycz lata.

Fakty: arbuzy są nie tylko pyszne, ale wywierają też zdumiewająco dobroczynny wpływ na nasz organizm. Mają niewiele kalorii, a przy tym są bogate w witaminę C, beta-karoten, likopen, magnez oraz witaminę B1 i B6. Mają też łagodne właściwości moczopędne, co może się okazać przydatne, kiedy latem spuchną wam kostki. Skosztujcie plasterek z odrobiną soli albo wymieszajcie kawałki kantalupy, melona miodowego, arbuza i innych owoców, które przyciągną wasz wzrok.

Oto mój ulubiony przepis na sałatkę z arbuza. Jest nie tylko bardzo zdrowa, ale też przepyszna, bo przecież jedzenie nie ma sensu, kiedy nie sprawia przyjemności.

Sałatka z arbuza i awokado

Dressing

pół czerwonej cebuli bardzo cienko pokrojonej w plasterki
2 łyżki brzoskwiniowego octu balsamicznego albo octu szampańskiego, jeśli wolicie
1 łyżka rozgniecionego kolorowego pieprzu
1 łyżeczka soli gruboziarnistej
pół szklanki oliwy z oliwek

Wszystko razem wymieszać i odstawić na co najmniej godzinę.

Sałatka

2 dojrzałe awokado obrane i pokrojone w kostkę
połówka arbuza pokrojona w kostkę
liście szpinaku pozbawione ogonków, pokrojone w wąskie paski (chiffonade) albo porwane na drobne kawałeczki
Zmieszajcie wszystko razem i podajcie przybrane listkami bazylii albo mięty. Smacznego!

Przepisy

Przystawki

Dania główne

Przekąski

Słodkości

Spis alfabetyczny

Kategorie

O Ruby



ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Po dwóch dniach gotowania z Lavender Ruby była wyczerpana. Ramiona jej omdlewały, plecy pobolewały, no i oczywiście w brzuchu wciąż jej się przelewało, więc kiepsko się czuła.

Musiła się zdrzemnąć.

Kotka spała jej na głowie, mrucząc przez sen. Ruby zamknęła oczy i pozwoliła, żeby ten dźwięk bezbrzeżnego zadowolenia rozbrzmiewający pod czaszką ukołysał ją do snu.

Śniła, że leży w pokoju podłączona do kroplówki. Słyszała pisk jakiejś aparatury i niewyraźny głos dobiegający z głośników. Dobrze знаła ten pokój z jego zwodniczo pogodną pościelą i potworem czającym się w kącie. We śnie spoglądała gniewnie na smokopodobną istotę o pionowych źrenicach w czerwonych oczach i czuła, jak palący ból liże jej stopy, stawy i ręce. Potwór ruszył ciężko w jej stronę, oddech miał martwy i cuchnący ciałami dzieci, które zdążył pożreć. „Nie!”, krzyknęła Ruby.

Siła tego okrzyku sprawiła, że z powrotem znalazła się w swoim łóżku. Przytulnym, miękkim łóżku w kamperze, wśród kolorów, jakich ze świecą szukać w szpitalu – złota, srebra, miedzi i różu, wśród deseni pokrywających wszystkie powierzchnie. Ekstrawaganckich, pokrzepiających.

Kociak miauknął, kiedy się przeciągnęła, jego tycie serduszko biło tuż przy jej uchu cichym, miarowym rytmem.

Ruby odwróciła głowę, żeby trącić zwierzątko nosem i odegnąć koszmar. Ten był bardzo stary – jako dziecko tysiące razy śniła o potworze, który zakradł się do pokoju, żeby ją porwać.

Nic dziwnego, że wróciły sny z czasów chemioterapii. Codzienne wymioty przypominały jej tamte dni. Teraz przynajmniej nie mdliło jej bez przerwy całymi tygodniami.

Kotka obudziła się nagle, zeskoczyła z łóżka i pobiegła do wyjścia. Ruby znalazła w miasteczku uprząż dla zwierząt, zsunęła się więc z materaca, przywiązała smycz i otworzyła drzwi.

Kot rzucił się w pogoń za motylem sfruwającym z polnego kwiatka i szaleńczo skacząc, próbował pochwycić piękne stworzenie w powietrzu. Poruszał się z gracją. Z wyciągniętymi pazurami i rozczapierzonymi łapami opadł na ziemię razem ze

zdobyczą.

– Nie! – krzyknęła Ruby.

Było już jednak za późno. Kotka maszerowała po trawie, tak dumna z siebie, że było to zarazem przerażające i zabawne.

– A niech cię! – mruknęła Ruby pod nosem.

– Co ty, u diabła, wyprawiasz? – spytał Noah.

Pojawił się na ścieżce prowadzącej z warzelni, z łopata i grabiami pod pachą. Na rękach miał rękawiczki, na głowie kapelusz, był ubrany w koszulę z długimi rękawami.

– To kotka, która zjawiła się wczoraj w nocy. Uciekała przed kojotem.

– Więc postanowiłaś wziąć ją na smycz, tak?

– A dlaczego nie?

– Miałaś kiedyś do czynienia z jakimś kotem?

– Pewnie, że tak. – Kotka upuściła motyla. Leżał nieruchomo na ziemi, a ona trąciła go zakończoną białą łapką. Zatrzepotał lekko, więc trąciła go znowu, tym razem mocniej. Kawałek skrzydełka się ukruszył. Ruby poczuła, że zbiera jej się na wymioty. – Nie mogę na to patrzeć. – Zrobiła krok w stronę motyla, ale Noah złapał ją za ramię.

– Tak właśnie zachowują się koty. Polują. Zabijają. Czasami jedzą swoją zdobycz, a czasem tylko ją torturują. Lubią ganiać, skakać i śmigać wśród traw jak ta ninja tutaj.

– Mała Ninja – roześmiała się Ruby. Imię pasowało do lśniącego czarnego futerka. – Jak myślisz, ile może mieć?

– Wiem dokładnie. Osiem miesięcy. Urodziła się w stodole. Jej ojciec to zdziczały zakapior. Lubi przechadzać się po lesie niczym pantera, prawdziwy król puszczy.

Ruby zorientowała się, że nigdy dotąd Noah nie powiedział do niej tylu słów.

– Też jest cały czarny?

– Nie – odparł, spoglądając na drzewa, jakby kocur lada chwila miał się stamtąd wyłonić. – Jest ciemnoszary, pręgowany i ma nadszarpnięte jedno ucho. Widziałem, jak łapie wiewiórki, jakby to były mole.

– O rany.

Zmęczona próbami ożywienia motyla kotka zniknęła wśród trawy. Widać było tylko ogon i ciągnącą się za nią smycz.

– Uwolnij ją, Ruby.

– A jeśli coś jej się stanie?

Spojrzał na nią.

– Ludziom i zwierzętom wciąż przytrafiają się różne rzeczy. Nie możesz zmuszać jej do życia, które jest dla niej nienaturalne.

Ruby przypomniała sobie ciemność, pędzącą w jej stronę kotkę i błyszczące oczy kojota.

– Sama do mnie przyszła – odparła. – Właśnie do mnie, w środku nocy. I zgodnie z moim kodeksem honorowym muszę ją teraz chronić.

– W porządku.

Chciał już odejść, kiedy spytała:

– A czy dzikie koty nie zjadają czasem kur?

– Zjadają – odparł i dodał po chwili milczenia: – Zawsze można poznać, kiedy kot był w kurniku. Po tym, co zostało zjedzone. Lubią piersi i udka.

– Kentucky Fried Chicken – roześmiała się Ruby.

– Właśnie. Każde zwierzę zostawia inną wizytówkę. – Zdjął rękawiczki, włożył do tylnej kieszeni, a potem zsunął kapelusz i wytarł spocone czoło. – Skunksy lubią głowę i żołądek. Kojoty nie zostawiają śladów – ciągnął z coraz większym zapalem, oczy mu błyszczały. – Ale najgorsze są szopy. Wsadzają łapy do klatki, a kiedy kura podchodzi, żeby sprawdzić, co to, chwytają ją za szyję i wyciągają. – Zademonstrował. – A potem zanoszą zdobycz nad rzekę, żeby ją umyć.

– Faj – powiedziała Ruby, czując, że żołądek podchodzi jej do gardła. Konieczność zwrócenia była niepowstrzymana i nagła. Podniosła do góry palec, pobiegła na skraj łąki i wymiotowała. Natychmiast poczuła się lepiej. – Przepraszam – powiedziała, wracając. Otarła usta.

Noah stał z rękami założonymi na piersi. Talię miał wąską, przedramiona muskularne, włosy lśniły mu w słońcu. Po raz pierwszy od lat Ruby zainteresowała się, jak mężczyzna inny niż Liam mógłby wyglądać nago. Albo przynajmniej bez koszuli.

Uniósł brew.

– Delikatna z ciebie panienka.

Machnęła ręką.

– Nie, to nie tak. Po prostu jestem w ciąży.

– Aha. To wiele wyjaśnia.

Zmarszczyła brwi.

– Na przykład co?

Wyszczrzył zęby i wtedy po raz pierwszy Ruby zobaczyła, jak się uśmiecha. Nie było w tym nic olśniewającego. Przeciwnie, jego uśmiech był nieco krzywy, przez co równoważył onieśmialającą doskonałość twarzy. Poczuła wzbierającą gdzieś w środku falę czysto kobiecej, hormonalnej przyjemności.

– Nic szczególnego – odparł.

„Naprawdę?”, spytała w myślach. O tym właśnie mówiła Lavender. Był tak piękny, że kobiety wciąż na niego leciały i wkurzały się, kiedy ich nie dostrzegał albo zachowywał dystans.

Zmęczona pogonią za motylami kotka wychynęła z trawy, podeszła do Ruby i otarła się o jej nogi. Ruby podniosła zwierzątko, a ono stuknęło ją łebkiem w podbródek.

– Moje słodkie maleństwo – zagruchała Ruby. – Założę się, że masz ochotę na tuńczyka.

– Dasz jej tuńczyka? Nie jesteś weganą?

– Nie bądź głupi! Koty nie są weganami. Umarłaby, gdyby nie dostała białka.

Zaśmiał się cicho.

– Dobrze wiedzieć.

– Zrobisz nam zdjęcie?

Wyjęła telefon z kieszeni, podała mu, a sama ustawiła się do zdjęcia, unosząc kotkę do twarzy.

Noah przekreślił aparat, podszedł bliżej, nacisnął i zaczekał na rezultat. Przyglądał się zdjęciu przez chwilę, po czym zmarszczył brwi.

– Poczekaj, spróbuję jeszcze raz.

Ruby uśmiechnęła się i pocałowała kotkę, która jakoś to zniosła. Tym razem Noah kiwnął głową.

– Teraz jest dobrze. – Oddał jej telefon. – To na bloga? Czy dla chłopaka?

– Nie, nic z tych rzeczy. Dla taty. Martwi się. – Trzymając kota w objęciach, wysłała ojcu zdjęcie z podpisem: „Ja i Ninja na farmie. Śliczna, co?”.

– Zdaje się, że to właśnie robią ojcowie.

Na podjazd przed sklepem wjechała półciężarówka, ciągnąc błyszczącego starego airstreama.

– Ginny! – pisnęła Ruby. Postawiła kotkę na ziemi i zaraz zawahała się, czy nie powinna zamknąć jej w przyczepie. Kociak usiadł, żeby polizać łapkę. Ruby wzięła go, ucałowała w rozgrzany lśniący bok i zaniósła do kampera. – Zaraz wracam, skarbie.

Zerknęła na Noaha, ale on tylko popatrzył na nią nieodgadnionym wzrokiem. Odwróciła się na pięcie i pobiegła w dół zbocza. Zaraz jednak chwyciła ją kolka, więc resztę drogi pokonała spacerowym krokiem. Półciężarówka gładko zatoczyła koło, prowadzona z wyraźnie widoczną wprawą.

Dopiero gdy Ruby podeszła bliżej, zorientowała się, że airstream to nie małe Bambi, tylko przyczepa w sam raz na podróż dookoła świata – ogromna, z dwójgiem drzwi i mnóstwem okien. Ginny martwiła się o możliwości holownicze swojego dżipa, tymczasem tego giganta ciągnął duży czerwony ford, który wyglądał, jakby dał radę holować dwa razy większy ciężar. Światło padało pod takim kątem, że Ruby nie mogła zajrzeć do środka, nawet gdy przysłoniła oczy ręką.

Od strony chaty nadeszła Lavender w zielonych bawełnianych rękawiczkach.

W ręku trzymała szpadel, który uniosła, żeby osłonić oczy przed słońcem.

– To nie może być Ginny.

Ruby potrząsnęła głową, świadoma, że Noah też do nich dołączył. Wszyscy troje czekali, a gdy drzwiczki forda się otworzyły, wyskoczyła z nich bardzo wysoka, długonoga dziewczynka. Miała mocno zarysowane kości policzkowe i ciemne włosy zaplecione w obwiązane rzemieniem warkocze. Na rękach nosiła bransoletki z koralików, na nogach mokasyny, a mimo to Ruby nie rozpoznała jej, dopóki z samochodu nie wyłoniła się kobieta tak mała, jak dziewczynka była wysoka. Jej skóra, dużo ciemniejsza, miała barwę lśniących orzechów pekanu. Kobieta poruszała się z gracją primabaleriny, którą niegdyś była.

– Niespodzianka! – zawołała. – Jednak zdecydowałyśmy się przyjechać.

– Valerie! – wykrzyknęła Ruby i spojrzała jeszcze raz na dziewczynkę, która w kostiumie rdzennej Amerykanki była nie do poznania. – Hannah, w ogóle się nie zorientowałam, że to ty!

Dziewczynka popatrzyła na nią spod na wpół przymkniętych powiek i skinęła głową, Ruby jednak zauważyła, że jej wzrok ześlizgnął się na Noaha. W jednej chwili nozdrza nastolatki się rozszerzyły. Uniosła podbródek do góry, przechylając go, żeby ukryć wzrok, i odrzuciła głowę do tyłu.

– Cześć – powiedziała z bezbrzeżnym znużeniem w głosie.

Ruby zerknęła na Valerie, unosząc brew. Valerie leciutko wywróciła oczami – „A nie mówiłam?” – i powiedziała:

– Niech cię uściskam, ślicznotko. I mów zaraz, jak się miewasz.

A kiedy już wszyscy się wyściskali i wycalowali, Valerie odsunęła się i spytała:

– Gdzie Ginny? Myślałam, że dotrze przede mną.

– Będzie dopiero w piątek.

Ruby zalała fala niejasnego niepokoju, który rzecz jasna znalazł ujście w żołądku. Chwyciły ją mdłości. Odskoczyła na bok i całą zawartość żołądka zwróciła w chwasty. Naprawdę miała dość tych gwałtownych wymiotów.

– Niech to szlag! – warknęła, ocierając usta. – Dostyc już mam tego rzygania.

– Jesteś chora? – spytała zaniepokojona Valerie.

– Nie – odparła Lavender, delikatnie obejmując Ruby ramieniem. – Chodźmy coś zjeść. Co wy na to? Wszystko wam opowiemy.

Łagodnie pchnęła Ruby w kierunku domku i zagarnęła Hannah długim ramieniem. Dziewczynka była prawie tak wysoka jak ona.

– Tak się cieszę, że cię widzę. Nie mogę się doczekać opowieści o rezerwatach.

– Siedzibach etnicznych – poprawiła ją Hannah i wyswobodziła się, żeby ruszyć przodem.

Valerie westchnęła i powiedziała ściszym głosem:

– To była długa podróż.

Noah wyniósł stół i krzesła na dwór i postawił je na płaskim kawałku trawnika upstrzonym maleńkimi stokrotkami. Wielka wierzba rozciągała swe ramiona nad domkiem i podwórzem, a u jej stóp kręgiem rosły kwiatki.

Valerie i Lavender pokroiły ogórki, pikle i pomidory i wyłożyły na talerze indyka, jajka na twardo, hummus, seler naciowy i czerwoną paprykę. Zmuszona do pomocy Hannah tupiała po drewnianej podłodze stopami w miękkich skórzanych butach, żeby zmanifestować niezadowolenie. Ruby przygotowała sałatkę z arbuza i awokado, które kupiła w McMinnville, a gdy Hannah uniosła brew na znak obrzydzenia, powiedziała:

– Jest pyszna, przekonasz się.

Przyłapała się na tym, że obserwuje dziewczynkę. Za każdym razem, gdy do domku wchodził Noah, Hannah prostowała się niemal wyniośle i popisywała swoim profilem, ostrym i wyraźnym jak na monecie. Wzruszająco garbiła szczuplutkie ramiona, żeby ukryć biust. Ruby pamiętała siebie z tego okresu, pamiętała niespodziewane, niezrozumiałe spojrzenia, uwagę chłopców, która czasami jej schlebiała, a czasami przyprawiała ją o konsternację.

Kiedy już wszyscy zasiedli wokół stołu, Valerie spytała:

– Ruby, czyli nie jesteś chora, tak? Te wymioty to nie z powodu chemii?

– Mój Boże, nie! – odparła Ruby. – Przepraszam, nie sądziłam, że tak pomyślisz. Po prostu jestem w ciąży.

Valerie uniosła brwi.

– Serio?

– Serio. Mam termin na drugiego października. – Odchyliła się, żeby położyć ręce na zaokrąglonym brzuchu. Wydawało jej się, że jest większy niż wczoraj. Z pewnym zadowoleniem stwierdziła: – Boję się, że będę wielka jak stodoła.

Valerie pochyliła się nad stołem i ścisnęła ją za rękę.

– To wspaniale. Absolutnie cudownie.

– Dziękuję.

Valerie spojrzała z ukosa na córkę.

– Cuda się zdarzają.

Hannah zamachała stopą, ćwicząc się w trzymaniu dystansu.

– A co u Ginny? – spytała Valerie. – Od kilku dni nie miałam od niej żadnych wieści. Ani maila, ani SMS-a. – Pochyliła się i zanurzyła kawałek selera w miseczce z hummusem. – Boję się, że utknęła za linią ognia.

– Za linią ognia?

– W Idaho szaleje wielki pożar. Wprawdzie kiedy przejeżdżaliśmy tamtędy wczoraj, nie było poważniejszych utrudnień, ale zapowiadali wichury i miejscowi się martwili.

– Czytałam wczoraj wieczorem posta na jej blogu. Była dopiero w Utah.

– Przez ostatnich kilka dni nie zaglądałam do Internetu. – Val poklepała się po kieszeniach bojówek. – Hannah, przyniesiesz mi telefon? Zostawiłam na desce rozdzielczej.

Hannah przewróciła oczami i wydała przeciągłe westchnienie.

– Migiem, dziecko – powiedziała Valerie.

Dziewczynka wstała i ruszyła w stronę auta. Valerie zaczekała, aż znajdzie się poza zasięgiem głosu, i powiedziała cicho:

– Doprowadza mnie do szalu.

Hannah się odwróciła.

– Słyszałam. Po prostu nie chcę być niewolnicą.

– Nie mówiłam do ciebie, Hannah. Idź po telefon.

Ruby patrzyła, jak dziewczynka szura nogami po wysypanym żwirze podjeździe. Pomyślała, że takie podłoże musi być bolesne dla stóp w cienkich skórzanych mokasynach.

– Też przechodziłam okres indiański.

Noah parsknął.

– No co? – powiedziała, zachowując powagę. – Wiesz, że w jednej sto dwudziestej jestem Czirokezką?

Nozdrza mu zadrgały.

– Właśnie widzę.

– Chciałam tylko powiedzieć, że dziewczynki przechodzą różne okresy. Mnie się wydawało, że jako Indianka będę miała lepszy kontakt z ziemią. No i uwielbiałam kulturę plemion Wielkich Równin.

– Narodów – poprawiła ją Valerie.

Ruby zachichotała.

– Racja.

– Wiem. – Valerie oparła się na krześle, obracając okulary w smukłych brązowych dłoniach. – To po prostu pewien etap czy pasja, ale wolałabym, żeby interesowali ją bohaterowie własnej kultury. Tecumseh i Siedzący Byk to ważne postaci historyczne, ale przecież Chevalier de Saint-George i W.E.B. Du Bois tak samo. A ze strony ojca ma wielkich Szkotów – Williama Wallace’a i... zresztą kogokolwiek.

Lavender prychnęła.

– Przesada. – Postawiła na stole szklanę z herbatą. Zadzźwięczały kostki lodu. – Daj jej czas. Pasja to bardzo dobry sposób, żeby sobie poradzić z trudnymi rzeczami.

– Wiem. Dlatego wybrałyśmy się w tę podróż.

– Tecumseh i Siedzący Byk? – spytał Noah.

Valerie się uśmiechnęła.

– Tak. Ma fioła na punkcie Siedzącego Byka.
– Ma dobry gust.
– A ty, dziewczyno? Jak sobie radzisz? – spytała Lavender, mrużąc oczy. – Dobrze wyglądasz.
– Dziękuję. U mnie wszystko w porządku. – Sięgnęła po kolejny kawałek selera. – Dlaczego tylko ja jem?
Ruby się roześmiała.
– Czekałam, aż inni się poczęstują, zanim zamienię się w rosomaka.
– Jedz! – Lavender nałożyła sobie trochę owoców i wzięła kromkę chleba. – Od paru tygodni mam kłopoty z żołądkiem. Nigdy nie wiem, co wywoła niestrawność.
– Byłaś z tym u lekarza? – spytała Valerie.
Lavender machnęła ręką.
– Jeśli będziesz mnie traktować jak staruszkę, to ja cię zacznę traktować jak wdowę.
Valerie uniosła ręce w geście poddania.
– Nigdy by mi to nie przyszło do głowy. – Obejrzała się przez ramię, żeby sprawdzić, czy nie widać Hannah. – To najlepsze, co nas spotkało po wyjeździe z Cincinnati. Nareszcie możemy być niewidzialne. Ot, zwykłe turystki. U nas to by nie przeszło.
– Domyślam się. – Ruby zaczęła wcinać sałatkę, rozkoszując się zimną słodyczą arbuza i kremowością tłustego awokado. – Wiesz już, gdzie wylądujecie?
– Nie do końca. Mamy zamiar spędzić lato z moimi rodzicami w San Diego, ale kto wie, co będzie potem. Może skończymy, szwendając się przez cały rok.
Hannah wróciła. Jej długie ręce i nogi poruszały się tak, jakby nie miały stawów. Naprawdę śliczna dziewczyna, pomyślała Ruby. Chętnie pobawiłaby się jej włosami.
– Proszę, masz swój telefon. Czy teraz mogę już coś z j e ś ć ?
– Oczywiście. – Valerie otworzyła klapkę. – Żadnych SMS-ów. – Dotknęła ekranu. – Ani maili. Ale na pewno wszystko u niej w porządku.
– Mam nadzieję, że przeżywa właśnie jakąś cudowną przygodę – powiedziała Ruby, przyglądając się plasterkowi czerwonej cebuli.
– To na pewno – zgodziła się Lavender.
Komórka Ruby zabręczała. Wiadomość od ojca: „Słodkie zdjęcie! I widać już brzuszek. Jak się ma moja dziecina?”
Ruby uśmiechnęła się i odpisała: „Która?”
„Nienawidzę SMS-ów. Zadzwoń, dobrze?”
„Za chwileczkę”
– Przepraszam na moment. Mój ojciec jest ciekaw nowin.
Brodząc w trawie, ruszyła w stronę pól lawendy.

– Cześć, tato – powiedziała, gdy odebrał. – Co słyhać?
– Nic szczególnego. A u ciebie? Wszystko w porządku?
– Tu jest przepięknie. – Wciągnęła w nozdrza zapach lawendy prażącej się w promieniach słońca. – Czy w Oregonie nie powinno być mroczno i ponuro?
– O tej porze roku? Nie sądzę. Na północnym zachodzie latem jest ślicznie. – Ruby słyszała odgłosy gotowania, szcęk łyżki uderzającej o rondel. – A więc masz teraz kota? Wiesz, że nie możesz mu sprzątać kuwety, dopóki jesteś w ciąży?

– Nie. Dlaczego?
– W kocich odchodach są pasożyty. Nie wolno ci ich dotykać.
– Dobrze wiedzieć. W każdym razie to dzika kotka ze stodoły, więc myślę, że będzie się kręcić obok, ale tak naprawdę nie da się oswoić. Lubi jeść myszy.
– Jest słodka. Dobrze się czujesz?

Ruby pomyślała o mdłościach, o wymiotach bez końca, o swoim marudzeniu i kłopotach ze snem, ale na to jej ojciec nie mógł nic poradzić. Będzie się tylko zamartwiał, tymczasem ona jakoś da sobie radę.

– Nic mi nie jest, tato. Lavender i reszta dobrze się mną opiekują.
– W porządku. To cię nie zatrzymuję. Informuj mnie na bieżąco.
– Będę. Kocham cię, tato.
– Ja ciebie też, Ruby.

Jedną ręką dotknęła ekranu, żeby się rozłączyć, a drugą musnęła krzak lawendy sięgający jej bioder. W roztargnieniu najechała na ikonę poczty. Pojawiła się skrzynka odbiorcza zapełniona zwykłymi śmieciami. Było też kilka wiadomości od przyjaciół, a na końcu elektryzujący mail od Liama.

Nagłówek głosił: „Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć”.

Zimne macki owinęły jej się wokół szyi, gdy kliknęła wiadomość. Treść listu nie zdążyła jeszcze pokonać cyberprzestrzeni, stała więc długie sekundy z telefonem w dłoni, patrząc, jak małe kółeczko obraca się, informując, że wiadomość wciąż się ładuje.

Wciąż się ładuje.

Wciąż się ładuje.

Wydała cichy okrzyk i aparat jakby ją usłyszał, bo nagle wyświetlił całą wiadomość. Krótką i treściwą.

Droga Ruby!

Wolałem, żebyś dowiedziała się tego ode mnie zamiast od przyjaciół czy kogoś innego. Za dwa tygodnie żenię się z Minną. Przykro mi, jeśli Cię tym zraniłem. Nigdy nie miałem takiego zamiaru.

Trzymaj się,

Liam

Ruby krzyknęła. Poczwała w środku ostry, rwący ból, jakby potwór dosięgnął jej serca, wyrwał je i zostawił poszarpane, krwawiące naczynia. Opadła na kolana, niemal zagrzebując się w lawendzie, z takim impetem, że jej ciało przeszedł dreszcz.

L i a m!

OD: ginny@ciastomarzen.com

DO: valerie@winnatancerka.com

TEMAT: Pozdrowienia z Utah

Jest czwartek rano, a ja siedzę przy stoliku, spoglądając na cudne, ach, cudne góry.

Cześć, Val. Jak tam wieści z krainy Custer^[1]? :-) Nie pamiętam, gdzie zgodnie z planem powinnyście teraz być, więc czekam, aż mnie oświecisz.

Ja jestem w Utah, na obrzeżach Porvo. Wczoraj musiałam zrobić przerwę ze względu na wicher, a potem w nocy padał deszcz. Ktoś powiedział, że to dobrze, że pada, i źle, że wieje, bo ponoć w Idaho szaleją pożary. Będziesz tamtędy przejeżdżać? Droga do Boise wydaje się całkiem bezpieczna (phi!).

Wczoraj wieczorem zdarzyło mi się odbyć niezwykle ciekawą rozmowę! Wpadłam na kierowcę ciężarówki, tego samego, który zachwycał się Willow na postoju pierwszego dnia mojej podróży. Jego też wichura zmusiła do zjechania z drogi, więc od razu poczułam się lepiej – skoro nawet ciężarówki się zatrzymują, to znaczy, że jazda w takich warunkach to nie bułka z masłem, prawda?

Teraz, kiedy w końcu się na to zdobyłam, jestem jeszcze bardziej niepokieszona, że tak strasznie bałam się jechać sama do Cincinnati na pogrzeb. Wiem, że mówiłaś, że to rozumiesz, ale to było z mojej strony tchórzostwo. Powinnam była być tam z Tobą, tymczasem bałam się samotnej podróży. Teraz już nawet nie pamiętam, co takiego mnie w niej przerażało.

Trudno. Było, minęło.

Dobra, czas ruszać w drogę. Przede mną mnóstwo kilometrów, zanim zasnę za kółkiem, hahaha.

Ginny

[W KOLEJCE DO WYSŁANIA... NIEWYSŁANE]



ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Willow obudziła Ginny o szóstej. Węszyła pod kołdrą, mocno przy tym dmuchając i pobrzękując delikatnie zawieszkami przy obroży. Przez okna wpadało jasne światło poranka, obiecując ładną pogodę po drodze. Ginny wciągnęła spodnie od dresu i bluzę.

Gdy tylko wyszła z przyczepy, zauważyła, że wielki niebieski tir Jacka zniknął. I choć nie było w tym nic dziwnego, poczuła w piersi ukłucie zawodu.

Z drugiej strony niebo było nieskazitelnie czyste i tak błękitne, że oczy aż bolały od patrzenia. Ani jeden obłoczek nie psuł jego doskonałości, choć na północy nisko nad horyzontem majaczył cieniutki pasek chmur. Nic niepokojącego. Ginny powinna dziś bez problemu dotrzeć do Boise, a jutro – farma Lavender!

Zjadła proste śniadanie – jogurt, tost i kawę – przy stoliku w przyczepie, spoglądając przez okno na urwiste, błękitne grzbiety Gór Skalistych. Przyjemność rozlała się po jej ciele tuż poniżej żeber. Skropiła tost odrobiną miodu.

Pewnie powinna była wyprowadzić Willow na spacer i zamieścić posta na blogu, ale jakoś nie miała na to ochoty. Może znajdzie gdzieś po drodze bardziej atrakcyjne miejsce na spacer i może czytelnicy wybaczą jej, jeśli raz nic nie napisze. Ostatni wpis zrobiła wczoraj wieczorem, więc może następny zamieści później, zwłaszcza że miała się dziś spotkać z grupą czytelniczek.

Rozłożyła mapę, wyznaczyła trasę, wyliczyła odległości i zaplanowała postoje, zostawiając sobie pewien margines swobody. Do Boise powinna dotrzeć między czwartą a piątą po południu. Czytelniczki miały ją zgarnąć o wpół do siódmej.

Ubrała się i napaściła gorącej wody do zlewu, żeby pozmywać. Telefon na stole zaczął brzęczeć, zakreśliła więc kran i skoczyła po aparat. Na wyświetlaczu widniał numer córki.

– Hej – powiedziała ucieszona. – Nie powinnaś przypadkiem być w pracy?
– Jestem, ale postanowiłam zrobić sobie przerwę, żeby zadzwonić do mamy i zapytać, jak tam jej wielka przygoda.

Ginny nie potrafiła powstrzymać śmiechu.

– Łatwo nie jest – powiedziała z pewną emfazą – ale nigdy w życiu się tak dobrze nie bawiłam.

– Czytam bloga. Widać, że humor ci dopisuje. Spotkałaś jakichś ciekawych ludzi?

Ginny oblała się rumieńcem od czoła aż po dekolt.

– Niezupełnie. Szczerze mówiąc, nie mam czasu na szukanie towarzystwa. Poza tym jadę na farmę, żeby się spotkać z przyjaciółkami.

– Mamo, powinnaś gdzieś wyskoczyć i się rozerwać! Spodoba ci się. Obiecuj, że to zrobisz.

– Spróbuję. – Włożyła do zlewu kubek, łyżeczkę i miskę. – Rozmawiałaś z tatą?

– Tak – odparła Christie. – Nie podoba mu się to, co robisz, ale przecież wiesz.

– Wiem.

– Nic mu nie będzie, mamo. Pamiętaj, że to twoja przygoda. Przecież nie chciałybyś, żebym ja nie zrobiła czegoś tylko dlatego, że jakiś facet by się na mnie wściekał.

– To nie jest jakiś facet, Christie. To twój tato.

– I będzie moim tatą, nawet jeśli będzie się na ciebie wkurzał – zauważyła. A po chwili dodała: – Ciekawe, że nazwałaś go moim tatą, a nie swoim mężem.

Ginny zamarła nad zlewem ze ściereczką do zmywania w dłoni. Wisiało ich tu kilka, ozdobionych niebieskimi i żółtymi lamówkami, praktycznych i czystych, bo kupiła je tuż przed podróżą. Coś w niej wezbrało, poczucie, że tego rodzaju szczegóły zawsze będą częścią jej życia. Woda w zlewie parowała.

– Hm – odparła.

– Tylko nie przejmuj się tym teraz – powiedziała Christie. Słysząc było, że rozmawia z kimś przez ramię. – Przepraszam, muszę kończyć. Chcą, żebym podpisała jakieś wykresy.

– Nie ma sprawy. Kocham cię, skarbie.

– Ja ciebie też. Zadzwoń, jak dotrzesz do Lavender. I domagam się mnóstwa zdjęć!

– Zadzwonię.

Rozłączyła się zamyślona. Spoglądała przez okno nad zlewem, trzymając telefon w dłoni. Wtem Willow warknęła niespodziewanie, a przestraszona Ginny podskoczyła. Komórka wyslizgnęła się jej z ręki i wpadła do wody.

– O Boże! – Włożyła rękę do parującego zlewu, żeby wyłowić telefon, ale natychmiast ją wyciągnęła, bo gorąca woda poparzyła jej skórę. – Niech to szlag!

Sekundy mijały jak oszalałe, a Ginny w panice próbowała wymyślić jakiś sposób, żeby wydobyć aparat. Rękawiczki? Nie, nie miała ich tutaj. Łyżka! Szarpnęła szufladę zbyt gwałtownie i cała zawartość wysypała się na podłogę.

– Cholera!

Wyciągnęła łyżkę wazową ze sterty sztućców i zanurzyła w zlewie. Najpierw wyłowiła łyżeczkę, potem kubek, wreszcie na końcu komórkę.

Ociekającego wodą, przemoczonego do ostatniego mikroczipa smartfona. Ekran był martwy. Woda kapiała z obudowy i wszystkich możliwych otworów. Serce

Ginny zamarło.

Ale się nie poddała. Zdjęła osłonkę i starannie ją wytarła. Co to było, co pomaga wysuszyć elektronikę? Płatki owsiane? Nie, ryż.

Którego nie miała.

Willow podniosła łeb, żeby popatrzeć, jak Ginny załamuje ręce. Cierpliwość i zwykła ciekawość w jej oczach koloru whisky sprawiły, że Ginny się uspokoiła.

– To tylko komórka, prawda? A nie koniec świata. Zdobędziemy ryż i spróbujemy ją wysuszyć. Mogło być gorzej. To tylko zepsuty telefon. Nic wielkiego.

Willow zamerdała.

Ginny stała przez chwilę z martwym aparatem w dłoni. Dziwnie się czuła. Kiedy ostatni raz tak z u p e ł n i e była odcięta od świata? Oczywiście zawsze w razie konieczności mogła włączyć komputer, ale nie o to chodziło.

Włożyła cienką kurtkę i poszła do baru. Dochodziła dopiero ósma i o tej porze ruch był jeszcze niewielki. Kierowcy wyruszyli bardzo wcześnie, próbując pewnie nadrobić wczorajsze przestoje. Dziewczyna z długimi czarnymi włosami porządkowała paragony przy kasie.

– Stolik dla jednej osoby?

– Nie, dziękuję. Mam prośbę. Zamoczyłam telefon i potrzebuję trochę ryżu. Mogłaby pani spytać menedżera, czy nie sprzedałby mi kilku szklanek?

– A to pech – uśmiechnęła się dziewczyna. – Zaraz zapytam. Zwykły ryż, tak?

– Tak myślę.

Dziewczyna zniknęła w kuchni, a tymczasem Ginny zauważyła w jednym z boksów kelnerkę, która obsługiwała ją zeszłego wieczoru. Kobieta jadła śniadanie. To była długa noc. Kelnerka także dostrzegła Ginny i zmrużyła oczy. Gestem przywołała ją do siebie.

Gdy Ginny ruszyła w jej stronę, kobieta wyciągnęła z kieszeni liścik i przesunęła na krawędź stołu.

– Zostawił to dla ciebie, skarbie. Nie wiem, dlaczego sam ci tego nie dał.

– Kto taki?

– Jack.

Ginny przejechała palcem po złożonej kartce. Stały jej przed oczami jego przemoczone plecy, gdy odchodził w mrok wczoraj wieczorem.

– Uważaj, skarbie. – Kobieta miała dwie nieduże, identyczne smugi tuszu pod oczami. – To nie jest osiadły typ.

Ginny wsunęła liścik do kieszeni dzinsów.

– Jestem mężatką.

– Skoro tak twierdzisz. – Kelnerka czerwonymi, spracowanymi dłońmi podniosła do ust tosta. – To tylko przyjacielskie ostrzeżenie.

– Dzięki. – Ginny kątem oka zauważyła dziewczynę z kasy wracającą z kuchni. – Do widzenia.

Gdy szła do lady, liścik kłuł ją w udo, jak gdyby jego róg był naostrzony. Dziewczyna wręczyła jej przy kasie torebkę ryżu.

– Dwa dolary.

Ginny podała jej pieniądze.

– Powodzenia!

„Zepsuty telefon, pomyślała Ginny, wychodząc na słoneczny poranek – ale za to liścik od faceta”. Dlaczego dał go kelnerce? Dlaczego nie zostawił za wycieraczką albo w drzwiach przyczepy?

Zanim przeczytała wiadomość, włożyła telefon do torebki z ryżem i skończyła zabezpieczać przyczepę przed podróżą. Willow wskoczyła na tylne siedzenie dżipa. Ginny stanęła przy drzwiczkach od strony kierowcy i wyciągnęła liścik. Słońce świeciło prosto w jej niczym nieosłonięty kark i odbijało się od kartki. Musiała zmrużyć oczy, żeby odczytać wiadomość.

Pismo było osobliwie eleganckie, wszystkie ogonki i kropki starannie narysowane. To ją zaskoczyło.

Droga Ginny!

Postanowiłem zdać się na los. Jeśli zajrzysz do baru dziś rano, zanim Veronica wróci do domu, i jeśli ona zechce dać Ci ten list, to go dostaniesz. Jeśli nie, no cóż, to znaczy, że pisana nam była tylko przelotna znajomość.

Próbowałem zobaczyć się z Tobą jeszcze wczoraj, ale albo spałaś, albo może nie miałaś ochoty wpuszczać nieznanego o tak późnej porze, co pewnie było mądrym posunięciem. Prawdopodobnie robię z siebie głupca, pisząc ten list jak jakiś uczeń, ale tak dobrze mi się z Tobą wczoraj rozmawiało, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi, którzy spotkali się po latach.

Nie będę kłamał – bardzo miło mi się na Ciebie patrzyło. Na piegi na twoim nosie, nieśmiały uśmiech i... na inne rzeczy też, ale grzeczność nie pozwalała mi powiedzieć więcej.

Pewnie myślisz teraz, że jestem wariatem. I wcale Ci się nie dziwię. Ale musiałem do Ciebie napisać i spróbować.

Mówiłaś, że jesteś mężatką i szanuję to. Masz mój numer. Mój adres mailowy to hghgains@intertime.net. Jeśli będziesz miała okazję, skrobnij słówko.

Jack

Ginny dotknęła swego piegowatego nosa, a potem na jedną gorącą chwilę przypomniała sobie szare oczy Jacka i jego pełen sympatii uśmiech. I gdy tak stała na brzydkim postoju dla ciężarówek pod bezkresnym błękitnym niebem, trzymając

pierwszy list, jaki kiedykolwiek napisał do niej mężczyzna, miała wrażenie, że coś się przed nią otwiera. Jak gdyby jej prawdziwe życie od fałszywego, tego, którym żyła dotąd, dzieliły góry, a ona nagle dostrzegła wśród nich drogę.

Nie zadzwoni do niego, to jasne. Tak zaczynają się romanse, a ona nie była taką kobietą. Ale pozwoliła sobie przez chwilę o nim pomyśleć – o tym, jak z zachwytem spoglądał na jej pęgi i piersi, a może nawet pośladki, kiedy odchodziła. Powietrze zapachniało watą cukrową, zmiętą pościelą i wszystkim tym, czego od tak dawna jej brakowało.

Schludnie jak to ona złożyła liścik wzdłuż zagięć i wsunęła do schowka na rękawiczki, gdzie był bezpieczny i niewidoczny zarazem.

A potem niespiesznie zwróciła myśli ku przyjaciółkom czekającym na nią w Oregonie. Jeszcze tylko jedna noc i wreszcie do nich dołączy!

Ginny okrążyła Wielkie Jezioro Słone i późnym rankiem ruszyła w stronę Idaho. Ruch na drodze znacznie zmalał, zresztą nic dziwnego, w końcu był czwartek. Po drodze widziała inne samochody z przyczepami, samotnych jeźdźców w subaru, najwyraźniej w długiej podróży, i pojedyncze tiry, które doganiały ją i wyprzedzały.

Dzień był bardzo gorący i mimo klimatyzacji chodzącej na pełny gwizdek Ginny czuła, że ma spocone plecy i głowę. Dwa razy częściej niż zwykle zatrzymywała się, żeby napić i wyprowadzić Willow, bo bała się, że się odwodni. Koniec końców odkręciła z tyłu okna do połowy, żeby zrobić jej przewiew.

Coś przyprawiało ją o kichanie, ale nie zakręciła szyb.

Bardziej niepokojące były chmury na horyzoncie. Ciągnęły się ponad górami jak okiem sięgnąć, od wschodu do zachodu. Były gęste i wisiały nisko, gdzieniegdzie jednak przebijało przez nie słońce, więc może nie było powodu do zmartwień. Nie zamierzała wpadać w paranoję na punkcie deszczu.

Gdyby miała działający telefon, mogłaby sprawdzić prognozę. Zamiast tego zaczęła kręcić pokrętełkiem radia, żeby znaleźć lokalną rozgłośnię. Udało jej się złapać jedną z Salt Lake City, a potem natrafiła na trzeszczącą regionalną stację z Boise, ta jednak nie nadawała prognozy ani żadnych innych informacji, tylko jakąś bezmyślną licencyjną papkę.

Wyłączyła radio. Jeśli pogoda się pogorszy, po prostu się zatrzyma.

Ale im bliżej była Boise, tym bliższe i gęstsze zdawały się kłębiące nad drogą chmury. Ginny pomyślała, że wyglądają jak oddech smoka, i natychmiast poczuła gryzącą woń dymu.

Czyżby to był p o ż a r? Jack wspominał, że wichura może podsycić ogień w lesie. Zwolniła, żeby przez przednią szybę uważnie przyjrzeć się ciemnopopielatym obłokom. Nie potrafiła jednak stwierdzić, czy różnią się od zwykłych burzowych. W pewnym sensie perspektywa szalejącego gdzieś ognia była

mniej zniechęcająca – przynajmniej nie będzie musiała jechać w deszczu i wśród błyskawic, zamartwiając się na śmierć, czy nie ześlizgnie się z szosy. Autostrada biegła wzdłuż gór, nie przez nie.

Poza tym chmury przesłoniły słońce, dzięki czemu temperatura nieco spadła. Włączyła znowu radio, na wypadek gdyby jednak bliżej Boise udało jej się złapać prognozę pogody, i zaczęła podśpiewywać razem z nim.

Dzisiaj pokonywał kolejne kilometry, a umysł Ginny błędził po bezdrożach. Tysiące rzeczy przychodziły jej do głowy i po chwili odpływały – wspomnienia, możliwości, pomysły na przepisy. Ranczo z budynkami pokrytymi zieloną dachówką nieoczekiwanie przywiodło jej na myśl rower, który miała jako dziecko. Jeździła nim po żwirowych wiejskich drogach, a wiatr rozwiewał jej włosy. Setki razy spadała z niego, rozbijając kolano albo łokieć. Połknęła chyba z tonę kurzu. Jako nastolatka błagała rodziców o motocykl, nie chcieli jednak o tym słyszeć.

Te wspomnienia sprawiły, że zmarszczyła brwi. Kiedyś była dzielna. Silna. Co takiego stało się po drodze, że to się zmieniło?

Może chodziło o próbę wyrwania się z Dead Gulch. Prawie jej się udało, a potem przyszła klęska. Zwyczajna, nudna klęska. Cięża. Szybki ślub dwojga zbyt młodych ludzi.

Oczywiście za nic nie oddałaby Christie. Jej córka okazała się prawdziwym błogosławieństwem. Ale gdyby mogła wybierać jeszcze raz, czy wyszłaby za Matthew?

Dawno, dawno temu nie był jej obojętny. Z niewiadomych przyczyn stanął jej przed oczami mąż Marnie. Pewnego razu na grillu złapał żonę za pupę. Ginny była w łazience, a on myślał, że nikt ich nie widzi. To był chwyt! Zanurzył palce w jej tyłeczku, jeden wsunął w rowek między pośladkami. Ginny omal nie spaliła się z zazdrości. Ze swoją łysiną i wielkim nosem Bobby nie był atrakcyjny fizycznie, ale widać było, że zawsze ma ochotę na seks. I że będzie brał kobietę mocno, krzyczał głośno i dopilnuje, żeby ona doszła tak jak on.

Dopiero wtedy Ginny zorientowała się, że chmury zrobiły się gęstsze. Kłębiły się, spływając ze zbocza.

Ogień.

Zaskoczona zjechała na pobocze. Czowała, że dziwnie kręci jej się w głowie. Jasnopomarańczowe płomienie na tle wzgórz układały się w regularny deseń – jeden u góry, jeden u dołu, następny u góry i tak dalej.

Niewiele myśląc, złapała aparat leżący na tylnym siedzeniu. Willow zapiszczała, ale Ginny ją uspokoiła:

– Zostań, maleńka. Zaraz wracam.

Pobiegła w dół zbocza, omijając po drodze dwie nitki drutu kolczastego. Rozejrzała się tylko, czy w pobliżu nie ma byków gotowych do szarży. Ogień był

wprawdzie przed nią, ale zwierzęta raczej by przed nim uciekały, a nie biegły w jego stronę.

Jakby na potwierdzenie tej teorii w polu widzenia pojawiła się nagle nieduża grupka rączych antylop. Ginny wycelowała obiektyw i szybko zrobiła serię zdjęć: ciemność, pomarańczowa linia ognia i umykające przed nim zwierzęta. Wspaniałe ujęcie! Zalała ją fala przyprawiającej o zawrót głowy artystycznej rozkoszy.

Skierowała aparat na płomienie, które spływały ze zdumiewającą prędkością, pożerając po drodze drzewa i krzewy niczym wygłodniały smok. Samochody pędziły obok, gdzieś w oddali rozbrzmiewały syreny.

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, gdy usłyszała Willow szaleńczo ujadającą w samochodzie. Opuściła aparat i zamarła. Płomienie ryczały na zboczu tuż przed nią, dyszące i ruchliwe niczym żywa istota. Jęzory ognia rozlewały się po szczycie wzgórze i znikwały.

Ginny nie mogła oddychać. Nie była w stanie poruszyć nogami. Trzymała aparat przy piersi jak tarczę.

Popiół i poczerniałe od pożaru odłamki wirowały w powietrzu niczym śnieg, niektóre wciąż jeszcze płonęły. Widziała, jak od rozżarzonego pyłu zajmuje się trawa u jej stóp, a mimo to nie mogła...

– Co pani wyprawia?! Niech pani ucieka!

Jej ciało się rozluźniło. Obróciła się na pięcie i zobaczyła młodego strażaka oprószonego popiołem. Gestem przywoływał ją do siebie. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła ścianę ognia z rykiem przesuwającą się w dół zbocza.

Paraliż odpuścił. Puściła się biegiem, czując, jak rozżarzone węgielki parzą jej twarz i ręce. Modliła się, żeby włosy nie zajęły się ogniem. Przeskakując przez drut kolczasty, przeklinała się w duchu za to, że naraziła Willow na takie niebezpieczeństwo. Nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby jej psu coś się stało.

Zahaczyła ramieniem o drut i rozerwała bluzkę. Krzyknęła i zanurkowała niżej, ale drut nie puszczał i bluzka rozdarła się jeszcze bardziej. Potknęła się, a wtedy aparat huknął ją w kolano. Willow ujadała szaleńczo, gdzieś obok trąbił klakson. Ginny zorientowała się, że dyszy i łka jak zwierzę. Zaczepiła o drut dzinsami, uwolniła się i pognęła w górę, słysząc trzask ognia liżącego jej buty.

Otworzyła drzwiczki, wrzuciła aparat i wskoczyła do środka. Uruchomiła dżipa i wtedy dostrzegła, że ogień przeciął jej drogę. Fala pierwotnego lęku sprawiła, że włosy stanęły jej dęba. Tak jakby to mogło ją ochronić.

Willow zawyła.

– Cicho, maleńka, już dobrze. Wydostanę nas stąd, obiecuję.

Zauważyła kawałek płaskiego terenu, miejsce, gdzie mogłaby zawrócić, i zabrała się do dzieła. Przyczepa podskakiwała za jej plecami, a sznur wozów strażackich i innych uprzywilejowanych pojazdów z rykiem przemykał obok,

zmierzając w stronę linii ognia. Ginny trzęsły się ręce. Zawróciła dzipa i włączyła się do ruchu, wciskając się w rząd aut uciekających przed pożarem. Kobieta przed nią prowadziła subaru załadowane po dach dobytkiem. Ginny zauważyła gitarę opartą o stertę książek.

We wstecznym lusterku widziała kłębiącą się czarną chmurę, podświetloną piekielnym różowym blaskiem. Wnętrze dzipa wypełniła woń spalenizny, która przylgnęła jej do włosów. Willow piszczała i dyszała, w panice przemieszczając się z jednej strony samochodu na drugą.

– Dobry Boże – wyszeptała Ginny – pomóż mi wyjść z tego cało. Proszę. Już nigdy więcej nie będę taka głupia, przysięgam.

MIODOWA FARMA LAVENDER

Hrabstwo Yamhill, Oregon

Strona główna/Sklep/**Blog**/Wskazówki/Filozofia

Kojąca herbatka Lavender, dobra na stres i załamanie nerwowe

Na naszej farmie mamy obecnie nastolatkę i kobietę w ciąży. Obie są bardzo podatne na zmiany nastroju i w każdej chwili gotowe wpaść w histerię. A gdy już skończą płakać, czeka na nie filiżanka herbaty i gorąca kąpiel. Oto znakomity przepis na wywar ziołowy o właściwościach uspokajających i nasennych. Można go wykorzystać także do kąpieli.

30 g suszonych kwiatów lawendy

30 g chmielu

30 g szalwii

30 g tymianku

Wszystkie zioła wymieszajcie razem, luźno zawińcie w tetrową pieluszkę, a następnie zwiążcie sznurkiem (albo wsypcie do jednego z woreczków kąpielowych wielokrotnego użytku, które możecie zamówić *tu*). Przygotujcie gorącą kąpiel dla zmęczonej/marudzącej/ukochanej osoby – niech moczy się razem z ziołami tyle, ile trzeba.

Zapoznaliście się już z naszym wyborem *lawendowego suszu*? Każdy znajdzie coś dla siebie na dowolną okazję!



ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Lavender zauważyła, że Ruby osuwa się na kolana. Dzięki niemal czterdziestu latom pracy w liniach lotniczych wiedziała, jak sobie radzić w trudnych sytuacjach, zerknęła więc tylko szybko na resztę, odstawiła ostrożnie filiżankę na spodek i powiedziała:

– Zaraz wracam.

Znalazła Ruby zgiętą wpół. Dziewczyna obejmowała rękami brzuch, ale nie wymiotowała. Wydawała z siebie żałosne jęki. Lavender dotknęła jej ramienia.

– Wszystko w porządku, dziecino?

Nie chciała mówić o tym, czego się obawiała – że to coś z dzieckiem i że Ruby mogła poronić – żeby „nie wywoływać wilka z lasu”, jak mawiała jej matka.

– Nie. – Ruby podniosła głowę. Z nosa jej ciekło, oczy miała czerwone od łez. – Liam się żeni. Za dwa tygodnie.

„To tylko mężczyzna”. Lavender wypuściła powietrze i wyciągnęła czystą chusteczkę z kieszeni.

– Przykro mi, skarbie. To właśnie powiedział ci na wieść o tym, że jesteś w ciąży?

– Nie, jeszcze mu o tym nie mówiłam. – Podniosła telefon, który tuliła w dłoni. Nadgarstek wygiął jej się do tyłu, jakby omdlała jej ręka. Drugą dłonią wytarła nos, ale łzy nadal płynęły nieprzerwanym strumieniem. – Napisał maila, żebym nie dowiedziała się od kogoś innego.

Lavender pochyliła się z pewnym trudem i pomogła Ruby wstać. Chciała powiedzieć: „To tylko mężczyzna... Są inni... Zapomnisz o nim”, ale zamiast tego rzekła:

– Tak mi przykro, że złamał ci serce. Ale jesteś tu z nami. I teraz powinnaś myśleć tylko o dziecku.

Ruby pozwoliła, żeby Lavender poprowadziła ją wąską ścieżką między rzędami roślin. Szła, roztrzając kwiaty, które wypełniły powietrze delikatnym, uspokajającym zapachem lawendy. Wytarła nos. Złapała ją lekka czkawka.

– Powinam mu powiedzieć? Nie wiem, co robić.

– Myślę, że mimo wszystko powinnaś. Tak nakazywałaby uczciwość. – Lavender była ciekawa, czy Liam wyrzeknie się dziecka. Tak oczywiście byłoby najlepiej.

– Wszystko w porządku? – spytała Valerie, wstając, gdy podeszły do stołu.
– W porządku – warknęła Ruby. – Po prostu chciałabym, żeby wszyscy dali mi święty spokój. – Opadła na krzesło i skrzywiła się. – O matko, zachowuję się jak nie ja.

Valerie zachichotała.

– Witaj w świecie matek.

Lavender poczuła w piersi pieczenie. Chwilę trwało, po czym minęło. Zakaszła i rozmasowała piekący punkt. Z odmętów jej pamięci wyłoniła się nagle śniada twarz mężczyzny o pięknych, aż nazbyt pełnych ustach. Te mięsiste, ponętne wargi mogła całować bez końca, a on, w przeciwieństwie do większości mężczyzn, nie traktował tego jako preludium. Przyciśnięci do ściany w zakurzonej korytarzu, ciało przy ciele, całowali się w nieskończoność. Jego pewne, soczyste, wilgotne usta poruszające się nieustannie, napierające i ssące, pijące jej wargi, ich splecione języki. Z roztargnieniem dotknęła swych ust.

– Wyglądasz, jakbyś odpłynęła gdzieś daleko – powiedziała Valerie, leciutko się uśmiechając. – Powiesz nam, gdzie byłaś?

Lavender zerknęła na Hannah i w duchu wzruszyła ramionami. Jeśli dziewczynka jeszcze nie dojrzała, z pewnością czeka ją to lada chwila.

– Wspominałam mężczyznę, który dawno temu złamał mi serce. Miałam dwadzieścia dwa lata i poznałam go w Kairze. Był pilotem, bardzo przystojnym. – Potrząsnęła głową. – Przez rok, gdy tylko udało nam się znaleźć w jednym mieście, spędzaliśmy razem – zorientowała się, że słucha jej nie tylko Hannah, ale także Noah, zaczęła więc starannie dobierać słowa – czas. – Przypomniała sobie gorące schadzki, szaleńczy upał, długie, leniwe dni w pozbawionych klimatyzacji hotelach, otwarte okna, papierosowy dym unoszący się nad ich dłońmi. Oparła się wygodnie na krześle. – To był ktoś.

– Ach ci piloci. – Noah puścił oko do Lavender. – Zawsze znajdowali sobie kobiety na misjach. Zawsze.

– Mój tato był pilotem – oznajmiła wyniośle Hannah. – I wcale taki nie był.

– Ależ skarbie – powiedziała przeciągle Valerie. – Myślisz, że jak się poznaliśmy?

– Ty leciałaś samolotem. To nie to samo.

Valerie się roześmiała, ale Lavender zauważyła, że w jej oczach pojawiła się pewna surowość.

– Hannah, skarbie, twój ojciec był złotoustym diablem. Twoja siostra T.K. miała to po nim. – Zwróciła się do reszty. – Oboje potrafiliby świętego namówić do grzechu.

– Ale nie był playboyem.

– Nie – odparła Valerie, dotykając ręki córki. – Był dobrym, oddanym rodzinie

człowiekiem.

Hannah wyszarpnęła rękę z jej dłoni.

– Nienawidzę o nich mówić. – Odeszła od stołu.

– Liam nie jest złotoustym diabłem – powiedziała żałośnie Ruby. – Nie macie pojęcia, jaki był do mnie przywiązany. Dziewczyny zawsze na niego leciały, a on nawet na nie nie spojrzeł. Patrzył tylko na mnie.

– Zakładam, że nie jest pilotem? – zażartował Noah.

Lavender roześmiała się, Ruby popatrzyła na niego zdezorientowana.

– Co takiego?

Noah spokojnie wytrzymał jej spojrzenie, dopóki nie zorientowała się, o co chodzi.

– Och. – Uśmiechnęła się niechętnie półgębkiem. – Nie, jest kucharzem. Ale, wierzcie mi, szefowie kuchni też potrafią być playboyami.

Valerie nałożyła sobie sałatki z arbuza i wzięła jeszcze kilka krakersów.

– Co się stało z twoim pilotem, Lavender?

– Z Khalidem? – Westchnęła. – Był żonaty. Mógł to ciągnąć w nieskończoność, ale ja w tamtych czasach byłam idealistką. Chciałam wyjść za mąż. Opuściłam go sobie.

– I wyszłaś za mąż?

Upiła łyk miętowej herbaty.

– Nie. Po kilku latach doszłam do wniosku, że małżeństwo nie daje dziewczynom szczęścia. Widziałam, jak tyją, rozwodzą się albo zostają uziemione w miejscach takich jak Dead Gulch, gdzie marzą o tym, żeby wrócić do latania. Razem z Ginger postanowiłyśmy, że nie wyjdziemy za mąż.

– Ginger to ta twoja przyjaciółka, do której należała przyczepa Ginny, tak? – spytała Ruby.

– Tak. Koniec końców wyszła za mąż za dobrego człowieka, pilota, jak się okazało. Miała wtedy trzydzieści siedem lat, w tamtych czasach to było bardzo dużo. Zaszła w ciążę i urodziła dziecko, więc jej historia miała szczęśliwe zakończenie. Została artystką i nadal podróżowała z przyczepą. Utrzymywałyśmy ze sobą kontakt.

Przy stole zapadła cisza. Lavender przypomniała sobie ostatni raz, kiedy widziała Ginger. Po obchodzie farmy. Może zobaczyła ją dlatego, że Ginny miała przyjechać z jej przyczepą.

– Zdaje się, że powinienem wracać do pracy – powiedział Noah. – Ruby, chcesz, żebym cię odprowadził?

Ruby siedziała ze wzrokiem wbitym w paznokcie, w jednej ręce trzymała telefon. Uniosła bladą twarz, wymęczone porcelanowe oczy zamrugały.

– Jasne – odparła i pozwoliła, żeby pomógł jej wstać. – Dzięki.

Lavender patrzyła, jak odchodzą.

– Myślę, że czas na drzemkę.

– Pozbieram naczynia – powiedziała Val. – I zobaczę, czy uda mi się skontaktować z Ginny, żeby Ruby przestała się wreszcie zamartwiać. Prawdziwa z niej kwoka, co?

– Urodzona matka. – Lavender dotknęła szczupłego ramienia Val. – Odpocznij, dziewczyno. Nie przemęczaj się.

CIASTO MARZEŃ

Pielgrzymi to poeci, których poezją są podróże.

Richard R. Niebuhr

<zdjęcie antylop i pożaru>

To nie był najłatwiejszy dzień w moim życiu. A ponieważ nie mam Internetu, ten post zamieszczę z opóźnieniem. Bardzo mi przykro, moi drodzy.



ROZDZIAŁ SZESNASTY

Gdy w końcu Ginny dotarła na postój, była całkowicie wyczerpana i bliska łez. Zaszkoziło jej coś, co zjadła na obiad, i cierpiała z powodu rozstroju żołądka. Ze względu na pożar zamknięto autostradę do Boise, musiała więc zrobić objazd przez góry w Idaho i Montanie, a potem zawrócić w kierunku Portland. Konieczność nadłożenia setek kilometrów oznaczała, że jutro nie zjawi się na farmie. Nie udało jej się także dotrzeć na spotkanie z czytelniczkami, a w dodatku nie mogła ich o tym zawiadomić. Numery telefonów miała oczywiście w komórce, która nadal nie działała.

Ginny liczyła, że uda jej się zatrzymać w Idaho Falls, ale z powodu pożaru i objazdów wszystkie pola kempingowe były przepełnione. Jeden z pracowników ostatniego wskazał jej to jezioro. Gdy dotarła na miejsce, pomyślała, że mężczyzna był pewnie zapalonym wędkarzem, bo jezioro leżało na uboczu.

Dla niego musiało być idealne.

Dla niej okolica była nazbyt odludna – zajętych było ledwie kilka stanowisk. Ginny zatrzymała się na parkingu obok pustej leśniczówki i wahała się, stukając kciukiem o kierownicę. Nie tego się spodziewała, a pusty budynek tylko pogłębiał jej lęk i poczucie izolacji. Może powinna jechać dalej?

Ręce ją bolały. Rozpaczliwie potrzebowała prysznic. W żołądku jej się przewracało, a każda kostka w ciele dokuczała. Dalsza jazda wydawała się okrucieństwem.

Zdecyduj się.

Zatrzymała się nad jeziorem. Wypuściła Willow, żeby rozejrzała się po okolicy, bo wiedziała, że nie odejdzie za daleko. Willow weszła do wody po kolana, napiła się, powąchała kłodę i wbiła wzrok w dal. Pewnie były tu niedźwiedzie. Może też kojoty i szopy.

Ginny naprawdę nie czuła się dobrze. Bolała ją głowa, a po plecach przebiegały jej dreszcze. Może najlepiej by było, gdyby się po prostu przespała.

Najpierw jednak wzięła Willow na smycz i w zapadającym zmierzchu wybrała się z nią na długi spacer wzdłuż jeziora. Woda była spokojna, taflę marszczył tylko chłodny wiatr. W jej stronę szedł mężczyzna, zgarbiony i zachmurzony. Nie odezwał się, kiedy powiedziała: „Dobry wieczór”. Przeszły ją ciarki i nie mogła się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na niego przez ramię.

NIEZNAJOMY!

Potrząsnęła głową. Znowu głos matki.

Gdy wracała, zauważyła ognisko nieopodal jej obozowiska. Dobięły ją donośne męskie głosy, śmiechy i gwizdy, jakby trwała impreza. Jej przyczepa wydawała się taka krucha na tle bezkresnego ciemnego nieba, delikatna niczym sreberko na czekoladzie.

Może powinna się stąd zabrać, pojechać dalej?

Jej ciało jednak zaprotestowało. Wszystko ją bolało. Żołądek nadal wariował, a ramię piekło w miejscu, gdzie zraniła się o drut kolczasty. Kto wie, jak daleko był następny postój?

Z kuchennego okna airstreama padało w mrok przyjazne światło. Pomalowana w stulistne róże i pnącza winorośli przyczepa była tak ewidentnie kobieca. Dlaczego wcześniej nie zwróciła na to uwagi? Jeżdżąc z przyczepą ozdobioną kwiatami, wszem wobec oznajmiała, że jest kobietą. Zatrzymała się, żeby ochłonąć i pomyśleć rozsądnie.

Nagle w tę sielankową scenę wdarła się straszliwa wizja – jej zgwałcone, zakrwawione ciało leżące na podłodze ukochanej kuchni. Wrzeszcząca banda mężczyzn, którzy zaspokajają swe zachcianki, potworny ból...

Zachwiała się. Przyłożyła do czoła zimną dłoń, zakrywając palcami powieki. Jej skóra parzyła, a żołądek zaczął naprawdę b o l e ć .

Cokolwiek jej dolegało, w takim stanie nie mogła prowadzić. Zrezygnowana wdrapała się do swojej bezpiecznej skorupy, starannie zaryglowała drzwi i zasłoniła wszystkie okna. Willow szczerknęła i usiadła na podłodze.

Racja. Miała przecież psa. Willow nikomu nie pozwoli jej skrzywdzić.

W gorączce, z żołądkiem targanym skurczami zwinęła się na łóżku, nie zdejmując nawet spodni. Przez głowę przemknął jej cień rozsądnej myśli. Za momentik, obiecała sobie, weźmie advil. Ale teraz rozpaczliwie chciała po prostu poleżeć. Tylko chwilkę.

Śniło jej się, że zamieniła się w zieloną poczwarkę, na pozór kruchą, w rzeczywistości jednak bardzo silną. Jaskrawe kolory jej kokonu – fioletowy, zielony i jasnożółty – zdawały się pulsować. Nawet przez sen wyczuwała, że coś tu jest nie tak, i gdyby nie była tak rozpalona, na pewno otworzyłaby oczy.

Kobieta z kieliszkiem martini pochyliła się nad nią, szepcząc: „Wstawaj, wstawaj. Masz kłopoty”.

Szarpnęła się, chcąc się obudzić. Gorączka sprawiła, że wszystko wydawało się nieważkie. Willow polizała jej dłoń. Ginny powlokła się do łazienki i zaczęła szukać jakiegoś lekarstwa, ale obraz tak jej się rozmył, że nie była w stanie stwierdzić, co jest w której fiołce. Z trudem wróciła do łóżka, skopała z siebie spodnie i trzęsąc się, wpełzła pod kołdrę.

Willow wskoczyła na posłanie, położyła się obok i Ginny z ulgą ukryła twarz w jej futrze, zawstydzona łzami, których nie potrafiła powstrzymać.

A co gdyby umarła, bo się zatrzała *E. coli* albo czymś podobnym? Jak wtedy Willow wy dostałaby się z przyczepy? Skazałaby psa na powolną, straszliwą śmierć z odwodnienia. Powinna otworzyć okno albo coś. Willow była dość mądra, żeby sobie wydrapać drogę przez siatkę.

Czuła, że gorączka rośnie.

Eksplozja pomarańczowego światła poderwała ją do góry. Zorientowała się, że to Willow zaczęła szaleńczo szczekać na kogoś przy drzwiach. Dotknęła ręką bolącej głowy i poczuła, że lepi się od potu. Za drzwiami słyszała niewyraźne głosy.

Klamka się poruszyła i Willow rozszczekała się na nowo. Ktoś powiedział: „Pieprzyć to”, i głosy odpłynęły. Powoli, chwiejnym krokiem Ginny podeszła do psa i osunęła się na podłogę obok.

– Dziękuję, kochanie.

Przytuliła się do gęstej sierści. Willow odwróciła się i polizała Ginny po twarzy. Będzie musiała ruszyć się znowu. Będzie musiała się stąd zabrać. Za momencik. Wstanie i weźmie ibuprofen. Za chwileczkę.

Jedną chwileczkę.



ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W ciszy przedświt RUBY otworzyła laptopa, ostrożnie, żeby nie przeszkadzać kotce, która leżała obok zwinięta w kłębek. Tej nocy RUBY spała nerwowym, gorączkowym, niespokojnym snem kobiety ze złamanym sercem. Często budziła się, wyobrażając sobie Liama w smokingu, wypowiadającego słowa przysięgi, obejmującego ramieniem inną. Prześladowało ją to, co powiedziała Lavender: „Może w tej drugiej kobiecie też zakochał się od pierwszego wejrzenia?”.

Jak można się tak nagle odkochać? Jak w ogóle można się odkochać? Nie potrafiła tego zrozumieć.

Musiła mu powiedzieć o dziecku. Tymczasem zamiast pisać maila, otworzyła Google Maps i kliknęła zakładkę z zapamiętanymi lokalizacjami. Na ekranie pojawiła się mapa Seattle i okolica, w której mieszkała jej matka. RUBY maksymalnie powiększyła mapę, a następnie wybrała żółtego człowieczka, żeby przejść do widoku ulicy.

I oto patrzyła na dom matki. Ożywiła się, bo pojawiło się nowe zdjęcie. Na podwórku od frontu kwitły bzy, a z tyłu widać było całą rodzinę: mamę, tatę, troje dzieci i psa na trawie. Obrazek przywodził na myśl domek dla lalek, taki był schludny i starannie skomponowany.

Co za głupi rytuał. Najwyraźniej nie była gotowa sama zostać matką, skoro wciąż zachowywała się tak dziecinnie. Zresztą czyja to wina? Matka zostawiła ją, gdy była siedmioletnią dziewczynką. W dodatku chorą. Dlaczego miała nie być na nią zła?

Zapieкло ją za przeponą, więc natychmiast porzuciła ten tok myślenia. Wybaczyła matce wiele lat temu. Wybaczyła też sobie ten dziwaczny nałóg.

Otworzyła pocztę. Ostatni mail od Liama, ten o ślubie, był oznaczony pomarańczową strzałką. Zanim zdążyła stchórzyć, wcisnęła „Odpowiedz”, i napisała:

Liam

Ślub! To naprawdę coś! Złożyłabym Ci gratulacje, ale nie byłyby szczere.

Ja też mam dla Ciebie nowinę. Jestem w ciąży, połowa szóstego miesiąca. Jeśli policzysz, będziesz wiedział, kiedy to się stało – w naszym

mieszkanii, tuż przed wyprawdzą. Tak, to Twoje dziecko. Poczęte w złości, ale mimo to poczęte. A ponieważ byłam przekonana, że nigdy nie będę mieć dzieci, zamierzam je zatrzymać.

Niczego od Ciebie nie chcę. Pomyślałam jednak, że powinienes wiedzieć.

Ruby

Wcisnęła „Wyślij”, a potem z bijącym sercem delikatnie odsunęła Ninję, żeby się ubrać. Kotka wstała, przeciągnęła się i z powrotem zwinęła w kłębek.

Ruby zostawiła otwarte drzwi do kampera, na wypadek gdyby kotka chciała wyjść, i ruszyła w stronę lawendowych pól. Świt wprawdzie jeszcze nie wstał, ale znad szczytów ciężkich chmur, które zawisły nad famą, sączyło się przyćmione światło. Gdy szła ścieżką obok kurników, dołączyła do niej para kur. Wiele innych dziobało nieopodal ziemię w poszukiwaniu jedzenia, wydając ciche, gulgoczące dźwięki. Tej pary, która szła za nią krok w krok, jeszcze nie znała. Jedna miała czerwono-kremowe pióra i kremową pierś, druga zaś była czarno-złota, bardzo ładna. Obie dorodne, spokojne, niezwykle pewne siebie gdakały ściszonými głosami, jakby wymieniały najświeższe ploteczki. Kołysały się przy tym na boki jak dwie stare babcie z rękami założonymi na plecach. Ich towarzystwo działało na Ruby kojąco.

Tak samo zresztą jak chłodne świeże powietrze. Niskie chmury były nabrzmiące od deszczu, choć jeszcze nie zaczęło padać. Ruby oddychała głęboko, wdech i wydech. Żeby „znaleźć centrum”, jak mawiał jej ojciec, gdy chorowała po chemii. Miejsce, gdzie bez względu na to, co się działo na zewnątrz lub wewnątrz jej zatrutego ciała, panował spokój. Miejsce, gdzie było pięknie i dobrze. Ta technika, która nieraz pomagała jej w ciężkich chwilach, okazała się skuteczna także teraz.

Całą noc przewracała się z boku na bok, wałkując w głowie nowiny od Liama. Zastanawiała się, jak mu powiedzieć o dziecku. Zasypiała na chwilę, budziła się i w półśnie analizowała ich namiętny związek. Przypominały się jej rzeczy, o których starała się nie myśleć: jego smukłe, piękne ręce całe w bliznach po latach pracy w kuchni, odgłos, jaki wydawał, gdy rano trącał ją nosem – przeciągły, zadowolony pomruk, który sprawiał, że za każdym razem czuła się, jakby otulał ją kocem.

Najgorszy rodzaj snu, dręczący i niespokojny.

Wyszła na pole. Kury zostały z tyłu, jakby nie znały hasła otwierającego wrota do czarodziejskiego ogrodu.

Stała obolała. Ten widok za każdym razem chwytal ją za gardło – schludne rzędkie ogromnych poduch z maleńkimi fioletowymi kwiatkami unoszącymi się ponad zielenią, a na skraju każdego rzędu drobne róże okrywowe, posadzone

wyłącznie dla ich urody, jak powiedziała jej Lavender. Ruby przyklękła i ostrożnie zerwała kilka kwiatów, pomagając sobie ostrymi paznokciami. Zrobiła z nich bukiet i podniosła do twarzy. Pachniały słodko, różami, cytryną i porankiem, a ich woń rozwijała się, wnikając do zatok, masując nasadę nosa i spięty punkcik między brwiami.

Weszła między krzaki lawendy, wdychając ich zapach i pozwalając, by wymieszał się z wonią róż. Ból, który trzymał ją od wczoraj w żelaznym uścisku, puścił. Czowała się, jakby zrzuciła z ramion plecak. Dziecko w jej wnętrzu poruszyło się, zatoczyło koło. Położyła ręce na brzuchu, nie mogąc się nadziwić, że zdarzyło się coś tak niewiarygodnego.

Dziecko! J e j dziecko.

– Jak masz na imię, kruszynko? – spytała. – Nie mogę się doczekać, żeby cię zobaczyć.

Wreszcie mogła stanąć i po prostu być. Oddychać. Zwrócić się ku całości bytu. Gdy miała siedem, osiem, dziewięć lat i walczyła z chorobą – wciąż tracąc i odzyskując nadzieję – razem z ojcem często chodzili na plażę, żeby posiedzieć na piasku i „dotknąć całości istnienia” w głosie szepczących, rozbijających się o brzeg, pluszczących na kamieniach fal.

Za jej plecami kury konwersowały grzecznie ściszonymi głosami, jakby były w kościele. Ta myśl sprawiła, że Ruby parsknęła śmiechem. Odwróciła się, żeby im podziękować, i zobaczyła Noaha. Stał na skraju pola między rzędami lawendy i bacznie ją obserwował. Zamachała do niego bukietem róż.

– Nie chciałem ci przeszkadzać – powiedział. Miał na sobie roboczy strój, dzinsy wpuszczone w wysłużone skórzane buty, które widziały niejedno błoto i gnój, i prostą kraciatą koszulę, a na niej zieloną bluzę z kapturem. Na tym tle jego opalona skóra zyskiwała ciepły odcień. – Wcześniej wstałaś.

– Nie mogłam spać.

Zawahał się, a potem ruszył do niej ścieżką między sąsiednimi rzędami krzewów. Za nim podreptała kura. Zatrzymała się na skrawku trawy i zaczęła dziobać. Noah zauważył ją i odegnał poza granicę pola. Zatrzepotała skrzydłami i zagadała, ale posłusznie opuściła krainę lawendy.

Ruby znów cicho się roześmiała.

– Nie miałam pojęcia, że to takie ciekawe stworzenia. Szły za mną jak psy, wciąż gadając po drodze.

– O tak, mają charakterek.

Staął obok niej i pochylił się, żeby zerwać trzy kwitnące gałązki.

– Lavender mówiła ci o odmianach?

– Coś wspominała. Niektóre uprawia się dla zapachu, inne w celach kulinarnych, a jeszcze inne dla dekoracji, tak?

– Tak. – Zmiał kwiaty i podsunął jej pod nos.
Ruby próbowała sobie przypomnieć rozmowę z Lavender.
– To Grosso, prawda? Jest bardziej wydajna, ale czuć w niej domieszkę... –
Zmarszczyła brwi, wdychając woń lawendy, aż w końcu poczuła. – Kamfory?
Pokiwał głową, wysuwając z aprobatą dolną wargę.
– Dobrze.
– W jaki sposób uzyskuje się olejek?
– Mamy destylator. Pozwala wyekstrahować olejek z kwiatów. Żeby
wyprodukować pół szklanki, potrzeba prawie dwieście litrów kwiatów. I to Grosso,
a nie Royal Velvet.
Ruby wymieszała lawendę z różami i powąchała.
– Chciałabym to kiedyś zobaczyć.
– Na pewno da się zorganizować. – Zerwał kolejne trzy kwiaty, rozgniół
kciukiem i powąchał w zamyśleniu. – Dobry rok.
– Dlaczego nie przejmiesz farmy od Lavender? – spytała Ruby. – Przecież lubisz
to miejsce.
Opuścił głowę.
– Nie, to nie dla mnie. Ja tu jestem od zwierząt. I od pomocy.
Coś w rysunku jego szczęki, w ułożeniu ramion zdradziło jej, że chodzi o coś
więcej. Skorzystała więc ze sztuczki, której nauczyła się dawno temu, i po prostu
milczała, czekając, aż sam zacznie mówić. Okazało się jednak, że Noaha trudno
było pokonać w tę grę.
– Dlaczego praca na farmie, Noah? Wychowywałeś się na jakiejś?
– Niezupełnie. Moi rodzice byli pracownikami najemnymi, więc dorastałem na
różnych farmach. Głównie w Kalifornii, w Dolinie Centralnej.
– Na różnych farmach. – Szybko przeredagowała historię jego życia i tym razem
umieściła go na polu sałaty. – Są z Meksyku?
Uśmiechnął się półgębkiem.
– A co, tylko imigranci pracują w polu?
– Och, nie rób tego. – Spojrzała mu prosto w oczy. – To uzasadnione pytanie,
a nie przejaw rasizmu.
– Dobra, odpuszczę ci. – Ruszył ścieżką wśród lawendy i gestem zawołał Ruby,
żeby poszła za nim. – Nie są z Meksyku. Moja mama była pół Meksykanką, pół
Amerykanką. Mój tato jest trochę Czejenem, trochę Jutem i trochę Nawaho na
dokładkę.
– Ach! – Uśmiechnęła się półgębkiem. – Bracie! Mówiłam ci, że w jednej sto
dwudziestej jestem Czirokezką?
Zmarszczki mu się pogłębiły i prawie się uśmiechnął.
– Mówiłaś. Można to poznać po twoim poczuciu humoru.

Dziecko znowu fiknęło koziołka i Ruby dotknęła brzucha, uśmiechając się do siebie.

– Co znaczy, że twoje dziecko będzie w jednej dwustu czterdziestej Czirokezem? – zapytał z kamienną twarzą.

Parsknęła śmiechem.

– Tak. Gdyby to była prawda. Ale nie jest.

– Tak myślałem.

– Bądź miły dla Hannah, dobrze? Zadurzyła się w tobie.

Pokiwał głową.

– Biedne dziecko. Okropna historia. Może będzie chciała mi dziś pomóc. Jej matce przydałoby się trochę spokoju. – Zatrzymał się na końcu rzędu. – Lepiej się czujesz?

Jego życzliwość, to, jak stał tam i patrzył na nią z troską, sprawiła, że zapiekły ją oczy. Pochyliła głowę.

– Chyba tak. – Wzruszyła ramionami, zakładając kosmyk włosów za ucho. – Zerwaliśmy dziewięć miesięcy temu. Najwyższy czas się z tym pogodzić.

– Albo i nie – zagrzmiał. – Trwa to tyle, ile musi. Ale jesteś tu wśród przyjaciół i wszyscy chętnie ci pomogą przy dziecku.

– Wiem, mam szczęście.

– I masę uroku. Mam nadzieję, że jesteś tego świadoma. – Popatrzył na wierzchołki drzew, uciekając wzrokiem, jak przystało na nieśmiałego człowieka.

– Akurat. W ciąży, z mdłościami i tym ciągłym płaczem?

– Mimo to uroczą – powtórzył z naciskiem. – Chodź. Chcę ci coś pokazać.

Wyciągnął rękę, po przyjacielsku, a Ruby ją ujęła. Skórę miał zrogowaciałą i twardą. To była dłoń kogoś, komu można zaufać.

– Szukałeś mnie? – spytała.

– Poszedłem do kampera. – Nie puścił jej ręki, a Ruby podobało się to, jaki wielki wydawał się przy niej, wysoki tak, że musiała podnieść głowę, żeby zobaczyć jego twarz. – Wczoraj wydawałaś się zmartwiona.

Fala żalu zalała ją od czubka głowy aż po pięty.

– Tak.

– Kiedy ktoś z kimś zrywa – powiedział szorstko – to zwykle istnieje po temu powód, choć początkowo może się wydawać, że tak nie jest.

Przed oczami Ruby stanęła twarz Liama.

– Nie mogę o tym jeszcze rozmawiać.

Pokiwał głową i przez prześwit w krzakach pociągnął ją w dół wzgórza, w stronę zagrody dla kur. Za posłanie służyło im tu siano. Mieszkały pod zadaszeniem obejmującym spory kawałek otwartej przestrzeni. Spacerowały sobie swobodnie, drepcząc to tu, to tam, jedno w pośpiechu, inne leniwie, białe, złote,

czarne i cętkowane – we wszystkich kombinacjach kolorów. Drobną ciemną kobietą około dwudziestki ostrożnie zbierała jajka – żółte, niebieskie, jasnozielone, zwykłe białe i brązowe.

Noah odezwał się do niej po hiszpańsku, a ona uśmiechnęła się do niego przez ramię, odpowiadając coś zuchwale. Roześmiał się, ale nie powiedział Ruby, o co chodzi. Ruby zajrzała do koszyka, przyglądając się jajkom.

– Tutaj. – Zaprowadził ją do gniazda, gdzie dwa pasiaste kociaki, wciąż jeszcze ślepe, leżały zwinięte z parą jaj.

– Och! – wykrzyknęła Ruby. – To najśodsza rzecz, jaką widziałam! Mogę je pogłaskać?

– Lepiej ich nie dotykać, kiedy są takie młode. – Kura zjawiała się nagle, trzepocząc skrzydłami i głośno się awanturując. Dziobnęła Noaha w stopę. – Jak widać.

Cofnęła się. Kura wskoczyła do gniazda i usadowiła się troskliwie na kociętach i jajkach.

Dziewczyna od jajek powiedziała coś figlarnego, a Noah odpowiedział, nie patrząc. Powędrowała w górę zbocza.

Ruby patrzyła na jej przesadnie rozkołysane biodra.

– Droczyła się z tobą?

– Powiedziała, że nie brak ci krągłości, a to dobrze.

– Super. – Wywróciła oczami. – To właśnie chciałaby usłyszeć porzucona dziewczyna.

– Kobiety za bardzo się przejmują szczupłą sylwetką – stwierdził ostro.

Ruby położyła dłonie na brzuchu.

– Nie ja. Kocham swoje ciało bez względu na sylwetkę. Tego uczy człowieka choroba.

– Tak podejrzewałem.

– Myślałam, że jesteś milczkiem – powiedziała Ruby. – Tymczasem tak naprawdę jesteś całkiem gadatliwy.

– Nie przy każdym.

Uśmiechnęła się.

Zadzwoił telefon. Noah wyciągnął komórkę z kieszeni bluzy i zerknął na wiadomość.

– Muszę iść.

– Dzięki – powiedziała Ruby. – Za wszystko.

– *De nada.*

MIODOWA FARMA LAVENDER

Hrabstwo Yamhill, Oregon

Strona główna/Sklep/**Blog**/Wskazówki/Filozofia

Zbliża się szczyt sezonu i wiele kwiatów właśnie rozkwita. Niebawem zaczniemy zbiory i w naszym sklepie pojawią się produkty powstałe z myślą o *święcie lawendy*, które odbywa się w lipcu. To dobry czas, żeby odwiedzić hrabstwo Yamhill, więc jeśli jeszcze tego nie zrobiliście, łapcie za fraki męża, córkę albo przyjaciółkę i wybierzcie się w podróż do cudownej krainy lawendy.

Na farmie będzie można w tym czasie wziąć udział w kilkunastu warsztatach – kulinarnych, dekoratorskich, fotograficznych, perfumiarskich, a także w plenerze malarskim. Liczba miejsc jest ograniczona, a lista szybko się zapełnia, dlatego zajrzyjcie do kalendarza i zapiszcie się jeszcze dziś! Pięciodolarowa zwrotna zaliczka zagwarantuje wam miejsce.

Kalendarz wydarzeń na Miodowej Farmie Lavender

Pełny opis święta lawendy znajdziecie na:
<http://www.oregonlavenderdestinations.com/festival.php>



ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Po raz kolejny Lavender zobaczyła Ginger, swoją przyjaciółkę z dawnych lat, podczas piątkowego obchodu farmy. Tym razem Ginger siedziała na składanym drewnianym stołku twarzą do kwitnących pól. W lewej ręce trzymała paletę, w prawej pędzel, przed sobą miała sztalugi z rozpiętym płótnem. Nawet z daleka Lavender widziała, że płótno jest pokryte plamami błękitu i fioleto.

Ginger dwa razy w życiu była tu, żeby malować lawendowe pola, dlatego na początku Lavender myślała, że to powstałe z prochu wspomnienie, których tyle nawiedzało ją ostatnimi czasy.

Ale potem zauważyła, że przyjaciółka ma długie włosy spływające na plecy rudymi lokami i zwiewną różową sukienkę z zupełnie innej epoki. Zagwizdała na psy. Coś ciągnęło ją na wzgórze, do widma Ginger.

Gdy podeszła, przyjaciółka zanurzyła pędzel w kolorowej kałuży i maznęła płótno. Przód jej sukienki osłaniał biały fartuch, ale odrobina farby zabrudziła rękaw. Typowe dla Ginger – była wprost nadzwyczajną naturalną piękną, lecz sukienkę zawsze miała nieco przekrzywioną, buty pobrudzone trawą, rąbek odpruty i wszystko poplamione farbą: paznokcie, brwi czy łokieć.

Kiedy Lavender zobaczyła ją po raz pierwszy, Ginger zachowywała się jak inne duchy – sprawiała wrażenie, że jej nie dostrzega. Tym razem jednak uniosła twarz i uśmiechnęła się do przyjaciółki.

Skórę miała przejrzystą, pozbawioną zmarszczek. Lavender zdążyła zapomnieć, jak zdumiewająco jasne były oczy przyjaciółki. I jakie obie były kiedyś młode!

– Przyszłaś po mnie? – spytała Lavender nieoczekiwanie dla samej siebie.

– A jesteś gotowa?

– Nie dzisiaj.

Ginger pokiwała głową, zanurzyła pędzel w farbie i naniósł kolor na płótno.

– Kiedy? – spytała Lavender.

Ginger uśmiechnęła się z leciutką nutą smutku.

– Już niedługo.

Lavender poczuła, że coś ją chwyta za gardło. Spojrzała w bok ogarnięta szalonym poczuciem straty. Objęła wzrokiem kwiaty, wzgórze w oddali, rozproszone światło w pochmurny dzień.

Na szczycie wzgórze dostrzegła nie ducha, tylko materialną ludzką istotę

w morzu lawendy. Ruby. Nieoczekiwanie z zarośli wyłonił się Noah. Widok dziewczyny brodzącej wśród kwiatów, jej jasnoblond włosów wymykających się spod chustki, zaokrąglonej figury w dżinsach i koszulce sprawił, że na jego twarzy pojawił się wyraz osobliwego spokoju.

Jeszcze nie, pomyślała Lavender. Nie dzisiaj. Odwróciła się, żeby to powiedzieć, ale Ginger już nie było. Rozwiała się niczym mgła.

Jeszcze nie.

Ale na wszelki wypadek pewne rzeczy trzeba było zrobić. Jej przywiązanie do tego świata obejmowało przede wszystkim lawendę, kury i farmę. Musi znaleźć następczynię.

Ruby? Ginny? Czy farma mogła być tym, co pomoże Hannah uwolnić się od chwili, w której straciła ojca i siostry? Czy Valerie mogłaby tu zostać, zacząć nowe życie?

Szybkim krokiem ruszyła w stronę warsztatu i biura. Przepęłniało ją poczucie pilnej konieczności. Musi jak najprędzej rozstrzygnąć tę kwestię.



ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Ginny obudziła się w łóżku i w pierwszej chwili pomyślała, że jest w domu. Na twarzy czuła świeży powiew wiatru, było jej miękko i wygodnie. To łagodnie unoszące się zebra dyszącej cicho Willow przywołały ją do rzeczywistości. Zatrucie, mężczyźni przy drzwiach...

Gwałtownie się podniosła, otwierając oczy, i poczuła ukłucie bólu w karku.

– Hola, nie tak szybko, moja panno – powiedział dudniący, chrapliwy głos.

Ginny omal nie wyskoczyła z siebie, wprawiając w drżenie kończyny. Na jej ramieniu wylądowała wielka dłoń.

– Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć.

Spojrzała na mężczyznę i powoli dotarło do niej, skąd zna tę twarz. Szare oczy, lekko faliste, szpakowate włosy.

– Jack? – zatrzeszczała jak zdarta płyta. – Co...

– Co powiesz na szklankę wody?

I wtedy przypomniała sobie, jak okropnie się pochorowała. Wymioty, biegunka, strach i gorączka. Przyłożyła dłoń do czoła i poczuła, że temperatura spadała.

– Może być. Która godzina? Jaki dziś dzień?

– Piątek, myślę, że koło wpół do ósmej.

– O rany. – Zakręciło jej się w głowie. Nie potrafiła połączyć wydarzeń poprzedniego wieczoru i dzisiejszego poranka. – Woda na dobry początek. Jest w butelkach w lodówce.

Przyniósł jedną, odkręcił i dopiero wtedy jej podał.

– Tylko powoli.

Ginny położyła dłoń na obolałym brzuchu i ostrożnie pociągnęła łyk. Zimna woda spłynęła w dół spieczonego gardła, przynosząc ulgę.

– Uff.

Jack przysiadł na skraju łóżka.

– Jak się masz?

– Już chyba lepiej. – Zorientowała się, że ma na sobie koszulę nocną, a nie to, co wczoraj wieczorem. Rumieniec wypełził jej na szyję. – Ty mnie przebrałeś?

– Tak, przepraszam. Myślałem, że to pomoże. Kiedy się zjawilem, byłeś cała spocona i majaczyłaś. Zatruchałeś się?

– Najwyraźniej. Co innego mogłoby mnie tak zwalić z nóg? – Napila się znowu

i spojrzała na niego. – Ale skąd wiedziałeś, że potrzebuję pomocy?

– Wysłałaś mi SMS-a.

Zmarszczyła brwi.

– Nie. Telefon mi wysiadł.

– No cóż, dostałem SMS-a. Może już działa.

Wyciągnął komórkę z kieszeni koszuli, przeszukał i znalazł wiadomość: „Od Ginny Smith: Pilne. Bardzo chora nad jeziorem Grizzly. Proszę, przyjeźdź”.

Fala przerażenia, zupełnie nieproporcjonalnego do sytuacji, spłynęła jej wzdłuż kręgosłupa. Nie potrafiła sobie przypomnieć zbyt wiele z tego, co działo się po tym, jak zwinęła się w kłębek obok Willow – może r z e c z y w i ś c i e wysłała mu SMS-a.

Wskazała na blat obok zlewu.

– Stoi tam miska ryżu. Telefon jest w środku. Możesz mi go podać?

Zgodnie z instrukcją wyciągnął iPhone'a z miski. Ginny zaczęła wciskać przyciski, żeby go ożywić – najpierw „Home”, a potem na wszelki wypadek przycisk zasilania.

Jednak jakąś częścią umysłu wiedziała, że telefon jest zepsuty. Szkiełko aparatu było zamglone i poznaczone plamkami wody. Pod szkłem ekranu widać było skroploną parę.

– Nie, ta komórka nie działa.

– Dziwne – powiedział, wzruszając ramionami. – Dostałem wiadomość. Przyjechałem. Byłaś w kiepskim stanie, a mnie nie podobali się ci chłopcy, którzy urządzili obok huczną imprezę.

Przez jej mózg przemknął przebłysk wspomnienia.

– Próbowali się tu dostać. – Zaciśnęła dłoń na sierści Willow. – Willow szczełała jak oszalała. – Pochyliła się i ucałowała psa w nos. – Dziękuję, kochanie.

– Może to Willow wysłała mi SMS-a. – Wyciągnął rękę i podrapał psa po pysku. Willow uśmiechnęła się do niego, unosząc brodę wyżej, żeby mógł podrapać także jej pierś. – Nie podobało jej się, że chorujesz.

– Jak się dostałeś do środka?

– Zamki w czymś takim nie są zbyt solidne, skarbie, i musimy o tym pogadać. Ale teraz zrobię ci coś lekkiego do zjedzenia.

– A mógłbyś najpierw sprawdzić coś w Internecie? Muszę zadzwonić do przyjaciółek i dać im znać, co się dzieje.

– Pewnie.

Podaała mu adres strony Miodowej Farmy Lavender i poprosiła, żeby znalazł i wybrał numer telefonu. Odebrała kobieta.

– Halo, dzień dobry, chciałabym rozmawiać z Lavender Wills, jeśli można.

– Przykro mi, ale właśnie pojechała po zakupy i wróci dopiero za kilka godzin.

Może zechce pani zostawić wiadomość?

– Tak. Proszę jej przekazać, że dzwoniła Ginny Smith. Mam opóźnienie i powinnam dotrzeć na farmę dziś późnym wieczorem albo jutro rano. Mój telefon nie działa.

– Chwileczkę, zaraz zapiszę. – Kobieta powtórzyła na głos kluczowe słowa. – Ginny Smith. Opóźnienie. Telefon nie działa. Coś jeszcze?

– Tak. Czy mogłaby ją pani poprosić, żeby zamieściła wpis na moim blogu? Nie chcę, żeby czytelnicy się martwili.

– Och, czy to Ginny z Ciasta Marzeń?

– Tak.

– Czytam pani bloga codziennie! Uwielbiam go. Wszyscy się martwili, kiedy wczoraj nie pojawił się post. Czy coś takiego zdarzyło się wcześniej?

– Nie. To długa historia. Ale gdyby mogła pani powtórzyć reszcie, że nic mi nie jest, byłabym bardzo wdzięczna.

– To dla mnie zaszczyt. Nie mogę się doczekać, żeby panią poznać.

– Dziękuję. – Ginny rozłączyła się i oddała komórkę Jackowi. – Koniecznie muszę wziąć prysznic. I wiem, że ty musisz wracać w trasę, więc nie przejmuj się, nic mi nie będzie.

– Nie ma sprawy – odparł. – Zadzwoń i powiedziałem, że wypadło mi coś pilnego.

Ginny poczuła, że jej serce otula jasnozielona słodycz.

– Naprawdę?

– To te twoje piegi – powiedział, mrugając okiem. – Dobra, zostawię cię, żebyś mogła się ubrać, a potem wybierzemy się do Butte zjeść coś lekkostrawnego. Co ty na to?

– W porządku – odparła. – To naprawdę dobry pomysł.

Gdy wyruszyli w drogę, była roztrzęsiona, ale poradziła sobie z jazdą. Butte okazało się małym miasteczkiem na skraju Gór Skalistych, na których szczytach gdzieś widać było widać czapy brudnego białego śniegu. Zatrzymując samochód na tyłach parkingu, Ginny zastanawiała się, czy to lodowiec. Jack zaparkował obok.

– I jak się czujesz? – spytał, gdy weszli do środka.

– W porządku. – Ginny „przeskanowała” swój organizm i stwierdziła, że osłabienie po gwałtownym ataku minęło. – Dobrze byłoby coś zjeść.

Restauracja była czysta i tętniła życiem. Zajęli miejsce w boksie przy oknie. Siedzenia były wyściełane czerwonym skajem, a widok wart milion dolarów – ostre, wysokie szczyty gór na tle nieba tak wściekle błękitnego, że aż bolały oczy.

Ginny potrząsnęła głową.

– Wciąż spoglądałam na góry i zastanawiam się, co tyle czasu trzymało mnie z dala od nich. Mam wrażenie, jakbym się urodziła w złym miejscu.

Jack wyjrzał przez okno z kartą niedbale zwisającą z dłoni. Pod wpływem światła jego źrenice skurczyły się tak, że tęczęwki wyglądały jak srebrne dyski. Były piękne, lecz zarazem przyprawiały o gęsią skórę, zważywszy na dziwną historię z SMS-em. Może był istotą nie z tego świata, aniołem zesłanym po to, by towarzyszył jej w tej szalonej podróży, albo kimś w rodzaju ducha?

Tylko że jego dłonie były dłońmi mężczyzny. Knykieć palca wskazującego szpeciło rozcięcie. Paznokcie miał w zasadzie równe, ale jeden sprawiał wrażenie, jakby jakiś czas temu przycięto go za krótko. Skóra była ogorzała i brązowa.

Oderwał wzrok od okna i przeniósł na jej twarz.

– Co takiego?

– Nic.

Starannie przejrzała menu, pytając swój żołądek, co byłby w stanie strawić. „Niewiele – odpowiedział. – Herbata, tost i kasza manna na początek”.

– Czy jeśli zamówię jajecznicę na bekonie, zapach nie będzie ci przeszkadzał? – spytał Jack.

– Nie sądzę. – Uśmiechnęła się. – Choć nie obiecuję.

– Rozumiem.

Kiedy kelnerka przyjęła zamówienie i odeszła, Ginny powiedziała:

– Czuję się winna. Powinieneś być już kawał drogi stąd. Ciebie też pożar zmusił do objazdu?

– Tak. Nie przejmuj się tym. Zadzwoń i wszystko wyjaśnię. Pojadę z tobą do Portland.

– Nie. – Skrzywiła się. – Nic mi nie będzie.

Zmierzył ją wzrokiem.

– To dla mnie żaden problem.

– Ale dla mnie tak. – Wytrzymała jego spojrzenie. – Doceniam, że do mnie przyjechałeś, doceniam wszystko, co zrobiłeś, ale tę podróż muszę odbyć sama.

Pojawiły się kawa i herbata. Jack oparł się na siedzeniu.

– Obiecuję, że nie będę na nic naciskał, jeśli to jest problem. Jesteś mężatką, rozumiem. – Pochylił głowę, sięgając po torebkę z cukrem. – Czy Veronica... eee... przekazała ci może coś?

– Masz na myśli liścik?

– To było głupie.

– Wcale nie głupie. Raczej poruszające, naprawdę, i...

Przyłapała się na tym, że patrzy na jego usta, myśląc o tym, jakby smakowały. Jakby to było, gdyby ją pocałował. Gdyby jej dotknął. Gdyby ona dotknęła jego. Jakby to było mieć w sobie mężczyznę po tak długim czasie.

Jej wygłodniałe zmysły dawały o sobie znać.

– Bardzo podobał mi się twój list, Jack, i... ja też lubię na ciebie patrzeć. Ale nie należę do osób, które miewają romanse.

– A co, gdyby to nie był romans?

Uniosła brwi.

– Co to znaczy?

– Moglibyśmy po prostu zostać przyjaciółmi, Ginny. Moglibyśmy utrzymywać kontakt dlatego, że lubimy ze sobą gadać. I może czasami gdzieś razem wyskoczyć.

Nagły przebłysk wspomnienia – delikatne ręce Jacka wycierające jej twarz i szyję moką szmatką. Sięgnęła do jego twarzy, dotknęła policzka i poczuła zarost na szczęce. To wspomnienie sprawiło, że wszystkie nerwy w jej ciele się obudziły.

– Nie wiem.

– Nie musimy teraz o tym mówić. – Uśmiechnął się półgębkiem. – Właśnie skończyłem *Obcego w obcym kraju*, starą powieść Heinleina. Może chcesz ją pożyczyć, żeby mieć co słuchać przez resztę dnia?

– Może – odparła, godząc się na zmianę tematu. – Tak, to bardzo dobry pomysł.

Po śniadaniu powoli ruszyli do swoich samochodów. Ginny wypuściła Willow, którą zostawiła na tylnym siedzeniu, i wzięła ją na smycz, żeby mogła przejść się po trawniku.

– Założę się, że będzie szczęśliwa, kiedy w końcu dotrzemy na farmę.

– Myślę, że po prostu lubi być z tobą. Gdziekolwiek – odparł Jack. Przykucnął, żeby podrapać Willow po czarnym karku i złotych uszach, a potem zaczął ją głaskać i tarmosić. – Ma taką wspaniałą, gęstą sierść.

– Którą gubi. Tony włosów.

Wstał. Otrzeptał ręce. Spojrzał na swojego tira, a potem na Ginny.

– Dobrze się czujesz? Nic ci nie będzie?

– Dobrze. Jedzenie działało cuda. Jestem trochę zmęczona, ale nie zamierzam się forsować.

– W takim razie chyba powinienem jechać. Masz jeszcze gdzieś mój numer?

– Mam. – Podniosła głowę i spojrzała na niego z powagą. – Bardzo ci dziękuję za wszystko, co zrobiłeś, Jack. Nie wiem, jakim cudem cię spotkałam, ale miałam szczęście. – Zawahała się. – Myślisz, że mogę cię uściskać?

– Zgadnij.

Otworzył ramiona, a Ginny zrobiła krok naprzód, wolną ręką chwytając go w tali. Objął ją i ich ciała się spotkały.

Czas rozciągnął się i wywrócił do góry nogami. Kiedy jej pierś dotknęła jego piersi, kiedy się objęli, zamknęła oczy i odwróciła głowę, żeby przytulić policzek do jego ramienia. Ciało miał zarazem twardsze i miększe, niż się spodziewała –

miękkie pośrodku, za to silne ręce i barki. Ginny pozwoliła sobie naprawdę je poczuć, poczuć ciało mężczyzny dotykające jej ciała. Skóra jej się nieco zmarszczyła. Pojawił się kolejny przebłysk wspomnienia, w którym Jack odwracał ją, żeby zdjąć jej bluzkę i umyć plecy, starając się nie naruszać przy tym zbyt jej intymności. Przypomniała sobie jego ręce na swojej skórze i leciutko zadrżała. Przytulił ją mocniej, w jego piersi coś zamruczało.

Ale to jego zapach był tym, co przyniosło jej zgubę. Jack pachniał mężczyzną, bekonem, słodką esencją sztuki pieczenia ciast i ten zapach pokonywał w niej wszystkie zasieki, wszystkie zahamowania. Jakby był magicznym zaklęciem, jak gdyby samą swoją obecnością Jack potrafił ją przemienić. Przesunął rękami po jej plecach, a ona uniosła głowę. Nie chciała go puścić. Spojrzał na nią z góry. Nie był młody, skórę na szczęce miał zwiotczałą, głębokie zmarszczki w kącikach oczu. A mimo to, gdy pochylił się, żeby ją pocałować, potrafiła myśleć tylko o jednym: że jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziała w życiu.

Jego wargi dotknęły jej warg i kolana dosłownie się pod nią ugięły. Przyłgnęła do niego jeszcze mocniej. Pocałunek był delikatny, pełne usta badawczo musnęły jej usta. Tylko usta. Ich wargi to do siebie przywierały, to się odrywały, aż w końcu po serii krótkich pocałunków nastąpił jeden długi. Jack przesunął dłońmi po jej plecach, a Ginny wygięła się w łuk, żeby móc otrzeć się o niego ciałem.

Wsunął ręce w jej włosy, a ona oparła na nich głowę.

– Pachniesz jak brzoskwinie – powiedział ochryplym głosem i pocałował ją naprawdę.

Naprawdę.

Gdy poczuła dotyk jego języka, jej ciało stanęło w płomieniach. Mogła wskazać zarzewia ognia: rozpalone sutki spopieliły jej bluzkę, ogień między nogami roztopił dżinsy, czubki palców przepaliły jego ubranie, szukając skóry, nagiej skóry, jego...

Oderwała się.

– Ja... e... – Podniosła płonące palce do rozpalonych ust. Oblizwała językiem poparzone wargi i cofnęła się o krok, potrząsając głową. – To nie ja. Przepraszam.

– Ginny...

Potrząsnęła głową i odwróciła się, ciągnąc Willow za sobą. Czuła, jak paląca prawda spływa w dół kręgosłupa i jakaś jej część – największa, jeśli miała być szczerą – chce, żeby pobiegł za nią, jeszcze raz położył dłonie na jej ciele, zdjął z niej ubranie i...

Z pragnienia kręciło jej się w głowie. Otworzyła drzwiczki i wpuściła Willow do samochodu. Pies zaskomlał, oglądając się za siebie, ale Ginny nie mogła sobie pozwolić na to ostatnie spojrzenie, żeby nie zamienić się w słup soli jak żona Lota albo, co gorsza, w dziwkę, która rzuci się na Jacka, błagając o choćby jedną wspólną noc.

Zamknęła za sobą drzwiczki i położyła głowę na kierownicy. Oddychała głęboko, chcąc przywołać swą duszę z bezdroży. Zapach Jacka przylgnął do jej dłoni, może ubrania. Nie potrafiła przestać się trząść.

Po chwili usłyszała, że odpala silnik w swoim samochodzie. Minął ją, ale nie podniosła oczu, dopóki nie odjechał tak daleko, że już go nie słyszała.

Dopiero wtedy z ulgą zrobiła wdech, uruchomiła auto i wjechała na autostradę. Po kilku kilometrach włączyła odtwarzacz i zorientowała się, że zapomniała wziąć audiobooka, który obiecał jej pożyczyć.

OD: ginnny@ciastomarzen.com

DO: czteryismakoszki@yahogroups.com

TEMAT: Meldunek z Missoula, MT

Właśnie przeżyłam najdziwniejsze dwadzieścia cztery godziny w moim życiu. Przymusowy objazd z powodu pożaru, zatrucie, duchy (nie żartuję!), pomoc ze strony nieznajomych.

Piszę z kafejki internetowej w Missoula w stanie Montana. Brudno tu i pełno dzieciaków z plecakami, większość dawno nie widziała wody, więc nie będę wchodzić w szczegóły. Chcę tylko, żebyście się nie martwiły. Mój telefon nie działa, a bez niego nie mogę korzystać z Internetu. Paskudnie się zatrulałam i trochę kiepsko się czuję, więc pewnie najwcześniej będę u was jutro rano.

Bardzo dziwne rzeczy przydarzyły mi się po drodze. Dziwne i dobre, dziwne i nie tak wspaniałe, a także po prostu bardzo dziwne. Nie mogę się doczekać, żeby Wam o nich opowiedzieć. Nie mogę się doczekać, żeby Was ZOBACZYĆ!

Czy któraś mogłaby zajrzeć na bloga i zamieścić jakąś informację? Próbowałam, ale wciąż nie mam dostępu. Serwer: Wordpress, użytkownik: ginnycake, hasło: pwd frosting.

Ściskam,

GINNY

OD: valerie@winnatancerka.com

DO: ruby@smakniebieskiegoksiezyca.com,

lavender@miodowybloglavender.com

TEMAT: NIE PSUJCIE NIESPODZIANKI!!!

Lavender, Ruby – nie mówcie Ginny, że tu jestem. Chcę, żeby miała niespodziankę!!!

OD: valerie@winnatancerka.com

DO: czteryismakoszki@yahoo.com

TEMAT: re: Meldunek z Missoula, MT

Dzięki Bogu, że jesteś cała i zdrowa! Nie tylko z Tobą nie było kontaktu.

Ze mną i z Hannah też wszystko w porządku, pominiawszy fakt, że moja córka zamienia się w Dakotę i gdy skończy szesnaście lat, zamierza uciec z domu, żeby wziąć udział w radzie plemiennej.

Strasznie żałuję, że nie mogę być z Wami.

Valerie

OD: ruby@smakniebieskiegoksiezyca.com

DO: czteryismakoszki@yahoo.com

TEMAT: re: Meldunek z Missoula, MT

Ginny! Duchy??? Nie mogę się doczekać szczegółów.

Wszystkie z niecierpliwością wypatrujemy Twego tak szumnie zapowiadanego przybycia, *ma chérie*. Stawiają tu podest do tańca na sobotnią fetę i rozwieszają światełka. Modlimy się, żeby nie padało i żeby było widać niebieski księżyc.

Ginny, dziewczyno, lawenda jest niesamowita. Czeka Cię tu cudowny plener. Już sobie wyobrażam, jak wsiąkasz po uszy i nic tylko fotografujesz, fotografujesz i fotografujesz. Myślałam, żeby zrobić dla Ciebie zdjęcie aparatem w komórce, ale to tylko zepsułoby niespodziankę.

Szybko, szybko, spiesz się. (Ale bądź przy tym ostrożna!)

Serdeczności,

Ruby

OD: lavender@miodowymbloglavender.com

DO: czteryismakoszki@yahoo.com

TEMAT: Przyjazd

Wyszykowaliśmy dla Ciebie miejsce parkingowe. I nie możemy się doczekać – Ciebie, Willow i Coco – przyczepy (ha, ha)!

Wygląda na to, że przeżyłaś swoją wymarzoną przygodę.

Uściski,

Lavender

SMAK NIEBIESKIEGO KSIĘŻYCA

blog o pysznym jedzeniu...

Dziś na farmie Lavender cały dzień pada. Wszystkie chciałybyśmy wyjść na dwór, tańczyć z pszczołami w promieniach słońca, wdychać zapach lawendy unoszący się niczym obietnica spokoju i szczęścia, tymczasem tkwimy zamknięte w czterech ścianach. Robimy na drutach, czytamy, zastanawiamy się, jaka bogini będzie odpowiednia dla każdej z nas. (Nie powiem wam, kto będzie kim, żeby nie psuć niespodzianki, ale przeczytajcie w poniedziałek sprawozdanie ze Święta Niebieskiego Księżyca, znanego także jako urodziny Lavender).

W taką pogodę zawsze mam ochotę zjeść coś na pociechę. Większość wszystkożerców sądzi, że jedzenie na pocieszenie i weganizm nie idą w parze, ale to danie możecie równie dobrze zaserwować mięsojadom i (cicho sza!) nie zauważą różnicy.

Zapiekanka łaskawego pasterza dla czterech bardzo głodnych osób

- 2 łyżki oliwy z oliwek (plus jeszcze jedna)
- 2 łodygi selera naciowego, 1 gigantyczna cebula, 2–3 marchewki –
wszystko pokrojone w kostkę
- 5 ząbków obranego i z grubsza posiekanego czosnku
- 1 średni pasternak pokrojony w kostkę (opcjonalnie; niektórzy nie
lubią słodczy tego warzywa, ale ja uwielbiam)
- 1 szklanka świeżego lub mrożonego groszku
- 1 łyżka koncentratu pomidorowego
- 1 litr dobrej jakości bulionu warzywnego
- 1 butelka ciężkiego czerwonego wina w rodzaju zinfandela (im
głębszy bukiet, tym lepiej)
- 2 łyżki sosu tamari
- odrobina sosu Worcestershire
- 1 łyżka tymianku
- 1 szklanka oczyszczonych i pokrojonych borowików
- 1 szklanka oczyszczonych i pokrojonych młodych pieczarek
- 2 szklanki substytutu mielonej wołowiny, na przykład Quorn albo
MorningStar Farms

4 duże czerwone ziemniaki, obrane i pokrojone (jeśli zależy wam na tym, żeby potrawa miała bardziej wiejski charakter, możecie zostawić skórkę)

$\frac{1}{2}$ szklanki margaryny

$\frac{1}{2}$ szklanki mleka sojowego lub kokosowego

sól i pieprz do smaku

Przygotujcie wszystkie warzywa z wyjątkiem ziemniaków. W żeliwnym naczyniu albo w dużym rondlu o grubym dnie rozgrzejcie 2 łyżki oliwy (lub więcej – to nie jest bardzo tłuste danie, więc nawet 3–4 łyżki nie będą przesadą). Dodajcie cebulę, czosnek, seler naciowy, marchewkę i pasternak i duście na średnim ogniu, aż zmiękną. Dodajcie koncentrat pomidorowy i wymieszajcie.

Otwórzcie wino. Nalejcie sobie hojny kieliszek, a resztę wlejcie do rondla.

Dodajcie bulion, przyprawy, sos tamari i doprowadźcie do wrzenia. Przykręćcie gaz i gotujcie na wolnym ogniu, aż ilość płynu zredukuje się co najmniej o połowę.

W tym czasie obierzcie (albo nie) ziemniaki, pokrójcie i zalejcie wodą.

Doprowadźcie do wrzenia, a potem delikatnie zmniejszcie płomień i gotujcie na wolnym ogniu, aż będą miękkie.

Skosztujcie bulionu, doprawcie, jeśli trzeba. Dodajcie groszek, grzyby i substytut mięsa. Podgrzewajcie na małym ogniu, dopóki nie ugotują się ziemniaki.

Rozgrzejcie piekarnik do 200 stopni Celsjusza.

Gdy ziemniaki będą miękkie, odlejcie wodę i dodajcie margarynę. Rozgniećcie je na gładką masę, a następnie dodajcie mleka, żeby purée było delikatniejsze.

Skosztujcie potrawki. Płyn powinien być gęsty i aksamitny, o głębokim, bogatym smaku. Jeśli trzeba, doprawcie go solą, odrobiną sosu tamari albo kostką bulionu warzywnego. Jeśli nie jest odpowiednio gęsty, odlejcie nieco, wymieszajcie z dwiema łyżkami mąki tak, żeby nie było grudek, dodajcie do reszty i pozwólcie, żeby całość zgęstniała.

Gdy potrawka będzie gotowa, przełóżcie ją do naczynia żaroodpornego o średnicy 25 centymetrów, a wierzch przykryjcie purée z ziemniaków. Za pomocą łyżki lub widelca pofałdуйте warstwę ziemniaków, żeby się ładnie zarumieniła.

Zapiekajcie 10–20 minut, aż purée zyska chrupiącą skórkę.

Zaczekajcie 5 minut, żeby całość przestygła, a następnie serwujcie solidne porcje.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

W porze obiadu zaczęło lać jak z cebra. Słoczyły się w chatce Lavender, w maleńkim salonie zastawionym głębokimi kanapami i fotelami obitymi wyblakłą wzorzystą tkaniną. Ruby przerzuciła nogi przez poręcz i położyła laptopa na udach. Nieustannie sprawdzała pocztę, ale wciąż nie było żadnych wieści od Liama. Być może nie potrafił przyjąć do wiadomości jej maila.

To byłoby straszne.

Valerie, w okularach do czytania na idealnie prostym, zgrabnym nosie, robiła na drutach sweter z miękkiej wełny w najróżniejszych odcieniach brązu. Hannah z włosami związanymi tak, żeby jej nie przeszkadzały, wcisnęła się w kąt kanapy, czytając romans z czasów Dzikiego Zachodu. Na staromodnej okładce widniał nagi do pasa Indianin z piórami we włosach. Ruby uznała, że trochę przypomina Noaha. Ten sam ostry nos, silne ręce.

Lavender siedziała przy stole oparta plecami o ścianę i zajmowała się jakąś papierkową robotą. Bawiła się ołówkiem, obracając go w przód i w tył.

– Chciałabym, żeby przestało padać! – warknęła Hannah. – Taka nuda.

– Przecież czytasz – zauważyła łagodnie Valerie. – W przyczepie są też inne książki.

– Mam już dość czytania, wiesz?

– Chcesz w coś zagrać? – spytała Ruby. – Widziałam gdzieś planszę do tryktraka.

– Nie. – Hannah zauważyła ukradkowe spojrzenie matki i dodała: – Dzięki.

Ruby też się nudziła. Nikt nie lubi, jak pada całymi godzinami. Kolejny raz wcisnęła „Odśwież”, a potem, zmęczona sobą, wpisała w wyszukiwarkę hasło „miód pitny”. Pojawiła się długa lista stron poświęconych historii, zasobom, legendom i tradycji. Wybrała jedną na chybił trafił i weszła na witrynę w średniowiecznym stylu, ciemną jak dębowa baryłka. „Napój Wikingów i średniowiecznych królów!”, głosił nagłówek. Gdzieś z tyłu głowy zabrzmiała lutnia grająca wesołą melodię, a przed oczami stanął jej obraz kobiety tańczącej na scenie w czerwono-złotej sukni.

– Może wszystkie powinnyśmy się przebrać? – powiedziała. – Znaleźć sobie jakieś kostiumy na święto.

– T e r a z mi to mówisz? – odparła Valerie. – Mam trzy tutaj w różnym

stylu. Właśnie jadą w pudłach do San Diego.

Ruby aż zagwizdała z zachwytu.

– Tutu! Byłoby fantastycznie! Mogłybyśmy wystąpić jako bosonogie tancerki.

Lavender uśmiechnęła się szeroko.

– Wy, dziewczęta, wyglądałybyście cudownie. Ale ja... jak stara czarownica.

– Nie, nie, nie! – zawołała Ruby. – Ty byłabyś Królową Śniegu! Mogłybyśmy cię ubrać w – zmrużyła oczy – srebrną tutu i wpiąć ci we włosy lawendę.

– Królowa Śniegu z kwiatami we włosach? – parsknęła Lavender.

– No to może nie Królowa Śniegu, ale kwiaty i sukienka pasują. A ciebie, Hannah, widzę w czymś pomarańczowym albo może w czerwieni. Persefona. – Ciarki przeszły ją po plecach.

– Kto to taki Persefona?

Valerie, nie przerywając robótki, powiedziała:

– Córka Demeter. Porwał ją Hades i zabrał do piekła. To mit o zimie i odrodzeniu życia na wiosnę.

– Fuj, nie chcę nią być.

Ruby potarła dłońmi uda.

– Matka ją uratowała. A poza tym została królową podziemi, bardzo potężną.

– A ty, Ruby, kim byś była? – spytała Valerie, znów ani na moment nie wypadając z rytmu. – Demeter?

Ruby przemknął przez myśl obraz matki unieruchomionej na zdjęciu w Google Maps.

– Nie jestem dość mądra. Myślę, że włożyłabym coś niebieskiego. Kto nosi niebieski?

– Demeter – odparła Lavender.

– Kto jeszcze?

Hannah stukała w ekran telefonu.

– Może Selene? To bogini księżycy. Przydałaby się, prawda? I nazywają ją „płodną matką”.

Ruby wycelowała palcem w Hannah.

– No proszę. To ja. Selene.

– Czy ona nie była też bajarką? – spytała Valerie. – Tkaczką opowieści?

– Wszystko jedno. Podoba mi się wątek płodnej matki.

Hannah, wciąż przeglądając Internet w telefonie, dodała:

– Poza tym była blondynką.

– W porządku – powiedziała Ruby, kręcąc się w fotelu. – Lavender jest Królową Śniegu, Hannah Persefona, ja Selene. A ty, Valerie? Kim ty jesteś?

– Och, nie wiem – powiedziała Valerie śmiesznym głosem i spojrzała na nią znad okularów. – Królową czegoś tam, jak sądzę.

Ruby wybuchnęła śmiechem.

– W lśniących szatach, tak?

– I w koronie.

Hannah też się roześmiała.

– I z... Jak się nazywa to coś, co się trzyma w ręce? Takie z drogimi kamieniami na czubku.

– Pastorał? – strzeliła Ruby.

– Berło – powiedziała Valerie.

Trzasnęły drzwi wejściowe i Hannah natychmiast się wyprostowała, poprawiając koszulkę. I rzeczywiście był to Noah obnoszący swe piękno ze zwieszoną głową jak jakiś wielki ciężar. Ciekawe, jak to jest, pomyślała Ruby, być mężczyzną, na którego widok wszystkie kobiety prostują plecy. Chciała, żeby poczuł się swobodnie.

– Noah, doszliśmy do wniosku, że powinniśmy wystąpić na imprezie jako bosonogie boginie. Będziemy potrzebowały jakichś bogów.

– Słucham?

Uśmiechnęła się do niego, aż jej się zrobiły dołeczki. Uniosła brew i ramiona.

– Jakim bogiem byś był, gdybyś mógł wybierać?

– Obawiam się, że kiepski ze mnie materiał na boga. Lavender, mamy problem z maszyną do lodu. Możemy porozmawiać?

– Znowu?

– Nawala.

– Hmm. – Lavender odłożyła ołówek i zdjęła okulary. – Pomyślę, co zrobić.

– Dobra.

Wskazała gestem ostatni wolny fotel.

– Może na chwilę usiądziesz?

– Nie, muszę...

Zafalowała w powietrzu palcem. „Siadaj”.

Usiadł ostrożnie na brzeżku i podrapał się w skroń.

– Noah, mój drogi, jakim bogiem mógłbyś być?

Nachmurzył się.

– Nie wiem. Nie znam żadnych bogów.

– Hannah – powiedziała Ruby – poszukaj kogoś, kto by do niego pasował. – Odwróciła się do Noaha z uśmiechem. – Ja będę Selene.

– Może Hades – zaproponowała cicho Hannah/Persefona. – Bóg podziemi.

Lavender uśmiechnęła się szeroko.

– Pasuje, prawda?

– Jak chcecie. Może być Hades. Ale nie zamierzam się przebierać ani chodzić na bosaka.

Ruby wybuchnęła śmiechem. Wydobywał się z głębi piersi. Ludzie zawsze zwracali uwagę na jego chropawy, donośny dźwięk.

– Żadnej togi ani sandałów?

Patrzył na nią sennymi oczami odrobinę za długo.

– Może prześcieradło.

– Jestem za – odparła Ruby ze spokojem. – Tylko prześcieradło.

Powoli zatarł ręce.

– A wy co założycie?

– Nie wiem. Musimy znaleźć sobie tutu, prawda dziewczyny?

– Co to takiego tutu?

– Coś, co noszą na scenie tancerki – pospieszyła z odpowiedzią Hannah. – Moja mama była pierwszą czarną primabaleriną w Cincinnati.

– Nie żartuj! – Noah uśmiechnął się szeroko do Valerie, a Ruby była gotowa przysiąc, że elektryka w pokoju zaczęła skwierczeć. – To super. Musiało ci być ciężko.

Zgrabnie wzruszyła ramionami.

– Taniec to ciężka praca, koniec, kropka. Ja byłam szczęściarą, miałam duże wsparcie.

– I teraz będzie królową czegoś – powiedziała Hannah.

– A ty, słonko? – spytał dziewczynkę.

– Och – spuściła głowę, trącając palcem stopy skraj dywanu. – Jeszcze nie jestem pewna.

Ruby uniosła brew i spojrzała na Valerie, a ta zagryzła górną wargę.

– Myślicie, że można tu gdzieś dostać tutu? – spytała Ruby. – Na przykład wypożyczyć? Tylko na jeden dzień.

– Ja tego nie założę – powiedziała Lavender. – Jestem za stara.

– Oczywiście, że założysz – odparła Ruby – To twoje urodziny.

– A co z Ginny? Jak myślicie, kim chciałaby być?

– Królowa ciast? Kto by pasował? – Ruby wskazała palcem na Hannah. – Niech tropicielka bogiń znajdzie nam jakąś od wypieków.

– Już szukam. – Dziewczynka wstukała pytanie, zmarszczyła brwi, spróbowała wpisać coś innego. – Wyskakuje mi lista blogów i cukierni.

– Hmm.

– Artemida – powiedziała Lavender. – Ginny to Artemida.

Nie wiadomo czemu Ruby zachciało się płakać.

– Och, to cudowny pomysł.

– Kim była Artemida? – spytała Valerie. – Nie pamiętam tych wszystkich bogiń. Sto lat temu byłam w college'u.

– To ja sprawdzę – zaoferowała się Hannah.

Telefon w kieszeni Ruby zaczął grać *I Won't Give Up* Jansona Mraza. Płasnęła ręką komórkę.

– Jasna choroba! To Liam. Co mam zrobić?

– Odbierz – powiedziała stanowczo Lavender. – Trzeba to załatwić.

Z sercem przebitym soptem lodu Ruby wstała i odebrała połączenie. Ruszyła w stronę werandy na tyłach domu.

– Halo?

– Hej, Ruby – powiedział Liam niczym mieszkaniec Zachodu, a nie Nowego Jorku. Poczowała, jak dźwięk jego głosu, mrocznego, słodkiego niczym miód barytonu, spływa jej wzdłuż szyi. Przygarbiła się, osłaniając ręką żebra.

– Hej, Liam. Rozumiem, że dostałeś mojego maila.

– Tak. – Na linii zapadła cisza. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Ja też nie wiem. Po prostu uznałam, że powinieneś wiedzieć.

– Myślałem, że przez tę całą chemię i inne gówno nie możesz mieć dzieci.

– Naświetlanie. Chemię i naświetlanie. – Wyjrzała przez ekran na ganku. Deszcz przesłonił świat szarą mgiełką. – Ja też myślałam, że to niemożliwe, ale okazało się, że jest inaczej.

– Czyli oboje byliśmy w grupie o zerowym prawdopodobieństwie posiadania dzieci, a ty zaszłaś w ciążę po sześciu latach? Kiedy uprawialiśmy seks po raz ostatni? – Dopiero wtedy zauważyła wrogość w jego głosie. – Tak?

Zrobiła wdech. To była ta jego strona, której nie lubiła, oblicze zimnego drania, inkwizytora, który potrafił wyłączyć emocje i sprawić, że czuła się jak nieporadne, głupie dziecko.

Nie tym razem.

– Tak – odparła.

– Dla mnie to brzmi jak stek bzdur. Jakbyś próbowała spieprzyć mój ślub z Minną. Twoje wyczucie czasu jest...

– Przestań. – Zrobiła wdech. – Niczego od ciebie nie chcę. Niczego nie potrzebuję. Nie chciałam ci mówić, ale moje przyjaciółki uznały, że powinieneś wiedzieć. Wiele szczęścia na nowej drodze życia. Nie potrzebuję cię.

– Ruby! Nie rozłączaj się!

Czekała ze ściśniętym gardłem. W słuchawce słyszała jego oddech i włoski na jej karku podniosły się gotowe na dotyk jego ust. Raptem stanął jej przed oczami szokujący, poruszający obraz jego penisa – zakrzywionego, czerwonego, takiego, z jakim dawno temu przychodził do niej do łóżka. Jakże go pokochała, jak pokochała ten jego głos, stwardniałe ręce!

Gdzie się podział jej kochanek?

– Liam, to... cud.

– Raczej kłamstwo, Ruby. Chyba nie sądzisz, że ci uwierzę.

Jego słowa były jak zimny policzek.

– Czy kiedykolwiek zdarzyło się, żebym skłamała? Kiedykolwiek?

– Nie. Ale kiepsko zniosłaś rozstanie.

– Boże, chyba nie ma w tym nic dziwnego. W końcu przez sześć lat byliśmy parą stulecia.

– To już przeszłość, Ruby.

– Wiem! – krzyknęła. – Już wiem. – Ostry ból eksplodował jej za oczami, przyłożyła rękę do czoła. – Bądźmy ze sobą szczerzy, Liam. Nie mam czasu czekać, aż przemyślisz swoje stanowisko. Ale dobrze wiesz, że nie skłamałabym w takiej sprawie.

Coś na linii zabrzęczało.

– Wiem.

– Słuchaj, teraz się rozłączę. Zadzwoń potem. Albo nie dzwoń. Twoja decyzja.

Chwila ciszy.

– Minna nie chce, żebym z tobą rozmawiał. Będzie wkurzona jak diabli, że zadzwoniłem.

– To nie musimy rozmawiać. Chciałam postąpić fair.

– Ja też chcę. Chcę ci przesłać pieniądze.

– Wiesz, że ich nie potrzebuję. – To był drażliwy punkt w ich stosunkach. Olbrzymia fortuna jej ojca raz przyprawiała go o zazdrość, a raz była przedmiotem zachwytu. – O to się nie martw. Mam wszystko, czego mi trzeba.

– Ale to j e s t cud, prawda? – powiedział ściszym głosem. – Dziecko? A co jeśli nigdy nie będę miał innego? Albo ty?

Właśnie w ten sposób na nią wpływał. Nie chodziło o jego pewność siebie czy urok. Tylko o autentyczne zdumienie, jakie budziło w nim życie, pragnienie, by odkryć tajemnicę bytu.

– Nie mogę powiedzieć Minnie. To by ją zniszczyło.

Sopel w sercu Ruby obrócił się.

– Jasne.

– Ruby, strasznie mi przykro. Naprawdę cię kochałem.

– Przestań – powiedziała i się rozłączyła.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Po rozmowie z Liamem Ruby przez piętnaście minut chodziła po werandzie. Próbowwała się pozbierać, uspokoić galopujące serce i drżące dłonie, pozbyć się wiszącego w powietrzu echa jego głosu. Dziecko w jej brzuchu zanurkowało, a ona nie poczuła nawet cienia mdłości.

Ha, wymiotowała dziś tylko raz. Może jednak sprawy szły ku lepszemu.

Musiała coś ugotować. Wetknęła głowę w drzwi i powiedziała:

– Idę do przyczepy.

– Wszystko w porządku? – spytała Lavender, wyglądając do niej z salonu.

– Niezupełnie. Po prostu muszę coś ugotować. Wrócę później.

– Weź z holu parasolkę.

Noah siedział na podłodze z jednej strony stolika do kawy, Hannah z drugiej. Między nimi leżała rozłożona plansza do tryktraka.

– Twój ruch – zagrział.

Hannah rzuciła kostką. Valerie obserwowała grę znad okularów, postukując drutami.

– Tylko nie siedź za długo – powiedziała. – Musimy zaplanować parę rzeczy.

Ruby pokiwała głową i wybiegła na deszcz. Krople delikatnie stukały w parasol, otaczając ją miękką ciszą, która łagodziła napięcie w karku. Tu, na dworze, gdzie nikt jej nie widział, mogła pozwolić, by łzy, zawstydzające głupie łzy, które zdradzały jej słabość, swobodnie spływały po policzkach.

Co za szaleństwo opętało ją z tym Liamem? Szła przez łąkę, przecinając kępy długich traw. Rąbki dzinsów nasiąkły jej wodą. Przecież to nie tak, że nie miała wcześniej chłopaka. Miała ich na pęczki, z niektórymi nawet sypiała.

Dlaczego tak kurczowo trzymała się akurat tego? To bez sensu. Czuła się przez to tak żałośnie. Musi znaleźć sposób, żeby o nim zapomnieć.

Nieopodal swojej przyczepy usłyszała ciche „miau”. Spod airstreama wyrzła na nią para złotych oczu. Wyglądały, jakby unosiły się w powietrzu, bo czarny pyszczek kota rozpląwał się w ciemności. Ruby zamruwała.

– Miau.

– Och, biedne stworzenie! – Sięgnęła pod przyczepę i podniosła kotkę. Ninja zaczęła wiercić się w jej ramionach, sierść na karku miała przemoczoną i zimną. Ruby pogładziła ją i pocałowała w miękki boczek. – Widzisz – powiedziała, dodając

do mieszanki emocji jeszcze ten smutek. – Właśnie dlatego czasami potrzebna jest ludzka interwencja. Dlaczego nie jesteś w stodole?

Gdy tylko drzwi do przyczepy się otworzyły, Ninja wskoczyła do środka i podbiegła do spodka, który stał obok stołu wylizany do czysta.

– Miau! – Obejrzała się przez ramię na Ruby.

Chichot przełamał szaleństwo, które wzbierało jej w piersi.

– Jesteś głodna! Ale ja na szczęście – powiedziała Ruby, otwierając kredens – zaopatrzyłam się w to ohydztwo, które lubisz. Co powiesz na łososia z warzywami?

Uniosła do góry puszkę, a Ninja zaczęła kręcić się jej pod nogami.

To dlatego stare kobiety mają tyle kotów, pomyślała Ruby, wykładając jedzenie na talerzyk. Ninja zaczęła jeść ostrożnie, kęs po kęsie. Przeżuwała każdy kawałek sto razy, jak przystało na damę. Gdy Ruby przejechała palcami po jej plecach, wyprężyła się, mrużąc między kęsami. Sierść miała miękką jak puszek do pudru, który Ruby pamiętała z dzieciństwa. Ktoś kiedyś przyniósł do szpitala pachnący talk i potem przez wiele miesięcy wszystkie dziewczynki na oddziale roztaczały zapach słodkiego piżma i pudru dla dzieci.

Dotyk sierści Ninji i jej mrużenie oddaliły od Ruby groźbę obłędu. Usiadła na podłodze z laptopem i sprawdziła pocztę, myśląc, że może Liam coś do niej napisał, ale oczywiście nic nie było.

Żałowała, że nie ma matki albo siostry, żeby pogadać, kogoś, komu mogłaby się zwierzyć ze swojej straszliwej głupoty, kogoś, kto w końcu wysłuchałby jej i coś poradził. Potrzebowała rady, mapy, lekarstwa, czegoś, co zakończyłoby jej związek z człowiekiem, który już jej nie kochał.

I gdy tak o tym myślała, nagle zorientowała się, że osobą, której mogłaby się wyzalić, jest tak zwykle opanowana Ginny. Wybrała nową wiadomość i napisała:

OD: ruby@smakniebieskiegoksiezycyca.com

DO: ginny@ciastomarzen.com

TEMAT: TYLKO DO TWOJEJ WIADOMOŚCI

Rozpadam się na kawałeczki i bardzo staram się nic nie dać po sobie poznać, ale wiem, że ty masz córkę w moim wieku, więc może mogłabyś mi coś poradzić. Nie mogę porozmawiać o tym z tatą, bo już i tak STRASZNIE SIĘ MARTWI, a Lavender, no wiesz, jest wprawdzie cudowna, ale nigdy tak naprawdę nie była w poważnym związku.

Wylała z siebie wszystko, co jej leżało na sercu, poprosiła o radę i wysłała maila. Oparła się plecami o kredens. Ninja lizała przednią łapę, czarny ogon leżał zawinięty wokół tylnych, a spod niego wyzierały białe skarpetki.

Po kilku minutach Ruby wstała, czując, że ubranie ma wilgotne. Potem się

przebierze. Teraz na języku tańczyły jej smaki – cebula i czosnek, aromatyczny bulion, groszek i marchewka. Mogłaby zrobić na kolację zapiekankę pasterską dla wszystkich. Ustawiła składniki na blacie: oliwa z oliwek i ziemniaki, dobrej jakości bulion warzywny z kartonu, bo nie było czasu, żeby ugotować go samej. Nie miała wina – oczywiście teraz go nie kupowała, bo była w ciąży – a z doświadczenia wiedziała, że bez niego potrawie będzie brakowało głębi. Zadzwoiła do Lavender.

– Hej, masz może butelkę czerwonego wina?

– Jasne, kupiłam wczoraj. Ale chyba nie zamierzasz topić smutków w alkoholu, co?

– Nie, skąd! Robię kolację dla wszystkich i potrzebuję wina.

– A. To przyślę ci butelkę. O której kolacja?

Ruby zerknęła na zegar w kształcie kota Feliksa, który wisiał na ścianie, i przypomniała sobie, że Feliks też był czarno-biały. Uśmiechnęła się do Ninji.

– Koło szóstej. Przyniosę, jak skończę.

– Będą potrzebne jakieś dodatki?

– Chleb i sałatka. Wszystko jedno, owocowa czy warzywna.

– Dobra.

Kiedy się rozłączyły, Ruby znalazła playlistę do gotowania i puściła muzykę przez głośniki. Nucąc z Pink, zmiażdżyła i obrała czosnek, a potem wyjęła cebulę z folii i odłożyła na bok. Marchewka i seler naciowy były już przywiedłe, więc włożyła je do miski z lodowatą wodą, żeby nabrały chrupkości.

Pukanie do drzwi sprawiło, że kotka wystrzeliła w poszukiwaniu kryjówki. Spróbowała wepchnąć się pod kuchenkę, po czym pomknęła za stół.

– Ruby, to ja! – zawołał Noah. – Wiesz, że pada?

Ruby szarpnęła za drzwi.

– Przepraszam! Wchodź. Zabezpieczałam tyły pewnej Ninji.

Głowę i ramiona miał przemoczone. Wpadł do środka z butelką wina w dłoni. Woda kapała mu z nosa i Ruby znów się roześmiała.

– Przepraszam.

Podawała mu ścierkę do naczyń, a on wręczył jej wino.

– Ooo, dobre – powiedziała, czytając etykietkę. – Dzięki za dostawę.

Noah wytarł twarz i ramiona. A potem, ku jej całkowitemu zaskoczeniu, pochylił się i potrząsnął włosami, opryskując ją wodą.

Pisnęła i podniosła do góry ręce.

– Fuj! Przestań!

Uśmiechnął się szeroko, włosy opadły mu na twarz kręconymi puklami. Zęby miał leciutko krzywe i bardzo białe, opalona skóra lśniła od deszczu.

– Zamierzasz sama wypić całą butelkę?

– W ogóle nie zamierzam pić – odparła. – Jestem w ciąży!

– To może nalejesz mi kieliszek i zatrudnisz na stanowisku podkuchennego? – Wskazał brodą na warzywa.

Ruby wyczuła jego zapach przez cebulę – goździki, pot i nuta czegoś, co przypominało morską bryzę. Pomyślała, że jego skóra musi smakować jak ocean, ostro, solą, którą zostawia woda, gdy omywa ciało.

– Nie ma tu dość miejsca.

– Chodzi ci o to, że chcesz zostać sama, żeby móc rozmyślać?

Wzruszyła ramionami i dotknęła wypukłego brzucha.

– Raczej żeby przemyśleć parę spraw.

– Jakich spraw, skarbie? – Wyjął jej z rąk butelkę, otworzył szufladę, a potem następną, aż znalazł korkociąg. – Bardzo kiepsko się czujesz? – Z wprawą zdjął folię, wykręcił korek, przesunął pod nosem i leciutko pokiwał głową. To ją nieco zdziwiło. Powiedziałyby, że jest raczej amatorem piwa, może whisky. Większość żołnierzy nie przepadała za winem. – Jak je przemyślisz, to będzie lepiej?

Zagryzła górną wargę.

– Niezupełnie.

Otworzył kredens i od razu znalazł kieliszki. Nalał sobie porządną porcję i podał jej butelkę.

– Pozwól, że ci pomogę.

Jego oczy koloru miedzi były jak rzeka późnym latem. Gdy na nią spojrział, wydało się jej, że niemal widzi w nich rwący prąd.

– Tu nie ma miejsca dla dwóch osób – powtórzyła.

– Jest dość. – Spróbował wina, upił bardzo mały łyk. – Mmm, dobre.

Ruby podała mu nóż.

– Pokrój cebulę. – Wyjęła drugą deskę i stanęła obok. – Skąd się znasz na winie?

– Pracowałem w winnicy jako nastolatek. Napa, Sonoma. Człowiek się uczy.

Pokiwała głową.

– Wiesz, że przed śmiercią męża Valerie prowadziła bloga o winie?

– Ha, kobieta renesansu. Może powinienem z nią pogadać. Wciąż myślę, że fajnie by tu było zasadzić winorośl. W połączeniu z pszczołami i lawendą mogłoby być ciekawie. – Miał zwinne, silne ręce, długie palce i dobrą technikę. – Zrezygnowała?

– Tak. Stwierdziła, że nie jest pewna, czy chce to dalej robić. Przypominało jej się dawne życie.

– Rozumiem. – Zrzucił cebulę do miski i wyjął z wody seler naciowy. – Ile tego?

– Kilka łydzynek. Tylko pokrój cieniutko. – Ruby wysypała cebulę na oliwę i zamieszała. Płomień nie był duży. Dodała czosnek, znów zamieszała, wysypała nieco soli morskiej, a następnie wzięła z miski marchewkę i zaczęła skrobać. –

Kiedy myślę o jej życiu, o tym wszystkim, co straciła, czuję się ze swoimi jękami jak głupia mała dziewczynka.

– To nie konkurs. – Kroił selera z pedantyczną starannością, wszystkie kawałki były tej samej grubości. – Ty też przechodzisz trudny okres.

– Wiem. Tylko że ona jest taka pozbierana, naprawdę. I taka dzielna. Nawet na pogrzebie zachowywała się z godnością. – Skrzywiła się. – Ja tak nie potrafię.

– Ale też nie robisz z tego dramatu. Jesteś w gruncie rzeczy bardzo pogodną, radosną osobą.

– Naprawdę? – Spojrzała na niego z nagłą bezbronnością. – Bardzo bym chciała. Bo skoro człowiek ma na tym świecie ledwie chwilę, to marudzenie wydaje się stratą czasu. Ale po tym, jak zerwałam z Liamem, czy też raczej jak on zerwał ze mną, mnóstwo czasu zmarnowałam na uzalanie się nad sobą.

Wyjął z wody kolejną lodygę, odciął koniec i ugryzł kawałek, głośno chrupiąc. Ku własnemu zaskoczeniu Ruby pochyliła się i ugryzła następny.

– Uwielbiam selera – powiedziała.

– Ja też.

Był naprawdę bardzo blisko, jego ciężkie pukle aż się prosiły, żeby je nawinąć na palce, trójkąt szyi zapraszał usta do pocałunku. Zdumiona swoim zachowaniem, Ruby sięgnęła po kosmyk jego włosów.

– Masz najpiękniejsze włosy, jakie widziałam. Ale pewnie mówią ci to wszystkie dziewczyny.

– Żadna tak ładna jak ty.

Stali tak, a wewnątrz przyczepy wypełnił różowy blask. Noah patrzył na jej usta i przez chwilę Ruby myślała, że mógłby ją pocałować. A ona mogłaby pocałować jego.

Ale nowa miłość nie była rozwiązaniem. W każdym razie dopóki nie skończy ze starą. Odwróciła się, zamieszała cebulę i dorzuciła marchewkę.

– Czasami do tej potrawy dodaję pasternak, ale jest dość słodki.

– W życiu nie jadłem pasternaku.

– Wygląda jak ogromna biała marchewka. – Kątem oka zauważyła czarny nosek wystający z kredensu. – Nie patrz teraz. Ninja wychodzi z ukrycia.

Noah przesunął się z wielką ostrożnością i po chwili już oboje patrzyli, jak kotka bardzo, bardzo powoli opuszcza szafkę i idzie do swojego legowiska w skrzynce po pomidorach. Umościła się, zawinęła łapy pod pierś i nawet nie zauważyła, że jest obserwowana.

– Rany – powiedziała Ruby. – Zupełnie mnie zawojowała.

– Wszystkie to robią. Kociaki i koty, szczeniaki i psy. Uwielbiam całą tę watahę, która kręci się przy Lavender.

– A ty masz jakiegoś kota albo psa?

– W tej chwili dwa koty. – Upił łyk wina i włożył nóż do zlewu. – Miałem psa w Iraku, ale go zabili.

– O, stary, kiepska sprawa.

Głośno przełknął ślinę.

– Tak. Minęło już sporo czasu, ale wciąż mi go brakuje. Wabił się Duke i był pięknym czarnym owczarkiem niemieckim. Mądrzejszy niż większość ludzi i lojalny jak diabli. I wiesz, co ci powiem? W takim świecie dobrze jest mieć psa.

– W ogóle sobie nie potrafię wyobrazić tego świata. Nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego ktoś chciałby w nim żyć.

– Miałem osiemnaście lat i w zasadzie żadnych perspektyw. To nie tak, że ktoś chciał mnie posłać do college'u, a ja wybrałem najgorszą drogę. Armia pozwoliła mi się wyrwać ze wsi.

– Ile razy byłeś w Iraku?

– Trzy razy, raz w Afganistanie. Cały ja, ślepy jak szczenię.

– Nigdy nie byłeś ranny?

– Byłem, ale nigdy dość poważnie, żeby mnie odstawili do domu. Posyłają cię do szpitala, pozwalają odpocząć, a potem wracasz.

– Możesz mi podać bulion? – Otworzyła kartonik i wlała do naczynia razem z winem. – O choroba, właśnie sobie uświadomiłam, że nie mam grzybów. Co za skleroza!

– Możemy podskoczyć do Gaston. Obrócimy w mniej niż dziesięć minut.

– Tak? Dobra. – Zdjęła fartuszek, powiesiła na wieszaku i zakręciła ogień. Zerknęła na kieliszek, z którego upił tylko kilka łyków. – Ty prowadzisz.

Wyciągnął kluczek z kieszeni.

– W porządku.

Gdy już siedzieli w samochodzie, Ruby powiedziała:

– Nie chciałam ci przerywać. Tej opowieści o Iraku.

– Nie ma sprawy. Szczerze? Raczej nie rozpowiadam o tym na prawo i lewo.

– Ale ja jestem dobra w słuchaniu. – Uśmiechnęła się do niego półgębkiem. – Założę się, że zechcesz mi wszystko opowiedzieć.

Roześmiał się miękko.

– Czyżby?

– O tak. Wszyscy chcą. Mam całą kolekcję niesamowitych opowieści. Kiedyś na promie jeden mężczyzna opowiedział mi, jak pewnej nocy wyznał żonie, że jest gejem. Ze wszystkimi szczegółami.

– Uch! Dlaczego go nie powstrzymałaś?

Ruby oparła łokieć o drzwiczki. Stał jej przed oczami przygarbiony mały człowieczek w bardzo drogim garniturze, z rzadkimi włosami starannie zaczesanymi na łysą czaszkę. Miał życzliwe, zażawione brązowe oczy i dlatego

koło niego usiadła.

– Nie chciałam go powstrzymywać. To był wielki zaszczyt. Teraz noszę jego historię ze sobą. No i ktoś go wysłuchał.

Noah zerknął na nią, a potem musiał się skupić na wjeździe na autostradę. Gdy znaleźli się na szosie, włączył światła, które poprowadziły ich przez szare popołudnie. Wycieraczki na przedniej szybie chodziły w tę i z powrotem, w tę i z powrotem.

– A ty komu opowiadasz swoje historie?

– Nie opowiadam.

– Chłopakowi?

– Pewnie część tak.

– O raku?

– Nie. – Poprawiła się na siedzeniu, poruszyła stopą i skrzyżowała ramiona na piersi. – Nie chcę, żeby to mnie określało.

– Rozumiem. Tylko że wiesz, ja też nie chcę, żeby mnie określały lata w armii, ale przed tym nie ma ucieczki. Po to tu przyjechałem. Żeby to sobie poukładać.

– Na przykład tę historię z Duke'em?

Zerknął we wsteczne lusterko.

– Tak, tę historię też. I historię gości, którzy zginęli, i dzieciaków. Wszystkie te rzeczy, które robisz na wojnie, choć wolałbyś nie.

Przez dłuższą chwilę przyglądała się jego twarzy.

– Kiedy się dowiedziałam, że jestem chora, powiedziałam o tym swojej najlepszej przyjaciółce, a ona powiedziała swojej mamie, i już więcej nie mogła się ze mną bawić.

– O, stara. – Spojrzał na nią. – Kiepska sprawa.

Pokiwała głową.

Dotarli na skraj małej wsi. Przez ścianę deszczu Ruby wypatrzyła neon sklepu spożywczego. Noah zaparkował od frontu i zgasił silnik.

– Kiedy dostałem rozkaz wyjazdu na czwartą misję, zupełnie serio zastanawiałem się, czy nie wjechać w latarnię z nadzieją, że się tylko połamię, ale przeżyję.

– O, stary – powiedziała Ruby i uśmiechnęła się. – Kiepska sprawa.

Znowu sprawiła, że się roześmiał.

– Chodź, kupimy te grzyby.

Po powrocie na farmę Noah zaniósł torby z zakupami do przyczepy. Ich ciężar sprawił, że na rękach uwidoczniły mu się żyły. Postawił wszystko na blacie i spytał:

– Co teraz?

Zajmował za dużo miejsca, to teraz.

– Noah, mam już wszystko, czego potrzebuję – powiedziała Ruby, wyjmując

z torby grzyby i jeszcze trochę cebuli.

Ustawił w rzędzie butelki wody Pellegrino.

– Ale mnie zostało wino, pamiętasz? – Podniósł kieliszek i pociągnął łyk, uśmiechając się łobuzersko.

– Przeszkadzasz. – Włączyła ogień pod rondlem.

– Zaraz się do czegoś przydam. – Wziął borowiki. – To pewnie trzeba pokroić, nie?

Po tej stronie ciała, która była bliżej niego, poczuła mrowienie. Ostre igielki, jak od zimnych ognia.

– Dobra – warknęła. – Pokrój grzyby.

Odwróciła się, żeby schować butelki do lodówki, i okazało się, że musi położyć je na boku.

Gdy wstała, Noah znów był za blisko, więc musiała go wyminąć, ocierając się biodrem o jego biodro. Tak to właśnie wyglądało przy gotowaniu. Przyzwyczyła się do tego, nauczyła ignorować przypadkowe muśnięcia ręką o pośladek, pierś czy wszelkie inne kombinacje otarć w kuchni.

Żeby czymś zająć myśli, włożyła iPhone'a do stacji dokującej. Rozległy się dźwięki *Kiss with a Fist* Florence and the Machine.

– Jaką muzykę lubisz?

Położył umyte grzyby na blacie i wytarł ręce.

– Jestem zwykłym, nudnym facetem. Lubię trochę wszystkiego. Hip-hop i rock. Ty pewnie jesteś lepiej zorientowana. W końcu mieszkałaś w Nowym Jorku i w ogóle. – Zerknął na nią z ukosa. – No i wychowywałaś się w San Francisco, tak?

Ruby też spojrzała na niego z ukosa.

– Droczysz się ze mną?

– Gdzież bym śmiał?

– Mógłbyś chcieć mnie rozweselić.

– Może. – Stuknął ją łokciem. – Działa?

Trąciła miejsce, w którym w jej sercu mieszkał Liam, i okazało się, że mniej boli.

– Tak.

– To dobrze. – Pieczołowicie kroił grzyby. – Lubię cię, Ruby.

– Założę się, że mówisz to każdej dziewczynie.

– No cóż, może i mówię. Ale zwykle to nie jest prawda. – Położył plasterek borowika na grzbiecie jej dłoni. – Przy tobie mogę być sobą.

Roześmiała się i wrzuciła grzyba do ust.

– Nie jestem pewna, czy to dobrze.

– No to masz problem.

– Czyżby?

Pokiwał głową. W jego lśniących oczach dostrzegła księżycowe błyski.
– Ty też mnie lubisz.

<zdjęcie rzeki Columbia Gorge>

Dlaczego zamieszczam tylko to?

Przepraszam, że się nie odzywałam, drodzy przyjaciele. I przepraszam, że się martwiliście. Już wszystko w porządku, miałam tylko trochę problemów technicznych po drodze.

268 komentarzy >>>

Pippin987

Tak się martwiliśmy!



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Z przyczepą na holu nie sposób było pędzić z zawrotną prędkością, Ginny dokonywała jednak cudów. Jadąc przez góry stanu Waszyngton w kierunku Oregonu, pruła ile sił, uciekając przed idiotycznym widowiskiem, jakie z siebie zrobiła, całując nieznanego.

Słowo „całować” zresztą w najmniejszym stopniu nie oddawało tego, co się wydarzyło. Ginny rzuciła się na niego, ocierała jak kotka w rui.

Łzy szczypały ją w oczy, gdy raz po raz odtwarzała całą scenę. Łzy poniżenia, tęsknoty, ale przede wszystkim łzy wściekłości.

Nigdy by do tego nie doszło, gdyby Matthew nie był tak małoduszny i zupełnie nie zrezygnował z seksu. Nie jechałaby wtedy sama przez cały kraj, narażając się na kłopoty i nadmierne zainteresowanie płci przeciwnej. Nie skusiłyby jej chrapliwy głos i czuły pocałunek innego mężczyzny.

Nie byłaby też tak napalona. Miała wrażenie, że jej skóra zaraz eksploduje. I że znajdą ją potem na poboczu z ciałem zmienionym w kupkę popiołów.

Wszystko, o czym myślała, wylało się na zewnątrz. Tak jakby ten pocałunek zburzył mury, które wzniosła wokół siebie. Była wściekła na męża. Wściekła przede wszystkim za to, że zaszła w ciążę i w rezultacie musiała rzucić szkołę – z jego strony było to wyrachowane działanie. Nie chciał, żeby jechała do Wichita i mieszkała w kampusie z innymi chłopakami. Wciąż ją zadrezczał, żeby się przeniosła do dwuletniego studium przygotowawczego. Była gotowa przysiąc, że zrobił dziurę w prezerwatywie, żeby mieć pewność, że nie ucieknie.

Ale może była niesprawiedliwa? Może to był przypadek, choć taki, który wszystko zmienił? Rzuciła szkołę, tak jak chciał Matthew. Urodziła dziecko, swoją ukochaną Christie, której nie oddałaby za żadne skarby świata. Kiedy jednak zasugerowała, żeby posłać małą do żłobka i samej wrócić na studia, jej mąż wpadł w szal.

A potem – p o t e m! – zupełnie przestał uprawiać z nią seks, odmówił wizyty w poradni, nie zgodził się brać tabletek na potencję ani w żaden sposób nie chciał jej zaspokoić. I oczekiwał, że ona na to przystanie.

Co zresztą zrobiła. Współlokatorka stulecia!

Przejeżdżając przez most, znowu walnęła dłonią w kierownicę.

– Dlaczego byłam takim mięczakiem? Dlaczego się na to zgodziłam? Dlaczego

nic nie mówiłam, kiedy przyjaciółki traktowały mnie, jakbym zrobiła coś strasznego, gdy mój blog święcił takie sukcesy? Ten blog to przecież moje dzieło!

Willow wysunęła łeb i polizała ją w ucho.

– To nie na ciebie się wkurzam, skarbie. Tak naprawdę jestem wściekła na siebie.

Cała jej złość jednak się ulotniła, kiedy Ginny znalazła się na drodze biegnącej wzdłuż rzeki Columbia. Widoki były tu zupełnie inne niż w górach – tak jak w górach były inne niż na równinach – ale tak samo piękne, a może nawet piękniejsze. Zielone, zarośnięte brzegi wydawały się spokojniejsze niż wszystko, co dotąd widziała. I ta zieleń, lśniąca woda pod niebem pełnym puszystych szarych chmur, działały na nią odprężająco.

Zatrzymała się na kempingu nad rzeką. Było tu dość tłoczno, pośrodku stał mały sklepik, mieli także – wydała cichy okrzyk radości – Wi-Fi. Kupiła świeże pieczywo i zrobiła sobie kanapkę z grillowanym serem. Zjadła ją na kolację, siedząc na składanym krześle przed przyczepą i patrząc na skarpe.

Nigdy nie wrócę do Kansas.

Ta myśl była tak jasna i prosta, że natychmiast zorientowała się, że tak właśnie będzie.

– Nigdy nie wrócę do Kansas – powiedziała na głos i roześmiała się.

Poczuła się lekka jak balonik, który zerwał się ze sznurka, gotowa ulecieć w szare niebo i nie oglądać się za siebie.

To sprawiło, że zakręciło jej się w głowie.

Nigdy nie wróci. Nigdy, przenigdy.

Willow obserwowała rzekę, gotowa rzucić się na pomoc zabłąkanej owieczce, ale kiedy Ginny się roześmiała, podniosła głowę i popatrzyła na nią. Zamierdała, zamiatając ogonem kurz. „Jestem szczęśliwa, kiedy ty jesteś szczęśliwa”.

Ginny odniosła szklankę i talerzyk do środka i znów usłyszała ciche dźwięki szlagieru z dawnych lat. Muzykę ducha.

– Dzięki – powiedziała na głos.

Wprawdzie nikt nie odpowiedział: „Nie ma za co”, ale te słowa zatańczyły w powietrzu razem z muzyką.

Siadając do laptopa, Ginny zorientowała się, że kilka ostatnich dni to najdłuższy czas, jaki spędziła bez Internetu od lat. Przedziwnie wyzwalające doświadczenie. Była jednak spragniona kontaktu ze światem. Rozpaczliwie za nim tęskniła.

Pierwszą wiadomość napisała do Matthew.

OD: ginny@ciastomarzen.com

DO: matthew

TEMAT: U mnie wszystko w porządku i coś jeszcze

Matthew!

Jeśli próbowałeś się dodzwonić, wiedz, że nie odbierałam telefonu, bo to piekielne urządzenie wpadło mi do zlewu.

W czasie tej podróży zdałam sobie sprawę, że nie jestem szczęśliwa. Nie jestem szczęśliwa w Kansas. Nie jestem szczęśliwa wśród przyjaciół i rodziny.

I nie jestem szczęśliwa z tobą, o czym, jak sądzę, bardzo dobrze wiesz. Matthew, nie uprawialiśmy seksu od dwunastu lat. OD DWUNASTU LAT! To śmieszne i nie zamierzam dłużej tego znosić.

Nie wracam do Kansas.

I składałam wniosek o rozwód.

To ostateczna decyzja i nie mam zamiaru na ten temat dyskutować. Czas na dyskusje był dziesięć lat temu. Albo pięć. Albo może nawet w zeszłym roku.

Mówię o tym tobie pierwszemu. Masz dwa dni przewagi nad resztą. Potem poinformuję Christie, siostry i matkę. Dziewczynom nie zamierzam nic mówić, może z wyjątkiem Karen.

Przykro mi, że robię to mailem, ale mój telefon nie działa, a poza tym ty i tak wpadniesz w szal. Najlepsze będzie szybkie, ostre i czyste cięcie.

Ginny

Przez długą chwilę patrzyła w ekran, sprawdzając, jak zareagują jej serce, wątroba i żołądek. Przypomniała sobie całą masę drobnych upokorzeń, których doświadczyła w ciągu ostatnich dwunastu lat. To, jak ją odrzucił, jaki był niezadowolony, kiedy chodziła po domu w bieliźnie albo – Boże broń – nago. Jak się wściekł, gdy po raz ostatni weszła do niego pod prysznic, i jak odepchnął ją z wyrazem najwyższego wstrętu.

Pomyślała o tym, jak się czuła, podróżując z przyczepą, przyrządzając sobie posiłki, zajmując się tym wszystkim, co było w jej życiu ważne – psem, przyjaciółkami, pracą – z dala od domu.

Wreszcie na koniec pomyślała o gwałtownym wybuchu wściekłego pożądania dziś rano, normalnej odpowiedzi na normalny bodziec, zdrowej reakcji zdrowej kobiety, która pragnęła normalnego życia seksualnego, jak każda czterdziestoparolatka. Oczywiście zapiekły ją znowu.

Ale zamiast „Wyślij” wybrała „Zachowaj”.

Odwaga ją opuściła.

OD: ginny@ciastomarzen.com

DO: justbake@git.com

TEMAT: PRZEPRASZAM Z CAŁEGO SERCA

Droga Mavis!

Mam nadzieję, że wybaczysz mi, że się nie zjawiłam, ale wydarzyły się trzy rzeczy:

1. Wczoraj rano podczas zmywania telefon wpadł mi do zlewu.
2. Pożar odciął mi drogę, musiałam więc zawrócić i pojechać dookoła, przez góry w Montanie, omijając Boise.
3. Zjadłam coś nieświeżego i okropnie się zatrulałam.

Dlatego nie mogłam do Was dotrzeć (patrz punkt 2), nie miałam dostępu do Waszych numerów telefonów i adresów mailowych (patrz punkt 1) i nie byłam w stanie skorzystać z kafejki internetowej.

Obiecuję, że wymyślę coś, żeby Wam to jakoś wynagrodzić. Bardzo, bardzo przepraszam.

GINNY

Następnym krokiem było zamieszczenie szybkiego posta na blogu. Wykorzystała to, co miała pod ręką – niewiarygodny widok i aparat. Przewinęła stronę, żeby przeczytać komentarze pod ostatnim wpisem, który zrobiła w Utah jeszcze przed pożarem.

Odpowiedziała wszystkim po kolei – żmudna robota, zważywszy że komentarzy było ponad dwieście, w dodatku część się powtarzała, bo ludzie zaglądali raz po raz i pisali, dopóki rano nie pojawiły się informacje.

Pod koniec znajdował się post Ruby: „Kochani, są wieści od naszej drogiej Ginny. Miała problemy techniczne, ale odezwie się niebawem. Nic się o nią nie martwicie. Tymczasem możecie zajrzeć na [m o j e g o b l o g a i](#) dołączyć do imprezy na farmie Lavender”.

Ostatni komentarz pochodził od kogoś, kto się podpisał Just Jack: „A co powiesz na ciasto z mikrofalówki? Może brzoskwińowe?”.

Zrobiła wdech i pamięć natychmiast podsunęła jej obraz tamtego pocałunku, który tak zawstydził ją i podniecił zarazem. Co za głupota!

Żeby o nim nie myśleć, Ginny zajęła się opróżnianiem zbiorników ze zużytą wodą. Nabrała też świeżej, zadowolona, że na kempingu jest niezbędny sprzęt. Gdy się uporała z robotą, wzięła prysznic, zaparzyła filiżankę herbaty z myślą o obolałym żołądku i wróciła do przeglądania poczty.

Wśród powodzi spamu i maili związanych z blogiem znalazła trzy, które przykuły jej uwagę. Pierwszy był od czytelniczki z Boise.

OD: justbake@git.com

DO: ginny@ciastomarzen.com

TEMAT: re: PRZEPRASZAM Z CAŁEGO SERCA

Ginny!

Twoja nieobecność i brak kontaktu były żenujące. Myślę, że nie będę dłużej czytała Twojego bloga. Przykro mi.

Mavis

Wprawdzie Ginny jej nie winiła, niemniej był to cios. Otworzyła kolejnego maila, tym razem od Ruby.

OD: ruby@smakniebieskiegoksiezycyca.com

DO: ginny@ciastomarzen.com

TEMAT: TYLKO DO TWOJEJ WIADOMOŚCI

Rozpadam się na kawałeczki i bardzo staram się nic nie dać po sobie poznać, ale wiem, że Ty masz córkę w moim wieku, więc może mogłabyś mi coś poradzić. Nie mogę porozmawiać o tym z tatą, bo już i tak STRASZNIE SIĘ MARTWI, a Lavender, no wiesz, jest wprawdzie cudowna, ale nigdy tak naprawdę nie była w poważnym związku.

Najpierw jednak wielka niespodzianka, o której miałam nie wspominać, dopóki się nie zobaczymy. Zdarzył się cud, coś niezwykłego i radosnego – j e s t e m w c i ą ż y (Radosnego, kiedy nie wymiotuję, co się dzieje praktycznie b e z p r z e r w y). Mam termin na październik i szaleńczą nadzieję, że to będzie dziewczynka.

Dziecko jest Liama – dziwne, biorąc pod uwagę, że kochaliśmy się miliony razy, a ja zaszłam w ciążę dopiero po zerwaniu i w dodatku po seksie uprawianym w gniewie.

Ja będę miała dziecko???

W każdym razie Lavender stwierdziła, że powinnam mu powiedzieć, i właśnie miałam zamiar to zrobić, kiedy dostałam od niego maila z informacją, że się żeni z Minną. Ginny, słowo daję, że gdybyś zobaczyła nas obie obok siebie, nie wyszłabyś ze zdumienia. Ona jest śliczna i ze swoją długą szyją i kończynami (właściwie bez bioder i biustu) przypomina białego szparaga. A ja, przekonasz się, kiedy mnie zobaczysz, jestem raczej w typie pomidora, a teraz może wręcz arbuza. Jak jeden i ten sam mężczyzna mógł pokochać nas obie?

Muszę wziąć się w garść i nauczyć się być szczęśliwa ze względu na dziecko. Chcę być dla niego taką matką, jaką moja nigdy nie mogła być dla mnie. Chcę, żeby czuło się kochane i podziwiane za to, że jest. Chcę, żeby czuło się chciane.

Co byś poradziła swojej córce, gdyby się znalazła w takiej sytuacji?

Nie mogę się doczekać, aż Cię wreszcie naprawdę uściskam.

Serdeczności,

Ruby

PS Poczekaj, aż zobaczysz Noaha! Matko Boska, to dopiero przystojniak. Każda jego część została zaprojektowana z myślą o maksimum męskiego uroku. Nie doskonałości, bo przecież tak naprawdę wcale nie kochamy mężczyzn doskonałych, prawda? Ale te usta, krzywizna nosa, lekceważący stosunek do ludzi, ręce i seksowne, o jakże seksowne włosy! Może powinnam go po prostu przelecieć i skończyć z tym. Ha!

Zanim Ginny otworzyła trzeciego maila – odłożyła go na koniec, bo traktowała jak deser – odpisała Ruby.

RUBY!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!! Tak się cieszę. To cudowna, absolutnie cudowna wiadomość. Nie mogę się doczekać, żeby cię zobaczyć, uściskać i poklepać dziecko. Widać już brzuszki? Zobaczysz, ludzie będą Cię po nim klepać, jakby w ogóle do Ciebie nie należał.

Chciałabym być taką mistrzynią słów jak Ty i napisać zgrabnego maila, ale zamiast tego napiszę tak, jakbym pisała do Christie.

Pytania, które stawiasz, tkwią u podłoża wielu ludzkich trosk, tego, co nas martwi i smuci, co sprawia, że życie jest takie niezrozumiałe. Dlaczego Liam zakochał się w Minnie? Dlaczego przestał kochać Ciebie? Dlaczego zaszłaś w ciążę właśnie teraz (a nie wcześniej, zanim pokochał kogoś innego, bo tak chyba brzmi to, co niewypowiedziane)?

Przykro mi to mówić, ale na te pytania nie ma odpowiedzi. Wymyślamy różne uzasadnienia ludzkich działań, zawsze jednak są to tylko nasze próby usprawiedliwienia, zrozumienia, nasze kreacje. Pytanie więc, jak Ty byś to wszystko tłumaczyła. Dzięki czemu Tobie łatwiej byłoby to znieść?

Przede wszystkim jednak uważam, że problem Liama rozwiąże się sam. Koniec końców zapomnisz o nim, o ile tylko stworzysz po temu odpowiednie warunki. Jeśli nie będziesz z nim rozmawiać, jego wspomnienie zacznie blaknąć. Skoncentruj się na przygotowaniach do narodzin dziecka i na swoim szczęściu (dziecko, dziecko, dziecko!!!).

I szczerze mówiąc, skoro Noah jest taki gorący, może p o w i n n a ś pozwolić sobie na przygodę? Może to Ci pomoże? Tylko nie złam mu serca. Widziałam Twoje zdjęcia, słoneczko, i bez względu na to, jaki z niego przystojniak, nie wierzę, żeby mógł się

równać z Tobą.

Możemy o tym rozmawiać, ile chcesz, kiedy się w końcu zjawię. Sama też rozmyślam teraz o swoim małżeństwie, życiu w Kansas i mnóstwie innych spraw. Czuję, jakby zachodziła we mnie ogromna przemiana, jakbym stawała się kimś innym. Tych kilka dni w podróży to był niesamowity czas.

Ściskam

Ginny

Ostatni mail pochodził z adresu, którego nie znała, ale w głębi serca wiedziała, do kogo należał.

OD: hghgains@intertime.net

DO: ginny@ciastomarzen.com

TEMAT: (brak)

Ginny,

Twoje usta smakują jak brzoskwinie. Jak świt. Nie czułem się tak chyba od stu pięćdziesięciu lat. Czyli nigdy.

W niedzielę o drugiej po południu będę w Blue Moon Tavern w McMinnville.

Proszę, przyjdź.

Jack

Zamknęła oczy i pozwoliła sobie na podróż w czasie. Cofnęła się do dzisiejszego poranka, żeby poczuć smak jego warg, gwałtowny głód, jaki obudził jego język, wślizgując się do jej ust, dotyk jego dłoni na ciele.

Dziś był piątek. W niedzielę Jack będzie w McMinnville.

Nie. Przełknęła ślinę i zamknęła maila, jakby w ten sposób mogła sprawić, że zniknie.

Nie po to rozstaje się z mężem, żeby szukać innego mężczyzny. To by się miało z celem. Sama musi odnaleźć swe życie, musi odkryć własną drogę, dowiedzieć się, kim jest i czego chce.

„Więc się z nim prześpij – powiedział ten zdradliwy głosik, który pochodził gdzieś z dołu brzucha. – Wiesz przecież, że tylko o to mu chodzi. Bądź realistką, ten facet się w tobie nie zakochał. To kierowca, jest w trasie. Pewnie robi to nieustannie”.

Ze zbolalym sercem wyszła na dwór i w zapadającym zmierzchu usiadła obok Willow, która czujnie wypatrywała powodu, żeby zaatakować wiewiórki. Fioletowe cienie kładły się na opalizujących falach i przesłaniały okoliczne jary. Na skarpie

nad rzeką dostrzegła maleńkie postacie i wyobraziła sobie, jaki widok musiał się rozciągać z tak wysoka. Ciekawe, czy potrafiłby odegnąć mroczny cień z jej piersi. Tak jakby krajobraz był postacią, jakby ziemia miała magiczną moc, lecznicze właściwości. Znad rzeki w jej stronę wiał chłodny, wilgotny wiatr, składając na jej twarzy mokre pocałunki.

Naglądała potrzebą, by działać, w końcu ją opuściła. Wcale nie musi wysyłać dziś maila do Matthew. Ma na to czas. Jakaś jej część chciała napisać o tym przyjaciółkom i może zresztą zrobi to później, teraz jednak to, co miała przed sobą, w zupełności jej wystarczało. Krajobraz, pies, jej dom – kokon dla poczwarki – dzięki któremu mogła stać się... czymkolwiek. W tej chwili nie miała pojęcia czym, ale to nic. Jest dobrze.

Teraz, z psem.

Teraz, z zapadającą nocą.

Teraz, samotna i wolna.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Ginny obudziła się o szóstej i pół godziny później była już w drodze. Chciała wreszcie dotrzeć na farmę. Dzień był pogodny i jasny, a ponieważ w sobotni poranek na ulicach panował mały ruch, szybko minęła Portland.

Do hrabstwa Yamhill dotarła już o dziesiątej, jadąc drogą numer 47. Słońce kładło się na wzgórzach i łagodnym zielonym pejzażu delikatną glazurą, powietrze wciąż było wilgotne po deszczu, który spadł w nocy. Zasypiała, wsłuchana w jego odgłosy.

Choć tak naprawdę wcale nie udało jej się zasnąć. Deszcz zaczął padać niedługo po tym, jak położyła się do łóżka. Miarowo stukał w dach airstreama. Ciepłe ciało cicho pochrapującej Willow leżało obok, Ginny jednak patrzyła przez okno w niebo. W głowie kłębiły jej się wspomnienia z podróży, która niemal dobiegła końca. Zatrucie, nieznajomi na drodze, rozmowa z Matthew i fakt, że pierwszy raz w życiu zaniedbała swojego bloga.

Może tak się dzieje, kiedy człowiek ma swoje życie?

Oczywiście myślała też o Jacku, roztrząsała prześliski wydarzeń z ostatniej nocy przepuszczone przez filtr gorączki – to, jak ją odwrócił, żeby nie urazić jej skromności, to, jak obmywał jej szyję i plecy. Jego ręce na jej ramionach, gdy ścigał jej bluzkę przez głowę.

Całą noc przekręcała się z boku na bok.

Dlatego ulgą było rano wstać i wyruszyć w drogę, gdy jeszcze wszyscy spali. Ulgą było zostawić główne ulice i zgodnie ze wskazówkami podążać przez pagórkowate tereny zachodniego Portland w stronę farmy Lavender.

A już absolutnie cudownie było zobaczyć znak i piętrowy biały dom, który znała z bloga. Wjechała na podjazd, teraz już zaprawiona w ciasnych zakrętach, i podskakując, ujechała kawałek po wysypanej żwirem drodze. Wypatrzyła drugiego airstreama, ośmiometrowego, którego znała ze zdjęć.

Valerie!

Zatrzymała się, wyskoczyła z samochodu i wypuściła Willow bez smyczy. Pies potruchtał za nią, gdy pobiegła do drzwi przyczepy i zapukała.

– Val! Ty diablico! Wyłaż stamtąd.

Nastoletnia dziewczynka gwałtownie otworzyła drzwi, jej rozpuszczone kręcone włosy były potargane. Patrzyła na nią z gniewną miną.

- Mama jest w domu.
- Przepraszam, nie chciałam cię obudzić.

Hannah – bo przecież to musiała być Hannah – wzruszyła ramionami i zamknęła drzwi.

Ginny zerknęła przez ramię, próbując rozstrzygnąć, o który dom jej chodziło – piętrowy? Czy chatkę na skraju ogrodu warzywnego?

Nie sądziła, żeby Val była w pierwszym. Wiedziała, że tam znajdują się destylarnia i sklep. Stały przed nim zresztą dwa samochody.

Zagwizdała na Willow i ruszyła w stronę chatki, gdy nagle spostrzegła kury. Czy Willow nie zacznie ich gonić? Wprawdzie nie sprawiała wrażenia, jakby miała na to ochotę, ale niektóre psy to robiły. Niektóre zabijały kury.

Willow jednak trzymała się blisko, jak zwykle deptając jej po piętach. Ginny okrążyła domek i zobaczyła trzy kobiety. Siedziały przy stole nakrytym obrusem i zastawionym kubkami oraz pozostałościami śniadania. Wystawiły krzesła na słońce, żeby uciec przed chłodem poranka. Ginny stanęła, zastanawiając się, czy powinna do nich po prostu podbiec, czy...

– Ginny! – Blondynka z włosami schowanymi pod chustką zerwała się na równe nogi i pogalopowała w jej stronę. Ginny ledwie zdążyła się przygotować, gdy młoda kobieta otoczyła ją ramionami, zamykając w mocnym uścisku – silne ramiona, krągłe kształty i dzikość. – Och, tak się cieszę, że cię widzę. Okropnie się martwiłyśmy!

– Ruby! – Ginny odwzajemniła uścisk, a potem odsunęła blondynkę, żeby się jej dobrze przyjrzeć. Porcelanowe oczy, porcelanowa twarz, gęsta równa grzywka, uśmiech gwiazdy filmowej. – Jesteś jeszcze piękniejsza, jeszcze bardziej zdumiewająca niż na zdjęciach.

– Ty też!

– Niech no i ja się dołączę – rozległ się gromki głos i oto stała przed nią Lavender, smukła i wysoka, z władczą, pobrużdżoną twarzą. – Ginny. Uściskaj mnie, dziecko.

Ginny roześmiała się, a potem uściśnęła swoją przyjaciółkę i mentorkę z całych sił. Ramiona Lavender otoczyły ją z mocą.

– Miałam po drodze tyle przygód! Dziękuję.

– Jestem z ciebie dumna, dziewczyno. – Lavender poklepała ją po plecach.

– Teraz moja kolej.

Lavender i Ruby odsunęły się i przed Ginny stanęła Valerie z obsydianowymi oczami, drobną figurą i niewiarygodnie prostymi plecami.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś – powiedziała Ginny i łzy napłynęły jej do oczu.

Przyskoczyła do Val i obdarzyła ją uściskiem, z którym czekała dwa lata.

Kołysały się w przód i w tył, przekazując sobie tysiące niewypowiedzianych słów, wszystko, co chciały sobie ofiarować: szczęście, pociechę i pomoc.

– Nie mogłam tego przegapić – powiedziała Val i pocałowała Ginny w policzek. – Jesteś sto razy ładniejsza niż na zdjęciach!

– Dzięki – odparła Ginny, przewracając oczami. – To pewnie ta podróż. – Rozłożyła szeroko ręce. – Uciekłam! – powiedziała do wszystkich i się roześmiała. – Dziewczyny, wydostałam się z Kansas. Możecie w to uwierzyć?

Ruby zahuczała, Valerie zatańczyła, a Lavender włożyła do ust dwa palce i zagwizdała tak głośno, że mogłaby sprowadzić na ziemię Boeinga 747.

Po raz pierwszy w życiu Ginny była w domu.

Któraś przyniosła jej kubek, a inna napełniła go ze stojącego na stole dzbanka. Ginny dorzuciła kostkę cukru.

– No, to teraz mów – zachęciła ją Lavender. – Spotkałeś kogoś po drodze? Co się stało z twoim telefonem?

Ginny roześmiała się i zaczęła opowiadać o swoich przygodach w podróży – o burzy z gradem pierwszej nocy, o tym, jak utopiła telefon w zlewie, o pożarze i antylopach, o zapierającym dech w piersiach pięknie Gór Skalistych, o tym, jak się zatrzała.

W tym miejscu się zatrzymała. Wciąż nie była pewna, jakim cudem wysłała SMS-a do Jacka. Nie do końca też chciała o nim opowiadać. Jeszcze nie. Może nigdy. Wiedziała, że przyjaciółki by jej nie osądzały, ale cała ta historia wydawała jej się snem.

– Jak daleko stąd jest do McMinnville? – spytała.

– Dwadzieścia minut. Może pół godziny – odparła Lavender. – Jeździmy tam po zakupy. Ale jeśli potrzebujesz tylko kilku drobiazgów, możemy podskoczyć do wsi obok. Dlaczego pytasz?

Ginny złapała się na tym, że skubie skórę przy paznokciu.

– Tak się zastanawiałam.

– Hm. – Ruby szturchnęła ją stopą. – Ten zabawny wyraz twarzy.

– Nie bądź niemądra. Potrzebuję nowego telefonu, i to zaraz. Gdzie najlepiej go kupić?

– Wybieramy się do Portland po tutu na przyjęcie – powiedziała Valerie. – Tam na pewno znajdziesz jakiś sklep.

– Tutu?

– Valerie ma znajomości w tamtejszym teatrze – powiedziała Ruby. – Wypożyczą nam tutu, więc będziemy mogły się przebrać za bosonogie boginie. Ale fajnie, co? – Aureola wokół Ruby była niemal namacalna. Aura, która ją otaczała, była tak jasna i pogodna, że jej skóra prawie świeciła.

– No nie wiem. Jakie boginie? Jakie tutaj?

Valerie puściła do niej oko.

– Obiecuję, że znajdziemy sobie coś, w czym będziemy dobrze wyglądały.

– Ja nie jadę – oznajmiła Lavender, wstając od stołu. – Farma sama się nie poprowadzi, a ja mam masę roboty przed przyjęciem.

– Potrzebujesz pomocy? – spytała Ginny.

Ruby przechyliła głowę i popatrzyła na Lavender badawczo.

– Jesteś nam potrzebna. Przez jeden dzień farma poprowadzi się sama, a poza tym tylko ty znasz Portland i możesz posłużyć za pilota.

– Nie, moja droga. Do pomocy mam Noaha. Wy, dziewczęta, jedźcie i bawcie się dobrze, a my przygotowujemy dla was obiad.

– Zamierzałam zabrać was dziś do restauracji – powiedziała Valerie. – W samym hrabstwie Yamhill jest z tuzin knajp, a w dodatku mają tu znanych szefów kuchni i dobre wina. Chciałam ich skosztować. W poniedziałek możemy ugotować coś razem.

– Niech będzie. – Lavender wzięła talerz i garść sztućców. A potem na sekundę zamarła, zmarszczyła brwi i przyłożyła pięść do piersi.

– Wszystko w porządku? – spytała Ruby, zrywając się z krzesła.

Lavender beknęła głośno i wszystkie się roześmiały.

– W porządku, dziecko. Znajdź mi kostium bogini, tylko teraz zejdz mi z drogi.

Ruby wyrzuciła w górę ręce w geście triumfu.

– Hura! – Spojrzała na Valerie. – Potrafisz ocenić, jaki rozmiar nosi, prawda?

– Tak. – Valerie również wstała. – Pójdę obudzić moje dziecko. Będzie się musiała wyszykować.

Ginny też się podniosła.

– Zdążę się rozejrzeć po okolicy? Może Ruby mogłaby mnie oprowadzić?

– O tak. – Valerie machnęła szczupłą ręką. – Hannah zajmie to z pół godziny albo i lepiej.

– Pamiętam ten etap – odparła Ginny. – Moja córka potrafiła spędzić w łazience sześć godzin.

Ruby zebrała część naczyń, Ginny zaś wzięła resztę. A potem, podskoczywszy ze szczęścia, Ruby powiedziała:

– Chodź! Nie uwierzysz, jaka piękna jest lawenda. A kury są takie słodkie.

– Kury? Słodkie? – Ginny wywróciła oczami. – Chyba nie nadajesz im imion, co?

– To nioski, głuptasie. Nie pójda na rosół.

Ginny spojrzała na Lavender, która puściła do niej oko.

– Dobra, prowadź – powiedziała i pozwoliła, żeby Ruby pociągnęła ją za sobą.

Cytrynowa glazura wciąż pokrywała niebo, intensyfikując wszystkie barwy

poranka. Ginny żałowała, że nie wzięła aparatu, czasami jednak fotografowanie oznaczało, że tak naprawdę nie widziała świata. Dlatego pozwoliła, żeby rozentuzjasmowana Ruby poprowadziła ją razem z psem wokół stodoły, na wzgórze obok kur, które przechadzały się parami. Na szczęście Willow wydawała się nimi zupełnie niezainteresowana.

– Ooo, oto i Noah – powiedziała Ruby. – Wiesz już, co miałam na myśli?

Ginny się uśmiechnęła. Mężczyzna schodzący ze wzgórza z widłami w dłoni miał gęstwinę czarnych loków – za długich – które spływały wokół aż nazbyt przystojnej twarzy: pełnych ust, oczu ocienionych gęstymi rzęsami, kości policzkowych przypominających ptasie skrzydła. Zupełnie nie w jej typie, ale z całą pewnością bardzo piękny.

– Dzień dobry! – wykrzyknął na ich widok.

– Dzień dobry. – Ruby leciutko odrzuciła głowę do tyłu. – W końcu zjawiała się nasza Ginny!

Podszedł do nich i wyciągnął rękę o długich palcach.

– Noah Nakai.

– Ginny Smith.

– Wiesz, że ominęła cię zapiekanka pasterska Ruby?

Spojrzał na dziewczynę i cała jego postawa uległa zmianie. Jakby był zbudowany z opiłków żelaza i nie potrafił się oprzeć magnetyzmowi Ruby, która stała zarumieniona, promieniejąc i ukradkiem uśmiechając się do niego.

– Przykro mi to słyszeć – powiedziała Ginny, kryjąc własny uśmiech. – Może będzie jeszcze okazja skosztować.

Koniec końców udało się przekonać Lavender, żeby zawiozła całe towarzystwo do Portland. Wszystkie włądowały się do jej półciężarówki: Valerie z przodu, żeby pomagać w nawigacji, Ginny i Ruby na siedzeniach pośrodku, Hannah z tyłu, ze słuchawkami na uszach i komórką skutecznie izolującą ją od reszty. Tego ranka jej wygląd był mniej zaczepny – wyprostowane włosy opadały na plecy, oczy umalowała tak, by podkreślić ich skośny kształt, założyła też bransoletki z koralików, kolczyki ozdobione piórami i naszyjnik z drewnianych paciorków i muszelek.

Po tak długiej podróży Ginny czuła ulgę, że nie musi prowadzić. Całą drogę do miasta przegadała z Ruby – o swoim blogu i reakcji na jej nieobecność, o blogu Ruby i ambiwalencji, jaką przyjaciółka ostatnio w związku z nim odczuwała. Przez cały czas Ruby trzymała rękę na brzuchu, troskliwie osłaniając dziecko. Ginny pamiętała to uczucie. Narodziny Christie były warte wszystkiego, z czego zrezygnowała.

Pamiętała też, że Ruby prosiła ją o radę w sprawie Liama. Dotknęła dłoni, która

spoczywała na brzuchu, i spytała:

– Jak się czujesz? Ciągłe wymiotujesz?

– Od wczorajszego rana nie! Ale spójrz na moją twarz. – Wskazała krostki na brodzie i na policzku. – Jakbym znowu była nastolatką. – Obejrzała się za siebie. – Bez obrazy.

Hannah wyciągnęła słuchawkę z ucha.

– Co takiego?

– Nic. – Ruby wysunęła rękę i leciutko przycisnęła nią grzbiet dłoni Ginny. – Czujesz?

Ginny wyczuła delikatny cień ruchu.

– Tak. Czyż to nie jest najbardziej zdumiewająca rzecz na świecie?

Ruby położyła drugą dłoń po przeciwnej stronie brzucha i ze wzrokiem zwróconym do wewnątrz powiedziała:

– Jest. Naprawdę. – Uśmiechnęła się do Ginny zwycięsko, pokazując dołeczki. – Ja w ogóle mam skłonność do dziwienia się, ale to przekracza ludzkie pojęcie. Szczerze mówiąc, jestem ostatnio marudna i zupełnie siebie nie poznaję. Myślisz, że to wina ciąży? Czy złamanego serca?

– Może jednego i drugiego? Ale założę się, że już niedługo nie będziesz rozmyślała o złamanym sercu, tylko o dziecku. To tak działa. Dziecko wymaga uwagi.

– To dobrze.

Hannah wychyliła się ze swojego siedzenia.

– Masz złamane serce?

– Hannah! To nie twoja sprawa – skarciła ją siedząca z przodu matka.

Hannah strzeliła gumą. Z bliska jej oczy były zielone jak jezioro w letni dzień.

– To ona powiedziała. Ja tylko spytałam.

– Nic się nie stało. – Ruby odwróciła się bokiem. – Dziewięć miesięcy temu zerwałam ze swoim chłopakiem, a teraz on żeni się z inną.

– Ile czasu byliście razem?

– Sześć lat. Poznaliśmy się, zaraz jak przyjechałam do Nowego Jorku.

– I on nie chce dziecka?

Ruby popatrzyła na Hannah z półuśmiechem.

– Najwyraźniej nie.

Hannah studiowała jej twarz z uwagą.

– To ty miałaś białaczkę jako dziecko?

– Hannah!

Ginny nie potrafiła się powstrzymać – uśmiechnęła się i złapała ponad siedzeniem Valerie za ramię. „Nic się nie stało”.

– Jestem ciekawa!

– Val, nic się nie dzieje. Lepiej patrz na drogę, a nas zostaw w spokoju, dobra? – Ruby odwróciła się do Hannah. – Tak, to ja.

– A co, jeśli choroba wróci i dziecko nie będzie miało matki?

– Dla mnie to fatalny scenariusz, ale mam najlepszego na świecie ojca i on się nią zajmie.

– To dziewczynka?

– Mam nadzieję. Bardzo bym chciała. Nigdy nie miałam siostry, a przydałby się zastrzyk dziewczynskiej energii.

Ginny starannie wpatrywała się w drogę, czując, że temperatura w samochodzie gwałtownie spada. O rany, pomyślała.

Hannah jednak powiedziała:

– Ja miałam dwie siostry. Wiesz, prawda?

Ruby pokiwała głową.

– Znałam twoją mamę, kiedy to się stało. Byłam na pogrzebie. Tak jak Lavender.

– Ale ty nie? – Hannah szturchnęła Ginny w ramię.

– Nie, ja nie. – Poczowała w piersi ukłucie. Może żalu? Albo wstydu? A może jednego i drugiego? – Mój mąż nie chciał, żebym jechała, a ja w tym czasie... – Zamilkła. – Nieważne.

Hannah żuła gumę.

– To było straszne. Choć nie tak straszne jak białaczka. Przynajmniej trwało tylko jeden dzień. Białaczka ciągnie się latami, prawda? I dostaje się chemię, traci włosy?

Valerie odwróciła się, ale zanim zdążyła się odezwać, Ruby powiedziała:

– Val, wszystko w porządku.

– Pozwól im rozmawiać – wtrąciła cicho Lavender.

– Razem z nawrotami chorowałam siedem lat – powiedziała Ruby. – Wypadły mi wszystkie włosy, a raz musiałam leżeć w szpitalu prawie trzy miesiące bez przerwy.

Ginny wyobraziła sobie Ruby, małą, osłabioną, z blond włosami i wielkimi oczami, i zabolęło ją serce.

– A teraz jesteś zupełnie zdrowa? Skąd wiesz?

Ruby uniosła ramiona.

– Tego pewnie nigdy nie wiadomo. Ale od dwunastu lat nie ma żadnych śladów raka, więc chyba mogę stwierdzić, że w końcu udało się go wyleczyć. Jako czternastolatka przeszłam przeszczep szpiku kostnego i to załatwiło sprawę.

– A poznałaś dzieci, które umarły?

– Tak – powiedziała otwarcie Ruby. – Całe mnóstwo.

– Czy taka śmierć jest bolesna? Bo czytałam, że tak. Rak atakuje całe ciało, więc

wszystko strasznie boli.

Ruby milczała, jej kryształowo błękitne oczy wpatrywały się w twarz dziewczynki. Nie unikała jej wzroku, przeciwnie, patrzyła z całą uwagą. Ginny pomyślała, że dla niej byłoby to za trudne. Hannah odwzajemniła spojrzenie. Strzelała gumą, jakby jej to w ogóle nie obchodziło.

– Tak, boli – powiedziała Ruby. Wyraźnie było widać, że sprostaa wyzwaniu dziewczynki. – Czasami bardzo długo, zanim nadejdzie koniec. To naprawdę okrutna śmierć.

Przez długą chwilę Hannah nic nie mówiła. Siedziała z rękami przewieszonymi przez siedzenie, paznokcie miała pomalowane na czarno, choć lakier poodpryskiwał w kilku miejscach.

– Strasznie się bałam, że moje siostry na samym końcu bardzo bolało, ale ktoś mi powiedział, że to się stało tak szybko, że pewnie nawet nie zdawały sobie sprawy z tego, co się dzieje. – Zamilkła. – Że umierają.

– Nie znam się na katastrofach lotniczych, ale dla mnie to brzmi prawdopodobnie – powiedziała Ruby.

Hannah wzruszyła ramionami.

– Pewnie nigdy się nie dowiemy.

Wcisnęła się z powrotem w kąt i włożyła słuchawki.

Ginny zerknęła na Ruby, która z wielką prostotą popatrzyła jej w oczy. Obie oparły się na swoich siedzeniach. Z miejsca, gdzie siedziała, Ginny widziała profil Val. Z brody przyjaciółki cicho kapały łzy.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Pierwszy przystanek był przy sklepie z telefonami, gdzie Ginny słono zapłaciła za nowy aparat. Wyniosła go na zewnątrz, usiadła na ławce i czekając na resztę, która poszła rozejrzeć się po sklepach, sprawdziła pocztę głosową.

Wiadomości było dwadzieścia siedem, co jak na nią było ogromną liczbą, nawet jeśli wziąć pod uwagę fakt, że przez kilka dni była poza zasięgiem. Okazało się, że trzynaście pochodziło od Matthew.

Zmarszczyła brwi. Wcześniej, zanim utopiła telefon, mąż nie dzwonił do niej ani razu. Czyżby coś się stało?

Poczuła, że wzbiera w niej niechęć. Nawet jeśli pojawiły się jakieś problemy, po prostu nie miała ochoty z nim rozmawiać, nie chciała psuć sobie dnia, słuchając jego głosu.

Pozostałe wiadomości pochodziły od różnych osób: część od Valerie, Lavender i Ruby, dwie od córki, jedna od matki, a jedna z Boise – rozpoznała numer czytelniczki, która ją znienawidziła.

Były także trzy wiadomości od Jacka. Jedna sprzed dwóch dni. „Hej, Ginny”. Przez telefon jego głos wydawał się głębszy, bogatszy, wlewał się do jej ucha w tak intymny sposób, jakby Jack lizał małżowinę. Jego brzmienie uderzyło ją tak, że skóra zaczęła jej aż skwierczeć i parować. Musiała zamknąć oczy, żeby ukryć buzujące w nich pożądanie.

„Odszukałem twój numer, bo tu, w Idaho, szaleje straszny pożar. Zamknęli autostradę międzystanową, więc porobiły się korki, co oznacza całą masę kłopotów. Mam nadzieję, że ta informacja dotrze do ciebie, zanim zapuścisz się za daleko. Możesz zrobić objazd przez Idaho Falls i Montanę, tak jak ja. Może zobaczymy się po drodze? Trzymaj się. Zadzwoń, jak będziesz mogła, i daj znać, czy wszystko w porządku, dobrze?”

Następne nagranie najwyraźniej było odpowiedzią na szalonego SMS-a, którego nie wysłała.

„Dostałem twoją wiadomość i wyruszam na poszukiwania. Wolałbym, żebyś odebrała, bo bardzo się niepokoję”.

Zapatrzyła się ponad parkingiem, marszcząc brwi. Jak to m o ż l i w e, że wysłała SMS-a z zepsutego telefonu, gdy leżała na podłodze nieprzytomna,

z gorączką od Bóg wie czego? Będzie musiała tę zagadkę podrzucić dziewczynom.

Trzecia wiadomość pochodziła z wczoraj, Jack zostawił ją tuż po pocałunku.

„Jezu, Ginny. Wiem, że nie odsłuchasz tej wiadomości od razu, ale może w końcu ci się uda”. – Pauza. Słyszała jego cichy oddech. Słyszała też jakieś odgłosy w tle, może silnik.

Pochyliła się nad telefonem, żeby stworzyć sobie intymną przestrzeń. Jego głos sphywał po jej skórze, swymi chropawymi tonami budząc każdą komórkę w jej ciele. Przyprawiał o mrowienie łokcie, nadgarstki, gardło, brzuch i podeszwy stóp. Przycisnęła palec do drugiego ucha, żeby się odciąć od świata, i zamknęła oczy.

„Nie wiem, co powiedzieć – odezwał się w końcu. – Po prostu wciąż odtwarzam sobie w pamięci ten pocałunek, to, jak smakowałaś, odgłosy, jakie wydawałaś, i chcę tylko zrobić to znowu. Całować cię. Przez jakieś dziesięć lat bez przerwy. To absolutnie idiotyczny pomysł mówić ci coś takiego i pewnie uznasz mnie za jakiegoś szalonego stalkera, ale przysięgam, nic podobnego nie przydarzyło mi się w trasie przez dwadzieścia lat”.

Kolejna pauza. Długa, z odgłosem silnika i jakiejś piosenki.

„Chciałbym zobaczyć cię znowu. Proszę, spotkajmy się”.

Ginny wcisnęła przycisk „Zakończ”. Trzymała telefon w dłoni, czując, że ją parzy. Jej skóra swędziała, jakby miały z niej wystrzelić pędy winorośli i kwiatów.

A jednak.

Czekało na nią trzynaście wiadomości od mężczyzny, którego przysięgała kochać, szanować i otaczać troską do końca życia. On się o nią troszczył. A w każdym razie chciał pozostać jej mężem, co mogło, ale nie musiało być równoznaczne.

– O rany, ale gniewna mina – powiedziała Ruby, siadając obok. Trzymała w rękach torbę. – Złe wieści?

Ginny spojrzała na Ruby i pod wpływem impulsu powiedziała:

– Posłuchaj. – A potem puściła jej wiadomość od Jacka. Tę ostatnią.

Ruby pochyliła głowę, usta jej drgnęły, a oczy się rozszerzyły.

– Ajaj! – powiedziała. – Ale zabójczy głos. – Oddała Ginny telefon. – Powiesz coś więcej?

– To kierowca, którego poznałam drugiego dnia rano. Spotkałam go na postoju, chciał pogłaskać Willow. A potem wciąż na niego wpadałam. Aż w końcu zdarzyło się coś bardzo dziwnego, czego nadal nie rozumiem i jestem ciekawa, co wy o tym sądzicie. W każdym razie pomógł mi, kiedy byłam chora, a potem, następnego dnia... – Zrobiła wdech, żeby otoczyć pocałunek bezpiecznym kordonem, by nie dotykał zapalnych punktów w jej ciele. – Pocałowałam go. Albo on pocałował mnie. Czy jakoś tak. I chciałabym czuć się winna, ale nie potrafię, Ruby. Nie potrafię! Co

jest ze mną nie tak?

– Nieudane małżeństwo, to wszystko.

– Dlaczego tak myślisz?

Ruby zrobiła zdziwioną minę.

– Chyba nie pytasz poważnie?

– Nie sądziłam, że aż tak to widać.

– Och, przepraszam. Może źle cię zrozumiałam.

Ginny westchnęła.

– Nie, masz rację. Jest nieudane. – To słowo ważyło tonę. Pochyliła się, kryjąc twarz w dłoniach. – Nieszczęśliwe. Jestem nieszczęśliwa od dziesięciu lat. Dwunastu. Dłużej! To dlatego zaczęłam prowadzić bloga. Dlatego kupiłam przyczepę. Dlatego jestem tutaj. I naprawdę, ale to naprawdę chcę zostawić męża, zacząć od nowa, przekonać się, jak powinna wyglądać reszta mojego życia.

Ruby położyła dłoń na jej plecach.

– I dlatego pocałowałaś mężczyznę, który ma głos jak gwiazda rocka.

– Tu nie chodzi o mężczyznę, seks czy zakochanie. Muszę odkryć, kim jestem, nie jako czyjaś dziewczyna czy żona. – Ginny potrząsnęła głową. – Choć ten facet bardzo, ale to bardzo mnie pociąga. A to źle. Wiem.

Ruby zataczała ręką kręgi, łagodząc podrażnioną skórę.

– Wierzę w ciebie. Wiem, że podejmiesz właściwą decyzję.

Zaskoczona Ginny podniosła wzrok i spojrzała w pogodną twarz młodej przyjaciółki. Czy ktokolwiek kiedykolwiek powiedział jej coś takiego?

– Dziękuję.

– Zawsze do usług.

Wyprostowała się. Spojrzała na telefon i dwadzieścia siedem wiadomości.

– Muszę zadzwonić w kilka miejsc. To potrwa parę minut.

– Nie ma sprawy. – Ruby położyła dłoń na kolanach. – Myślę, że jak tylko skończymy z teatrem, pójdziemy na jakiś obiad i wtedy będziesz miała czas to załatwić. Po prostu daj im znać, że jesteś cała i zdrowa.

Co było prostym rozwiązaniem. Ginny zadzwoniła do córki. Włączyła się poczta głosowa.

– Cześć, skarbie. Chciałam ci tylko powiedzieć, że u mnie wszystko w porządku. To na wypadek gdybyś próbowała mnie wcześniej łąpać przez telefon. Komórka wpadła mi do zlewu i się zepsuła, a ponieważ w Idaho natrafiłam na pożar, musiałam pojechać okreśną drogą. Ale teraz już jestem w Oregonie, cała i zdrowa, z przyjaciółkami.

Zamilkła. Spojrzała na porośnięty drzewami grzbiet gór na zachodzie.

– Dziękuję, że mnie do tego namówiłaś, Christie. Podczas tej podróży wiele się o sobie dowiedziałam i, szczerze mówiąc, nie zamierzam wracać do Kansas.

Wiadomości od przyjaciół mogła sobie darować, a tę od matki odsłucha później. Została już tylko jedna rzecz do zrobienia, wybrała więc pierwszą wiadomość od Matthew, nagrałą w środę o 15.12.

„Hej, Ginny, mam problem z klimatyzacją. Wiesz, gdzie jest dokumentacja?”

O 17.04:

„Mam nadzieję, że uda mi się dziś z tobą skontaktować w sprawie tej dokumentacji. Pewnie jesteś w drodze. Zadzwoń później”.

O 20.45:

„Kładę się do łóżka. Nie rób sobie problemu i nie dzwoń”.

O 6.00 rano wczoraj:

„Ginny, to zaczyna być dziwne. Co takiego robisz, że nie możesz odebrać telefonu o szóstej rano? Wcale mi się to nie podoba”.

O 7.00, 9.42, 11.23, 13.50:

„Zadzwoń”.

O 17.25:

„Wychodzę z chłopakami. Nie kłopotz się i nie dzwoń. Choć i tak pewnie masz to w nosie. Jezu, Ginny, wszędzie mówią, że w Idaho jest pożar, a ty akurat postanowiłaś być samodzielna. Skąd, u diabła, mam wiedzieć, że nic ci nie jest?”

O 19.21, leciutko zawiany:

„Jestem w White Horse z Joe Kimem i Grange'em i właśnie się zastanawiam, ile to już czasu jesteśmy razem, ty i ja. Pamiętasz ten mecz z Duke Dogs, kiedy rzuciłem sześćdziesiąt dwa metry, a potem poszliśmy zjeść coś do Sizzler i kelnerka przynosiła nam ukradkiem drinki? To były dobre czasy, dziecino. Dobre czasy”.

Ginny pamiętała. Byli wtedy pijani zwycięstwem i młodością. Jedli steki i sączyli margaritę, którą kelnerka – miała może dwadzieścia dwa lata – przynosiła im w szklankach do lemoniady, bo leciała na Matthew i słuchała transmisji meczu przez radio. Ginny upiła się i trzy godziny później wymiotowała w łazience u Grange'a, którego matka pracowała na wyścigach chartów nieopodal Wichita i nigdy nie wracała do domu wcześniej niż o trzeciej czy czwartej rano. Nikt nie był w stanie odwiedzić Ginny do domu, więc spędziła noc na skajowej kanapie w domu Grange'a, skulona pod płaszczem, bo cała reszta spała się do nieprzytomności.

Dobre czasy. Zrobiła mu loda w łazience, a on w tym czasie bawił się jej sutkami, wsunąwszy ręce pod koszulkę.

Poczuła się nagle znużona i pomyślała, że nie ma siły odsłuchiwać reszty wiadomości. Matthew zostawił tej nocy jeszcze trzy, ostatnią o pierwszej. Na pewno był już wtedy nie wstawiony, tylko mocno pijany. Nie upijał się często, ale niemożliwe, żeby był na nogach o pierwszej w nocy i trzeźwy.

W zamian odsłuchała wiadomość, którą jej matka zostawiła dziś rano.

„Ginny, nie mam pojęcia, jakie nonsensy chodzą ci po głowie, ale nie wolno ci tak po prostu zostawić męża. To dobry człowiek i dobry ojciec rodziny, a ty chyba postradałaś zmysły, jeśli chcesz się rozwieść z człowiekiem, który kocha kobietę w średnim wieku. Kelly Lambrusco uszło to na sucho, bo ma figurę bogini, ale tobie się to nie uda. Chcesz resztę życia spędzić sama?”

Słuchała, potrząsając z niedowierzaniem głową.

– Mamo, o czym ty, do diabła, mówisz?

I wtedy, w poczuciu nieuchronnej klęski, przypomniała sobie maila, którego napisała, ale n i e w y s ł a ł a do Matthew. O tym, że nie wraca do Kansas i chce rozwodu. Czyżby przez przypadek wcisnęła „Wyślij” zamiast „Zapisz”?

Drżącą ręką przewinęła wiadomości od męża, aż dotarła do ostatniej.

„Ginny, właśnie dostałem twojego maila. O czym ty mówisz? – Brzmiał, jakby był zirytowany, ale nie zły. – Chodzi o te wiadomości, które ci zostawiłem w nocy? Wiesz, że byłem pijany. To nic nie znaczy, a już na pewno to nie powód do rozwodu. Zupełnie oszalałaś na tym wyjeździe. Nie rozumiem nic z tego, co piszesz. Zadzwoń do mnie”.

Odsunęła komórkę od ucha. Matthew myślał, że to j e g o wiadomości doprowadziły ją do szału? Zaczęła przewijać je znowu, ale zauważyła zmierzającą w jej stronę Lavender.

– Kłopoty w domu?

Ginny nie mogła się zdecydować, czy się roześmiać, czy zmarszczyć brwi, zrobiła więc obie rzeczy naraz.

– Nie mam pojęcia, co się dzieje.

– To może poczekać?

Jak dotąd była poza zasięgiem przez trzy dni. Kilka dodatkowych godzin nikogo nie zbawi. Wstała z ławki.

– Tak.

– To dobrze. Chodźmy.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Ruby od razu pokochała zapach kulis miejscowego teatru. Spotkały się tam z garderobianą, z którą skontaktowała je przyjaciółka Valerie. Pachniało tu kurzem, upływającym czasem i woskiem i Ruby niemal widziała wirujące wokół widma tancerek, bohaterek minionych przedstawień, stąpających pewnie po deskach w swych pointach.

Smukła kobieta po sześćdziesiątce czekała na nie przy tylnych drzwiach.

– Mój Boże – powiedziała, dotykając ręką szyi. – Valerie Andrews. Tak się cieszę, że mogę panią poznać.

Jest sławna!, pomyślała Ruby. A choć o tym wiedziała, zabawnie było przekonać się, co to znaczy. Ruby знаła Valerie z jej bloga o winie – przyprawionego cierpkim humorem, rzeczowego i także cieszącego się sławą – nigdy jednak nie poznała jej jako tancerki.

– Dzień dobry, pani Tinker. Jestem ogromnie zobowiązana. – Val wyjęła z torebki paczuszkę z upominkiem. – To tylko drobny dowód wdzięczności.

– Och, dziękuję! Proszę mi mówić Bette. – Na delikatne policzki garderobianej wypełził rumieniec, który spłynął aż na szyję. Widać było, że spotkanie ze słynną tancerką ogromnie ją ucieszyło. Ruby miała ochotę wyściskać Bette z całych sił. – Zechciałaby pani podpisać mi program? Dwa razy widziałam, jak pani tańczy, i zachowałam program z jednego występu.

– Och, nie potrafię powiedzieć, jaka jestem wzruszona! – wykrzyknęła Valerie. – Oczywiście, że podpiszę. – Wypchnęła Hannah przed siebie i przynajmniej raz dziewczynka wykazała się dobrymi manierami. Wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się grzecznie, a Val powiedziała: – To moja córka Hannah.

– Dzień dobry.

– Bardzo mi miło – powiedziała pani Tinker. – Ty też jesteś tancerką?

– Nie, tancerką była Louisa, moja siostra.

– A tak, racja. Ta, która, eee... Bardzo mi przykro. Ogromnie współczuję wam obu.

Hannah wyprostowała się jak świeca, co sprawiło, że od razu urosła o jakieś pięć centymetrów. Ruby zrobiła krok do przodu, złapała ją za rękę i ścisnęła, uśmiechając się promiennie.

Zakłopotana kobieta przez dłuższą chwilę załamywała rękę, przeskakując

wzrokiem od Valerie do Hannah i z powrotem.

– Odłożyła pani dla nas kostiumy, żebyśmy mogły coś przymierzyć? – spytała łagodnie Valerie.

– Ach tak. Proszę tędy.

Ruby przytrzymała Hannah za rękę.

– Chciała dobrze.

– Wiem. Wcale nie zamierzałam nic mówić. – Wyszarpnęła dłoń. – Nie jestem idiotką.

Ruby pochyliła się i trąciła ją łokciem.

– Ale będzie zabawa, co?

– Mam nadzieję.

Garderobiana zaprowadziła je do drzwi, które otworzyła kluczem przyczepionym do bransoletki na nadgarstku.

– To magazyn – powiedziała, a one weszły za nią do pomieszczenia, w którym wisiały rzędem sukienki w każdym stylu, kolorze i o każdej długości. – O czym myślałyście?

– Chciałybyśmy wystąpić jako bosonogie boginie – powiedziała Ruby.

– Ach. – Pani Tinker zmrużyła oczy i zacisnęła usta, komputer w jej głowie pracował. – Pani Andrews, najpierw chciałabym znaleźć coś dla pani. Jakies sugestie?

Valerie potrząsnęła głową.

– Nie mam pomysłu. Wybierze mi pani coś pięknego?

– Ja? – Przycisnęła rękę do piersi.

– Valerie chce być królową – powiedziała Ruby. – Znajdzie jej pani coś odpowiedniego? Może z koroną.

– Odetta!

– *Jeziro łabędzie* – wyjaśniła pozostałym Valerie. – Znakomity pomysł, Bette. Chodźmy, pani przodem.

– Pozostałe panie mogą się w tym czasie rozejrzeć. Tylko ostrożnie. Zaraz wracamy.

Ginny i Lavender stały pośrodku. Ruby podskoczyła do nich i złapała je za ręce.

– Chodź, Hannah! Ty też.

– Nie wiem, czego szukać – zaprotestowała Ginny, wrywając dłoń. Nie chciała dać się wciągnąć w plany Ruby. – To dziwaczne. Może ja wcale nie chcę nosić tutu!?

– Och, ale to będzie zabawne.

– Dla c i e b i e, Ruby. – Na twarzy Ginny malowała się trwoga. – Nie lubię przebieranek.

– Nie lubisz? – powtórzyła z niedowierzaniem Hannah. – Ja uwielbiam! Nie

trzeba być sobą.

Ruby wzięła sukienkę w nieskończonej różnorodności odcieni niebieskiego, ze srebrzystą spódniczką wierzchnią.

– Albo jest się sobą bardziej niż w prawdziwym życiu. – Podniosła ją do góry i zawiedziona stwierdziła, że jest za wąska w talii.

No tak. Przyłożyła materiał do brzucha i wygładziła go smutno. Wiedziała, że nie zmieści się w nią choćby za milion lat.

– Dla mnie nic tu nie będzie, prawda? Nawet nie w ciąży nie jestem dość szczupła. – Nagła wizja przyjaciółek tańczących bosko w tutu, podczas gdy ona stoi i kołysze się w swoim zwykłym ubraniu, sprawiła, że łzy stanęły jej w oczach. Pochyliła głowę i pogładziła spódnicę, próbując się uspokoić. – Wygląda jak niebieski księżyc – powiedziała z tęsknotą i poczuła przypływ rozpacz. Łzy trysnęły jej z oczu jak z fontanny. Nie potrafiła ich powstrzymać.

– Och, skarbie. – Ginny objęła ją ramieniem. – Jeśli nie uda nam się znaleźć nic dla ciebie, to uszyję ci coś podobnego w ciągu godziny. – Obejrzała się przez ramię. – Lavender, masz może maszynę?

– Sama nie szyję – powiedziała Lavender, przeglądając sukienkę po sukience – ale mamy kilka w warsztacie. – Zmarszczyła brwi i pogłaskała się po brzuchu. – Trzeba będzie niedługo coś zjeść. Umieram z głodu.

– Ja też – powiedziała Hannah, przechadzając się wśród wieszaków i przerzucając kostiumy.

– Potrafiłabyś zrobić coś takiego w godzinę? – spytała Ruby. Łzy z jej oczu zniknęły równie szybko, jak się pojawiły. Przebiegła palcami po materiale. – Tę błyszczącą spódniczkę i w ogóle wszystko? Tak naprawdę najbardziej podoba mi się połączenie srebra i błękitu.

– Mogłybyśmy kupić coś podobnego. Jestem pewna, że w Portland jest mnóstwo sklepów, w których można znaleźć ładny materiał.

– Zrobiłabyś to?

Ginny uśmiechnęła się nieco zdziwiona.

– Oczywiście.

Ruby położyła jej głowę na ramieniu.

– Jesteś najlepsza.

Ginny wydała stłumiony śmiech.

– Pozwól sobie coś znaleźć, proszę, proszę, proszę!

– Nie, Ruby. Wolalabym nie. Czuję się taka...

– Nie będziesz musiała tego nosić, jeśli będziesz się źle czuła. Co ci szkodzi przymierzyć?

Ginny zawahała się i Ruby nagle dostrzegła jej wielką nieśmiałość. Przypomniała sobie przemianę, jaką przyjaciółka przeszła w trakcie ich

znajomości – od cichej myszki do gwiazdy.

Chwyciła ją za rękę i pociągnęła wzdłuż wieszaków, szukając koloru, który wpadłby jej w oko. Żaden chłodny niebieski ani jaskrawy żółty. Nie, nie, nie. Jakies trzy rzędy dalej w końcu zobaczyła sukienkę o barwie mięszu idealnie dojrzałej brzoskwini.

– To – powiedziała, wyciągając kostium. Krój miał niewyszukany, zwykła zwiewna spódnica i ozdobiony cekinami top bez rękawków.

Ginny wzięła tutu i przejechała ręką po topie.

– Ten kolor – powiedziała z westchnieniem. Policzki jej się zaczerwieniły.

Zaintrygowana Ruby spytała:

– O czym myślisz, że się tak zarumieniłaś?

– Naprawdę? – Przytknęła ręce do policzków. – To tylko... e... – Obejrzała się przez ramię i niemal wyszeptała: – Jack powiedział, że moje usta smakują jak brzoskwinie.

– Więc będzie idealna. Przymierz ją!

– Tylko gdzie?

Ruby roześmiała się, rozglądając się wokoło.

– Chyba tutaj. Po prostu zdejmij koszulkę i włóż sukienkę przez głowę.

Ginny czuła się skrępowana, ale zrobiła, jak powiedziała Ruby. Miała szczupłe ramiona i wąską talię, więc tutu leżała na niej znakomicie. Sukienka była nieco ciasna w biuście, ale dzięki temu top w bardzo ładny sposób eksponował piersi. Ruby leciutko pociągnęła ją za spódniczkę.

– Trzyma się?

– Nie mogę w tym iść! – Ginny zasłoniła dłońmi dekolt.

Ruby odsunęła jej rękę.

– Spójrz na mnie, Ginny. – Uśmiechnęła się. – Wyglądasz fantastycznie. Przysięgam. Pochodź w tym przez chwilę, zobacz, jak się czujesz.

Tak też zrobiła. Ruszyła alejką między wieszakami. Pochyliła głowę, muskając spódnicę otwartymi dłońmi jak mała dziewczynka. Ruby uśmiechnęła się i zakręciła wokół z niebieską tutu przy ciele. Ni stąd, ni zowąd przypomniało jej się, jak Noah próbował ją wczoraj rozweselić. Może zatańczą razem na zabawie? Wyobraziła sobie ciemne, rozgwieżdżone niebo i lampki, które wczoraj skończono rozwieszać wokół podestu. I gęste, za długie kręcone włosy opadające Noahowi na twarz. To był tylko krótki błysk, dotyk jego rąk na biodrach, uśmiechnięte usta blisko siebie, ich ciała...

„Nie rób tego – odezwał się głos w jej głowie. – Nie traktuj go jak klina”. Wiedziała, że łatwo go zranić. Potrafiła to wyczuć – głębokie pragnienie, rozpaczliwą potrzebę związku.

Ukojenia.

Ruby przyciągała zastępy mężczyzn takich jak on, złamanych, ze strzaskanym sercem, straconymi nadziejami, rozdartą duszą. Obdarzała ich życzliwością. Czasem pocałunkami. Obdarzała ich śmiechem i szacunkiem. I zwykle to wystarczało.

Ruszyła bez celu wzdłuż wieszaków, wyciągając to tu, to tam jakiś kostium. Jej kapryśna myśl błędziła przez chwilę, aż zatrzymała się przy Liamie. On nie wydawał się złamany, w każdym razie nie w tym życiu. Przypomniała sobie dziwną wizję, jaką miała, gdy go poznała – obraz mnicha w średniowiecznych dekoracjach. Skąd miała wiedzieć – może to były wspomnienia poprzedniego życia? Miliony ludzi na świecie wierzą w reinkarnację, która by z pewnością wiele tłumaczyła. Mnisie skłonności Liama, poczucie pokrewieństwa, jakie ją z nim łączyło. Może to życie, złamane serce i dziecko to była karma – kara albo nagroda?

Kto wie?

Co rozwiązywało problem Noaha. Ruby chlubiła się tym, że jest z ludźmi szczerą. Bardzo potrzebowała klina, kochanka, który zastąpi Liama, a Noah pewnie chętnie by na to przystał. Tylko że ona stanowczo jeszcze nie przeboleła rozstania, a Noah zasługiwał na prawdziwy, trwały związek. Z kobietą, która była gotowa go pokochać.

Kiepska sprawa, naprawdę. Ruby mogła go co najwyżej lubić. Po prostu nie była jeszcze gotowa na nową miłość.

Jej wzrok przykuła jasnosrebrna tuta. Wysunęła ją i zobaczyła, że ma długie, przezroczyste rękawy. Top mienił się opalizującymi perełkami, a spódnica sięgała do połowy łydki. Idealna dla Lavender. Zdjęła ją więc i zabrała ze sobą.

Ginny stała na końcu alejki, kołysząc się w przód i w tył, żeby rozhuścić sukienkę. Ciemne włosy okalały jej twarz, wydobywając śnieżnobiałą szyję. Z tej odległości wyglądała, jakby miała siedemnaście lat.

„Jack powiedział, że moje usta smakują jak brzoskwinie”.

Jedna połowa Ruby chciała ochronić Ginny przed ewentualnością, że to playboy, facet, który lubi podrywać samotne kobiety. Druga połowa chciała, żeby Ginny wyrwała się z nieszczęśliwego małżeństwa za wszelką cenę. Jakby ją słysząc, Ginny odwróciła się i spojrzała na przyjaciółkę. Błyszczące, niefarbowane włosy spadały jej na twarz, ramiona miała nagie i Ruby zorientowała się, że Ginny absolutnie nie ma pojęcia, jak zachwycająco wygląda.

– Myślę, że mi się podoba – powiedziała cicho.

– Pasuje ci.

Ginny ściągnęła sukienkę przez głowę i założyła z powrotem bluzkę.

– Chodź, poszukamy reszty.

Lavender i Valerie stały z garderobianą, otaczając półkolem Hannah, która podziwiała swe odbicie w wysokim lustrze. Rozpuszczone włosy spływały jej na plecy. Miała na sobie czerwoną tutu bez ramiączek, która w zdumiewający sposób

podkreślała jej wąską talię, imponujący biust i kruche ramiona.

– No, no, no, dziewczyno – powiedziała Ruby i zagwizdała. Uniosła dłonią rąbek spódniczki. – Zdaje się, że znalazłaś swoją sukienkę.

– Och, nie sądzę – powiedziała Valerie i zacisnęła usta. – Jest dla niej stanowczo za dorosła.

– Ile Hannah ma lat? Piętnaście? – spytała garderobiana, przechylając głowę. – Idealna dla Persefony.

Hannah podparła się pod boki i leciutko zakołysała spódnicą.

– To najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam. – Napotkała wzrok matki w lustrze. – Proszę. Przecież nie idę w niej na dyskotekę. To przyjęcie dla dorosłych.

Valerie milczała długą chwilę, patrząc na córkę. Ruby przysunęła się i położyła jej rękę na ramieniu.

– W tej sukience wygląda, jakby była s o b ą .

Valerie pokiwała głową.

– W porządku.

Hannah klasnęła w dłonie.

– Hurrra!



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Po obiedzie pojechały na wybrzeże. Nalegała na to Ruby, która przy jedzeniu odkryła, że ani Ginny, ani Hannah nigdy nie widziały oceanu.

– To tylko sto kilometrów! – Otworzyła szeroko swoje wielkie oczy. – Lavender, musimy je tam zabrać!

Tak więc Ruby prowadziła, a Valerie siedziała obok. Ginny z Hannah zajęły miejsca pośrodku i podekscytowane wyglądały przez okno. Każda chciała pierwsza zobaczyć wodę. Lavender wyciągnęła się z tyłu, żeby się odrobinę zdrzemnąć. Ginny kilka razy zerknęła na nią z niepokojem. Przyjaciółka nie zjadła za wiele na obiad.

Ale spała spokojnie, a jej skóra miała normalny kolor, więc Ginny powiedziała sobie, że nie ma powodu martwić się, że ktoś jest chory, tylko dlatego że jest stary.

Gdzieś z tyłu głowy wciąż dręczyły ją wiadomości, których nie skończyła odsłuchiwać. Zastanawiała się też, czy spotkać się jutro w McMinnville z Jackiem.

Pewnie tego nie zrobi, ale jakaś jej część wyobrażała go sobie, jak siedzi w tawernie twarzą do drzwi i spogląda z nadzieją na każdą osobę, która wchodzi. Przecież nie musi go całować ani nic. Mogłaby po prostu wypić szklaneczkę mrożonej herbaty i wrócić na farmę.

Może się zdecyduje?

A może nie?

– Widzę! – wykrzyknęła Hannah. – Tam, na horyzoncie!

Ginny wpatrywała się z całych sił i cicho krzyknęła, gdy wreszcie zobaczyła na tle nieba stanowczo ciemniejszą linię błękitu.

– Ja też!

Jechały w dół urwiska w stronę plaży i podczas całej tej drogi Ginny wciąż pochylała głowę, żeby nie stracić wody z oczu. Ocean!

Ledwo samochód zdążył się zatrzymać, a ona już otworzyła drzwiczki i wyskoczyła na parking. Silny wiatr owiał jej twarz i zagarnął włosy na plecy, gdzie powiewały jak flaga. Zamknęła oczy i pożałowała, że nie ma ze sobą Willow. Mogłyby obie puścić się biegiem po plaży, żeby po raz pierwszy w życiu zobaczyć taką wodę.

Schyliła się, zdjęła buty i skarpetki, zostawiła je na kupce obok samochodu i pobiegła w stronę piasku, zapominając o bożym świecie. Woda wabiła ją –

granatowo-szara, bezkresna, niespokojna pod zbierającymi się na niebie chmurami. Szła po piasku, czując, jak porusza się pod jej stopami, i zatrzymała się dopiero na krawędzi oceanu.

Nieważne, że było tu mnóstwo ludzi, że chodzili za jej plecami, a jakieś dzieci kucaly z wiaderkami i małymi pomarańczowymi łopatkami kopały tunele w piasku. Nieważne, że nad jej życiem wisiało widmo niemal nieuniknionej katastrofy.

Nie liczyło się nic oprócz tego, że jakimś cudem ona, Ginny Smith z Dead Gulch w stanie Kansas, stała oto nad Oceanem Spokojnym. I że dotarła tu w zasadzie z własnej woli.

Stała długo, obserwując kotłującą się powierzchnię, maleńkie i wielkie fale, załamujące się grzywy piany, leje krystalicznej, przypominającej szkło wody, które płynęły do niej nie wiadomo skąd. Może z Japonii? Albo z Rosji? A może z Wietnamu? Ta woda obmywała odległe ziemie i stopy. Wyobraziła sobie echo obcych stron niesione przez fale.

Zamknęła oczy i wciągnęła w nozdrza zapach – tak podobny do miedzianej woni jezior i rzek i zarazem zupełnie inny. Bardziej intensywny, głębszy, przemieszany z zapachem martwych ciał, morskich istot i nadciągającego deszczu.

Najwspanialszy jednak był dźwięk, szum wody trącej o piasek, plusk i ryk zrodzone przez nieustanny ruch. Potężny i przekraczający ludzkie pojęcie głoś. Sprawiał, że Ginny czuła się mniejsza niż drobinki piany. Ale zarazem była częścią tego wszystkiego. Na moment niemal rozpułnęła się w eterze, roztopiła w niebie, dźwięku i zapachu.

Złapała się na tym, że po twarzy płyną jej łzy. Jak to możliwe, że stoi tu, nad oceanem?

Zakręciła się i wyrzuciła w górę ręce.

– Juhu! – krzyknęła z całych sił z zachwytem.

I oto Ruby była już obok, chwytając ją za rękę. Chustka spadła jej z głowy, włosy tańczyły na wietrze. Wirowała razem z Ginny, podskakując, gdy fala przykrywała im stopy. Dołączyła do nich Hannah, jej włosy też rozwiewał wiatr. Złapały ją za ręce.

Tańczyły, a w głowie Ginny kołatała się myśl: Nigdy nie wrócę do domu.

Po powrocie na farmę Valerie zaproponowała, że skoro postanowiły nie iść do restauracji, zrobi kolację dla wszystkich. Lavender niepokoiła się przygotowaniami do przyjęcia. Ginny chciała uszyć Ruby sukienkę. W dużym centrum handlowym w Portland znalazła jasnobłękitną organzę ze srebrnymi cekinami.

Siedziała teraz w pracowni w domu na farmie i szyła prosty kostium, rozmyślając o swojej córce. Przypomniła sobie wszystkie stroje, które szyła dla niej przez lata. Przypinając resztę szpilek do rękawa, pomyślała, że powinna znów

spróbować do niej zadzwonić. Czy Matthew powiedział jej o mailu, w którym pisała o rozwodzie?

To wszystko wydawało się tak odległe.

Wykończyła szwy i obrzuciła brzegi prostym ścięciem, czując unoszący się w powietrzu gęsty zapach lawendy. W pomieszczeniu przechowywano wiele produktów sprzedawanych w sklepie. Pod pozbawioną okien ścianą stał długi stół, a na nim pełno koszyków wyściełanych grubym sztruksem i flanelą w odcieniach fioletu i szarości, z charakterystyczną dla farmy złotą nicią. Puszki na kwiaty były niemal puste. Dalej w schludnych kupkach piętrzyły się poduszeczki na oczy, poduszki pod szyję i rękawiczki czekające na wysyłkę albo ometkowanie.

W pomieszczeniu obok znajdowały się ekrany, na których suszyły się kwiaty, a w następnym destylator, wielki srebrny dzban, który wyglądał jak nieco mniejsza wersja aparatury używanej w czasach prohibicji. Ginny obeszła go dookoła, bo chciała zobaczyć parę krążącą w szklanej rurce i olejek skapujący do dzbana o wąskiej szyjce. Nachyliła się nad wylotem i moc zapachu sprawiła, że niemal się zachwiała. Miała wrażenie, że woń lawendy przenika przez pory jej skóry, że fioletowe palce masują jej skronie i pierś.

To było naprawdę ogromne przedsięwzięcie, za które Lavender wzięła się dopiero koło sześćdziesiątki. Pocieszająca myśl. Ginny miała dużo więcej czasu, żeby stworzyć stabilny biznes, jeśli na coś takiego się zdecyduje.

Czy jej blog był tego rodzaju działalnością? Czy sam w sobie się liczył?

Skończyła sukienkę i wychodząc, zabrała ją ze sobą. Chciała od razu zanieść ją Ruby, ale zobaczyła jej lśniąca blond głowę wśród kur, z którymi najwyraźniej prowadziła ożywioną konwersację.

Wzięła więc swe dzieło do przyczepy, powiesiła na wieszaku, zawołała Willow do łóżka i zwinęła się, żeby uciąć sobie drzemkę w znajomym zaciszu airstreama. To był pracowity dzień. Ale kiedy w końcu się umościła i naciągnęła kapek, zadzwonił telefon. Z westchnieniem sięgnęła po komórkę. Wiedziała kto to.

Na wyświetlaczu widniał numer Matthew. Ginny pozwoliła, żeby komórka zadzwoniła znowu, a potem jeszcze raz. Zastanawiała się, czy odebrać. Zdecydowała w końcu, że to zrobi, ale tylko dlatego, że winna była mężowi informację, że jest cała i zdrowa.

- Halo? – powiedziała, jakby nie wiedziała, że to on.
- Ginny, to naprawdę ty?
- Tak, Matthew. Przepraszam, telefon wpadł mi do zlewu i się zepsuł. Przykro...
- Nie mogłaś zadzwonić z budki?
- Nie ma już budek, jakbyś nie wiedział. Mogłeś sprawdzić bloga.
- Sprawdzałem. Ale aż do wczoraj nie było wiadomo, co się z tobą dzieje, a potem jeszcze przyszedł ten mail od ciebie.

– Matthew, możemy porozmawiać o...

– Nie chcę rozmawiać. Jesteś po prostu wściekła na mnie za te wiadomości. Ale wiesz, jaki jestem, kiedy się upiję. Masz prawo się wkurzać, tylko że ja wcale tego nie chciałem. Wiesz przecież. To pewnie dlatego, że byłem taki samotny, napalony i trochę się nie kontrolowałem.

Ginny usiadła.

– Napalony? Ty?

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Odsłuchałaś wiadomości, które ci zostawiłem?

– Nie, nie miałam...

– Ożeż jasna cholera, to ten mail był na serio?

– Nie, to znaczy tak, to znaczy...

– Ginny, chcesz rozwodu?

Serce jej się ścisnęło, skurczyło do wielkości ziarenka grochu i zlodowaciało z przerażenia. A potem zrobiła wdech.

– Nie zamierzałam wysłać tego maila...

– Dzięki Bogu.

– ...ale tak, Matthew. – Jej serce znowu zaczęło nabrzmiwać krwią i ciepłem, pulsować nowymi możliwościami. – Chcę rozwodu. Nie wracam do Kansas.

– To najgłupsza rzecz, jaką od ciebie słyszałem. Przechodzisz kryzys wieku średniego. Jeszcze się opamiętasz.

– Nie, Matthew...

– Nie będę z tobą dłużej rozmawiał, Ginny. Skasuj wszystkie wiadomości ode mnie. One nic nie znaczą.

– Nie możesz – trzask na linii – się rozłączyć!

W komórce zapadła głucha cisza. Ginny spojrzała na aparat, w głowie jej huczało. Wzbierała w niej największa furia w życiu. Jakby tysiące os gotowało się do tego, żeby się zerwać i...

Trzasnęła telefonem, aż Willow podskoczyła i zaczęła nerwowo walić ogonem o łóżko.

– Och, to nie na ciebie się wściekam, skarbie. Nigdy na ciebie. – Pogłaskała psa tak energicznie, że sierść Willow zaczęła się elektryzować.

W ciasnym wnętrzu airstreama było nie do wytrzymania, więc Ginny z impetem otworzyła drzwi i wypadła na dwór z telefonem, trzęsąc się ze złości. Wiał rześki wiatr, niosąc zapowiedź ulewy – tej samej, przed którą uciekły z wybrzeża – a mimo to wcale jej nie ostudził. Wyszukała wiadomości, które Matthew zostawił jej po pijaku.

O 20.52 jego głos był dużo bardziej donośny:

„Siedzę właśnie z kumplami i tak sobie myślę, co to za idiotyzm z tym twoim

wyjazdem. Ginny, dlaczego to zrobiłaś, co? Przecież jestem dobrym mężem. Wiem, że ta sprawa z seksem cię wkurza, ale nie każdy uważa, że to takie ważne. Do diabła, dobra ze mnie partia!”

Ginny odsunęła telefon od ucha, żeby sprawdzić, ile zostało do końca, i zobaczyła, że odsłuchiwała dopiero początek. Bez wahania przeszła do następnej wiadomości.

Ta była krótka, zostawiona o 22.05:

„Wiesz so, szono? – Język wyraźnie mu się plątał. – Pizda z ciebie. Tajest”.

Przewróciła oczami. Jej gniew umiejscowił się gdzieś między łopatkami, wyczuwała palące punkciki tuż pod skórą, zarazem bolesne i pulsujące. Pomyślała o Górach Skalistych, ostrych i wyrazistych na tle błękitnego nieba. Pomyślała o rzece Columbia połyskującej o zmierzchu. Pomyślała o kipiącym, roztańczonym oceanie.

Wybrała następną wiadomość. O 1.00 był już bardzo pijany. Szlochał.

„Ginny, kocham cię. Wiesz o tym? Jesteś jedyną kobietą, którą kochałem w życiu. Powinienem być cię słuchać, przepraszam. Naprawdę przepraszam. Dałem dziś ciała i strasznie mi przykro. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Na pewno dowiesz się o tym od tej swojej porąbanej przyjaciółki Marnie. Wiesz, że ona wcale nie jest twoją prawdziwą przyjaciółką? Nigdy nie była. Zawsze na mnie leciała, łapała mnie za członek i chciała, żebym ją obmacywał. A dziś po prostu strasznie się wściekłem, skarbie. Tak mi przykro, naprawdę. I naprawdę cię kocham. Tylko ciebie, przez te wszystkie lata”.

Znów zaczął szlochać, Ginny nie mogła tego znieść. Rozłączyła się.

Uprawiał seks z Marnie? Nie potrafiła rozstrzygnąć, która część tego zdania budziła w niej większy gniew. Seks? Marnie? Obie?

Telefon w jej dłoni zaczął dzwonić. Tak ją to zaskoczyło, że omal go nie upuściła. Zamierzała odebrać ostrym tonem, bo myślała, że to znowu Matthew.

Na wyświetlaczu widniał numer Jacka.

Serce zaczęło tłuc jej się w piersi, ale nie odebrała. Komórka pulsowała jej w dłoni. Wreszcie włączyła się poczta głosowa. Ginny stała i wpatrywała się w aparat, zastanawiając się, czy Jack zostawi wiadomość.

A co, jeśli powie, że zmienił zdanie, i poprosi ją, żeby zapomniała o jutrzejszym spotkaniu w McMinnville? Nic mu w końcu nie odpowiedziała. Co, jeśli uznał jej powściągliwość za odmowę i nigdy więcej go nie zobaczy?

Tak byłoby najlepiej. Może i nie kochała Matthew, ale mimo wszystko była jego żoną. Bez względu na to, jakie głupstwo popełnił jej mąż minionej nocy, bez względu na to, jak ją traktował, to była kwestia uczciwości z jej strony.

Poczuła sygnał poczty. Kliknęła ikonkę, żeby odsłuchać.

„Hej, Ginny. Przykro mi, że znowu nie udało mi się ciebie złapać. Miałem

nadzieję, że masz już nowy telefon. I że dotarłaś bezpiecznie na miejsce. Rozładowałem samochód i jadę do kumpla na kolację”.

Przez chwilę myślała, że to wszystko.

„Słuchaj, nie chcę się naprzykrzać, więc jeśli się nie odezwiesz mailowo albo telefonicznie, dam ci spokój. Trzymaj się”.

Zanim zdążyła w pełni zdać sobie sprawę z tego, co robi, wybrała jego numer. A gdy słuchała sygnału, po kręgosłupie przebiegł jej impuls, budząc pieczenie między łopatkami.

– Halo? – powiedział i jego głos, który pojawił się tak nagle, sparaliżował ją na chwilę dość długą, by zapytał: – To ty, Ginny?

– Tak, to ja. – Odchrząknęła. – Cześć, Jack – powiedziała, nie wiedząc, co dalej. Policzki jej płonęły, w słuchawce zaległa cisza. – Odebrałam twoją wiadomość – odezwała się w końcu w tej samej chwili, gdy on powiedział:

– Cieszę się, że zadzwoniłaś.

Oboje zaczęli przeproszać, po czym znów zamilkli. Ginny nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem.

– Przepraszam, zachowuję się jak idiotka – powiedziała.

– Ależ skąd. Myślę, że jesteś zdenerwowana tak samo jak ja.

– Jesteś zdenerwowany?

Roześmiał się smutno niskim, ochrypłym głosem.

– I to jak! Ginny Smith z Dead Gulch w stanie Kansas, zupełnie wytrąciłaś mnie z równowagi. Przeczytałem chyba ze sto postów na twoim zachwycającym blogu.

– Trochę ich jest. – Pomyślała o wpisach stanowiących kronikę jej życia. Ile wiedział o niej teraz?

A z drugiej strony ile osób z jej otoczenia przeczytało cokolwiek? Nawet po tym, jak napisali o niej w „Martha Stewart Living”? Marnie i Jean mogły zajrzeć i przeczytać kilka wpisów, ale nie za wiele. Matthew nie widział w tym sensu i wyśmiewał jej „dziewczyńskiego” bloga przed przyjaciółmi, jakby był jakąś niestosownością, wybrykiem nastolatki, czymś w rodzaju biodrówek albo niebieskich pasemek we włosach. Christie czytała prawie codziennie, tak samo jak Cztery Smakoszki i jej siostra Peggy.

A teraz też Jack.

– Jestem poruszona – powiedziała. – I trochę zawstydzona.

– Nie ma powodu – odparł. – Uwielbiam twój sposób patrzenia na świat. Jest taki optymistyczny. Nawet brzydkie rzeczy stają się piękne, kiedy na nie patrzysz.

– Dziękuję – wyszeptała.

Zamknęła oczy i przycisnęła telefon do ucha. Chciała poczuć go znowu, przytulić twarz do jego szyi i...

Przestań. Przeniosła uwagę na Willow, która wyszła za nią z przyczepy. Usiadła

na stopniu i zaczęła bawić się jej uchem.

– Teraz znasz mnie lepiej niż ja ciebie. Powinieneś zacząć prowadzić bloga.

Roześmiał się.

– Nic z tego.

– Niemożliwe, żeby wszystko ci się podobało.

– Kiedy naprawdę tak jest. To blog dla kobiet, wiem, ale i tak mi się podoba.

– Brzmi szczerze.

– Mówię prawdę. Po historii z moją byłą postanowiłem, że nie będę kłamać.

– Ja też jestem prawdomówna – powiedziała Ginny i zdała sobie sprawę, że to poniekąd kłamstwo. – Zazwyczaj.

– Przysparzam ci problemów?

– Nie, to moje życie przysparza mi problemów. Ale z drugiej strony nie należę do osób, które całują się z nieznajomymi, kiedy są w związku. To do mnie nie pasuje.

– Tylko że ja nie jestem nieznajomy, prawda? – Słysząc było, że się uśmiecha.

Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Nagle rozpaczliwie zapagnęła zobaczyć jego twarz, spojrzeć mu w oczy.

– Widziałam dziś ocean.

– I jak ci się podobał?

– Był... Nie potrafię ująć tego w słowa. Tak naprawdę nie jestem człowiekiem słów. Musiałam zamknąć oczy, żeby mnie otoczył i wypełnił. Dopiero wtedy mogłam spojrzeć na jego piękno. I mogłabym patrzeć latami.

– Prawdziwa poezja jak na kogoś, kto nie jest człowiekiem słów.

– Pewnie tak.

– Spotkamy się jutro w McMinnville?

Wypuściła powietrze.

– A zostaniemy przyjaciółmi, Jack? Czy kimś innym? Bo to mi nie wygląda na przyjaźń i trochę się boję, że mnie wykorzystujesz.

– Nie sądzę, żebyśmy mieli zostać przyjaciółmi, Ginny. Myślę, że zostaniemy kochankami. I dobrze. Też mógłbym się bać, że chcesz się tylko zabawić i nigdy nie zostawisz męża, który cię tak unieszczęśliwia.

– Nigdy nie mówiłam, że mnie unieszczęśliwia. – Zaniepokoiło ją, że to słowo pojawiło się dziś już drugi raz.

– Nie musiałaś mówić wprost.

Chciała powiedzieć: „Jest w tym coś niewłaściwego”. Chciała powiedzieć, że jest mężatką i że nie zdradza. Ale to byłyby kłamstwa.

– Chcę się z tobą spotkać. Jutro w Blue Moon. – Roześmiała się. – Jedna z moich przyjaciółek prowadzi bloga o nazwie Smak Niebieskiego Księżyca.

– Cieszę się, Ginny. Bardzo się cieszę. Nie będę oczekiwał niczego więcej

ponad uścisk dłoni, obiecuję.

Niezupełnie mu wierzyła, na głos jednak powiedziała:

– Dobrze. Do zobaczenia.

Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź, i przyłożyła twarz do barku Willow, wtulając czoło w miękkie futro. Willow szczerknęła i położyła jej łapę na ramieniu, na wypadek gdyby Ginny chciała ją podrapać. Bezwiednie przebierając palcami po brzuchu psa, Ginny uspokoiła serce.

„Cudzołożnica”, odezwał się głos w jej głowie i tym razem nie brzmiał jak głos matki, tylko jakiejś części jej samej. Może sumienia?

MIODOWA FARMA LAVENDER

Hrabstwo Yamhill, Oregon

[Strona główna](#)/[Sklep](#)/**[Blog](#)**/[Wskazówki](#)/[Filozofia](#)

W tym tygodniu zaczął się nowy sezon pozyskiwania olejku. To bardzo widowiskowy proces, więc jeśli go jeszcze nie widzieliście, zajrzyjcie do nas, żeby zwiedzić destylarnię. Wycieczki organizujemy w soboty i niedziele, ale w tygodniu też można namówić jakiegoś sprzedawcę, żeby pokazał, jak się produkuje olejek. (Tylko nie proście o to podczas święta lawendy! W tym okresie będziecie mogli co najwyżej dołączyć do już trwających wycieczek).

Żeby uczcić nowy sezon, obniżyliśmy cenę wszystkich olejków o 10% przy zakupach przez Internet i o 20% w sklepie stacjonarnym. A jeśli już się tu zjawicie, zachęcamy do kupna świeżych jajek od naszych wolnowybiegowych kur (na farmie zawsze wszędzie ich pełno). Zerknijcie też na pozostałe organiczne produkty. W tym tygodniu mamy spory wybór – są złote buraki, szpinak, dymka i wiele innych.

Do zobaczenia wkrótce!



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Lavender zamieściła posta, a potem wyciągnęła się na łóżku. Zaskoczyło ją wyczerpanie, które towarzyszyło jej cały dzień. Jeden z jej psów, Junior, cicho wszedł do pokoju i ułożył się obok na podłodze, żeby strzec swej pani i dotrzymać jej towarzystwa. Lavender pozwoliła, żeby jej ręka swobodnie opadła na psi grzbiet.

Całą noc cierpiała z powodu niestrawności – aż sześć czy siedem razy wstawiała po środek na zgagę, a i tak żołądek wciąż jej dokuczał. Trochę jej ulżyło, kiedy coś zjadła, choć obiad w McDonald's, który sobie zafundowały, raczej nie był najlepszym rozwiązaniem. Głupia stara kobieta.

Przez okno wpadł lekki wiatr, trzepocząc tkaniną tak poprzecieraną i wyblakłą, że trudno ją było wciąż nazywać zasłoną. Lavender patrzyła, jak wydyma się i opada, przepuszczając światło i ukazując przy obrąbku maleńkie dziurki. Zakreśliło jej się w głowie i omal nie zemdląca. Zamknęła oczy.

Była całkowicie wyczerpana. Jakby przez tydzień męczyła ją grypa żołądkowa albo jakby przez trzy dni z rzędu zwoziła siano z łąki. W czasach kiedy latała, zdarzało się, że w ciągu tygodnia tyle razy zmieniała strefy czasowe, że jej organizm wariował. Potrafiła wtedy spać bite dwadzieścia cztery godziny. Teraz też tak się czuła. Jakby miała przespać dwa dni, a potem zacząć od nowa.

Wiatr igrał na jej nosie i kościach policzkowych. To były czasy! Ginger, Helen i Lavender latały razem, a potem włóczyły się po Maroku, Londynie albo Buenos Aires. Latanie było wtedy czymś eleganckim, ludzie przebierali się na podróż samolotem. Nie to co dziś. Siedzą ściśnięci jak sardynki, a na pokład wchodzą w dresie i z brokatem na tyłku. W dzisiejszych czasach Lavender nie miała ochoty nigdzie latać.

Choć tak naprawdę sprawiła to farma. Pierwszą część swego dorosłego życia spędziła na włóczędze, zabawie, testowaniu ograniczeń, jakim w owym czasie podlegały kobiety. Kilka razy mogła zrezygnować z tej pogoni, ułożyć sobie życie przy boku mężczyzny, mieć dzieci, za każdym jednak razem pokusa nowej podróży, kolejnego portu była silniejsza. Nigdy tego nie żałowała.

Drugą część jej życia stanowiła ta farma – stworzyła coś, z czego była dumna. Na początku bywało, że pracowała po osiemnaście, dwadzieścia godzin, kładła się spać na cztery, a potem przegryzała coś i wracała do pracy na kolejne czternaście

czy szesnaście. Po drodze zdarzały się katastrofy, wielkie i małe, a każda niemal rzucała ją na kolana. Gdyby nie rolnictwo organiczne, nigdy by nie przetrwała. Glen, niech cię Bóg błogosławi. Miała nadzieję, że byłby z niej dumny.

Przed oczami stanął jej piegowaty nos Ginny. Ta dziewczyna podążała drogą w przeciwnym kierunku. Dzieciństwo spędziła na farmie, potem utknęła w domu w roli matki, a teraz wyruszyła w świat, żeby się przekonać, co jeszcze mogłaby w życiu zrobić. To nie było proste dla kogoś, kto dobiegał pięćdziesiątki. Lavender była z niej dumna.

Oznaczało to jednak, że nie ona będzie jej następczynią. Ginny miała wzrok wbity w odległy horyzont i pewnie nie byłaby teraz w stanie nigdzie osiąść na stałe. Trochę to smutne, ale trudno. Jest jak jest.

Kto przejmie farmę? Żołądek Lavender zaprotestował, kiedy pojawiła się myśl, która tak ją martwiła, skoncentrowała się więc i pozwoliła jej odpłynąć. Wszystko się jakoś ułoży. Teraz musi się tylko zdrzemnąć. Potem wstanie, zje kolację razem z pozostałymi i wcześniej się położy. Jutro są jej urodziny!

Wizyta w McDonald's

Złote Łuki są synonimem śmieciowego jedzenia. Obwinia się je o wszystko – od otyłości wśród dzieci po fakt, że kobiety przestały nosić pończochy. Tymczasem tego popołudnia wszystkie Cztery Smakoszki (i jedna córka) odwiedziłyśmy McDonald's. Bałyśmy się, drodzy czytelnicy, że nas potępicie, ale oto mówię wam:

Nie musicie czuć się winni, jedząc w McDonald's!

Przede wszystkim myślę, że w każdej diecie jest miejsce na odrobinę śmieciowego jedzenia. Ja sama jestem nałogowcem, jeśli chodzi o frytki, i to w każdej postaci, tymczasem ich wartość prozdrowotna jest właściwie żadna. Słone, tłuste i kaloryczne.

I co z tego? Mam to w nosie! Uwielbiam frytki!

Jest też druga rzecz: w ostatnich latach McDonald's przebył długą drogę. Obniżył zawartość tłuszczów trans w swoich produktach i zwraca uwagę na pochodzenie mięsa oraz jajek (choć, oczywiście, to duża korporacja, więc pewnie nie wszędzie jest idealnie). Wprowadził też do menu sporo zdrowych propozycji. Są sałatki, kawałki jabłek, woda butelkowana. Nawet weganie mogą tu dziś znaleźć coś dla siebie, co w przypadku fast foodów należy do rzadkości.

Pozwoliłyśmy sobie dziś na złoty strzał ze śmieciowego jedzenia i miałyśmy z tego prawdziwą uciechę. Oto wszystkie winowajczynie:

<zdjęcie całej grupy stojącej pod ścianą>

Komentarze

Granttime

Ruby, jesteś w ciąży?



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Ruby ułożyła się w swoim orientalnym łóżku w kamperze. Deszcz przestał padać, na niebie wciąż jednak wisiały ciężkie chmury, a w powietrzu pozostały wilgoć i chłód. Opatulona w sweter, z laptopem przed nosem, podziwiała zdjęcie zrobione tego popołudnia. Cudownie było mieć wspólną fotografię. A gdy tak jej się przyglądała, na blogu pojawił się nowy komentarz: „Dobrze wyglądasz, mamusiu”. Jej ojca. Uśmiechnęła się szeroko, wzięła telefon i wybrała numer.

– Gdzie jesteś? – spytała bez wstępów.

– Dziś rano dotarliśmy do Sydney. Świetnie wyglądasz, dziecino. Naprawdę zdrowo i szczęśliwie. Dobrze się bawisz?

– Fantastycznie! Uwielbiam tę farmę, tato! Powinieneś zobaczyć kury. Są zachwycające. Mają w gnieździe kociaki razem z jajkami i się nimi opiekują. Fajnie, co?

– Faktycznie. – Słyszała jakieś odgłosy w tle. Prawdopodobnie się rozpakowywał. – I co jeszcze?

– Niech pomyślę... Zakochałam się w polach lawendy. Są zdumiewająco piękne. Mają tu też ule, z których Lavender bierze miód. I ten miód jest z kwiatów lawendy. To... O fuj! – Ninja wpadła do kampera z motylem w pyszczku. Dumna wskoczyła na łóżko, zamrugła jasnożółtymi oczami i położyła swą zdobycz przed Ruby. – Kotka przyniosła motyla! Właśnie położyła mi go na łóżku! Co mam z tym zrobić? Faj!

– Pokazuje ci, że jest dobrym myśliwym, skarbie. Pochwal ją. Powiedz, że dziękujesz.

– Uch, on wciąż rusza skrzydłami! – Ninja dała susa i złapała motyla w zęby, najwyraźniej bardzo z siebie dumna. – Już dobrze, kiciu, widziałam. A teraz zabierz go na zewnątrz.

Ninja popatrzyła na Ruby, przestąpiła z nogi na nogę, ale nie ruszyła się z miejsca. Motyl, żółty i duży, niemal większy od kociaka, smutno zatrzepotał ostatni raz.

– W porządku, dziękuję. – Poklepała kotka ostrożnie, żeby nie dotknąć motyla. Ninja, jakby na to właśnie czekała, upuściła go, zeskoczyła z łóżka i powoli pomaszzerowała do drzwi z wysoko uniesionym ogonem. Ruby nie mogła się nie roześmiać. „Swoje zrobiłam, mogę odejść”. – Tato, ona jest taka słodka.

– Cieszę się. A co u ciebie? Jak się czujesz?

– Znakomicie. I wiesz co – pstryknęła palcami – w zasadzie przestałam wymiotować. Prawdziwy cud.

– Mówiłem ci, że będzie lepiej.

Ruby spojrzała na nieruchomego motyla. Zaraz wyniesie go na zewnątrz. Na razie jednak tylko odsunęła go stopą.

– Powiedziałam Liamowi o dziecku.

– I co? Okazało się, że ma to gdzieś, tak?

– Tak. Zdaje się, że od początku miałaś co do niego rację.

Jej ojciec nigdy nie lubił Liama. Uważał go za zepsutego dzieciaka z bogatego domu, co było absurdalne, zważywszy na to, że sam dysponował olbrzymim majątkiem. Ale Paul zawsze podkreślał, że to co innego, bo on dorobił się fortuny własnymi siłami. Dlatego nie dawał jej pieniędzy na byle zachcianki, nieważne jak przedstawiała swoją prośbę.

– I jak się z tym czujesz?

– Chyba coraz lepiej. Cudownie jest być razem z przyjaciółkami i szczerze mówiąc, myślę, że mogłabym się tu zatrzymać na jakiś czas.

– A jak daleko jest stąd do szpitala?

Ruby jęknęła.

– Nie wiem. Niedaleko. Jesteśmy tuż obok Portland.

– Ruby, musisz się upewnić, że masz w pobliżu dostęp do najlepszej opieki medycznej. Są...

– Dobrze, daj już spokój. – Odgarnęła włosy z twarzy. – Nie miałam nawrotu choroby od bardzo, bardzo dawna. Rak nie wróci. Cięża nie sprawi, że zachoruję.

Ojciec zamilkł, a kiedy się odezwał, głos miał ściszony.

– Wiem. Przepraszam. Sama się przekonasz, jak się pojawi dziecko. Zrozumiesz, dlaczego jestem taki nadopiekuńczy.

– Wiem dlaczego i bardzo cię za to kocham. Tylko dajmy już spokój, dobrze?

– Dobrze. Informuj mnie na bieżąco.

– Jak zawsze.

Rozłączyła się i zerknęła na kotkę, a potem na motyla. Nie zamierzała usunąć się sam, więc ostrożnie wzięła go za skraj nienaruszonego skrzydełka i zaniósła do drzwi. Ninja patrzyła za nią, wpędzając Ruby w poczucie winy.

– Wiem, że to twoja zdobycz, maleńka, ale przygotowaj mnie o dreszcze. Możesz się bawić tym na zewnątrz?

– Ona nie mówi po angielsku – powiedział Noah, a Ruby podskoczyła.

– Nie skradaj się tak!

Zachichotał.

– Słyszałem, że rozmawiasz przez telefon, więc odszedłem, żebyś miała trochę

prywatności. To twój tato?

– Tak. Surfuje w Australii.

– Ciężkie życie.

Usiadła w drzwiach.

– Na pewno nie narzeka na brak pieniędzy.

Noah usiadł obok i zaczął machać nogami.

– Dorobił się na Internecie?

– Niezupełnie. Jest wynalazcą. Bez przerwy wymyśla coś nowego. Raz wynalazł coś dla przemysłu komputerowego i w jednej chwili stał się bajecznie bogaty. Tyle wystarczy.

– Chyba że jest się gwiazdą rocka i w jednej chwili wszystko się przepuści.

Uśmiechnęła się szeroko.

– To prawda. Ale to nie ten typ.

– A gdzie jest twoja mama?

Ruby westchnęła.

– Mieszka w Seattle. W ślicznym małym domku z trojgiem dzieci, które grają w piłkę nożną, i mężem, który najwyraźniej całkiem sporo zarabia. Jeździ minivanem.

– Nie utrzymujesz z nią kontaktów?

I znów to poczucie wstydu.

– Nie. Nie rozmawiałam z nią, odkąd skończyłam... ja wiem?... może dziewięć lat. Zostawiła nas, kiedy się dowiedziała o mojej chorobie, choć jeszcze przez jakiś czas potem dzwoniła.

Czuła, że Noah na nią patrzy, i myślała, że w końcu coś powie. On jednak się nie odezwał. Podniosła wzrok.

Wziął ją za rękę i splótł jej palce ze swoimi.

– To okropne.

– Przebolełam.

Podniósł jej dłoń do ust i pocałował palce.

– Wcale nie.

W jednej chwili wszystkie erotyczne sensory w jej ciele znalazły się w stanie pełnej gotowości. Niemal słyszała trąbkę grającą na alarm. Palcami, które pocałował, dotknęła jego ust, wydatnej dolnej wargi, a on złapał wargami jej palec za czubek. Patrząc mu w oczy, powiedziała:

– Ale nie przebolełam jeszcze rozstania z moim chłopakiem.

– Wiem. – Pocałował jej palce znowu, patrząc na jej twarz, na usta. Wstał nagle. – Chodźmy się przejść.

Zdezorientowana powiedziała:

– E... dobra.

– Mam wsypać lawendę do destylatora i pomyślałem, że chciałabyś to zobaczyć.

– Ooo, pewnie! I to jak!

Jego twarz powoli się rozjaśniła.

– No to chodź.

Po drodze spytał:

– Wybrałaś już imię dla dziecka?

– Jeszcze nie! Wciąż myślę, żeby zajrzeć do jakiegoś spisu i coś znaleźć, ale najpierw byłam za bardzo przesadna, a potem kiepsko się czułam. No a teraz jestem tutaj. – Musiała trochę przyspieszyć, żeby dotrzymać mu kroku, kiedy tak szedł przez wysoką trawę, wyciągając swe długie nogi. Zauważył to i zwolnił. – Może jakieś kwiatowe imię? Podoba mi się, że Lavender nazywa się jak kwiat. Może Rose albo Daisy?

– A jeśli to chłopiec?

– Nie wiem. Nie sądzę, żeby to był chłopiec.

– Ale jeśli?

Przytrzymał otwarte drzwi do sklepu, zapraszając ją do środka.

– Masz rację. Powinnam coś wymyślić. Ale mam jeszcze prawie cztery miesiące.

Sklep skończył na dziś pracę – wszystko było starannie pochowane, kasetka na pieniądze otwarta. Frontowe pomieszczenie wyglądało bardzo ładnie, wisały tu lawendowe zasłony, wianki z kwiatów, stały też buteleczki z najprzeróżniejszymi kosmetykami.

– Wszystko robicie na miejscu? – spytała Ruby, zatrzymując się.

– Nie wszystko. Lavender produkuje przede wszystkim olejek, jest też sporo lawendy do celów kulinarnych i dekoracyjnych. Część trafia do aromatycznych poduszek i tego typu rzeczy. – Machnął ręką. – Ale większość to po prostu ładne drobiazgi dla turystów. Dzięki blogowi Lavender mnóstwo rzeczy sprzedajemy przez Internet.

– Dochodowa działalność?

– Zaskakująco.

Wskazał gestem, żeby poszła za nim na górę. Na piętrze unosił się w powietrzu niemal namacalny zapach lawendy.

Ruby zrobiła głęboki wdech.

– Cudowne. Aż miałyby się ochotę napić!

– Mamy herbatkę. – Wyszczrzył zęby. – Tutaj.

Pomieszczenie było niegdyś ogromną sypialnią i zachowało wiele ze swej wiktoriańskiej atmosfery. Z wysokich okien przesuwanych w pionie zdjęto story, by odsłonić widok na przestwór zielonych pól, stodoły i budynki gospodarcze, drzewa i fałdyste wzgórza w oddali, olbrzymiejące na tle nieba. Pokój zalewało zimne

światło, wydobywając parę miedzianych dzbanów połączonych rurką.

– Jakie sprytne! – powiedziała Ruby.

W pomieszczeniu były jeszcze dwa inne destylatory. Jeden z nich wydawał cichy syczący dźwięk.

Obok stały koszyki z kwiatami lawendy, przyciętymi równo razem z łodyżką na długość około dziesięciu centymetrów.

– To ręczna robota?

– Mamy do tego małą maszynę, ale mnóstwo innych rzeczy robimy ręcznie. Zatrudniamy licealistów.

– Naprawdę?

Wzruszył ramionami.

– W okolicy nie ma za wiele pracy dla dzieciaków.

Ukląkł obok koszyków i podniósł jeden z podłogi. Zalał go potok światła, wydobywając kości policzkowe i usta, mięśnie ramion i kształt ud. Ruby przypomniała sobie jego wargi na swojej dłoni i wszystko, co na nowo przebudziło się w jej ciele, teraz znowu ożyło – piórka na szyi, tancerki na piersiach, żołnierze gotowi do wymarszu w górę ud. Miał wspaniałe tyłek, jędrny i okrągły, idealny do luźnych starych dżinsów, które nosił. Ciekawe, jak te pośladki wyglądałyby nago i...

Potrząsnął kwiatami i obejrzał się przez ramię.

– Uważasz? – spytał.

Po sennym wyrazie jego twarzy poznała, że zna prawdę.

Dziecko w jej wnętrzu poruszyło się, przesuwając stopę albo rękę z jednego krańca brzucha na drugi. Wielce pożądana dystrakcja.

– Uważam. – Odsunęła włosy z czoła i podeszła bliżej.

Zdjął pokrywkę z dzbana.

– To naczynie do destylacji – powiedział. – Zostawiamy mniej więcej dziesięciocentymetrowe łodyżki i dość ściśle upychamy kwiaty w dzbanie. – Żeby zademonstrować, jak to wygląda, wziął pęk lawendy i włożył do naczynia. A potem następny i kolejny. Za każdym razem powietrze wypełniał zapach kwiatów, aż Ruby zaczęło się kręcić w głowie. – Para wybiera najkrótszą drogę, dlatego trzeba się postarać, żeby opływała jak najwięcej kwiatów. Spójrz.

Przysunął mały stołeczek i Ruby weszła na niego, żeby zajrzeć do środka.

– Mogę dołożyć jeszcze trochę?

– Pewnie.

Podał jej koszyk, a ona wzięła pęk tak jak on i zaczęła upychać kwiaty, gdzie się dało, żeby pozatykać dziury. Całe naczynie wypełnione było sprężynującą, zbitą masą lawendy.

– Ale fajne – powiedziała Ruby.

– Dla ciebie wszystko jest fajne.

Roześmiała się.

– To prawda. I dlatego nie potrafię się zdecydować, co zrobić ze swoim życiem.

– Myślałem, że jesteś kuchmistrzynią.

– Formalnie rzecz biorąc, tak. – Upchnęła kilka łydzyk po bokach. – Uwielbiam gotować, ale restauracja to brutalny świat. Nie chcę aż tyle czasu spędzać w pracy.

– A mała gastronomia?

Wzruszyła ramionami.

– Co zrobię z dzieckiem, kiedy będę pracować? Zostawię w rozgrzanym kamperze? Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Nie aż tak, jak mi się wydawało.

– A blog?

– Blog jest w porządku. Ale prowadzę go od ośmiu lat i chyba jestem zmęczona. – Zajrzała do naczynia i dołożyła jeszcze trochę. – Po prostu mam wrażenie, że jak zobaczę właściwe miejsce, to od razu będę wiedziała.

– A może zorientujesz się w inny sposób? Zdasz sobie sprawę, że naprawdę lubisz coś, co robisz. Wcale nie potrzeba fanfar.

– Mój tato też tak mówi. – Zeszła na dół. – Gotowe. Sprawdź.

Przycisnął sprężystą masę, a potem stanął na stołku i dodał jeszcze kilka garści.

– Dobrze. – Zwinnym ruchem odstawił koszyk, wziął pokrywę, położył ją na miejsce i połączył rurką z drugim dzbanem. – Musi być ściśle dopasowane, żeby para nie uciekała – wyjaśnił, wskazując drogę, którą miała przepływać. – Podnosi się tutaj, płynie rurką i dociera do skraplacza. Tam wydziela się olejek lawendowy, który wypływa w tym miejscu. – Pokazał małą szklaną buteleczkę.

– Wszystkie te kwiaty zamienią się w coś takiego?

– Niesamowite, prawda? Uwielbiam ten proces.

– Przypomina produkcję wina, co? Winiarnie też lubiłeś.

Spojrzał na nią.

– Masz rację, lubiłem. Wciąż lubię. – Uruchomił aparaturę i wskazał na inny destylator. – Ten pracuje już od jakiegoś czasu, więc zdążył wyprodukować olejek. – Przytknął nos do buteleczki, a potem podał ją Ruby. – To naprawdę coś.

Ruby powąchała.

– Mogę go dotknąć?

Poruszył butelką.

– Nadstaw dłoń.

Podstawiła rękę pod kurek i powoli spłynęła na nią najpierw jedna, a potem druga gęsta kropla.

– Ale fajne – powiedziała i podniosła dłoń do nosa. – O Boże, jaki piękny! – Powąchała jeszcze raz, żeby zapach wypełnił jej dziurki nosa i zatoki, a nawet zawisł na chwilę u szczytu gardła. – Nie ma nuty kamfory, prawda?

Noah, który też podstawił dłoń pod kranik, uśmiechnął się.

– Zdolna dziewczyna. To Royal Velvet.

Podniósł złożoną w garść dłoń do nosa i zamknął oczy. Ruby omal nie zemdłała. Długie czarne rzęsy opadały mu na policzki w nieoczekiwanie i absurdalnie zachwycający sposób.

Potrząsnęła głową. Tego już za wiele. Miała wrażenie, że całe to jego piękno wymyśliła, takie było nierzeczywiste.

– Co takiego? – spytał i zakłopotany poruszył brwiami.

– Nic. Nieważne.

Podszedł bliżej i pociągnął ją za bluzkę.

– Podnieś. Szkoda zmarnować taki olejek.

– Och, ja nie...

– Jesteś wstydliva? – Wydawał się naprawdę zdziwiony.

– Zazwyczaj nie. Ale dotąd nikt nie widział mojego brzuszka.

– Nie muszę patrzeć. Wetrę go raz dwa.

Skóra Ruby szeptała, wiła się, była gotowa.

– Możesz patrzeć.

Podniosła koszulkę i pokazała swój okrągły, zabawny, śliczny brzuszek. Noah przelał olejek z rąk na skórę i Ruby zrobiła to samo, ale to on zajął się wcieraniem – zataczał kręgi lekko, pewnie, dokoła w hipnotycznym równym rytmie. Jego ciemne ręce na tle jej bladej, świecącej księżycowym blaskiem skóry pobudziły Ruby jeszcze bardziej. Chciała, żeby podniósł koszulkę wyżej i wtarł olejek w jej piersi. Chciała wetrzeć gęste krople w jego skórę.

Podniósł głowę.

– Wszystko w porządku? – spytał miękko, przysuwając się bliżej.

– Tak – szepnęła.

Pochylił się, żeby ją pocałować. Jego ręce zataczały kręgi wokół jej nagiej talii, pleców i brzucha, jakby próbował ją chronić. Zarzuciła mu ramiona na szyję, dotknęła włosów, przyciągnęła bliżej z ustami gotowymi do pocałunku.

I wtedy zjawił się smutek, a wraz z nim duchy. Otaczały ich, szepcząc. Słyszała je, gdy Noah delikatnie ssał jej wargi, gdy przesuwiał rękami po brzuchu i plecach, gdy przytulała się coraz mocniej do jego ciepłego, silnego ciała.

Pragnęła go. Dziś, teraz, w tej chwili. Chciała się pieprzyć, chciała czuć jego ręce na piersiach, a kutasa w swoim wnętrzu. Tak dawno tego nie robiła.

Ale te duchy. Napierały, szeptały, były coraz bliżej. Dzieci, mężczyźni, zwierzęta.

Ze stanowczością, jakiej się po sobie nie spodziewała, położyła Noahowi ręce na ramionach i odepchnęła go. Szepcząca ciemność zamarła.

– Nie mogę ci pomóc.

– O czym ty mówisz? – W jego głosie słyhać było złość i pragnienie. Nie winiła go za to. Sama miała nogi jak z waty. – Nie potrzebuję p o m o c y, Ruby. Dotyk twojego ciała doprowadza mnie do szaleństwa. – Pogłaskał ją po plecach. – Jesteś taka gorąca.

Pochylił się i pocałował ją znowu. Przyciągnął bliżej, tak że ich ciała dotykały się od ust po czubki palców. Jego pocałunek palił, Ruby czuła w nim miłość, stratę i głód. Wsunął jej ręce pod koszulkę i gładził plecy, a ona wyczuwała pod palcami jego skórę, gorącą i gładką. Nie przerywając pocałunku, podciągnął jej koszulkę do góry i przesunął ręce na piersi. Krzyknęła cicho. Złapała go za pośladki, przyciągnęła do siebie i zaczęła się o niego ocierać.

Szept wokół nich narastał. Nie było w nim gniewu, tylko udręka i rozpacz. Ruby próbowała się odgrodzić od widmowych głosów, skoncentrować na jedwabistych, rozgrzanych plecach Noaha, na tym, jak szczypał zębami jej wargi. Ujęła w dłonie jego twarz, przyssała się do ust i...

„Nie tak”.

Głos był jasny i wyraźny.

„Nie tak”.

Zebrała wszystkie siły, które miała, i powiedziała:

– Noah, przestań. Nie możemy tego zrobić.

– Co? – Podniósł głowę. – Dlaczego? Nie obchodzi mnie twój chłopak.

– Nie, to nie to. – Przełknęła ślinę, odchylając się nieco, żeby ująć w dłonie jego twarz. – Nie umiem ci tego wyjaśnić. Po prostu wiem, że to musi wyglądać inaczej. Coś jest... – Spojrzała na niego badawczo. Jego opuchnięte usta i naga pierś przyciągały ją jak magnes. – Myślę, że musisz mi coś powiedzieć. Opowiedzieć. – Oczy jej się zwięziły. – Wyznać?

Przez długą, ponurą chwilę patrzył na nią. Włosy opadały mu na zdumiewająco piękną twarz, a mrok zasnuwał oczy. Światło rozbijało się o jego ramiona, ręce trzymał na jej biodrach.

Przebiegł nimi po jej rękach, po piersiach. W geście wystudiowanej nonszalancji potrząsnął głową i odsunął się.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Wewnętrzne ucho Ruby nasłuchiwało, czekało, aż głosy odezwą się znowu, zamiast tego jednak pojawiło się tylko najzwyklejsze poczucie, że zachowała się tak, jak należało. Obciągnęła koszulkę, czekając na jego ruch. Stał przy oknie sztywno wyprostowany.

– Przepraszam – powiedziała i ruszyła w stronę schodów.

Złapał ją za ramię.

– Poczekaj.

Zatrzymała się.

- To było niegrzeczne, przepraszam. Zachowałem się jak dupek. Trochę trudno się tak szybko przestawić. – Wyciągnął rękę nad jej ramieniem. – Przyjaciele? Przekrzywiła głowę.
- Wolisz, żebyśmy zostali przyjaciółmi? Zamiast ze mną porozmawiać? Wzruszył ramionami.
- To nie tak. Po prostu... – Potrząsnął głową.
- W porządku. – Dotknęła jego twarzy. – Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

OD: ginny@ciastomarzen.com

DO: msmith@greatinsurance.com

TEMAT: Rozwód

Drogi Matthew!

Nie zamierzałam wysłać Ci tego maila – nie tak to chciałam załatwić. Ale ponieważ rozłączyłeś się dziś, kiedy rozmawialiśmy, nie mam innej możliwości, żeby powiedzieć Ci, co czuję.

Nie słuchasz tego, co mówię. Nie słuchasz mnie od lat. Nawet teraz, kiedy próbuję powiedzieć Ci coś ważnego, TY SIĘ ROZŁĄCZASZ!

Jestem nieszczęśliwa w naszym małżeństwie. Trwa to już od dekady albo i dłużej, a co więcej, Ty o tym wiesz. WIESZ o tym! Po prostu myślisz, że jeśli nie będziesz mnie słuchał, to dam sobie spokój. I wiesz co, Matthew? Prawie się poddałam. Staralam się sprawić, żeby to małżeństwo jakoś funkcjonowało, szukałam czegoś, czym mogłabym się zająć, co mogłoby mi zastąpić brak życia intymnego. Ale koniec końców to niemożliwe.

Gdzie indziej jestem sobą. Na blogu, z moimi internetowymi przyjaciółkami, z psem i z przyczepą. Jestem teraz szczęśliwsza niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Możesz więc słuchać albo nie słuchać, ale oto dwa proste stwierdzenia, które są absolutnie prawdziwe:

1. Rozwodzę się z Tobą.
2. Nigdy nie wrócę do Kansas.

Nie chcę zadawać Ci bólu, mam już jednak dość przetykania własnego, żeby uszczęśliwiać innych. Poza tym, prawdę mówiąc, myślę, że Ty też nie jesteś szczęśliwy. Dlatego zachowajmy się przyzwoicie i rozwiedzmy się.

Ginny



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Gdy deszcz zaczął padać, Ginny drzemała obok zwiniętej w kłębek Willow. Krople radośnie stukwały w dach airstreama, ona jednak otuliła się ciepłym kocem i zakryła uszy. Na szczęście nic jej się nie śniło. Ani Jack, ani Matthew, ani nikt inny.

Wciąż padało, kiedy się obudziła. Przebrała się przed kolacją – założyła dżinsy i ciepły sweter. Zapakowała sukienkę Ruby w worek na śmieci i związała na końcu, żeby uchronić brzeg przed rozbryzgami błota, gdy będzie schodzić ze wzgórza. Otworzyła parasolkę i zagwizdała na psa.

– Biegiem, maleńka!

Pomknęły w dół po trawie, omijając błotnistą drogę. Kury pochowały się w kurnikach. W zaparkowanym nieopodal sosnowego zagajnika Airstreamie Valerie paliło się światło i Ginny musiała się zatrzymać na chwilę, żeby z podziwem popatrzeć na przyczepę. Ale ponieważ Willow pokłusowała dalej z żałośnie zwieszoną głową, ruszyła biegiem, żeby ją dogonić.

Weszły do domku przez osłoniętą ekranami werandę. Ginny wytarła psa i oczyściła mu łapy, a sama zdjęła buty. Parasolkę zostawiła na zewnątrz, żeby wyschła.

– Ładnie pachnie! – zawołała.

– Robię tartę ze słodkich ziemniaków – powiedziała Valerie, kiedy Ginny weszła do kuchni.

Okna były zaparowane od gorąca.

– Pycha.

Ruby siedziała przy stole z miską na kolanach i łuskała groszek. Pracowała w równym rytmie: rozłupywała strączek, wydobywała ziarenka paznokciem kciuka, odrzucała na bok pustą łupinę i brała nowy strąk.

– Chcesz pomóc? – spytała. – Jest całe mnóstwo!

– Pewnie, ale może najpierw obejrzysz sukienkę?

Strzepnęła worek i zdjęła go, wywracając na drugą stronę. Spod folii wyłoniła się dwuwarstwowa suknia.

– Ginny! – wykrzyknęła Valerie. – Zrobiłaś ją d z i s i a j?

Ruby podskoczyła, omal nie wysypując groszku. W ostatniej chwili złapała miskę i postawiła na stole.

– Oooh! Jaka piękna! Mogę przymierzyć?
– Oczywiście. Chcę się upewnić, czy pasuje.
Ruby zabrała sukienkę do drugiego pokoju.
– Gdzie Lavender? – spytała Ginny.
– Wciąż śpi. Zaglądałam do niej niedawno i nie czuła się najlepiej. Może to grypa żołądkowa?

– Albo zatrucie! – Ginny dotknęła żołądka, przypominając sobie niedawną chorobę. – To było straszne.

– Nigdy nie opowiedziałas mi całej historii.

– Prawdę mówiąc, jest dość dziwna. – Umyła ręce. – Co dalej?

– Możesz obrać ziemniaki.

Pomieszczenie było maleńkie, ale dwie kobiety stojące obok siebie mieściły się bez trudu. Valerie kroїła cebulę do czegoś, co wyglądało na potrawkę. W powietrzu unosił się zapach tarty ziemniaczanej, kabaczka i cynamonu. Było przytulnie.

Ginny i Valerie zbliżyły się do siebie, kiedy Val przeżywała kryzys małżeński. Podejrzewała, że jej mąż ma romans – co wtedy okazało się nieprawdą – i zwierzyła się ze swoich zmartwień Ginny, która z kolei opowiedziała jej o własnych problemach, choć bez wchodzenia w szczegóły. Miesięczna wymiana maili scementowała trwającą do dziś przyjaźń. Kiedy mąż Val zginął w katastrofie, zrozpaczona Valerie pisała do przyjaciółki długie maile, Ginny zaś czytała je z uwagą i póki było to niezbędne, drobiazgowo omawiała. Zarzuciła tę praktykę, gdy rany nieco się zagoiły i Valerie w końcu stanęła na nogi.

– A więc? – powiedziała Valerie z uśmiechem.

– A więc – odparła Ginny.

Val umyła dymkę.

– Nie zamierzasz wracać do Kansas, tak?

– Nie zamierzam. Nigdy. – Ginny wzięła wielkiego batata i zaczęła go obierać. – Tego dnia, kiedy się zatrula, wylądowałam nad jeziorem. Prawie nie było tam ludzi, ale tak kiepsko się czułam, że nie mogłam jechać dalej. Rzecz w tym, że to było dość ryzykowne. Nie miałam telefonu ani nic. Ale tak się pochorowałam, że musiałam tam zostać.

– Okropne.

– Tak. – Przed oczami znowu stanął jej wieczór w przyczepie z pijanymi myśliwymi (czy ktokolwiek to był) dobijającymi się do drzwi. – Jacyś faceci próbowali dostać się do przyczepy. Na szczęście Willow ich wystraszyła. Potem pamiętam już tylko ranek.

– O matko! Straciłaś przytomność?

– Myślę, że dostałam bardzo wysokiej gorączki. Mam wrażenie, że to było coś w rodzaju delirium. – Skończyła obierać pierwszego ziemniaka i wrzuciła go do

miski. – Ale najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że po drodze poznałam jednego kierowcę i jakimś cudem wysłałam do niego tej nocy SMS-a z zepsutej komórki. Nadłożył kawał drogi, żeby mnie znaleźć, i to on się mną zajął.

Valerie przestała kroić cebulę i oparła ręce na blacie.

– Jak to możliwe?

– Nie wiem. Absolutnie przedziwne.

– Może to tylko on tak twierdzi?

– Nie. Nie wiedział, gdzie jestem, dopóki nie wysłałam mu SMS-a. – Potrzęsnęła głową. Zdejmowała skórę z ziemniaka, starając się, żeby powstała tylko jedna obierka. – A telefon był zepsuty. Sama widziałaś.

– Aż ciarki chodzą po plecach – powiedziała Valerie. – Może ten twój kierowca to duch? Jak z opowieści dla nastolatek.

– Och, jest prawdziwy. – Roześmiała się Ginny.

– Co się dzieje? – spytała cicho Valerie.

– Jeszcze nie wiem. – Spojrzała przyjaciółce w oczy. – Mam wam tyle do powiedzenia.

– Nie zaczynaj beze mnie! – Odwróciły się, gdy Ruby wpadła do kuchni, szeleszcząc sukienką. Rozłożyła ramiona. – Tadam!

Ginny roześmiała się zachwycona.

– Wyglądasz olśniewająco.

Niebieski kolor sukienki stanowił wspaniałe tło dla błękitnych oczu Ruby. Góra odkrywała ramiona i zmysłowy rowek między piersiami, spódnica zaś rozszerzała się nad brzuszkiem, a dalej opadała z szelestem, srebrna i błyszcząca.

– Czuję się w tym jak bogini księżycy – powiedziała Ruby, kręcąc się w kółko.

– I słusznie, zważywszy na twojego bloga. – Ginny obciągnęła jej nieco spódnice. – Bardzo się cieszę, że tak dobrze leży.

– Mam nadzieję, że nie będzie padało. – Ruby obróciła się raz jeszcze. – Dobra, pójdę się przebrać, a wy nic nie mówcie, dopóki nie wrócę.

Czekały. Valerie wytarła oczy załzawione od cebuli.

– Powinnam była zatrudnić do krojenia moje dziecko.

– Właśnie, co ona robi? Widziałam światło w przyczepie. Wyglądało to bardzo przytulnie.

– Pewnie czyta. Jak zwykle. To największa pożeraczka książek, jaką znam, a przecież sama jestem mołem książkowym.

– Ja też. – Ginny skończyła obierać kolejnego ziemniaka. – Co z tym robimy? Kroimy w kostkę, talarki czy ścieramy?

– Ścieramy. Podsmażę je z cebulką.

Ruby, kręcąc piruety, wróciła do kuchni i usadowiła się ze swoim groszkiem przy stole.

- Dobra, teraz możesz mówić.
- Postanowiłam się rozwieść – powiedziała Ginny prosto z mostu.
- Co takiego? – spytała Valerie. – Z powodu tego kierowcy?
- Faceta z zabójczym głosem? – Ruby zadrżała leciutko. – Rozumiem.
- Nie – odparła Ginny. – Nie z tego powodu. To w ogóle nie wiąże się z podróżą. No, może poza faktem, że nie chcę wracać do Kansas. Nie mogę uwierzyć, że się w końcu stamtąd wyrwałam.
- Więc o co chodzi? Twój mąż nie chce stamtąd wyjechać?
- Nie – odparła znowu. I dodała powoli: – Po prostu nie chcę z nim dłużej być. Nie chciałam już od dawna, ale wydawało mi się, że to nie dość dobry powód. Wyobrażacie to sobie?
- Mówiłam ci, że wiem, że jesteś nieszczęśliwa – powiedziała triumfalnie Ruby i trafiła Ginny groszkiem w ramię. – Ha!
- Ginny wzięła ziarenko z blatu i odrzuciła je.
- Prawdę mówiąc, jest coś jeszcze.
- Valerie odwróciła się do niej z pociemniałymi, nieruchomymi oczami.
- Znęcał się nad tobą?
- Nie. – Ginny zrobiła wdech i powiedziała im to, o czym nie powiedziała dotąd nikomu na świecie. – Od dwunastu lat nie uprawialiśmy seksu.
- Och, Gin! – powiedziała miękko Valerie. – Od dwunastu lat?
- Wiem. – Ginny wzięła następnego ziemniaka. – Próbowałam wszystkiego. „Chodźmy do poradni, chodźmy do lekarza, porozmawiajmy o tym, na miłość boską”, ale nic nie działało.
- Dwanaście lat? – spytała Ruby. – To połowa mojego życia!
- Czuję się jak idiotka, że tyle czasu to znosiłam. – Ginny zamilkła i popatrzyła Valerie w oczy. – Po prostu nie wiedziałam, co robić.
- Może jest gejem? – zasugerowała Ruby. Podjadała groszek z dłoni, jakby to były cukierki. – Takie rzeczy często się zdarzają, wiesz?
- Też o tym myślałam, ale zanim przestaliśmy uprawiać seks, nie sprawiało takiego wrażenia.
- Może ma wśród kumpli jakichś gejów?
- Akurat! To wszystko byli członkowie drużyny bejsbolowej. Żonaci faceci, tradycjoniści.
- Widzisz? – Ruby wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Powinnaś go o to zapytać. Ginny wzruszyła ramionami.
- W tej chwili już mnie to nie obchodzi.
- Valerie dotknęła jej ramienia.
- Powiedziałaś mu, że chcesz rozwodu?
- Nie zamierzałam – odparła Ginny. – Napisałam maila, którego wcale nie

chciałam wysłać, po czym go wysłałam.

– Freudowska pomyłka. – Ruby roześmiała się rubasznie. – Bardzo na miejscu, zważywszy na okoliczności.

Ginny też się roześmiała.

– Wiem. Było mi przykro, że tak to wyszło, ale trudno, mleko się rozlało. Jedyny problem w tym, że on nie chce tego przyjąć do wiadomości. Uważa, że jeszcze się „opamiętam”. – Narysowała w powietrzu cudzysłów.

Lavender weszła do kuchni, mówiąc:

– Wygląda na to, że właśnie się opamiętałaś. – Usiadła przy stole razem z Ruby. Była blada, ale sprawiała wrażenie silnej. Wzięła garść groszku z miski i zaczęła podskubywać po ziarenku. – Wiedziałam, że chcesz go zostawić, jak tylko kupiłaś przyczepę.

– Może ja też wiedziałam! – przyznała Ginny. – Szukałam innego życia, odkąd dziesięć lat temu moja córka wyprowadziła się z domu.

Ruby pochyliła się nad stołem i przyłożyła grzbiet dłoni do twarzy Lavender.

– Wciąż jesteś taka blada. Lepiej się czujesz?

– Och, nic mi nie jest. To nic poważnego. – Wrzuciła groch do ust. – Nie mam zamiaru siedzieć w swoim pokoju, kiedy wy wszystkie jesteście tutaj.

Valerie zamieszała zawartość rondla.

– Masz jakiś pomysł, co dalej?

– Żadnego. Wiem tylko, że nie wrócę do Kansas.

– Możesz zostać tutaj, dopóki czegoś nie wymyślisz – powiedziała Lavender. Wzięła garść strączków z miski, którą Ruby trzymała na kolanach, i rozerwała jeden. – Wygodnie ci w przyczepie? Da się w niej mieszkać przez dłuższy czas?

– Na razie mieszkałam w niej tylko tydzień, ale myślę, że tak. – Przed oczami stanęła jej wizja biwaku na plaży, szumu fal rozbijających się o brzeg, budzących ją co rano. Miała wrażenie, że otwierają się przed nią różne możliwości. Wciągnęła w nozdrza zapach poranka. – Może się trochę powłóczę. Myślałam, że w podróży będę się czuła samotna, ale wcale tak nie było.

– Wybieram się do San Diego, żeby pobyc z rodzicami – powiedziała Valerie. – Jeśli chcesz, możesz się do nas przyłączyć.

Ginny nie chciała mówić wprost, że wolałaby jechać sama, uśmiechnęła się więc i odparła:

– Zastanowię się.

Deszcz nadal padał, nakryły więc do stołu w maleńkiej kuchni i stłoczyły się przy nim w pięć. Noaha nigdzie nie było widać.

– Powiedział, że przyjdzie na deser – oznajmiła Lavender – ale był w kiepskim nastroju.

– Pokazał mi dziś po południu destylarnię – powiedziała Ruby, zanurzając kawałek chleba w potrawce. – Jest super.

– Pomagałam mu karmić kury – odezwała się Hannah, spoglądając przeciągle na Ruby. – W t e d y nie był w złym humorze.

Ruby uśmiechnęła się szeroko.

– No wiesz, potrafię być strasznie irytująca. – Pisnęła cicho, podskakując nagle. Przyłożyła rękę do brzucha. – Aj! To był kopniak!

– Bardzo żywe dziecko. Zamęczy cię na śmierć, dopóki będzie jedynakiem – powiedziała Valerie. – Tak było z moją Louisą. Ta dziewczyna nigdy nie miała dość.

Wzmianka o nieżyjącej córce Valerie sprawiła, że Ginny poczuła się nieswojo. Hannah zakołysała nogą pod stołem i Ginny pomyślała, że dziewczynka też czuje się skrępowana.

Ale twarz Valerie pozostała spokojna i pogodna, gdy mówiła:

– Kalista była tak leniwa, że się o nią martwiłam. A z kolei w ciąży z Hannah, tą tutaj – trąciła córkę łokciem – miałam tak wielki brzuch, że się bałam, że pęknę jak balon.

– I po urodzeniu Kalista też była leniwa?

– Niezupełnie – odparła Valerie. – Była cichym dzieckiem, obserwatorem. I moim zdaniem była też taka, jak podrosła. A ty jak myślisz, Hannah?

Dziewczynka wzruszyła ramionami, wpatrując się w talerz.

– Chyba tak.

– Ty jesteś środkowa, prawda? – spytała Ruby.

– Tak.

– Do tego mól książkowy. Żadna z pozostałych dziewczynek nie lubiła czytać. Tak jakby Hannah czytała książki za cały świat.

– Dlaczego o nich rozmawiamy? – Hannah walnęła ręką w stół. Łyżki zabrzęczały.

– A dlaczego miałybyśmy tego nie robić? – spytała spokojnie Valerie. – Kochaliśmy je. Miło jest czasami o nich pomyśleć.

– Nie chcę o nich myśleć. T o b o l i! Chciałabym zapomnieć, że kiedykolwiek istniały.

Odepchnęła się od stołu i zerwała na równe nogi, ale zanim zdążyła wstać, Ruby już była obok. Położyła ręce na jej ramionach.

– Poczekaj! Muszę ci coś powiedzieć.

– Zostaw mnie! – Hannah strząsnęła jej ręce. – Nie obchodzi mnie, co masz do powiedzenia. – Popędziła w stronę drzwi.

– A gdybyś to ty umarła? – zawołała za nią Ruby.

– Co masz na myśli?

– Chciałabys, żebyśmy nigdy o tobie nie rozmawiały? Żebyśmy udawały, że cię

nigdy nie było?

Hannah zatrzymała się. Zmarszczyła brwi.

– Ja nie umarłam.

– Ja też nie – powiedziała Ruby. – Choć pewnie z pięć razy myślałam, że umrę. Po chemii człowiek czuje się tak, jakby umierał, a ja byłam małym dzieckiem, kiedy zaczęłam ją brać. Miałam tylko siedem lat. – Zaczerpnęła powietrza. – I czasami, Hannah, okropnie się bałam, że umrę, zniknę i nikt nie będzie wiedział, że kiedykolwiek istniałam.

Oczy Hannah wypełniły się łzami.

– To straszne.

– Ja żyję. Ale wielu dzieciakom, z którymi leżałam na oddziale, nie udało się przeżyć. I dlatego tak lubię wypowiadać na głos ich imiona. Uwielbiam przypominać sobie ich twarze i rzeczy, które lubiły.

GINNY zawsze kochała Ruby, ale teraz wręcz ją ubóstwiała.

Hannah zawróciła i przycupnęła na skraju krzesła.

– Na przykład co?

– Moja przyjaciółka Mona uwielbiała komety. Miała je wszędzie – na zeszytach i na pidżamie. Zawieszono dla niej nawet kilka na ścianie. Miała też okropnego pieska o imieniu BeBe, całego czarnego, z włosami w uszach.

– Kiedy umarła?

– Jak ja miałam jedenaście, a ona dziesięć lat. Wszyscy myśleli, że się jej udało, ale po pięciu latach znów zachorowała.

– Może coś zjesz, Hannah? – spytała Valerie. – Chcemy jeszcze trochę pogadać.

– Ale nie będę mówić o siostrach ani o tacie. – Spojrzała na matkę wyzywająco.

– Wcale nie musisz. Choć może się zdarzyć, że ja zechcę. Więc jeśli masz ochotę, możesz iść.

Jak na zawołanie w tej właśnie właśnie chwili wszedł Noah.

– O czym rozmawiacie?

Zmierzył Hannah włosy i usiadł obok, spoglądając na Ruby, która wyprostowała się, choć nie podniosła wzroku.

Ciekawe, pomyślała Ginny.

– Czasami widuję tutaj duchy – powiedziała Lavender. – Hannah, może kiedy będziesz w moim wieku, też je zobaczysz. – Klepnęła dłonią w kolano. – A teraz puśćmy jakąś muzykę i zabawmy się!

Wstała gwałtownie i zgięła się w pół, z jękiem chwytając za brzuch. Zachwiała się, złapała za krzesło i przewróciła je. Ruby, która siedziała najbliżej, próbowała chwycić ją w locie, ale nie zdążyła i Lavender zvaliła się na podłogę.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Ruby i Noah siedzieli obok siebie na oddziale ratunkowym okręgowego szpitala. Pozwolili, by Ginny, która gładko weszła w rolę kompetentnej matki czy raczej pielęgniarki, towarzyszyła Lavender, a sami usiedli w zimnej poczekalni. Nad ich głowami cicho brzęczały żarówki, gdzieś w oddali słyhać było płacz dziecka, wokół nich jednak wisiała nabrzmiąta od smutku cisza.

Ruby wysunęła przed siebie stopy, studiując kształt różowych trampek za kostkę. W tak wilgotnej okolicy okazały się bardzo niepraktyczne, mimo to nadal je lubiła. Dziecko w jej brzuchu poruszało się od czasu do czasu, jakby próbowało znaleźć sobie wygodniejszą pozycję. Przesunęła się, myśląc, że może je przygniata. W roztargnieniu zaczęła masować brzuch. Przez chwilę zataczała koła, zaraz jednak przypomniała sobie ręce Noaha dziś po południu i zamarła, czerwieniąc się jak burak.

Siedział obok w całkowitym bezruchu. Jedną nogę w dżinsach oparł na drugiej, tak że jego prawe kolano sterczało w jej stronę. Materiał na jego udzie rozchodził się w równych liniach wzdłuż wewnętrznego szwu. Rękę trzymał na kolanie, rękaw podwinął na przedramię. Miał na sobie świeżą koszulę, inną niż po południu. Tamta była robocza, trochę już znoszona, z kieszeniami, w których upychał różne rzeczy, takie jak faktury czy torebki nasion. Narzędzia – klucze i śrubokręty – łądowały w tylnej kieszeni spodni.

Koszula, którą założył wieczorem, była świeżo wyprasowana, bawełniana, biała w cieniutkie czerwone prążki. Jej kolor wydobywał opaleniznę przedramion osobliwie pozbawionych owłosienia. Skórę miał bardzo gładką, lśniła na węzłach mięśni, jakby ktoś posmarował ją masłem. Ruby znów miała ochotę go dotknąć i poczuć jej jędrność.

Nie odzywał się ani słowem.

Ona też.

– Noah, przestań się tak głupio zachowywać – powiedziała w końcu. – Przed południem byliśmy przyjaciółmi.

– Czyżby?

– Pewnie, że tak. Uczyłeś mnie różnych rzeczy o lawendzie i kurach i próbowałeś mnie rozweselić.

Siedział ze wzrokiem wbitym w korytarz.

– Nie jestem pewien, czy przyjaźń to odpowiednie słowo na to, co jest między nami, Ruby.

– Dlaczego? – Oparła mu dłoń na ramieniu. – Bo jestem tak gorąca, że nie możesz wytrzymać w moim towarzystwie?

Zerknął na nią z ukosa.

– Wciąż myślę o tym, jak się dziś całowaliśmy. Ty nie?

Zaczerwieniła się znowu i uciekła wzrokiem.

– Nie. – Jego język w jej ustach, ręce na jej ciele. – Tak – przyznała.

– No właśnie, więc „przyjaciele” to nieodpowiednie słowo.

– Widzisz, rzecz w tym...

Podniósł dłoń i potrząsnął głową.

– Nienawidzę tego typu rozmów. Nie jesteśmy nawet parą.

„Jeszcze”. Ruby wyraźnie usłyszała to słowo w swojej głowie.

– W porządku – powiedziała, nieświadomie skubiąc skórę przy paznokciu. – Ale nudzę się, a tu nie ma nikogo innego, więc równie dobrze mógłbyś ze mną pogadać.

– Możesz mówić.

– To wcale nie jest śmieszne. Martwię się i chcę przestać myśleć o Lavender. Boję się, że miała atak serca.

Zacisnęła szczękę i poprawił się na siedzeniu, pochylając się do przodu w niemal modlitewnej pozie.

– Tak.

Ruby zrobiła długi, oczyszczający wdech i wypuściła powietrze.

– Więc pogadajmy. Dwadzieścia pytań. Ja zaczynam.

Jęknął, ale usiadł prosto.

– Twój ulubiony kolor? – spytała.

– Niebieski.

– Teraz ty pytasz.

– Och. Hm... – Otworzył dłoń, wyrzucając palce. – Twoje ulubione jedzenie?

– Wiśnie. A twoje?

Uśmiechnął się słabo.

– Stek. Krwisty.

Wzdrygnęła się dla efektu, bo nie chciała go rozczarować.

– Jak ma na imię twoja mama?

– Linda. A twoja?

Ruby zadrżała. Nieświadomie i niepowstrzymanie.

– Cammy – powiedziała ochrypłym głosem.

Noah pierwszy raz spojrzął jej w oczy.

– Przepraszam, zapomniałem.

Pokiwała głową.

– Telewizja czy książki?

– Książki. Ciebie nie muszę pytać.

– Dlaczego? Bo to oczywiste, że jestem wielbicielką telewizji?

– Nie, wręcz przeciwnie. Molem książkowym.

Wydała odgłos jak w teleturniejach przy złej odpowiedzi.

– Błąd. Lubię czytać, ale daj mi telewizor, a będę szczęśliwa.

– Niestety, nie mam nawet własnego.

– Wcale mnie to nie dziwi. – Przekręciła się w jego stronę, opierając nogę na krześle. – Wy, ponuraki, w swojej apatii rezygnujecie nawet z telewizji.

To stwierdzenie wywołało półuśmiech.

– Co oglądasz?

– Boże, wszystko! Mój ojciec tego nie znosi, ale ja lubię i sitcomy, i filmy obyczajowe, i programy informacyjne, i jak ludzie szukają nowego domu. Uwielbiam HGTV^[2], koniec i kropka. Programy o dekoracji wnętrza, projektowaniu krajobrazu, wszystko. Lubię, jak ludzie kupują stare domy i je przerabiają. Albo jak para kupuje swój pierwszy dom. Wszystko. – Wystawiła palec do góry. – Och, i jeszcze oczywiście programy o jedzeniu.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

– W głębi serca jesteś prawdziwą gosposią, co?

Po tonie jego głosu Ruby nie potrafiła poznać, czy to obelga, postanowiła więc potraktować te słowa z całą powagą.

– Wolę „osoba prowadząca dom” – odparła szelmowsko. – To znaczy ktoś to musi robić, prawda? Pościelić łóżko, wstawić kwiaty do wazonu, dbać, żeby nie zabrakło papieru toaletowego czy chleba, ugotować pyszny obiad, sprawić, żeby wszystko na co dzień działało bez zgrzytów.

– Tak. – Przełknął ślinę, jakby ta wyliczanka go zabolala. – Tak – powtórzył szorstko. A potem pociągnął nosem. – Więc może to jest praca dla ciebie?

Oczy Ruby wypełniły się łzami. Tak mogłoby wyglądać jej życie – kuchnia pełna wszystkiego, o czym by zamarzyła, rzadkich ziół i przypraw, jakie tylko przysłyby jej do głowy, anyż gwiazdkowy, cytrynowe curry, estragon, specjalne łyżki i talerze na każdą okazję. Miałaby zapasowe naczynia i bardzo dobre noże. Mogłaby karmić kurczaki, sadzić kwiaty, uprawiać ogród warzywny, wieszać obrazki na ścianach.

– W Nowym Jorku przez sześć lat mieszkaliśmy na pięćdziesięciu siedmiu metrach kwadratowych. Było tak ciasno, że nie sposób było utrzymać czystości. I nie było miejsca na żadne piękne rzeczy.

– Utrzymać czystości? – Język ciała wskazywał, że się rozluźnił. – Mówisz jak cnotka.

– Bo mam też i cnotliwe oblicze.

Uśmiechnął się szeroko, a Ruby poczuła, że zdobyła u niego punkty.

– Dlaczego w to wątpię? – Podniósł palec. – Już wiem! Bo twój kamper wygląda jak wnętrze haremu.

Ruby przyznała mu rację skinieniem głowy.

– Ale rzeczywiście lubię porządek, lubię, jak coś ładnie wygląda. W bałaganie piękno ginie.

– Założę się, że twoje mieszkanie i tak było piękne.

– Naprawdę? To bardzo miłe z twojej strony. Dziękuję. Staralam się.

Trącił jej stopę czubkiem buta.

– Lavender zaprosiła was tutaj, żeby którejś zostawić farmę.

– Przecież nie może! Zgodnie z tym dziwacznym zapisem mają ją dostać jej siostrzeńcy.

– To problem wyłącznie finansowy. Im zależy tylko na pieniądzach.

– A dlaczego nie zostawi farmy tobie?

– Ja nie mam środków, żeby ją kupić, a właśnie to trzeba by zrobić, żeby nie wpadła w ręce Wade’a Markuma. Poza tym lubię robić to, co robię, doglądać zwierząt i upraw. Nie chcę prowadzić sklepu ani zajmować się marketingiem czy tego typu sprawami.

– A miód pitny?

– Masz do niego słabość, co? Nie, to też mnie nie interesuje, chociaż lubię pszczoły. – Spojrzał jej w oczy z prostotą. Długie czarne rzęsy sprawiły, że wyglądał przy tym jak poważny trzylatek. – Moglibyśmy stworzyć zgrany zespół, Ruby. Naprawdę zgrany.

Poczuła powiew lawendy na twarzy. Zaczęła sobie wyobrażać, co by zrobiła z kuchnią, żeby stała się bardziej funkcjonalna. Pomyślała, że wyrzuciłaby stary stół, bo dzięki temu łatwiej by jej było gotować. Lavender nadal była krzepka, ale z czasem Ruby mogłaby się nią zaopiekować.

– Ja też nie mam pieniędzy – powiedziała. – Już tyle razy prosiłam tatę o pomoc. Nie byłby zachwycony, gdybym zrobiła to znowu. – Na myśl o tym oczy jej się rozszerzyły. – Ani trochę.

Noah pokiwał głową.

– No cóż, uznałem, że powinnaś wiedzieć.

Dziecko uderzyło Ruby pod żebrami. Skrzywiła się, masując stopę.

– Nie sądziłam, że dzieci tak wcześnie stają się aż tak aktywne.

– To prawie szósty miesiąc, tak?

– Tak. Myślę, że tak. – Wstała, żeby rozchodzić ból.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedział Noah.

Odwróciła się.

– Ile razy dziś w nocy myślałaś o swoim chłopaku?

– Ani razu. – Uśmiechnęła się. – Dziękuję.

Oparł się na jasnobrązowym siedzeniu. Z tymi swoimi czarnymi włosami opadającymi na zdumiewająco piękną twarz wyglądał wspaniale, nonszalancko.

– Ależ proszę.

Musiały minąć jeszcze dwie godziny, zanim lekarz uznał, że Lavender miała atak woreczka żółciowego. Dwie godziny, podczas których Ruby i Noah grali w remika i pokera, wykorzystując plastikowe mieszadła do kawy jako ekwiwalent punktów.

Gdy Lavender z Ginny w końcu się zjawily, Lavender była blada jak ściana i wyglądała na zmęczoną. Ruby wstała z krzesła, marszcząc brwi.

– Co powiedzieli?

Ginny potrząsnęła głową. Najwyraźniej też nie była zachwycona.

– Zapisali Lavender na poniedziałek rano. Mają jej zrobić badania. Kazali do tego czasu ograniczyć tłuszcze. Najlepiej, jakby w ogóle nie jadła nic tłustego.

Lavender prychnęła.

– Do diabła z nimi! Mam osiemdziesiąt pięć lat i będę robiła, co mi się żywnie podoba.

Antracytowy siniak wykwitł na jej policzku, w miejscu, gdzie uderzyła się, upadając. Usiadła na plastikowym krześle i położyła ręce na szczupłych udach, żeby się podeprzeć. Zaczepnęła powietrza.

– Na pewno czujesz się na tyle dobrze, żeby jechać do domu? – spytała Ruby.

– Nic mi nie jest, mówię ci. Miałam już takie ataki wcześniej. Koniec końców przechodzą same.

– Pomoże, jak się porządnie wyśpisz w nocy – powiedziała Ginny. – A jutro są twoje urodziny!

– Dużo mi z tego przyjdzie, jeśli nie będę ich mogła odpowiednio uczcić. Chcę bekon na śniadanie i tort na kolację.

– I niech mnie kule biją, dostaniesz – powiedział Noah, podchodząc i oferując Lavender ramię. – Królowa lawendowych pól!

Tort lawendowy,
czyli to, co dziewczyny lubią najbardziej

30 czerwca 20..

<zdjęcie tortu lawendowego z białym lukrem, oprószonego kwiatami lawendy i ozdobionego srebrnymi kulkami>

Psyt! Wstałam znacznie wcześniej niż reszta, żeby zrobić ten tort dla Lavender, która obchodzi dziś osiemdziesiąte piąte urodziny. Oczywiście tort jest lawendowy – długo się głowiłam, jak go zrobić. Chyba zgodzicie się, że wygląda pięknie. Nie mogę się doczekać, żeby pokazać wam zdjęcia z wieczornego przyjęcia.

Dzisiejszej nocy wszędzie niebieski księżyc. Cieszcie się jego rzadką, magiczną energią. Pomyślcie życzenie, a zobaczycie, co się stanie!

(A któż pisze te słowa? Ruby? :-) Przyjaciele, na pewno ją pokochacie).

17 komentarzy



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

W swojej przyczepie Ginny pochylała się z aparatem nad gotowym ciastem. Światło wprawdzie nie kładło się tu na stół tak idealną smugą jak na blat w domu, ale było całkiem znośne. Stwierdziła, że wiele zawdzięcza miejscu, w którym zaparkowała airstreama. Wyprostowała się, żeby zdecydować, jak ustawić się teraz. Światło padało ze wschodu, wylańiało się zza horyzontu i przeświecało przez sosny. Przesłoniła okno cienką ściereczką, żeby rozproszyć promienie, i w rezultacie otrzymała efekt czary złota.

Nie o to jej chodziło. Tort był w odcieniach bieli, srebra i jasnego fioletu; żółć wprowadzała nieodpowiednią tonację. Z aparatem w dłoni rozglądała się za jakąś inną powierzchnią, przygryzając policzek. Oczywiście mogłaby to zmienić w Photoshopie, ale była zbyt dumna ze swej umiejętności doboru naturalnego oświetlenia, żeby uciekać się do tanich sztuczek. I nawet jeśli świadomość nie dostrzegала różnicy, Ginny sądziła, że nieświadomość zawsze to wyczuwa.

Dużo lepsze światło wpadało przez okna koło łóżka. Może wykorzystać tackę i tam coś zaaranżować?

Zza otwartych drzwi przyczepy dobiegło ją piskliwe szczeknięcie Willow, radosny odgłos, który oznaczał zabawę. Kto z nią był? Ginny wyjrzała na dwór i zobaczyła kotkę, w której zakochała się Ruby. Skradała się wśród traw, chcąc prześlizgnąć się obok psa. Willow czekała w pełnej gotowości, z postawionymi uszami, wysuniętym długim nosem i ogonem merdającym wysoko.

– Willow – powiedziała stanowczo Ginny. – Zostaw kotka.

Ale czarny ogon Willow nie przestawał chodzić, a na jej pysku widniał szeroki, radosny uśmiech. Kotka przesuwała się centymetr po centymetrze jak na zwolnionym filmie, ze wzrokiem wbitym przed siebie, jakby myślała, że w ten sposób sprawi, że Willow zniknie. Ginny zakryła usta, żeby powstrzymać wzbierający chichot, i zrobiła szybką serię zdjęć. Kiedy zaś kotka wślizgnęła się do przyczepy, umieściła tort na blacie i postawiła zwierzątko obok ciasta. Czerń i biel, idealnie.

Telefon zadzwonił, kiedy już kończyła. Kotka zeskoczyła pod stół. Ginny zerknęła na wyświetlacz.

– Christie! – wykrzyknęła. – Tak się cieszę, że cię słyszę!

– Jak się czujesz? Brzmisz, jakbyś się świetnie bawiła.

Ginny zamilkła. Pomyślała, że to niemożliwe, żeby dopiero osiem dni temu wyjechała z domu.

– Czuję się cudownie. Absolutnie cudownie. Martwiłaś się, kiedy zniknęłam?

– Szczerze? Nie. Pracowałam jakieś trzydzieści sześć godzin z rzędu, a potem padłam na dwanaście. I kiedy się obudziłam, ty znowu byłaś uchwytna.

– Sprytne – roześmiała się Ginny. – Wydajemy dziś przyjęcie urodzinowe i właśnie robiłam zdjęcie tortu. To tort lawendowy i...

– Mamo.

Słyszac poważny ton w głosie Christie, Ginny zrobiła wdech.

– Rozmawiałaś z tatą.

– Prawdę mówiąc, z babcią. Okropnie się martwi. Jest przekonana, że rujnujesz sobie życie.

– Wiem. Powinnam z nią porozmawiać, ale to będzie takie... – Westchnęła. – Przygnębiające.

– Ona uważa, że uciekłaś. – Christie zamilkła na chwilę. – Ma rację?

– Oczywiście, że uciekłam. Byłaś kiedyś w Dead Gulch w stanie Kansas?

– Nie jest takie złe.

– Tak, jako miejsce urodzenia. – Ginny strząsnęła włosy z oczu. – Ty uciekłaś stamtąd tak szybko, jak się dało.

– To prawda. Ale ja nie miałam tam męża, swojego życia i ogrodu, za którym bym przepadała.

Ginny patrzyła, jak kotka wymyka się spod stołu, idzie wzdłuż siedzenia, a potem wskakuje na blat. Skurcz niepokoju był jak cios między żebra.

– Jesteś zła?

– Nie, proszę, nie myśl tak. Po prostu nie chcę, żebyś podjęła pochopną decyzję. Nie chcę, żebyś potem tego żałowała.

– Ach. – Poczula się, jakby ktoś chlusnął jej w twarz zimną wodą. Szok i rozczarowanie. Spodziewała się po Christie zupełnie innej reakcji. – Nie sądzę, żeby to była pochopna decyzja.

– Może potrzebujesz tylko zrobić sobie przerwę? Może nie musisz zaczynać życia od nowa?

– Może. – Ginny zdawała sobie sprawę z nuty sztywności w swoim głosie, ale z tyłu głowy wciąż słyszała jak mantrę: „Nigdy, nigdy, nigdy, nigdy nie wrócę”. – Ale dość o mnie. Co u ciebie? Robisz coś poza pracą?

– Raczej nie. Żałuję, że nie mam nic ciekawego do powiedzenia, ale prawda jest taka, że mam tylko pracę.

Kotek zbliżył się do tortu. Ginny powiedziała:

– W takim razie dzięki za telefon.

– Mamo, odzywaj się, dobrze? Informuj mnie na bieżąco.

– Będę. Obiecuję. – Zrobiła wdech. – Ale musisz mi uwierzyć, że wiem, co jest dla mnie najlepsze, dobrze?

Christie przełknęła ślinę.

– Dobrze. W porządku. Postaram się.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Rozłączając się, Ginny sięgnęła po aparat i teraz czekała na nieuniknione. Kotka obwąchiwała tort, delikatne nitki białych wąsików połyskiwały na tle lśniącego czarnego futerka. Światło wydobywało ukryte w nim nuty brązu. Ginny nacisnęła migawkę, a potem znowu, i znowu, i znowu, i znowu, i znowu, tak że udało jej się uchwycić moment, kiedy zwierzątko dotknęło łapą tortu, uszczknęło kawałek lukru, a potem zaczęło go zlizywać. Wybuchnęła śmiechem. Spłoszona kotka rzuciła się do ucieczki, a Ginny wyprostowała się, żeby obejrzeć serię zdjęć słodkich tak, że aż mdlilo.

Oparła się o otwarte drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Słońce wznosiło się ponad łąką przesłoniętą przez niską mgłę. W oddali widać było góry i drzewa, bliżej – chatkę, wielkie drzewo i podest, na którym dziś wieczorem miały się odbyć tańce. Nigdy nie wrócę, pomyślała.

Naprawiła szkody wyrządzone przez kotkę i ruszyła z tortem do domku. Willow szła obok, ale kiedy wesoła gromadka kundli Lavender minęła je pędem, pobrzękując zawieszkami, wskoczyła w środek psiego kłębowiska i razem z nimi pognała w stronę pola. Gdy zrobiła to za pierwszym razem, Ginny trochę się denerwowała, okazało się jednak, że psy tylko biegają, moczują się i zaganiają nawzajem.

W kuchni zastała Valerie, która szperała po szafkach w poszukiwaniu rondli i misek. Starła się zachowywać jak najciszej.

– Lavender wciąż śpi.

– To znaczy, że nie czuje się dobrze – szepnęła w odpowiedzi Ginny. – Zwykle co rano robi obchód farmy.

– Ma dziś urodziny. Może postanowiła sobie pospać. – Valerie podeszła, żeby zobaczyć tort. – Wygląda fantastycznie, Gin. Cudowne są te maleńkie księżycy.

– Dzięki – odparła miękko Ginny. – Mamy szczęście, świeci słońce!

– Pomyślałam, żeby wystawić stół na zewnątrz i zjeść śniadanie na dworze. Byłoby miło, prawda? Mogłybyśmy zrobić jakieś drinki. Może mimozę?

– Bardzo dobry pomysł. Mamy szampana?

Valerie uśmiechnęła się do niej przez ramię.

– Ja mam. Nie mam za to niestety – wyciągnęła wielką ceramiczną miskę spod blatu – soku pomarańczowego. Może skoczyłabyś do sklepu i kupiła?

– Pewnie! To tylko kilka kilometrów stąd, prawda?

- Nie mam pojęcia. Widziałam przed chwilą Noaha. Jego spytaj.
- Dobra. Potrzebujemy czegoś jeszcze?
- Pół kilograma truskawek i trochę nierafinowanego cukru.
- W porządku.

Wyszła na dwór i zobaczyła Noaha pracującego przy namiocie.

- Dzień dobry – zawołała. – Mogłabym ci na moment przeszkodzić?
- Pewnie. – Zeskoczył z podestu i przyjrzał się swojemu dziełu. – O co chodzi?
- Powiesz mi, jak trafić do sklepu? Potrzebujemy soku pomarańczowego.
- A ty jedziesz?
- Tak. Chcesz czegoś?

Uśmiechnął się do niej przepaszająco.

- Tak, ale nie krępuj się odmówić.
- Dlaczego? O co chodzi?
- Maszyna do lodu znowu się dziś zepsuła, więc potrzebowalibyśmy z pięćdziesiąt kilo, jeśli dałabyś radę.
- Myślę, że dam. W bloku czy w kostkach?
- W kostkach. – Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął banknoty z portfela. – Będziesz musiała pojechać do McMinnville. To jakieś dwadzieścia minut, może pół godziny drogi stąd. Nie masz nic przeciwko?

McMinnville.

- Nie, skąd.
- Na pewno?
- Tak.

Sprawdzi miasteczko, zobaczy, gdzie jest Blue Moon Tavern. Knajpa, w której miała się spotkać z Jackiem. J e ś l i się na to zdecyduje.

Ginny zagwizdała, a Willow przybiegła i wskoczyła na tylne siedzenie dżipa, ciężko dysząc. Przyniosła psu trochę wody i dopiero wtedy wsiadła do samochodu. Wyjechała na wąską szosę w świetle cichego niedzielnego poranka. Wznoszące się coraz wyżej słońce rozsmarowywało swój maślany blask po świecie, porośniętych trawą łąkach i pasących się owcach. Wysoko na wzgórzu Ginny wypatrzyła winiarnię, a po drodze minęła niezliczone małe farmy, przy których często stały tablice zachęcające do kupna płodów rolnych lub jajek.

Gdyby Dead Gulch było tak ładne, wcale nie czułaby potrzeby, żeby stamtąd wyjeżdżać.

W McMinnville dotarła do supermarketu, kierując się wskazówkami z telefonu. Zaparkowała samochód i zostawiła dla Willow odkręcone do połowy okno. Miasteczko było nieduże i urocze, a sądząc po samochodach przed sklepem, także zamożne. Ruby mówiła, że wzdłuż głównego traktu widziała z pół tuzina szarych restauracji.

Znalazła sok pomarańczowy, truskawki i cukier, a potem zaczęła się szwendać po sklepie. Zastanawiała się, co jeszcze przydałoby się jej w przyczepie albo czego mogliby potrzebować na przyjęcie. Przypomniawszy sobie bloga Ruby, nałożyła do torebki dojrzałych wiśni i wrzuciła do wózka kilka bananów oraz sałatę. Dla Willow wzięła paczkę smakołyków z suszonego mięsa.

Przy automacie do lodu wypełniła wózek po brzegi. Pięćdziesiąt kilo brzmiało groźnie, okazało się jednak, że to tylko dziesięć toreb, które w dodatku były sprasowane. Zapłaciła, a potem ruszyła z powrotem na parking.

I nagle stanęła jak wryta.

Przy dziupie stał mężczyzna i głąskał Willow przez okno. Był tyłem, ale rozpoznała długie szczupłe nogi i wąskie biodra. Zamarła na chodniku, czując, że robi jej się gorąco i zarazem zaczyna się trząść. Oto w dżinsach i niebieskiej koszulce typu henley stał przy jej aucie pan Los.

A gdyby tak cofnęła się do sklepu i zaczekała, aż odejdzie? Mogłaby uniknąć tej przedziwnej sytuacji.

Zaraz, ale czy nie miała właśnie z d e c y d o w a ć, jak ma wyglądać jej życie i czego od niego chce? Zaszędziało ją między łopatkami. Pchnęła wózek i stanowczym krokiem ruszyła przez parking.

Jack odwrócił się. Na widok jego ogorzałej twarzy i pełnych dobroci szarych oczu zakręciło jej się w głowie z ulgi. Poczuła, że omal nie ominęło jej coś bardzo ważnego.

– Cześć – powiedziała ledwie słyszalnym głosem.

– Cześć. Musimy przestać się spotykać w taki sposób.

– Zaczynam podejrzewać, że gdybym poleciała do Moskwy i poszła do kina, ty miałbyś miejsce obok.

Oczy mu rozbłysły.

– Nie mogłem uwierzyć, kiedy zobaczyłem Willow. Gdzie się zatrzymałaś?

– Jakies dwadzieścia minut na północ. – Wskazała na pełen wózek. – Wysłali mnie po lód.

– Pomogę ci go załadować.

Ginny trzęsącą się ręką wyciągnęła kluczyki i otworzyła samochód. Jack stanął obok i oboje bez słowa zaczęli ładować lód na tył auta. Świadomość, że jego ramię jest tuż obok, jej udo blisko jego uda, była dla Ginny nieznośna. Zapach jego skóry wypełnił jej głowę tak, że potrafiła myśleć tylko o tym, że chce go dotknąć.

Zanim jednak zdążyła zrobić coś lekkomyślnego, wrzuciła ostatnią torbę lodu i odsunęła się, sięgając po klapę nad ich głowami.

– Ginny – powiedział. Nic więcej, tylko imię.

Zamknęła oczy, czując na karku dotyk ducha. Kiedy podniósł dłoń, żeby delikatnie pogłodzić jej policzek, przycisnęła jego palce mocniej. Zapach Jacka,

silny, ostry i słodki, sprawił, że zakręciło jej się w głowie tak, że musiała się czegoś przytrzymać i tym „czymś” był właśnie on.

Gdy pochylił się, żeby ją pocałować, czekała na niego ze wszystkim – ze swoimi pragnieniami i marzeniami, z głodem, który towarzyszył jej od lat. Smakował jak miętówka, a jego usta pożerały ją z taką samą gwałtownością. Złapał jej twarz w dłonie i przechylił, zagarniając bliżej ciało. Omal nie zemdląła, kiedy ich nogi się splotły, po tym jak przyłgnęła do niego biodrem, a on wepchnął udo między jej kolana.

Uniosła dłoń i poczuła pod palcami gęstą, kędzierzawą czuprynę. Przejechał ręką po jej boku, zahaczając o pierś, i pocałunek stał się jeszcze głębszy. Wszystko w niej płonęło, chciała kochać się z nim tu i teraz, na parkingu, i dopiero to pragnienie sprawiło, że podniosła głowę, odsuwając się nieco, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Odkąd się pocałowaliśmy, myślę o tobie co chwila. To szaleństwo.

– Szaleństwo. – Potrząsnęła głową, dotykając jej szyi i szczęki. Jej ust. – Ja myślę wręcz cały czas. Bez przerwy. – Spojrzał na jej wargi. – I chcę więcej. Chcę gadać z tobą całą noc, pić margaritę, zjeść coś meksykańskiego, chcę wiedzieć, co lubiłaś, kiedy miałaś szesnaście lat. Ale dopóki nie staniemy obok siebie nadzy, nie będę w stanie robić nic innego.

Ginny poczuła, że się rozplywa. W jej ciele aż buzowało od obrazów, jakie zrodziła ta wizja. Zamknęła oczy, a on pochylił się i przyciągnął ją do siebie, całując w szyję. Ocierał się o nią, a ona o niego i raptem poczuła, że jest o krok od orgazmu. Tu i teraz, w ubraniu. Bez żadnej dodatkowej stymulacji.

– Muszę wracać – powiedziała, odrywając się od jego ciała. – Nie wiem, co robić.

Złapał ją za rękę.

– Nie uciekaj. Coś w tym jest. Sama widzisz.

– Muszę to przemyśleć. A nie mogę myśleć, kiedy jesteś obok.

– To dobry znak, prawda?

Marzyła, żeby rzucić mu się w ramiona, raz w życiu zrobić to, czego pragnęła, a nie to, co kazały jej robić zasady i przekonania. Koniec z powinnościami. Chciała szalonego, gorącego seksu z mężczyzną, który sprawił, że poczuła, że żyje. Zrobiła wdech i zdecydowała.

– Muszę zawieźć łódź na farmę, ale może przyjdiesz wieczorem na przyjęcie?

– Tak – zagrzemiał. – Tak. Gdzie i o której? – Wyciągnął telefon. – Zaznacz na mapie.

– Kolacja jest koło siódmej, ale nie musisz być punktualnie, to luźna impreza.

Gdy Ginny wpisywała nazwę farmy, Jack powiedział:

– Nigdy wcześniej nic takiego mi się nie przytrafiło.

Uśmiechnęła się do niego.

– Jak to? Nigdy w życiu nie zdarzyło ci się oszaleć z pożądania na widok piegowatej kobiety w średnim wieku?

– Nie o to chodzi – odparł. – Tylko o to dziwne uczucie. Jakbym cię znał, jakbyśmy się znali od zawsze.

– Uważaj – powiedziała, wręczając mu z powrotem telefon. – Jeszcze pomyślę, że jesteś wariatem.

– Przecież wiesz, że nie jestem.

Przez dłuższą chwilę przyglądała się jego twarzy, pozwalając sobie po prostu czuć wszystkie emocje. Czułość i wdzięczność pomieszane z podnieceniem i pragnieniem. I tak, była wśród nich nuta rozpoznania. Właściwego wyboru.

– Muszę jechać. Przyjdź na przyjęcie. Może koło szóstej?

– Poczekaj – powiedział i pocałował ją znowu, powoli i delikatnie. – Przyjdę.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Kiedy Ruby dowiedziała się, że Lavender wciąż jest w łóżku, przekradła się przez korytarz do dwóch małych sypialni. Okazało się, że drzwi do pokoju przyjaciółki były otwarte. Lavender leżała zakopana w pościeli, leciutko pochrapując. Ruby nie budziła jej, tylko postanowiła, że sama zrobi poranny obchód. Nie wiedziała, czego szuka, ale uznała, że może odkryje to po drodze.

Dwa psy oderwały się od werandy i ruszyły za nią – skundlony golden retriever i mieszanka collie z owczarkiem. Ruby tak naprawdę nie знаła się na psach, nigdy nie miała własnego. Te dwa jednak najwyraźniej nie potrzebowały żadnych wskazówek, a ona lubiła towarzystwo. Ruszyła więc przez trawę wzdłuż ogrodzenia, rozglądając się za czymś, co by nie pasowało do reszty.

Chciała być tam, gdzie powinna była znaleźć się Lavender, zobaczyć to, co mogłaby zobaczyć przyjaciółka.

Poranek był wprost idealny. Słowo „wspaniały” pojawiło się w głowie Ruby podświetlone promieniami słońca. Czyste jak okiem sięgnąć niebo rozciągało się ponad zielonymi polami, niczym na płótnach Constable’a. Ruby zaczęła podśpiewywać. Nuciała piosenki, których nauczyła się od babki i w tym krótkim okresie, gdy, między chemioterapiami, była skautką. Przywiozła też kilka z dwóch obozów dla chorych dzieciaków, które czuły się swobodnie wyłącznie we własnym towarzystwie. Psy biegły przodem i tylko czasami przystawały, żeby sprawdzić coś w trawie. To musiała być ścieżka, którą Lavender wydeptała przez lata.

Od tej strony farma wyglądała inaczej. Ruby minęła dwie wielkie szklarnie – nie tak wielkie jak przemysłowe, ale dość duże, żeby pomieścić las roślin – i przypomniała sobie, że trzy czy cztery lata temu wichura porwała jedną, a drugą poważnie zniszczyła. To był dla Lavender ogromny cios finansowy. Dziś drzwi pierwszej szklarni były otwarte i przechodząc obok, Ruby mogła zobaczyć sadzonki w różnej fazie wzrostu. Zaciekawilo ją, dlaczego rośliny posadzono w cieplarni, skoro było lato, i postanowiła przy najbliższej okazji zapytać o to Noaha.

W drugiej szklarni, z dziesiątkami zielonych i szarzielonych sadzonek, królowała lawenda. Ruby miała wielką ochotę zajrzeć do środka, ale przypomniała sobie, że miała zrobić obchód, ruszyła więc dalej.

Ścieżka wiodła pod górę wokół pól lawendy do kępy krzewów, które uznała za bez. Jak to musiało wyglądać na wiosnę! Wyobraziła sobie pęki bzów

porozstawiane wszędzie w wielkich szklanych wazonach. Może dlatego, że tyle czasu myślała o zapachu lawendy, zaczęła się zastanawiać, czy bez też można uprawiać. Pewnie tak, tylko w jakim celu? Czy olejek z bzu nadaje się do produkcji perfum? Czy tę samą aparaturę można wykorzystać do destylacji różnych roślin?

Ule aż chodziły od brzęczącego pszczelego szczęścia i Ruby obeszała je szerokim łukiem. Wciąż bała się pszczół. Jak przywyknąć do czegoś, co mogło człowieka uządlić i prawdopodobnie to właśnie by zrobiło?

Psy raptem wystrzeliły przed siebie i gwałtownie skreśliły w stronę drzew.

– Hej, chłopaki, nie uciekajcie! – zawołała za nimi Ruby.

Z lasu wyłonił się Noah z pasem na narzędzia pobrzękującym wokół bioder. Jak to możliwe, że wyglądał tak seksownie? Potrząsnęła głową. Po prostu była napalona.

– Dzień dobry – przywitał się wesoło, a dziecko zatańczyło Ruby w brzuchu, jakby chciało go pozdrowić.

Roześmiała się, dotykając krągłej wypukłości.

– Dzień dobry. Moja dziewczynka też cię pozdrawia. Obudziła się, kiedy usłyszała twój głos.

– No cóż. – Tego dnia włosy miał schowane pod bejsbolówką. – Co tu robisz?

– Lavender wciąż śpi, więc pomyślałam, że może warto zrobić obchód farmy zamiast niej. Żeby się potem nie martwiła.

Milczał przez chwilę.

– Naprawdę?

– Wiem, że to trochę głupie, bo nie mam pojęcia, czego szukać, ale wydawało mi się, że to dobry pomysł.

– Wcale nie głupie. Mogę się przyłączyć?

– Pewnie. Powiesz mi, na co zwrócić szczególną uwagę.

Gwizdnął przez ramię i psy wyskoczyły spośród drzew. W prześwicie między pniami Ruby wypatrzyła mały domek.

– Tam mieszkasz?

– Tak. Ja i moje koty, Jerycho i Babel.

– Ooo, ale biblijnie. – Zmrużyła oczy, próbując wyobrazić go sobie jako konserwatywnego chrześcijanina.

– To rodzeństwo, ocaleńcy, których właściciel zmarł. Wziąłem je ze schroniska.

Poruszona Ruby tylko pokiwała głową.

Po drodze Noah zwracał jej uwagę na różne rzeczy. Pokazał miejsce, gdzie lubiły polować lisy, strumień, w którym szopy myły wykradzione kury. Ruby nigdy wcześniej nie widziała łąki z kurczakami przeznaczonymi na ubój. Nie widziała też ogromniastych, osłoniętych dachem kup kompostu, ton gnijących różności. Ku jej zaskoczeniu nie śmierdziały, ale pewnie w upalny dzień byłyby inaczej.

Noah pokazywał jej to wszystko, przechylając głowę niczym właściciel.

– Zależy mi na tym, żeby wszystko możliwie skutecznie zabezpieczyć. Staram się naprawiać zniszczenia, usuwać martwe zwierzęta, przeszkadzające gałęzie. Sprawdzam ogrodzenie.

– Co to? – spytała Ruby, wskazując na budynek podobny do warzelni, tylko trochę większy.

– To rzeźnia – odparł rzeczowym tonem. – I tak jak w warzelni w środku jest sama stal nierdzewna. – Zatrzymał się, jedną nogę wysunął do przodu. – Zabijamy je na tyle bezboleśnie i łagodnie, na ile to możliwe. Jedna osoba je trzyma, druga podrzyna gardło.

Ruby stanęły w oczach łzy. Zamrugła i otarła je ręką.

– Przepraszam. Szanuję to, ale to niezgodne z moimi przekonaniem.

Wyciągnął rękę w stronę łąki, gdzie kury spacerowały, rozmawiając.

– Mają dobre życie i dobrą śmierć. To najlepszy sposób, w jaki mięso może trafić na stół.

– To prawda – odparła. – Ale nie dla mnie.

– Wiem.

A gdy tak szli, Ruby uświadomiła sobie, że zupełnie poważnie zastanawia się nad możliwością życia na farmie. To mogłoby być dobre życie. Niełatwe, choć pewnie łatwiejsze niż praca w kuchni. Jako matka musiała brać ten aspekt pod uwagę.

Nie miała pojęcia, skąd wziąć fundusze na kupno farmy. Ojciec bardzo wyraźnie dał jej do zrozumienia, że ma dość finansowania jej zachcianek. Wegańska kuchnia w przyczepie była jego ostatnią inwestycją.

To przykre, że jej entuzjazm dla tego pomysłu był aż tak krótkotrwały. Może faktycznie była takim narwańcem, jak twierdzili wszyscy?

Może pomysł z farmą też był postrzelony?

– Hej, nie chciałem cię smucić. Wszystko w porządku?

Przystanęła.

– Nie, to nie ty, tylko ja. Smuci mnie własna... niestałość.

Uśmiechnął się, lecz zaraz spoważniał, kiedy Ruby spojrzała na niego gniewnie.

– Przepraszam, ale to takie staromodne słowo.

– Bardzo bym chciała kupić farmę od Lavender i utrzymać ją w obecnym kształcie, ale szczerze mówiąc, nie mogłabym tego zrobić, wiedząc, że zabija się tu zwierzęta. – Potrząsnęła głową. – Nie mogłabym. Nie mam nic przeciwko jajkom, bo widzę, że kury są tutaj szczęśliwe i to nie jest takie... bo ja wiem, krwawe? Mogłabym też bez problemu produkować miód, ale...

Noah podniósł rękę.

– Mogę się wtrącić?

– Wtrącić?

– Mogłabyś zrezygnować z kur na mięso. – Wzruszył ramionami, ręce oparł na biodrach. – To chyba dość proste, nie?

– Zrezygnować? Ot tak?

– To byłaby twoja farma.

Ruby rozejrzała się dookoła, obracając się powoli. Trzymała ręce na brzuchu i czuła pod dłonią podskoki dziecka. Spojrzała w niebo, na dom ze sklepem i tłocznią, na parę kur, które dreptały ścieżką zatopione w rozmowie, na zabudowania gospodarcze i wreszcie na pola lawendy.

– Kiedy tak tutaj stoję, wiem, że mogłabym to zrobić. Widzę samą siebie, jak chodzę z dzieckiem po polach, zbieram jajka i pilnuję sklepu. Widzę dom, który mogłabym tu stworzyć. Prawdziwy dom. – Odwróciła się do Noaha ze smutkiem. – Pytanie, co ja tak naprawdę o tym wszystkim wiem?

– Tylko ty możesz na nie odpowiedzieć, Ruby.

Spodobało jej się brzmienie własnego imienia w jego ustach, leciutkie grasejowanie, dźwięczne „b”.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest moje miejsce.

– Nikt z nas tego nie wie, dopóki go nie znajdzie. Chodź – powiedział, obejmując ją po przyjacielsku ramieniem. – Zjemy śniadanie ze wszystkimi i będziemy się cieszyć cudownym dniem. Już czas.

Przepisy Ruby, Ginny, Lavender i Valerie,
święto Czterech Smakoszek
(obgadane dziś na wszystkich czterech blogach)

Menu na Święto Niebieskiego Księżyca

Lavender:

Kurczak z grilla

Grecka sałatka z organicznych warzyw z farmy

Diabelskie jajka

Ruby:

Kurze skrzydełka z seitanu

Ciasteczka w formie niebieskiego księżyca

Sałatka z arbuza, fenkuła i pomarańczy

Ginny:

Lawendowy tort z księżycami

Valerie:

Wina z doliny Willamette

Piwa z miejscowych browarów



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Lavender wzięła długą gorącą kąpiel w wannie na lwich nóżkach, z której rozciągał się widok na góry. Mocząc kości w wodzie pachnącej olejkami z farmy, zastanawiała się nad swoim wiekiem. Z jednej strony dziwne i zupełnie idiotyczne było to, że się w ogóle zestarzała, a nie sposób zaprzeczyć, że osiemdziesiąt pięć lat to starość. Z drugiej zaś ta część serca, gdzie mieszkało jej prawdziwe „ja”, wciąż była taka sama – miała może więcej niż dwadzieścia, ale mniej niż czterdzieści lat. Powiedzmy trzydzieści dwa lub trzy. Była pewna siebie, a przy tym młoda i zuchwała. To wtedy właśnie, w tym wieku, latała z Ginger po całym świecie, pakowała się w kłopoty, za dużo piła i sypiała z nieodpowiednimi mężczyznami. A czasami z odpowiednimi.

Teraz napiła się wody z lodem, żeby dzisiaj za szybko nie zaszumiało jej w głowie. W dodatku, jeśli miała być ze sobą szczerą, każdą kosteczką czuła wyczerpanie, które nie opuszczało jej od dwóch dni. Żołądek trochę się uspokoił, ale na wszelki wypadek zjadła tylko odrobinę. Prawdę mówiąc, nie sądziła, żeby to był woreczek żółciowy – to co się zdarzyło poprzedniego wieczoru, nie przypominało ataków, które miewała wcześniej.

Zachichotała, uświadomiwszy sobie, jak marudne ma myśli. Upiła jeszcze jeden łyk wody i powiedziała do siebie:

– Spójrz prawdzie w oczy, Lavender. Jesteś stara.

Po dziwacznej rozmowie z duchem zmieniła testament. To nie była trudna decyzja. Która z jej ślicznotek przejmie farmę? Nie Ginny, bo tę przepełniała żądza podróży. Nie Valerie, bo choć potrafiła obywać się bez wygod, to jednak rozpaczliwie pragnęła wykwiśniętego życia, w którym przez lata zdążyła się rozsmakować.

Ruby. Ruby kochała ziemię i miód, a Lavender przeczuwała, że z czasem pokocha je jeszcze bardziej. Problem w tym, że była trochę zanadto postrzelona. I wciąż tęskniła za tym facetem, idiotą z Nowego Jorku, który nie potrafił dostrzec tego, co miał pod nosem – dziewczyny stworzonej do macierzyństwa i życia rodzinnego.

Lavender chciała, żeby farmę przejął Noah, a Ruby by do niego dołączyła. Razem uleczyliby się z ran i stworzyli cudowną rodzinę. Im mogła zaufać.

Ale Noah nie chciał farmy, a przynajmniej tak twierdził. A Ruby była

niezdecydowana.

Znów zaczęło ją piec w brzuchu, wstała więc i wytarła do sucha długie, szczupłe ciało. Dobre ciało, które służyło jej przez bardzo długi czas. Oparła się o ścianę, żeby poczekać, aż przestanie jej się kręcić w głowie.

Zawrotom towarzyszyło poczucie bezkresu i ulgi, cień czegoś nowego i zarazem znajomego. Uśmiechnęła się, przykładając dłoń do czoła, jakby w ten sposób dotykała własnych wspomnień.

Gdy zawroty głowy minęły, poszła nago do pokoju, żeby się przygotować na przyjęcie. Odgarnęła z twarzy krótkie włosy, włożyła głupią tutu – naprawdę tylko dlatego, że dziewczętom tak się podobała i że wszystkie będą tej nocy tak idealnie wyglądały. W sumie dlaczego nie miałyby się trochę powygłupiać? W tym celu włożyła na głowę koronę, którą znalazła w sklepie wielobranżowym, i musnęła szminką pomarszczone usta. Wyszczrzyła zęby, odsuwając się od lustra, a eteryczne odbicie odpowiedziało jej uśmiechem.

– Stara a głupia – powiedziała, zadowolona.

Zadowolona ze wszystkiego.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Ginny wróciła do przyczepy koło piątej, po całym dniu spędzonym na gotowaniu z przyjaciółkami. Kroiły, śpiewały i śmiały się w małej kuchni od rana – nazwa „Cztery Smakoszki” nigdy nie miała więcej sensu. Wydawało się, że długi sen posłużył Lavender – podlewała na grillu za tylnymi drzwiami całe góry kurczaków. Ruby marynowała seitana w jakimś bosko pachnącym wywarze, żeby potem można go było tylko wrzucić na masło. Ginny, bardziej piekarka niż kucharka, robiła, co jej kazano – rwała sałatę i szpinak, siekała marchewkę i kroila ananasa do ciasteczek Ruby.

Ginny nikomu nie powiedziała, że zaprosiła Jacka. Nie była pewna, czy przyjdzie, a gdyby się nie pojawił, to byłoby takie krępujące!

Nie, pomyślała, otwierając drzwi do przyczepy i przepuszczając Willow, to nieprawda. Bardzo dobrze wiedziała, że Jack się zjawi. Ona będzie wykąpana, pięknie ubrana i umalowana. I tej nocy będą się kochać. Każda inna historia, którą by sobie opowiadała, byłaby kłamstwem, a bez względu na to, jaką decyzję podejmie, obiecała sobie jedno: nie będzie udawała.

Wzięła długi prysznic, umyła włosy i wydepilowała wszystko, co się dało, a potem z lubością wysmarowała balsamem całe ciało, nie zapominając o udach i pośladkach, klatce piersiowej i biuście. Przez chwilę przyglądała się sobie w lustrze, przykrywszy dłońmi małe, piegowate piersi. Ciekawe, czy mu się spodobają? Nie były szczególnie obwisłe, ale nie da się ukryć, że dobiegała pięćdziesiątki. A ciało traci jędrność.

Pomyślała o tym, jak słabo go zna, i zaczęła się zastanawiać, czy to nie szaleństwo. I czy przypadkiem nie jest złą kobietą.

Ale wewnętrzny barometr mówił jej, że nie. Że nie ma w tym nic złego. W każdym razie nie tej nocy. Nie wyjechała z domu po to, żeby znaleźć nowego mężczyznę, który by pokierował jej życiem. Zostawiła dom po to, żeby znaleźć siebie, i to ona chciała seksu – gorącego, dzikiego, niedbałego, żywiołowego, delikatnego, namiętnego i soczystego. Pragnęła go bez reszty.

Wysuszyła włosy i zebrała je na czubku głowy. Włożyła najładniejszą bieliznę. A potem założyła sukienkę w delikatnym odcieniu brzoskwini. Góra była tak opięta, że musiała odpowiednio ułożyć piersi – wybrzuszały się ponad krawędzią stanika w bardzo ładny, ale nie wulgarny sposób.

Na nogi wsunęła brzoskwiniowe japonki – no dobrze, formalnie rzecz biorąc były pomarańczowe. Klapki w kolorze dobranym do sukienki sprawiła wszystkim Ruby, żeby mogły dotrzeć na podest do tańca, nie raniąc sobie stóp. Lavender dostała srebrne, Val białe, Hannah czerwone, a sobie Ruby kupiła niebieskie.

Wreszcie, kiedy już miała ruszyć do drzwi, zadzwonił telefon. Patrzyła na niego przez chwilę prawie pewna, że po drugiej stronie wydarzyło się coś niedobrego, coś, o czym nie chce słyszeć. Jeśli to Christie lub Jack, odbierze. Jeśli ktoś inny, da sobie spokój.

Numer, którego nie знаła, pochodził z Kansas. Kiedy wzięła telefon do ręki, włączyła się poczta głosowa. Postanowiła, że zaczeka na sygnał, po którym można zostawić wiadomość.

Czekała.

I czekała.

I nagle uznała, że nie chce odbierać tej ani żadnej innej wiadomości. Dziś w nocy będzie sobą, człowiekiem wolnym, bez zobowiązań. Zostawiła komórkę na stole i wymknęła się z przyczepy w tutu i japonkach, z psem podążającym za nią krok w krok. Oddalając się, usłyszała cichy sygnał poczty.

Pobiegła z Willow przez pola w stronę światełek rozwieszonych wokół drewnianego podestu. Do zachodu słońca było jeszcze daleko, ale kapela zaczęła już przygrywać bluegrassowe kawałki, które tak lubiła Lavender, i radosne dźwięki same tańczyły wśród światełek i gałęzi drzew.

Ruby była pierwsza. Kołysała się radośnie w swojej nowej sukience. Wydawało się, że jej brzusek zaczął nagle rosnać z dnia na dzień. Wyglądała tak ślicznie, była tak uroczo oświetlona, że Ginny wskoczyła na podest, złapała ją od tyłu i mocno uścisnęła.

– Tak się cieszę, że wszystkie tu jesteśmy!

Ruby chwyciła ją za ręce i odchyliła się do tyłu, opierając głowę na jej ramieniu.

– Będiesz babcią dla mojego dziecka? To znaczy wiem, że w zasadzie jesteś za młoda i w ogóle...

Ginny ścisnęła ją za ramiona.

– Ależ oczywiście! Wszystkie będziemy!

Ruby obróciła się.

– Nie, chodzi mi przede wszystkim o ciebie. Żebyś była prawdziwą babcią. Moja mama jest – potrząsnęła głową – samolubna i daleko stąd. Zresztą pewnie nie obejdzie jej nawet, że mam dziecko. A ty potraktujesz to poważnie. Obie nas będziesz traktowała poważnie.

– Obiecuję – powiedziała Ginny, przykładając rękę do serca. – Obiecuję, że będę dla twojego dziecka prawdziwą babcią. Na serio i bez zbędnych pytań.

– To dobrze.

Patrząc ponad ramieniem przyjaciółki, Ginny powiedziała:

– O, do diabła, spójrz na Noaha. Hannah zemdleje z wrażenia.

Ruby odwróciła się i mocniej ścisnęła rękę Ginny.

– On jest tak głupio piękny. Ś m i e s z n i e piękny. A b s u r d a l n i e piękny! To niesprawiedliwe.

Ginny roześmiała się, patrząc na idącego przez wysoką trawę mężczyznę. Miał na sobie świeżo wyprasowaną białą koszulę z długim rękawem, czarne dżinsy, haftowaną czerwoną kamizelkę i krawat bolo, a na nogach kowbojki z tłoczonej skóry. Jej wujek miał takie same, więc wiedziała, że kosztowały majątek.

– Cudownie piękny – powiedziała.

Włosy zaczesał do tyłu, odsłaniając pięknie rzeźbioną twarz. Zwijały mu się na karku niczym u hiszpańskiego hrabiego.

– A wiesz, co mi się w nim najbardziej podoba? – spytała Ruby, pochylając się bliżej. – Że kiedy się uśmiecha, znikają wszystkie idealne kąty i ta jego doskonałość staje się normalna.

Ginny popatrzyła na przyjaciółkę.

– Co jest między wami?

Ruby zakołysała się.

– Coś. – Zaszaleściła spódnicą, przechylając głowę, by móc posłać Noahowi zalotne spojrzenie. – I nic. I coś.

Wskoczył na podest zwinnie jak kot i podszedł do nich.

– Dobry wieczór, drogie panie. Obie wyglądacie przepięknie.

– Nie powiem ci, że wyglądasz przepięknie, bo sam dobrze o tym wiesz – odparła Ruby, wciąż kołysząc się w przód i w tył. Na jej gładkich, jasnych ramionach tańczyło światło i Ginny widziała, jak wzrok Noaha przywiera do jej skóry.

– Sprawdzę, co w domu – powiedziała Ginny. – Do zobaczenia.

Stoły rozstawiono na świeżo skoszonej trawie wokół ogromnej wierzby. Ginny rozkładała talerze – istny miszmasz kolorów i stylów, od ceramiki po porcelanę – a obok serwetki i sztucce, też różnorodne. Wypożyczone stoły przykryto ślicznymi obrusami. Śladem Ginny podążała Valerie ze świeczkami w lampach sztormowych. Hannah, w swej czerwonej sukni, zapalała je długimi zapałkami.

Zaczęli napływać goście, po kilkoro naraz. Przyjeżdżali pickupami i sedanami, pojawiło się też kilka samochodów sportowych. Gości nie było wielu – Lavender szacowała, że poza ich grupą zjawi się dwadzieścia, może dwadzieścia pięć osób.

Wśród nowo przybyłych znajdowali się siostrzeńcy Lavender, których Ginny była bardzo ciekawa. Jednak gdy Lavender ich przedstawiła, z zaskoczeniem stwierdziła, że to zwykli biznesmeni w średnim wieku. Starali nie dać tego po sobie

poznać, ale byli wyraźnie znudzeni. Ich żony, zadbane mieszkanki Portland, wyglądały zdrowo i naturalnie i były ubrane z prostotą. Ta, która miała na sobie piękny biały szal, wręczyła Lavender ogromny bukiet białych róż.

– Mówiłaś, że nie chcesz żadnych prezentów – powiedziała – ale ja nie potrafiłam przyjechać z pustymi rękami.

– Są piękne – odparła Lavender i pocałowała kobietę w policzek. W teatralnym geście uniosła bukiet przed suknią. – I co, wyglądam jak baletnica?

Ginny, która nigdy nie rozstawała się z aparatem, uwieczniła ten i wiele innych momentów. Jednak gdy zaczęła się zbliżać siódma i nigdzie nie było widać Jacka, poczuła lekki niepokój.

O siódmej wszyscy zebrali się przy stołach i wzniesli do góry kieliszki z koktajlem bellini, ulubionym napojem Lavender. Ruby, trzymając w dłoni koktajl w wersji bezalkoholowej, powiedziała:

– Lavender, mam nadzieję, że moje życie będzie choć w połowie tak dobre jak twoje i że będę świecić choć w ćwierci tak jasnym blaskiem jak ty. Dziękuję, że nas tu wszystkich zaprosiłaś!

Lavender, która w swojej srebrnej sukience wyglądała bardzo elegancko, uniosła w górę kieliszek.

– To jeden z najcudowniejszych wieczorów w moim życiu. Dziękuję wszystkim za przybycie. A teraz siadajmy i jedzmy!

Ginny jeszcze raz zerknęła przez ramię, wciąż jednak nie było widać Jacka. Otrząsnęła się więc i usiadła obok Ruby. Cztery Smakoszki zajęły miejsce z jednej strony stołu, naprzeciwko siostrzeńców Lavender i ich żon. Ginny zauważyła, że Hannah zarezerwowała sobie miejsce dalej, obok Noaha, i uśmiechnęła się, gdy zadowolona dziewczynka zerknęła na Ruby, która na ten widok wzniosła kieliszek do góry.

Wieczór był cichy i ciepły. Ginny sączyła koktajl, nałożyła sobie nawet sałatki z arbuza i skubnęła odrobinę, ale czuła się przybita. Ponieważ jednak niegrzecznie byłoby dać po sobie poznać smutek, bardzo starała się śmiać z żartów przy stole. Zaciekawiona jak zawsze minionymi czasami, dała się ponieść jednej z lotniczych opowieści Lavender.

Ruby pochyliła się do przodu. Jasne włosy miała wysoko spięte, kark i ramiona zupełnie nagie, biust obfity. Żaden mężczyzna przy stole nie potrafił oderwać wzroku od widocznego ponad stanikiem rowka między młodymi piersiami.

– Przyczepa Ginny należała do twojej przyjaciółki, prawda? Tej, którą poznałaś, kiedy pracowałaś jako stewardesa.

– Tak. Do Ginger. To była moja najlepszą przyjaciółką.

– A potem, po ślubie, została artystką, prawda? To dlatego pomalowała przyczepę w taki sposób?

Ginny przyłapała się na tym, że obgryza paznokieć kciuka. Może powinna była wziąć ze sobą telefon? Jack mógł się spóźnić z całkiem uzasadnionego powodu.

Ale gdyby zabrała komórkę, musiałyby odsłuchać wiadomości z Kansas. Pewnie od Matthew, który telefonował z jakiegoś innego numeru. Albo od matki, która dzwoniła, żeby powiedzieć jej, że rujnuje sobie życie.

Czyż nie postanowiła sobie niedawno, że będzie stawiać czoło temu, co jest, zamiast uciekać przed rzeczami, których nie chciała dostrzec lub którymi nie chciała się zająć? Westchnęła. Na czym polega różnica między stawianiem czoła faktom a wyznaczeniem granic? Tak naprawdę wcale nie wiedziała.

Nie mogła dłużej wysiedzieć i zerwała się z miejsca.

– Zaraz wracam – szepnęła do Ruby.

Ruby położyła dłoń na jej rękach.

– Poczekaj. Wiesz może, czyja to ciężarówka?

I wtedy Ginny usłyszała ryk potężnych koni mechanicznych. Odwróciła się i zobaczyła, że tir Jacka skręca na parking. Miejsca postojowe zaprojektowano tak, by mogły się na nich zatrzymywać duże samochody dostawcze, jednak nie tak potężne jak ten. Tymczasem Jack poradził sobie bardzo elegancko – wjechał, zaparkował i wyskoczył z wozu.

Willow szczerknęła na powitanie i puściła się ku niemu pędem. Ginny podążyła za nią z nieco większą statecznością, zapomniała jednak swoich japonek. Szła boso przez mokrą trawę, nie spuszczać wzroku z jego szczupłej, gibkiej sylwetki. Ubrał się nieco staranniej, zawiązał krawat, włożył koszulę w błękitne prążki, którą tak lubiła, i zwykle dzinsy. W ręku trzymał kowbojski kapelusz ze wstążką przytwierdzoną turkusowymi ćwiekami.

– Przepraszam. – To była pierwsza rzecz, jaką powiedział. – Pożyczyłem samochód i złapałem gumę. Nie było czasu, żeby go naprawić, więc musiałem przyjechać ciężarówką. Trochę mi głupio, ale nie chciałem stracić...

Ostatnie kilka metrów Ginny pokonała biegiem. Stała na palcach i pocałowała Jacka.

– Tak się cieszę, że jesteś – powiedziała i wzięła go za rękę. – Chodź, poznasz moje przyjaciółki.

Przy stole już się poprzesiadano i zrobiono dla niego miejsce. Ruby wślizgnęła się na siedzenie obok Noaha. Hannah popatrzyła na nią spode łba, Noah się wyprostował. Wciąż trzymając Jacka za rękę, Ginny powiedziała:

– Przedstawiam wszystkim Jacka, mojego przyjaciela z Kolorado.

Jack uniósł rękę.

– Dzień dobry.

Pociągnął Ginny za sobą i ruszył wokół stołu, żeby przywitać się ze wszystkimi jej przyjaciółkami. Zaczął od Lavender.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, młoda damo – powiedział i wręczył jubilatce piękną białą stokrotkę. – Bardzo mi miło panią poznać.

Lavender przechyliła głowę, taksując go wzrokiem. Kamienie w jej koronie zamigotały.

– Ja też się cieszę, że mogę cię poznać, synu. Wszyscy jesteśmy wdzięczni, że zająłeś się Ginny, kiedy była chora.

– Cieszę się, że mogłem pomóc.

Zatrzymał się przed Ruby i uklonił.

– Ty musisz być Ruby ze Smaku Niebieskiego Księżyca. Wyglądasz dokładnie tak, jak sobie ciebie wyobrażałem.

– Czytałeś mojego bloga?

– Trochę. Podobał mi się post o wiśniach. – Zerknął na jej brzuch i z szelmowską miną dodał: – Zdaje się, że ktoś się tu nimi objadał.

Ruby roześmiała się i położyła ręce na brzuchu.

– Kto wie?

Usiedli przy stole. Ginny czuła trawę pod bosymi stopami, dłoń Jacka ściskającą jej palce, jego zapach z dodatkiem wody po goleniu, a może kolońskiej. Podobała jej się, miała lekko piżmową, orientalną nutę. Czuła też, że od spekulacji innych, własnej nieprawości i potajemnej rozkoszy, jaką z niej czerpała, płonęły jej uszy.

Ale gdy tak siedziała obok niego, tym, co czuła najsilniej, był głód. Pragnęła Jacka, jego towarzystwa, dźwięku jego głosu, kiedy rozmawiał z Ruby i bratankiem Lavender, który wypytywał go o ciężarówkę. Jadła arbuza, który nagle wydał jej się sto razy słodszy niż pięć minut temu, zapisując w pamięci kształt nosa Jacka i zarys jego szczęki. Przyglądała się jego paznokciom i dłoniom. Nie jadł za wiele. Wciąż brał ją pod stołem za rękę, dotykał uda, miał tiul sukienki. Drugą ręką dokarmał Willow, podsuwając jej kawałki kurczaka. Pies lojalnie siedział za jego krzesłem, broniąc go przed obcymi. Albo przed czymś innym.

Gdy kolacja dobiegła końca, Lavender wstała z kieliszkiem w dłoni. Alkohol sprawił, że nabrała kolorów, policzki jej się zaczerwieniły, a oczy na tle białych włosów wydawały się wyjątkowo błyszczące.

– Słuchajcie, za chwilę zaczniemy tańce. Jest jeszcze bardzo dużo jedzenia, więc nie wstydźcie się, tylko pałaszujcie. Mamy też mnóstwo picia, są napoje bezalkoholowe, piwo i wino. W razie potrzeby możecie przespać się na łące z kurczakami.

Między stolikami przebiegł szmer rozbawienia.

– To moje osiemdziesiąte piąte urodziny, więc uważam, że mam prawo trochę pogłędzić, a wy musicie uzbroić się w cierpliwość.

– Ależ my uwielbiamy słuchać – zawołała Ruby, podnosząc pustą szklanę.

– Dziękuję, skarbie. Poznajcie wszyscy Ruby Zarlingo, autorkę bardzo

sensownego bloga Smak Niebieskiego Księżyca. Jest weganą, ale wybaczymy jej to, bo fantastycznie pisze i jest fenomenalną kucharką.

Ruby wstała, żeby się lekko ukłonić, promieniejąc niczym baletnica na szkatułce z biżuterią.

– Co mi przypomina, że dzisiejszy dzień jest wyjątkowy i magiczny – powiedziała Lavender już poważniejszym tonem. – Dzisiejsza noc to noc niebieskiego księżyca, czas, kiedy człowiek zyskuje drugą szansę, nadzieję na nowy początek.

Ginny spojrzała na Jacka, który w tej samej chwili zerknął na nią. Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy, dotykając się pod stołem dłońmi. Między ich rękami przeskakiwały błękitne iskierki, które mknęły w świat niczym małe świetliki.

– Pomyślcie o tym, przyjaciele. Co byście zrobili, gdybyście mogli zrobić wszystko? Dokąd byście się wybrali? Jak wyglądałoby wasz życie? – W swojej srebrnej sukience Lavender błyszczała niczym bogini, górskie kryształy w jej koronie iskrzyły. – Jest o czym myśleć, prawda?

Żona spojrzała na męża. Matka zerknęła na syna. Hannah z wielką uwagą pochyliła się do przodu. Obok niej Valerie słuchała, nie zdradzając żadnych uczuć.

– Przez osiemdziesiąt pięć lat żyłam życiem różnych osób. Wiem, że niektórzy z was w ciągu roku czy dwóch doświadczyli tyle, ile inni przez całe życie. Weźmy choćby Noaha, mojego administratora. Był w wojsku na czterech misjach, a takie rzeczy zostawiają w człowieku ślad. Widzicie, że ta ziemia dała mu nowe życie.

Ginny spojrzała na Noaha, zastanawiając się, czy ta uwaga mu nie przeszkadza, ale on tylko pokiwał głową.

– Popatrzcie na Valerie i Hannah. Nareszcie mają szansę wyrwać się i stać się tym, kim chcą. Podróżują po kraju w poszukiwaniu nowego życia, z dala od tragedii, która je spotkała.

Valerie wzięła córkę za rękę.

– Byłam poszukiwaczką przygód i sekretarką, księgową, farmerką i perfumiarką. Czasami po prostu jest tak, że nowe życie człowieka wzywa. I jeśli tego wyzwania nie usłucha, czekają go same kłopoty. Ale jeśli zdobędzie się na odwagę i posłucha śpiewu syren – Lavender uśmiechnęła się do Ginny – znajdzie coś innego, nowego.

Ginny cieszyła się, że nie dodała nic więcej. Słowa Lavender przypomniały jej o wewnętrznym konflikcie, jaki budziła w niej jej własna sytuacja. Poczula rękę Jacka na ramieniu, jego palce gładziły ją po karku. Zadrżała leciutko.

– Ta farma wezwała mnie w chwili, kiedy większość ludzi myśli o emeryturze. A choć to tragedia sprawiła, że na nią wróciłam, jestem wdzięczna... – Głos uwiązł jej w gardle i pochyliła głowę, jeden z jej siostrzeńców otarł oczy. – Glenowi, mojemu drogiemu, bardzo drogiemu bratankowi, który miał marzenie i potrafił

sprawić, że to miejsce rozkwitło po raz pierwszy od trzydziestu lat.

Okazało się, że to właśnie tu, na tej farmie, czeka mnie prawdziwa praca. Przywiozłam ze sobą je wszystkie: sekretarkę, księgową i stewardesę, specjalistkę od kontaktów z ludźmi. Stworzyłam coś pięknego, z czego jestem bardzo dumna, i nie chcę patrzeć, jak to coś znika w paszczy wielkiej korporacji. Korporacja nie zajmie się tą ziemią w odpowiedni sposób. – Spojrzała na siostrzeńców, nie mrugnawszy okiem. – Mam nadzieję, że zobaczą farmę w rękach ludzi, którzy ją kochają.

Siostrzeńcy potulnie wymienili spojrzenia. Ginny zauważyła jednak, że Ruby spogląda na nich z gniewem. Czyżby zamierzali sprzedać ziemię?

– I to tyle. Przygotowałam dla wszystkich drobne upominki, znajdziecie je w koszu obok werandy. Niech wam przypominają o pracy, którą sami macie do zrobienia, i o dobrym życiu, które was czeka. Nie zapomnijcie wziąć ich po drodze do domu. A teraz chodźmy trochę potańczyć!

Usiadła, a kapela zaczęła grać. Siostrzeńcy i ich żony wymówili się od tańców i szybko pożegnali.

Ruby pobiegła za nimi, w zapadającym zmierzchu jej spódnica szeleściła i lśniła.

– Masz ochotę zatańczyć? – spytał Jack.

– Nie jestem w tym zbyt dobra – odparła Ginny. – Ale spróbuję.

– To nic trudnego. Chodź.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Ruby biegła niezgrabnie, chwiejąc się z powodu brzucha.

– Panowie! – zawołała. – Bardzo proszę, zaczekajcie chwilę.

Cała czwórka odwróciła się niczym mała armia. Ruby wyciągnęła rękę.

– Spotkaliśmy się już, może pamiętacie, w McMinnville w tym tygodniu. – Zabrakło jej tchu i dysząc, dotknęła piersi. Mężczyźni podążyli wzrokiem za jej ręką, co wcale nie było jej zamiarem, wyprostowała się jednak i niezawstydzona spojrzała w oczy jednemu z nich. – Nie wątpię, że Lavender przeżyje nas wszystkich, martwi się jednak o farmę.

– To było nie na miejscu, przez nią wyszliśmy na głupków. Przyjechaliśmy na jej urodziny, a ona tak się zachowuje?

– Ale nie chcecie przejść farmy, prawda?

– Jesteśmy ludźmi z miasta – powiedział drugi, potrząsając przepraszająco głową. – Nie znamy się na rolnictwie. Zaprzepaścilibyśmy wszystko w jednej chwili.

– Rozumiem. Tylko po co sprzedawać farmę temu facetowi? Temu, którego tak nie chce Lavender. Dlaczego nie znajdziecie innego kupca, kogoś, kto uszanuje to, co tu zbudowała?

– Na przykład ciebie? – spytała jedna z żon, obrzucając Ruby taksującym spojrzeniem. – Ile masz lat? Dwadzieścia dwa?

– Dwadzieścia sześć – poprawiła ją Ruby. – Ale tak, mnie. Nie wiem, czy uda mi się zdobyć odpowiednią sumę, ale chcę spróbować. I zamierzam powiedzieć o tym Lavender. Zaprosiła nas tutaj, bo szuka następczyni. A ja, odkąd się tu zjawiłam, mam wrażenie, że to moje miejsce.

– Mącisz naszej ciotce w głowie? – spytał pierwszy siostrzeniec.

– Wcale nie mączę. Nie jestem taką osobą. – Potrząsnęła głową, cofając się o krok. – Pomyślcie tylko o tym, co powiedziała, dobrze? O tym, czego właściwie chcecie. Zastanówcie się.

Żona pierwszego siostrzeńca wzięła go za rękę i odwrócili się. Bez słowa ruszyli pod górę, choć zatrzymali się przy koszyku, żeby wziąć prezenty. Ruby uśmiechnęła się.

Drugi siostrzeniec powiedział:

– Wade Markum proponuje nam bardzo dużą sumę.

Ruby poczuła, jakby ktoś położył jej na sercu ciężki kamień.

– W każdym razie proszę się nad tym zastanowić. Chcę tu zostać i pracować z Lavender, uczyć się biznesu. Mamy czas.

Ku jej zaskoczeniu drugi siostrzeniec wyciągnął rękę.

– Dziękuję, Ruby. Widać, że ją kochasz.

– To prawda.

Patrzyła, jak odchodzą, a potem obejrzała się na podest, gdzie wśród skrzących się światełek tańczyli goście. Byli między nimi Ginny i ten facet, który patrzył na nią w taki sposób, że Ruby zaczęło drapać w gardle. Lavender też tańczyła z jakimś mężczyzną z miasta. W pewnej chwili pomachała ręką przed twarzą, przeprosiła i podeszła do stołu, żeby pociągnąć solidny łyk wody. Usiadła, oparła dłonie na kolanach i z uśmiechem przyglądała się scenie.

– Cześć, Ruby.

Obróciła się na pięcie, słysząc znajomy głos, i przez długą chwilę po prostu gapiała się na równie znajomą twarz. Wyglądał mizernie, sprawiał wrażenie wychudzonego, ale może to dlatego, że ostatnio widywała tylko krzepkiego Noaha.

– Liam! – wykrzyknęła. – Co ty tu robisz?

– Nie mogłem przestać myśleć o tym, co powiedziałaś. O dziecku. – Podeszedł bliżej. Ruby cofnęła się o krok. – Powiedziałem Minnie, że muszę porozmawiać z tobą osobiście. Wyleciałem rano. Jezu, to był długi lot!

– Skąd wiedziałeś, gdzie jestem? Ach, z bloga.

Pokiwał głową. Z rękami w kieszeniach popatrzył ponad jej ramieniem na tańczących, na stoły uroczo rozrzucone po trawie.

– Urodziny przyjaciółki, tak?

– Tak. – Ruby wypatrzyła Noaha stojącego na uboczu, kołyszącą się obok niego Hannah i nagle poczuła, że nie ma ochoty rozmawiać z Liamem. – Wiesz, to nie jest dobry moment. Będziemy musieli przełożyć tę rozmowę na jutro.

– Muszę wracać rano. A przyleciałem z daleka, żeby z tobą pogadać, Ruby.

Jak to możliwe, że nigdy nie zauważyła, jaki potrafi być irytujący?

– Nie możesz tak po prostu pojawiać się w moim życiu i znikać. To tak nie działa. – Płynnym ruchem dłoni wskazała na swój brzuch i sukienkę, a potem zaczęła się odwracać.

– Nie rób tego, Ruby. – Złapał ją za ramię. – Mam za sobą dziesięć godzin lotu i dwie cholerne przesiadki, bo nie udało mi się złapać żadnego bezpośredniego połączenia.

– Zabierz rękę!

Zamarł i puścił jej ramię. Cofnął się dwa kroki, unosząc dłonie w powietrze.

– Daj spokój. To też moje dziecko. Tyle jesteś mi w i n n a .

– Nie. Nie sądzę, żebym cokolwiek była ci winna. – Odwróciła się i powiedziała

przez ramię. – Jeśli będziesz miał ochotę porozmawiać, przyjdź jutro.

Odchodząc, czuła na karku jego spojrzenie. Nie zatrzymała się jednak, tylko szła coraz dalej i dalej, z każdym krokiem coraz lżejsza.

Gdy dotarła do stołu, przy którym siedziała Lavender, cała się trzęsła.

– Liam tu jest. – Tylko tyle udało się jej wykrztusić.

– Gdzie?

Ruby obejrzała się za siebie. Stał na wzgórzu zamyślony, z rękami w kieszeniach za dużych sztruksów, które zawsze uważała za pretensjonalne. Z tej odległości wydawał się bardzo zwykły i mały.

– Tam – powiedziała.

– Ha – odparła Lavender. – Czego chce?

– Porozmawiać. Ale ja nie mam ochoty.

Lavender spojrzała na nią przeciągle.

– Równie dobrze mogłabyś wreszcie z tym skończyć.

– Nie – odparła Ruby z wielką stanowczością. – To nie on wybierze czas i miejsce. Tylko ja.

Podskoczyła i wmieszała się w tłum, żeby potańczyć. Kiedy później spojrzała w stronę wzgórza, Liama już nie było.

Zrobiły sobie razem zdjęcie. Wszystkie Cztery Smakoszki z Hannah w jednym rzędzie. Na bosaka, w odświętnych sukienkach, ze sznurem światełek za plecami. Noah obfotografował je z każdej strony, żeby miały potem z czego wybierać. Ginny wybiegała wciąż z szeregu, żeby sprawdzić, jak wyglądają. Z boku jej mężczyzna pozerął ją wzrokiem, a ona w swojej brzoskwiniowej sukni z kryształowymi paciorkami, które migąły pod tiulem, subtelnie odbijając światło, wyglądała jak gwiazda. Ciemne włosy początkowo miała upięte na czubku głowy, z czasem jednak kosmyki zaczęły wymykać się i opadać na piegowate plecy. Wyglądała tak seksownie i beztrosko, że zdumiona Ruby pomyślała: Jak to możliwe, żeby się tak zmienić w ciągu tygodnia?

Ale przecież wystarczyło spojrzeć na nią samą! Zamiast płakać i wymiotować, czuła się szczęśliwa, a jej brzusek rósł z każdym dniem. Poza tym z a m i e r z a ł a zostać na farmie, żeby się wszystkiego nauczyć. W ten sposób będzie przynajmniej mogła pomóc ją kupić, gdy przyjdzie pora. A jeśli nie, może uda jej się znaleźć tu jakieś inne zajęcie.

Kiedy Noah skończył robić zdjęcia, podszedł do niej.

– Teraz moja kolej na taniec.

– Dobra. Marzyłam, żebyś mnie poprosił. Wyglądasz jak Antonio Banderas, tylko wyższy i młodszy.

– I przystojniejszy.

– To się rozumie samo przez się.

Tańczyli swobodnie two-steps, którego Noah prowadził z wprawą. Ruby ziewnęła i pozwoliła, by jej ciało się o niego oparło. Miała wrażenie, że rozpływa się w muzyce, w gwiazdzistej nocy, w tańcu.

– Myślę, że moje dziecko cię lubi – powiedziała sennie. – Kopie mnie, kiedy słyszy twój głos.

– Cieszę się. – Kołysał się z nią przez chwilę, nucąc melodię, do której tańczyli, prosto w jej włosy. – Ruby, mogę cię o coś zapytać? Co widziałaś, kiedy się pocałowaliśmy?

– To nie do końca było widzenie. – Położyła mu głowę na ramieniu. Była wykończona. – Po prostu czasami coś wyczuwam. Coś wokół ludzi. Energię albo wspomnienia. Może duchy.

– Hm. – Zadudniło mu w klatce piersiowej. Po dłuższej chwili zapytał: – To co widziałaś czy wyczułaś wokół mnie? Coś złego?

– Nie – odparła, próbując nie zgubić wątku. – Raczej... smutek... Chyba. – Znowu ziewnęła. – Musisz zrzucić z piersi jakiś ciężar.

Zwolnili, prawie wcale się nie poruszali, ale Ruby tego nie zauważyła. Jak dziecko, senne i bezpieczne, zasnęła na jego ramieniu. W przebłysku świadomości poczuła, że bierze ją na ręce i znosi z podestu. Wiedziała, że chce mu coś powiedzieć, ale senność była tak przemożna, że zabrała to coś ze sobą na drugą stronę. Daleko, w bezpieczne miejsce.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Gdy goście zaczęli się po kolei wykruszać, Jack powiedział do Ginny:

– Chyba czas się zbierać.

Wiedziała, co powinna odpowiedzieć. „Odprowadzę cię do samochodu. Dzięki, że wpadłeś”. Podobało się jej, że nie pozwalał sobie na zbyt dużą poufałość, pominąwszy sposób, w jaki tańczyli. Rozgrzewali się nawzajem, ocierali o siebie. Wytwarzali tyle elektryczności, że sami jedni mogli rozświetlić całą noc.

– W porządku – odparła.

Sięgnęła przez stół po buty, ucałowała Lavender na dobranoc i trzymając Jacka za rękę, poszła z nim w stronę parkingu.

– Jaka cudowna noc – powiedział. – Dziękuję, że mnie zaprosiłaś.

– Nie ma za co. Kiedy wyruszasz?

– Jutro z samego rana. Muszę załadować samochód i o dziewiątej być już w drodze.

Poczuła w piersi ukłucie żalu.

– Jak szybko!

– Wiem. Niestety, tak wygląda moje życie. Ale musimy się znów zobaczyć, Ginny. Nie mogę... To coś... poważnego. – Ścisnął ją za rękę. – Naprawdę.

– Tak – odparła. Uśmiechnęła się i pociągnęła go w drugą stronę, w kierunku swojej przyczepy, rozkoszując się ogniem, który powoli między nimi narastał, oczekiwaniem na to, na co oboje mieli nadzieję, o czym myśleli cały wieczór. – A możesz zostać? Chociaż na trochę.

– Aż do świtu.

Powiodła go do drzwi swojego domu, jedyne drzwi, jakie stworzyła tylko dla siebie, przestrzeni, którą miała na wyłączność. W środku było dość ciasno, ale nie na tyle, żeby nie udało im się zerwać z siebie ubrania i znaleźć drogi do łóżka. Jack położył Ginny delikatnie na plecach, a gdy chciała go do siebie przyciągnąć, powiedział:

– Poczekaj.

I zaczął ją całować wszędzie, po ramionach i udach, brzuchu i dolnym łuku piersi, w zagłębieniu łokci i sprężystym trójkącie włosów między nogami. A potem dotknął jej, pocałował w usta, a ona powiedziała:

– Proszę. Chodź, wejdź do środka!

Usłyszał, wypełnił ją – mój Boże! – całą żywym, gorącym ciałem. Złapała go za pośladki, przytrzymała nieruchomo w swym wnętrzu. Chciała, żeby się nie ruszał, żeby naprawdę mogła go czuć przez długą, długą chwilę. Jego, jak ją wypełnia, przytrzymuje, ssie kark i usta. Jego spocony brzuch na jej brzuchu, nogi niewygodnie zgięte z braku miejsca.

– Teraz – wyszeptał, a ona powiedziała:

– Tak, teraz, tak – i eksplodowała. Ekspłodowało całe jej ciało, każde miejsce, którego dotknęły jego wargi. Ekspłodowały jej usta i język przyssane do jego skóry, jej palce zatopione w jego ciele. On też wyszeptał: „Tak” i „Tak”, i „Ginny, Ginny, Ginny”.

A gdy skończyli, cali spoceni i ciężko dyszący, Ginny się roześmiała. Otoczyła go ciasno nogami i zaczęła całować twarz, ramiona i ręce.

– Dziękuję.

– Mamy kłopoty, siostrzyczko – powiedział i pochylił się nad nią. – Jestem starym człowiekiem i pragnę cię znowu.

– To dobrze – wyszeptała. – Dobrze.

To była jedna z najlepszych nocy w jej życiu. Zdrzemnęli się, wypili mnóstwo zimnej wody i o trzeciej rano ogołocili lodówkę. Ser i krakersy zabrali ze sobą do łóżka, gdzie narobili bałaganu.

Ale najpiękniejsza była czwarta, kiedy Jack powiedział, że za godzinę musi jechać. Odsłonił zasłony, żeby móc patrzeć w niebo, zwinęli się w kłębek na stercie poduszek w rozkopanej pościeli i gadali.

Gadali i gadali. I to nie o niczym, tylko o wszystkim. Ginny powiedziała mu, że nie wraca do domu, ale będzie tęskniła za swoimi różami. On zwierzył się jej, że myśli o rzuceniu pracy kierowcy, nie wie jednak, co miałyby robić dalej, zwłaszcza że już przekroczył pięćdziesiątkę. Spytała, czy może zrobić mu zdjęcie, a kiedy się zgodził, sfotografowała jego białe stopy, podbródek i oczy spoglądające na nią przez soczewki aparatu.

Ciała mieli zmęczone, zaspokojone.

– Poczuję to jutro – powiedziała.

Zachichotał, obrysowując jej kciuka palcem wskazującym. Policzek przytulił do jej włosów.

– Tak, ja też.

– Martwię się, że całą noc nie spałeś, a musisz jechać. To niebezpieczne.

– Będę miał jeszcze godzinkę albo dwie, zanim załaduję samochód, a potem będę robił trzydziestominutowe przerwy co dwie godziny. Czasami kiepsko sypiam, zwłaszcza w trasie. Nauczyłem się sobie z tym radzić.

Pokiwiała głową.

– Skoro nie wracasz do domu, to co zamierzasz zrobić?

– Nie mam pojęcia, Jack. Najbledszego. – Przechyliła głowę do tyłu, żeby spojrzeć mu w oczy. – To takie ekscytujące.

– Brzmi wspaniale. – Delikatnie obrysował jej kark i piersi. – Zobaczymy się znowu?

– Tak – wyszeptała. – Coś wymyślimy. – Zamilkła. – Ale chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał. Wciąż szukam siebie i nie powinnam się teraz zbyt angażować.

– Rozumiem. – Dotknął jej ust. – Jestem cierpliwy. I wierzę, że wszystko ułoży się tak, jak trzeba. Przecież my w ogóle nie powinniśmy się byli spotkać, a co dopiero wciąż na siebie wpadać. – Uśmiechnął się. – Los jest po mojej stronie.

Ginny poczuła w gardle piekące łzy. Przytuliła twarz do delikatnie owłosionej piersi, wdychając jego zapach.

– Będę za tobą tęskniła.

– Ja też. Nie masz pojęcia jak. – Pogładził ją po włosach. – Pewnego dnia to zrozumiemy. Ale na razie ty musisz się rozeznąć w swoich sprawach, a ja w swoich.

Bez słowa pokiwała głową. Chciała, żeby czas się zatrzymał, a oni mogli trwać tak razem przez tysiące lat.

Jack jednak musiał już wstawać. Obszedł Willow i znalazł swoje ubranie. Ginny patrzyła, jak zakłada bieliznę, potem dżinsy, koszulę i skarpetki. Usiadł na ławie, żeby włożyć buty. Zawiązał krawat, a ona zaczęła się nagle zastanawiać, czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczy.

– Jack, cokolwiek się wydarzy, chcę, żebyś wiedział, że to było dla mnie ważne, dobrze? Ogromnie ważne.

Skończył wkładać drugiego buta i podszedł do niej.

– Cokolwiek się wydarzy – powiedział, pochylając się, żeby ją pocałować – kocham cię, Ginny Smith. Obudziłaś mój świat.

Uśmiechnęła się.

– Bądź ostrożny.

– Będę.

Zmusiła się, żeby zostać na miejscu. Zawołała Willow, by dotrzymała jej towarzystwa w zimnym łóżku. Każda komórka musowała w niej z przesyty, jakby Jack napełnił jej ciało jakimś miodowym eliksirem. Roześmiała się na tę myśl, zakryła usta i włożyła dłoń między nogi. Pewnie tak właśnie było.

Pewnie tak.

Wyczerpana zasnęła jak dziecko w czarodziejskim lesie. Ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszała, był zanikający dźwięk silnika ciężarówki wyjeżdżającej z parkingu.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Tuż przed świtem Lavender ocknęła się nagle całkowicie rozbudzona. Zasnęła w ubraniu, zbyt zmęczona, żeby zdjąć choćby buty.

Teraz wstała z dziwnie jasnym i sprawnym umysłem. Wyrzała przez okno i zobaczyła, że w ogrodzie wciąż jeszcze są ludzie. Rozmawiali i śmiali się, siedząc pod wielką wierzbą. Z tej odległości nie potrafiła rozpoznać twarzy, słyszała za to muzykę, jedną ze swych ulubionych piosenek, *Wang Wang Blues*. Razem z Ginger nauczyły się swego czasu swinga i uwielbiały przy każdej okazji popisywać się swoimi umiejętnościami.

Muzyka przyciągała ją, wyszła więc na dwór. Stado psów ganiało się wokół farmy, uciekając przed ludźmi, którzy próbowali je złapać. Jeden podbiegł do Lavender, a ona radośnie zawołała:

– Rome!

Odbiegł jednak za szybko, żeby mogła mieć pewność, że to jej ukochany przyjaciel.

Zakręciło jej się w głowie i przystanęła zdezorientowana. Czyżby śniła? Podeszła do niej kobieta z długimi rudymi włosami i roześmianymi oczami.

– Chodź, usiądź – powiedziała Ginger. – Wyglądasz blade.

– Nic mi nie jest – stwierdziła z uporem Lavender. – Czuję się dużo lepiej niż ostatnio.

– Mimo to usiądź.

I dopiero kiedy w końcu się zgodziła, zorientowała się, jak bardzo brakowało jej tchu. Czowała się fatalnie, nieszczęsna niestrawność wróciła, żeby zrujnować jej piękny sen.

Cicho od tyłu zakradł się do niej pies, tak jak zwykł był robić Rome, i przyniósł mokrą piłeczkę do zabawy.

– To ty – powiedziała, gwałtownie łapiąc powietrze, gdy ryczący pociąg uderzył w jej pierś.

– To potrwa tylko chwilę – uspokoiła ją Ginger i wzięła za rękę.

I rzeczywiście trwało tylko chwilę, długą chwilę, podczas której Lavender przewędrowała całe życie wzdłuż i wszerz. Zobaczyła siebie w wieku czterech, dziewięciu i dwudziestu dwóch lat. Zobaczyła silną kobietę w średnim wieku przemierzającą świat. Zobaczyła, jak przybita po śmierci bratanka wraca na farmę.

Zobaczyła swe życie, każdą jego bezcenną chwilę, opromienione miłością i wtedy ból ją opuścił.

– Już czas – powiedziała Ginger. – Czekaliśmy.

Psy nagle zaczęły skakać z radości, a Rome polizał jej palce. Lavender podrapała go w bok i pozwoliła, żeby pocałował ją w twarz. Szła razem z Ginger i swoimi psami. Zauważyła matkę i Reinte, która zbierała kwiaty. A na koniec spostrzegła Glena, który umarł za młodo, za szybko, łamiąc wszystkim serce. Wyglądał bardzo zdrowo i krzepko.

– Dobra robota – powiedział i przytulił ją do siebie.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Ginny obudził telefon, który brzęczał wściekle, kręcąc się w kółko. Zdążyła się przespać może z godzinę i teraz zastanawiała się, kto dzwoni tak wcześnie rano. Z radosną świadomością powodu, dla którego była naga, podeszła cicho do stołu, gdzie wczoraj zostawiła komórkę. Dzwonił nieznany numer z Kansas, uznała jednak, że powinna odebrać. Gotując się na rozmowę z poirytowanym Matthew, wcisnęła przycisk.

– Halo?

– Dzięki Bogu – powiedziała matka. – Czy ty kiedykolwiek odbierasz telefony?

– Wczoraj wieczorem były urodziny mojej przyjaciółki, mamó. – Potarła twarz. – Nie biorę ze sobą komórki wszędzie. Co się stało?

– Weź głęboki oddech, skarbie, bo mam złe wieści.

Ginny ścisnęło się serce.

– Co takiego?

– Twój mąż. Żyje, ale miał wypadek samochodowy. Jest w szpitalu.

– Jak to?! – Ściągnęła koc z łóżka i owinęła się nim, żeby się osłonić przed chłodem. – Kiedy? Jak to się stało? Co mu jest?

– Wczoraj wieczorem – odparła Ula. – Wjechał w słup telefoniczny i połamał nogi. Ma też wstrząs mózgu, choć mówią, że niezbyt poważny. Powrót do zdrowia zajmie mu trochę czasu. Musisz zaraz wracać do domu.

Ginny czuła, jak rośnie w niej sprzeciw, wręcz trwoga. Czy jeśli wróci, nie pochwycą jej w swe sidła?

– Ja nie... Mamó, przyjechałam tu samochodem. Podróż powrotna zajmie kilka dni.

– Ginny Smith, jesteś jego ż o n ą. Masz o b o w i ą z k i. Skorzystaj z tych swoich pieniędzy, kup bilet i przyleć jeszcze dziś.

– A co z Willow? – Panika i opór urosły tak, że miała wrażenie, że zaraz ją zadławiają. – Co z moim dzieciem i przyczepą? Nie mogę tego tak tu zostawić.

– Twoje przyjaciółki na pewno się wszystkim zajmą. Jeśli będzie trzeba, możesz przylecieć po rzeczy za miesiąc czy dwa albo wynająć kogoś, kto je przywiezie.

Nie, nie, nie, nie, nie.

– Mamó, my się rozwodzimy. Nie mogę tego zrobić.

– Ginny May Smith, jeśli się tu dziś nie zjawisz, obiecuję, że przyjadę po ciebie

i przywlokę cię do domu za włosy. To twój obowiązek.

I choć Ginny nie potrafiła powiedzieć dlaczego, wiedziała, że będzie musiała polecić, że w pewnym sensie jest to kara za zdradę. Płuca ścisnęły jej się tak, że niemal zemdląca z braku tlenu.

– Dobrze. Zadzwoń, żeby powiedzieć co i jak.

Willow obudziła się, podeszła i usiadła przed panią, spoglądając na nią z sympatią. Ginny rozłączyła się, łzy strumieniami spływały jej po twarzy. Otworzyła laptopa.

Nigdy w życiu nie leciała samolotem, ale często wyszukiwała połączenia dla Christie, gdy córka była w college'u. Znalazła lot do Wichita o drugiej. Z zamierającym sercem zapłaciła za bilet i spakowała kilka rzeczy.

A potem uklękła obok psa i uścisnęła go z całych sił, płacząc, jakby szła na długie lata do więzienia.

Wzięła prysznic, ubrała się i poszła do domku, żeby zrobić sobie kawę i zjeść śniadanie, które czekało na wszystkich. Willow dreptała obok, szczęśliwie nieświadoma, że zostanie bez pani. Na myśl o tym po policzkach Ginny znów popłynęły łzy.

Tak blisko. Była tak blisko!

W kuchni odmierzyła kawę i nalała wodę do ekspresu, z oczami wciąż pełnymi łez. Ciało przypominało jej, w jaki sposób spędziła noc. Usiadła przy stole, żeby napisać liścik do wszystkich. Musiała mieć pewność, że ktoś zajmie się Willow, dopóki nie wróci. Uznała, że może pojechać dżipem do Portland i zostawić go na parking przy lotnisku.

Czuła się wyczerpana, jedna godzina snu to stanowczo za mało.

Zadzwoiła do Matthew, ale nikt nie odebrał. Nic dziwnego. Jeśli miał wypadek, komórka została pewnie w samochodzie. Zwykle podłączał ją do gniazdka zapalniczki, bo bał się, że się rozładuje. Ginny rozłączyła się i zadzwoniła do córki.

Christie odebrała po drugim dzwonku.

– Mamo! Tak się martwiłam, że się nie odzywasz! Dostałaś moje wiadomości?

Ginny potrząsnęła głową.

– Jeszcze nie sprawdzałam poczty. Ale już wiem o tacie. Przyjedziesz do domu?

– Nie mogę. Informuj mnie na bieżąco, proszę. Wczoraj wieczorem rozmawiałam z babcią, wygląda na to, że to było coś naprawdę paskudnego. Siedział w samochodzie dwie godziny, zanim ktoś go znalazł.

– O tym nie słyszałam. Gdzie to się, u diabła, wydarzyło?

– Przy County Line Road.

– Będę w domu dziś wieczorem – powiedziała Ginny, żeby uspokoić córkę. Głos miała matowy, znużony. – Dam ci znać.

– Sprawiasz wrażenie przygnębionej.

– To skomplikowane. – Nie chciała obarczać córki swoimi problemami. –
Zadzwoń do ciebie, dobrze?

– Dobrze. Kocham cię. Bezpiecznej podróży.

Kiedy kawa się parzyła, Ginny poszła do kampera Ruby i zapukała, ale nikt nie odpowiedział. Skierowała więc kroki do przyczepy Valerie i tam zastukała do drzwi. Val otworzyła jej w płaszczu kąpielowym, włosy miała potargane.

– Co się stało?

– Muszę wracać do domu. Mój mąż miał wypadek i muszę do niego polecieć. Zostawiam przyczepę i Willow, ale najpierw chciałam znaleźć Ruby.

– Och, kochanie. – Val zeszła na dół i objęła Ginny z całych sił. – Tak bym chciała, żebyś nie musiała tam wracać. Niech to szlag!

Ginny przytuliła ją mocno, próbując powstrzymać łzy.

– Zadzwoń, dobrze?

– Wrócisz do nas, prawda?

– Zostawiam psa. Muszę wrócić.

– Mądre posunięcie – wyszeptała Valerie. – Nie daj się im. Po prostu bądź sobą.

– Będę. Trzymaj się.

– Ty też. – Val cofnęła się i długimi ciemnymi palcami otarła łzy z policzków. –
Przepraszam, ale będzie mi ciebie brakowało.

Ginny trzymała oczy szeroko otwarte.

– Nie mów tak, bo znowu się rozpłaczę.

– Sprawdź, czy Ruby nie ma w domku Noaha. Widziałam, jak się wczoraj ze sobą bratali.

Na tę wieść Ginny się uśmiechnęła.

– I bardzo dobrze. Dla obojga.

– I dla ciebie – powiedziała Val, ściskając ją za rękę.

Ginny potrząsnęła głową.

– Nie mogę teraz o tym mówić.

– W porządku. Jedź, zrób, co trzeba, i wracaj do nas.

Gdy jednak Ginny z powrotem weszła do kuchni, zastała tam Ruby, która jadła tosta z masłem orzechowym.

– Spędziłaś noc z Noahem? – wyszeptała. – Byłam u ciebie i...

– Owszem – odparła Ruby – ale to nie tak. Zasnęłam, jak tańczyliśmy, i Noah zaniósł mnie do siebie do domu. Słodkie, prawda? – Ugryzła tosta. – Wiedziałaś, że Liam był tu wczoraj? Przyleciał z Nowego Jorku, żeby porozmawiać o dziecku!

– Nie żartuj! – Ginny naląła sobie kawy, której tak rozpaczliwie potrzebowała, i wsypała dwie hojne łyżeczki cukru. – Co mu powiedziałaś?

– Żeby przyszedł dzisiaj. Powiedział, że nie może, więc myślę, że to tyle. –

Spojrzała na tosta. – Ale zdaje się, że w końcu przestał mnie obchodzić.

Ginny napiła się kawy – supergorącej, supermocnej i supersłodkiej. Przed oczami mignął jej obraz Jacka. Odegnęła to wspomnienie.

– Naprawdę?

– Wiesz, wciąż miałam nadzieję, że jakimś cudem znów się zejdziemy, ale kiedy zobaczyłam go wczoraj wieczorem, nie poczułam nic. Zupełnie nic. – Potrząsnęła głową. – Dziwne.

– Ale to dobrze, prawda?

– Cudownie! – Uśmiechnęła się. – A ty i Jack? Widziałam, jak zaciągnęłaś go wczoraj do przyczepy, zepsuta kobieto.

– Nie mogę teraz o tym mówić – powiedziała Ginny drugi raz w ciągu dziesięciu minut i nieproszony strumień gorących łez popłynął jej po twarzy. – Muszę wracać do domu.

Ruby zerwała się na równe nogi.

– Och nie, co się stało?! Był dla ciebie niedobry? Nie udało się wam? Co się stało? – Objęła Ginny ramieniem. – Powiedz mi.

Ginny ukryła twarz w wolnej ręce.

– Nie chodzi o Jacka – odparła. – Tylko o Matthew. Miał wypadek i muszę lecieć do domu. Jest w szpitalu, ma połamane nogi. – Zalała ją fala żalu, słonego i bezkresnego jak ocean. – Nie chcę.

– Ginny, wcale nie musisz wracać. Możesz zostać. Stawić opór.

Ginny potrząsnęła głową, wciąż płacząc. Łzy skapywały jej między palcami na podłogę.

– Muszę. – Otarła twarz rękawem. – Zajmiesz się Willow? Postaram się wrócić w ciągu kilku dni.

– Oczywiście. Nie musisz się spieszyć. Może mogłabym spać w twojej przyczepie? U mnie jest trochę ciasno. Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli przyjdzie też Ninja?

– Ależ skąd.

– W porządku. To co możemy zrobić, żeby ci pomóc? Chcesz, żebym cię odwiozła na lotnisko?

– A mogłabyś?

– Oczywiście. Zabierzemy Noaha. Zna okolicę. No i nie będziesz musiała płacić za parking dla dżipa.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

To Ruby w końcu znalazła Lavender siedzącą na trawie pod wierzbą. Gdy wrócili z lotniska, na które odwieźli Ginny, a Lavender wciąż nie zjawiała się na śniadaniu, Ruby poszła sprawdzić, co się z nią dzieje. Łóżko było puste.

– Nie ma jej tam – powiedziała, wróciwszy do kuchni. – Może poszła zrobić obchód.

– Byłam w kuchni przez cały czas – powiedziała Valerie, potrząsając głową. – Musiałaby zacząć latać.

– A gdzie są psy? – spytał Noah. – Zwykle kręcą się w pobliżu Lavender.

– Dziś rano widziałam tylko Willow.

Noah wyglądał blado.

– Chodźmy się rozejrzeć.

Sam poszedł do warzelni i na pola lawendy, Ruby zaś sprawdziła sklep i ogród warzywny. I właśnie gdy wracała, idąc pod górę, wypatrzyła Lavender. W srebrnej sukience z przyjęcia opierała się o pień wierzby. Spoglądała w stronę doliny. Psy otoczyły ją półkolem z lewej strony, część spała. Jeden leżał wsparty o jej nogę.

– Och, dzięki Bogu – powiedziała Ruby. – Tak się...

Raptem zrozumiała, że Lavender siedzi zbyt nieruchomo, żeby mogła spać. Ukłękła obok starej kobiety i dotknęła jej policzka. Był zimny.

– Och, Lavender, będzie mi ciebie brakowało.

Ale to była dobra śmierć. Najlepsza.

Ruszyła na poszukiwania Noaha, żeby razem zdecydowali, co dalej.



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Ginny bała się, że będzie się denerwować podczas lotu, ale zasnęła pięć minut po starcie i spała, dopóki nie wylądowali w Dallas. Przeraziła ją także konieczność przesiadki, zwłaszcza gdy okazało się, że lotnisko jest olbrzymie i zatłoczone. Nigdy w życiu nie była wśród tak wielu r o d z a j ó w ludzi, w dodatku tak różnorodnie ubranych i mówiących tyloma językami, że nie potrafiłaby ich nawet zliczyć.

Siedziała przy swojej bramie i jedząc precla, przyglądała się rzece podróżnych. Zastanawiała się, dokąd poleciałaby sama, gdyby mogła wybrać następny lot. Do Madrytu? Do Hongkongu? Do Nowego Jorku?

W drugim samolocie też próbowała się zdrzemnąć, ale choć ze względu na późną porę na pokładzie przyciemniono światła i pozostali pasażerowie spali, ona nie potrafiła odegnać przygnębienia, które narastało w niej z każdym kilometrem. Podróż do Oregonu zajęła jej prawie cały tydzień i teraz wszystko to zniknęło w ciągu jednego dnia. Wymazane.

Już w Wichita, gdy jechali do wyjścia, Ginny odsłuchiwała pocztę głosową. Czekają na nią trzy wiadomości. Pierwsza była od Christie, która chciała wiedzieć, czy dotarła na miejsce. Drugą zostawiła Ruby: „Cześć, Ginny. Mam dla ciebie wiadomość. Proszę, oddzwoni, gdy będziesz mogła. To ważne”.

Trzecia pochodziła od Jacka: „Pewnie nie powinienem dzwonić, ale chciałem ci powiedzieć, że cały dzień wspominałem ostatnią noc. Nie mogę przestać o tobie myśleć i mam nadzieję, że z wzajemnością. Teraz już kładę się spać, ale jeśli chcesz, zadzwonię do ciebie jutro. Bardzo chciałbym usłyszeć twój głos”.

Odtworzyła tę wiadomość trzy razy z twarzą zwróconą do okna, żeby ukryć łzy. Nie potrafiła przestać płakać! Miała wrażenie, jakby za każdą łzę, której nie uroniła przez lata, dziś leciały jej z oczu trzy. Jakby coś w niej stopniało.

Lokalne lotnisko było małe. Gdy tylko wyszła z samolotu, natychmiast poczuła zapach Kansas – wilgotne powietrze i pot, obietnica burzy i zakurzone pola pszenicy.

Matka czekała na nią pod świetlówkami. Na jej widok Ginny poczuła, że ma ochotę odwrócić się i uciec. Twarz matki była surowa, długie siwiejące włosy ściągnęła w kucyk.

– Hej, mamó – powiedziała. – Dzięki, że po mnie wyjechałaś.

Ula przytuliła ją z niespodziewaną serdecznością.

– Tak się cieszę, że jesteś, skarbie. Zamartwiałam się o ciebie dzień i noc.

– Niepotrzebnie. Świetnie się bawiłam, naprawdę. – Poprawiła plecak i ruszyła z matką do drzwi. – Jak Matthew?

– Nie najlepiej, Ginny. On się naprawdę tym wszystkim gryzie.

– Nie miałam na myśli rozwodu.

– A jak myślisz, dlaczego rozbił samochód?

Ginny zrobiła wdech.

– Nie wiem. Może to był wypadek:

– Dlatego, że był zrozpaczony! On cię kocha! Zawsze był wspaniałym ojcem rodziny i dobrym, życzliwym mężem. Chyba postradałaś rozum, jeśli chcesz go opuścić.

– Przestań – powiedziała Ginny i zatrzymała się na środku korytarza. – Przyleciałam, żeby zobaczyć, czy mogę się na coś przydać. Staram się zachowywać przyzwoicie, ale nie chcę, żebyś na mnie naskakiwała.

Ula wzruszyła ramionami.

– W porządku.

Całą drogę do szpitala milczały. Przez otwarte okna w samochodzie wpadał wiatr, przynosząc woń krowich placzków i stojącej wody. Ginny starała się nie myśleć o chłodnym powietrzu wysoko w górach w Kolorado ani o delikatnej fioletowej krasie doliny Columbii. Łzy po raz kolejny napłynęły jej do oczu, tym razem jednak udało się je powstrzymać.

To koniec.

Przygoda dobiegła końca. Wróciła do domu, do Kansas, gdzie pewnie, choć jeszcze nie wie jak, zostanie uwięziona.

– Wejź do środka, skarbie – powiedziała Ula na korytarzu przed salą, w której leżał Matthew.

Ginny się zawahała. W sali grał telewizor, niebieskawe światło opływało ciało na łóżku. Przez krótką chwilę czuła, że nie może oddychać, że jeśli przejdzie przez próg, zostanie rozgnieciona na miazgę.

Zmusiła się jednak i weszła.

– Cześć, Matthew – powiedziała cicho. – Jak się masz?

Szyję miał w kołnierzu ortopedycznym, twarz posiniaczoną. Jedną rękę włożono mu w fioletowy gips, nogi jednak były przykryte. Spod kołdry wystawały tylko stopy, unieruchomione w jakimś ustrojstwie.

– Ginny? – zachrypiał. – To ty? – Z zapuchniętych ust wydobywały się niewyraźne słowa.

– Tak, to ja.

Stała obok łóżka i wzięła go za zdrową rękę.

– Dziękuję, że wróciłaś, dziecino. Byłem taki głupi, taki głupi. – Z kącików oczu popłynęły mu łzy, westchnienie było tak rozdzierające, że omal znowu nie zaczęła płakać. – Miałem wstrząs mózgu, mówili ci?

Gardło jej się ścisnęło. Chciała powiedzieć: „To nie tak, jak myślisz. Wcale nie wróciłam”, ale to wydało jej się niepotrzebnym okrucieństwem. Za dzień, dwa powie mu prawdę.

– Tak. I jeszcze złamana ręka, co?

W pokoju było za ciepło, za wilgotno. Czowała, jak się kurczy, blaknie, rozpływa. Zakręciło jej się w głowie.

Zrozumiała jednak, że nie ma w sobie dość bezwzględności, żeby rozwiać jego nadzieje, kiedy tak leżał połamany w łóżku, spragniony miłości i otuchy. Matczyna cząstka w niej położyła dłoń na jego głowie.

– Śpij. Nie musimy teraz niczego omawiać.

Matka odwiozła ją do Dead Gulch – dwadzieścia minut jazdy – i dopiero gdy znalazły się na podjeździe, Ginny zdała sobie sprawę, że nie będzie miała jak się stąd wydostać. Jej dżip został na farmie, a Matthew swoje auto skasował.

– Czy ktoś może mi pożyczyć samochód?

– Wpadnę po ciebie rano, skarbie – powiedziała. – O ósmej nie będzie za wcześnie?

– Nie. Ale nie musisz mnie wszędzie wozić. Wezmę samochód z wypożyczalni, jeśli nikt nie ma wolnego. Szczerze mówiąc, tak bym wolała.

– Nie bądź głupia. Nie ma sensu wydawać pieniędzy, skoro masz rodzinę, która się tobą zajmie.

Ginny była zbyt wyczerpana, żeby się kłócić.

– Dobrze, czyli widzimy się rano.

– Możemy też podjechać do spożywczego. Wiesz, jacy są mężczyźni. Nigdy nie robią zakupów. Pewnie odkąd wyjechałaś, Matthew żywił się pizzą i chińszczyzną.

– Nie trzeba – powiedziała.

Wysiadła i zanim matka zaczęła nalegać, trzasnęła drzwiczkami. Pomachała Uli, idąc do garażu, a potem wystukała kod. Drzwi szcęknęły i gdy tylko zaczęły się podnosić, Ginny zanurkowała, nie czekając, aż otworzą się do końca.

W domu śmierdziało resztkami jedzenia i kanalizacją, a gdy Ginny włączyła światło, zobaczyła, że Matthew nie zmywał, prawdopodobnie odkąd wyjechała. Część naczyń piętrzyła się w zlewie, reszta była beztrząsanie porzucana na blacie. Matka miała rację. Ginny zauważyła pudełka po pizzy, niektóre z zaschniętymi kawałkami ciasta, i białe opakowania z miejscowej chińskiej restauracji. Te przynajmniej opłukał, ale ich nie wyrzucił.

Zdjęła plecak, postawiła na podłodze i beznamiętnie wyciągnęła z kredensu

czarny worek na śmieci. Sześć minut zajęło jej pozbieranie pudełek, załadowanie zmywarki i wytarcie blatu, trzydzieści sekund wyniesienie worka do kontenera stojącego przy domu. Całe sprzątanie trwało może siedem minut, Matthew jednak wolał żyć w brudzie. I rozczulać się nad sobą.

Gdy skończyła, zrobiła sobie jajecznicę z dwóch jaj – myśląc z tęsknotą o świeżych jajach z farmy – z plasterkiem sera amerykańskiego. Umyła się i poszła do łóżka, próbując odegnać potworne przygnębienie, które uczepiło się jej jak rzep psiego ogona. Po nieprzespanej nocy była wyczerpana. Tęskniła za psem, przyjaciółkami i swoim małym przytulnym airstreamem. Tęskniła za Ruby, Lavender, Valerie i wiecznie nadąsaną Hannah.

Nawet nie zajrzała do ich wspólnej sypialni. Łóżko pewnie było nieposłane, a w łazience wałały się sterty ubrań i ręczników. Poszła do sypialni dla gości, rozebrała się i wpełzła pod kołdrę. W wychłodzonym domu panowała martwa cisza.

Zasypiając, przypomniała sobie wiadomość od Ruby, za daleko jednak zabrnęła już w sen, żeby oddzwonić. Zrobi to rano.

SMAK NIEBIESKIEGO KSIĘŻYCA

blog o pysznym jedzeniu...

Urodziny Lavender

<zdjęcia>

Oto kilka zdjęć ze Święta Niebieskiego Księżycy na Miodowej Farmie Lavender. Możecie zobaczyć na nich Cztery Smakoszki razem z Hannah, córką Valerie (w czerwonej sukience). Ta w niebieskim to ja i tak, przyjaciele, mieliście rację. Jestem w ciąży. Hura! Czyż to nie wspaniała niespodzianka? Dziecko ma się urodzić w październiku.

Napojem wieczoru był bellini, ulubiony koktajl Włochów, który robi się z prosecco i brzoskwiń. Oczywiście ze względu na mój stan nie pijam alkoholu, ale napój, który powstał na bazie oryginalnego koktajlu, okazał się cudownie orzeźwiający i bardzo odświeżający. Jeśli chcecie, możecie go wypróbować.

Tradycyjny koktajl bellini

2 szklanki prosecco
2 szklanki przetartych białych brzoskwiń
kilka kropli grenadyny

Całość zblendujcie i serwujcie w kieliszkach do szampana.

Bezalkoholowa wersja Ruby

2 szklanki ostrego, bezalkoholowego cydru tłoczonego na zimno
2 szklanki świeżych brzoskwiń
1 litr wody San Pellegrino lub innej włoskiej, gazowanej

Wszystkie składniki zblendujcie i podawajcie z lodem.



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Noah zaniósł Lavender do domu i położył ją delikatnie na kanapie, a potem wezwał odpowiednich ludzi. Lavender – zawsze rozsądna – już dawno przekazała mu stosowne instrukcje. Miał numery do zakładu pogrzebowego, który wybrała, do prawnika i krewnych, których należało zawiadomić. Ruby sprzątała w kuchni, gdy spostrzegła Hannah wślizgującą się przez tylne drzwi do salonu.

Odwróciła się po cichu, wypatrując znaków załamania, przytłaczającego smutku lub hysterii. Hannah wciąż nosiła w sobie wiele niezagojonych ran.

Dziś jednak kręcone włosy miała rozpuszczone, założyła też zwykłe dzinsy i koszulkę. Przez długą chwilę stała obok Lavender ze spuszczoną głową, a potem obejrzała się przez ramię.

– Myślisz, że mogę jej dotknąć?

Ruby pokiwała głową i wytarła ręce w ścierkę do naczyń. Podeszła bliżej, udając, że zbiera rzeczy ze stołu. Obecna, ale nie nachalnie.

Hannah uklękła i dotknęła twarzy Lavender tak jak wcześniej Ruby, wygładzając zmarszczki na jej policzku. Uniosła rękę zmarłej.

– Dlaczego nie jest sztywna? Myślałam, że po śmierci ludzie sztywnieją.

– Pewnie nie upłynęło jeszcze dość czasu.

– Ale jest zimna. – Dziewczynka przyglądała się badawczo czemuś na szyi Lavender. – I cała krew odpłynęła jej z twarzy.

Ruby przełknęła łzy. Żałowała, że Lavender nie może usłyszeć tego klinicznego opisu. Na pewno uznałaby go za wielce zabawny.

– Czego szukasz? – spytała łagodnie.

Zakłopotana Hannah zmarszczyła brwi.

– Nie wiem. To po prostu... Dokąd odchodzi żywa część człowieka? Nie rozumiem. Coś żyje, oddycha, a potem przestaje. Czym jest to coś, co jest żywe? – Odwróciła się, żeby popatrzeć na Ruby. Po jej twarzy spływały łzy, ale ona zdawała się tego nie dostrzegać. – Te dzieciaki, które znałaś i które umarły... Myślałaś o tym kiedyś?

Ruby pokiwała głową. Nie była w stanie mówić.

– Nie wiem.

Hannah wzięła Lavender za rękę.

– Moje siostry zniknęły. Nic po nich nie zostało. Samolot uderzył w ziemię i one

po prostu się rozpadły. – Zniecierpliwionym gestem otarła łzy z policzka. – Nienawidzę o tym myśleć. Jak strasznie musiały się bać, kiedy spadały. Nie wiem, dlaczego mnie tam nie było. Nie wiem, co mnie trzyma przy życiu. Po prostu nie wiem.

Ruby chwyciła dziewczynkę i przyciągnęła do siebie. Hannah rozszlochała się na dobre, jej ramionami wstrząsał gwałtowny dreszcz. Przytuliła się tak mocno, że Ruby z trudem łapała powietrze. Ramię nasiąkało jej łzami, które dziewczynka powstrzymywała od tysiąca dni.

– Tak strasznie za nimi tęsknię – zaszlochała.

– Wiem – wyszeptła Ruby, gładząc Hannah po włosach. Pomyślała o swojej matce, która odeszła i nigdy nie wróciła. – Wiem.

Przyjechała karetka i zabrała ciało Lavender, a reszta spędziła cały dzień na sprzątaniu. Przygotowali wszystko na czuwanie. Noah powiedział, że zostawi podest i światełka, żeby drugie przyjęcie było hałaśliwe i żywe. Ruby uznała, że to słuszna decyzja.

Wieczorem usiadła w kuchni z Valerie i Hannah. Dopijały resztki koktajlu i jadły ciasto.

– Nie chciałaby, żebyśmy byli smutni – powiedziała Ruby. – Ale ja i tak jestem.

– Ja też – przyznała Valerie. Położyła dłoń na ręce Hannah. – A ty jak się masz, skarbie?

Twarz Hannah nosiła ślady spazmatycznych łez.

– W porządku. Jestem tylko trochę zmęczona. – Wstała i włożyła talerz do zlewu. – Pójdę poczytać. – Przykucnęła, żeby pogłaskać Willow po łbie. – Czy ona może iść ze mną? I razem ze mną spać?

– Na pewno nie będzie miała nic przeciwko. Ja mam swoją kotkę.

– Dzięki. – Hannah zagwizdała jak profesjonalistka. – Chodź, Willow.

Wyszły razem. Ruby dziobała w cięcie.

– Chciałabym, żeby Ginny oddzwoniła. To takie okropne, że nie wie, co się stało.

– Boisz się, że zostanie w domu?

Ta możliwość nie przyszła Ruby do głowy.

– Tak bardzo się zmieniła!

– Wiem. Ale żeby się stamtąd wydostać, potrzeba wiele charakteru. Drugi raz może być trudno.

– Mam jej psa. I przyczepę. Wróci do nas.

– Mam nadzieję.

Do kuchni z powrotem weszła Hannah z Willow u boku.

– Ruby? Na zewnątrz jest jakiś facet. Chce z tobą mówić.

– Facet? – Ruby zmarszczyła brwi. – Już idę.

– To ja, Ruby – powiedział Liam, stając w drzwiach. – Możemy pogadać?

– Myślałam, że wróciłeś do Nowego Jorku.

Stał w progu i wyglądał na skrepowanego.

– Uznałem, że powinniśmy porozmawiać. Przeleciałem taki kawał. Myślę, że to ważne. – Włosy miał szesane mocno na bok, włożył też swoje hipsterskie okulary w czarnych oprawkach. Dżinsowe spodnie wisały mu nisko na biodrach.

W tak ubranym mężczyźnie Ruby nie widziała Liama, którego znała, zlitowała się jednak nad nim.

– Wejź do środka i usiądź. – Wskazała gestem salon. Usiadł na kanapie, ona zaś na fotelu. Bujany fotel Lavender, pomyślała, gładząc dłońmi poręczę. – O czym chcesz rozmawiać?

– No cóż. – Splótł palce. – Chyba o dziecku. Na przykład o tym, jak chcesz to wszystko zorganizować. O podziale opieki i tego typu sprawach. Wracasz do Nowego Jorku?

– Nie. Chcę zamieszkać tutaj. – O ile będzie mogła. Bo jeśli nie, trzeba będzie wymyślić, co dalej. – Będziesz musiał przyjeżdżać na farmę. Przez pierwszy rok albo i dłużej zamierzam karmić piersią, a odciąganie pokarmu byłoby niezdrowe dla dziecka i dla mnie.

– Nie zostawię Nowego Jorku. Mam tam pracę. I życie.

– A także żonę. Czy raczej przyszłą żonę.

– Tak. Zupełnie oszalała. Jest przekonana, że znowu się zejdziemy. Przez ciebie czuje się niepewnie.

Oczy Ruby się zwęziły.

– Może nie trzeba było się zadawać z cudzym chłopakiem? Bo wniosek, że noga mu się powinie drugi raz, nasuwa się sam. – A gdy to mówiła, zdała sobie sprawę, że to prawda. Liam znowu to robi, w jednej chwili zakocha się do szaleństwa w kolejnej kobiecie. – Bez obrazy, ale to nie mój problem.

– Wiem, masz rację. – Zdjął okulary i przetarł twarz. – Czuję się taki rozdarty. Z jednej strony to dziecko wydaje się darem, ale z drugiej nie jestem pewien jego sensu. Pojawiło się tak późno, już po tym, jak ze sobą zerwaliśmy.

Ruby przewróciła oczami.

– Liam, w tym nie ma żadnego sensu. Daj spokój, to zbyt męczące. Czasami rzeczy dzieją się ot tak. Nie są znakami rzeczywistości pozaziemskiej, sygnałami od Boga czy czymś w tym rodzaju. Życie po prostu toczy się swoim rytmem.

– Dlaczego powiedziałaś mi o dziecku?

Zrobiła wdech.

– Bo tak należało. Bo Lavender przekonała mnie, że powinnam. – Potarła dłonią udo. – Pewnie też dlatego, że miałam nadzieję, że przejrysz na oczy i zobaczysz,

ile nas łączyło. Ale teraz wiem, że wcale tego nie chcę.

– Jesteś po prostu na mnie wściekła. – Pochylił się z powagą. – Może powinniśmy spróbować? Może powinniśmy do siebie wrócić? Choćby ze względu na dziecko, jeśli nie z innego powodu.

Dwa miesiące temu – do diabła, t y d z i e ń temu! – Ruby wybuchnęłyby płaczem, rzuciła się Liamowi na szyję, pozwoliła, żeby ją objął i zapewnił, że wszystko będzie dobrze. Nawet jeśli w głębi duszy wiedziała, że to nieprawda.

– Nie – odparła. – Nie chcę.

– Jest ktoś inny?

Twarz Noaha zamajaczyła jej przed oczami, ale to nie on był przyczyną tego, że wszystko się zmieniło.

– Tak – powiedziała. – Dziecko potrzebuje stałej obecności matki i ojca. Ty nigdy nie będziesz na miejscu. Moja córka jest dla mnie najważniejsza.

Twarz mu stwardniała.

– Chcesz iść na noże?

– Nie. Chcę, żebyśmy byli fair. Wobec siebie i wobec naszego dziecka. A to znaczy, że moje potrzeby są tak samo ważne jak twoje.

– Chcę być częścią jej życia.

– To dobrze. Znajdźmy taki sposób, żeby to się udało. Może przez okres karmienia piersią będziesz tu regularnie przylatywał. A gdy podrośnie, ona będzie przylatywała do ciebie.

– To za mało, Ruby. Tobie by to wystarczyło?

Uśmiechnęła się.

– Nie. – Poglądziła brzuch, a potem zakołysała się do przodu i wyciągnęła rękę wnętrzem dłoni do góry. Przez dłuższą chwilę Liam trwał w bezruchu.

Wreszcie skapitulował, położył dłoń na jej ręce i uścisnął.

– Poczuliśmy dziecko, Liam, i jeśli o mnie chodzi, bez względu na to, co się potem stało, to dziecko zostało poczęte z miłości.

– Jeśli o mnie chodzi, też – wyszeptał.

– Mamy czas, żeby dogadać szczegóły, ale jeśli oboje będziemy wobec siebie życzliwi, powinno się udać.

Pokiwał głową.

– Możemy spróbować.

Wiele godzin później, kiedy już wszystkie telefony zostały wykonane, wszyscy krewni zawiadomieni, a Liam wyekspediowany, Ruby nakarmiła kotkę i upewniła się, że Willow, która została pod opieką Valerie i Hannah, niczego nie brakuje. A potem narzuciła sweter na ramiona i poszła do domku Noaha.

Domek był niewielki, raptem cztery pomieszczenia na planie kwadratu

i frontowa weranda, która wychodziła na łąki i góry w oddali. Noah siedział na stopniach. Potężny biały kot wyciągnął mu się na nogach, zakrywając je od kolan aż po pas, ogon zwisał Noahowi z uda.

– Cześć – powiedział Noah, gdy podeszła bliżej. – Udało ci się dogadać z ojcem dziecka?

Obdarzyła go półuśmiechem.

– Zdaje się, że nim właśnie jest, prawda?

Roześmiała się.

– Tak, na razie wszystko gra. Podejrzewam, że za jakiś czas mogą się pojawić zgrzyty, ale póki co jest w porządku. Wysłałam go do domu.

– To dobrze.

Wykręciła przed sobą ręce, przytrzymała i rozciągnęła. Rozluźniła w ten sposób mięśnie ramion i karku.

– Jak się miewasz?

Pochylił głowę. Widziała, że próbuje powstrzymać łzy.

– Dobrze.

– Och, skarbie. – Podskoczyła i otoczyła go ramionami. – Nie walcz, niech płyną. Jestem obok. Mnie to nie przeszkadza.

– Będzie mi jej brakowało jak ręki – powiedział ochrypłym głosem. – Wiem, że przyszła pora i że to była dobra śmierć, ale to Lavender sprawiła, że pozbierałem się do kupy. Wystarczyło, że mogłem tu być, że byłem akceptowany. – Łzy kapnęły na kota, który poruszył ogonem. – Chyba nie zdawałem sobie sprawy, jaka to była zmiana. Aż do dzisiaj.

– Była wyjątkowa, bez dwóch zdań. – Okrężnymi ruchami gładziła go po plecach, a on głaskał kota na kolanach. – Opowiedz, jak się tutaj zjawiłeś.

– Miałem dość śmierci, zniszczenia, krwi i hałasu – odparł. – Chciałem, żeby dla odmiany coś pod moim okiem zaczęło rosnąć.

Opowiedział Ruby o swoich rozmowach z Lavender, o tym, jak przy pierwszym spotkaniu przyglądała mu się z dezaprobatą. Opowiadał historię za historią, aż ochrypl, a Ruby słuchała. Kiedy skończył, ona opowiedziała mu, jak Lavender wytropiła ją w Internecie i jak śmiała się, gdy odkryła, że Ruby ma dopiero dwadzieścia jeden lat. A choć to wydawało się niemożliwe, zostały przyjaciółkami i zaczęły wymieniać maile, dając początek Czterem Smakoszkom. Opowiedziała mu o tym, jak po śmierci męża i córek Valerie Lavender zebrała prawie dziesięć tysięcy dolarów, żeby Val mogła sobie wszystko poukładać.

Wygadawszy się, siedzieli na schodach w milczeniu. W trawie cykały świerszcze, a w oddali muczały krowy. Świeciły gwiazdy i wciąż jasny, biały księżyc.

– Skończyłam z nim – powiedziała Ruby.

– Naprawdę?

– Na sto procent. – Oparła się o jego ramię, jej ręka dotykała jego boku. Żadnych duchów. Tylko oni dwoje i dziecko tańczące w jej wnętrzu.

Noah wziął ją za rękę.

– To dobrze – powiedział zadowolony.

Wiele spraw trzeba było załatwić – ustalić, co zrobić z farmą i jak ją zatrzymać, obgadać wszystkie drobiazgi składające się na codzienne życie – Ruby jednak czuła niezachwianą pewność, że wszystko i tak jakoś się ułoży.

CIASTO MARZEŃ

<zdjęcie ciasta na wystawie w cukierni>

Drodzy przyjaciele, jestem w Dead Gulch. Sprawy rodzinne, nie ma powodu do zmartwień. O wszystkim opowiem później.



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Ginny obudziła się o świcie. Przez okno wpadały pierwsze promienie brzasku, gorące i jasne, niepodobne do tych, które widywała ostatnio. Przez długą chwilę patrzyła na stopy, próbując się zorientować, gdzie jest. Dopiero maszyna do szycia, stary Singer należący do jej babki, przywołała ją do rzeczywistości. Poczuła ciężar spadający jej na pierś.

Była w domu, z powrotem w Dead Gulch.

Wstała i wzięła szybki prysznic, żeby zmyć wczorajszą podróż i resztki nocy spędzonej z Jackiem. Tego ranka nie płakała. Nie zostały jej już żadne łzy, tylko twarde jądro straty.

Parząc kawę – ekspres stał pusty przez cały czas jej nieobecności – wybrała numer Ruby. Od razu włączyła się poczta głosowa, więc zostawiła wiadomość.

– Cześć, Ruby. Przepraszam, właśnie zdałam sobie sprawę, że u was jest właściwie środek nocy. Zadzwoń, jak wstaniesz. Jestem taka przygnębiona, że mam wrażenie, jakby mi ktoś włożył na nogi betonowe buty.

Zaniosła kawę na taras – wymyślną konstrukcję, którą Matthew wznosił kilka lat wcześniej. Były tu nowoczesny grill i miejsca do siedzenia dla dwudziestu osób, mimo że nigdy nie wydawali przyjęć ani nie zapraszali tak licznie rodziny. Matthew nie korzystał z grilla, choć miał zamiar zapoznać się z instrukcją obsługi.

Któregoś dnia.

Usiadła na jednym z siedzeń, patrząc na pola kukurydzy i soi oraz silos widoczny w oddali. Wieża ciśnień przycupnęła na horyzoncie niczym latający talerz z kiepskiego filmu, litery wyblakły tak, że widać było tylko E D G CH. Gdy była nastolatką, dzieciaki podpuszczały się nawzajem i wdrapywały na szczyt, Ginny jednak nigdy się na to nie odważyła. Bała się wysokości, bała się, że będzie miała kłopoty, bała się, że...

Bała się. Bała się prowadzić, bo mogłaby wpaść na pijanego kierowcę i umrzeć straszną, krwawą śmiercią. Bała się wdrapać na wieżę ciśnień, bo mogłaby spaść. Bała się złożyć papiery do college’u w innym stanie, bo mogłaby się nie dostać albo mogłoby jej zabraknąć pieniędzy. Bała się wyglądać głupio. Bała się zerwać z chłopakiem, który ją nudził, bo mogłoby się zdarzyć, że nikt już jej nie polubi. Bała się zająć w ciąży. Bała się...

Bała się, bała się, bała się.

Bała się stawić czoło matce. Bała się żyć gdzie indziej.

To samo uczucie ogarniało ją teraz: strach, że tu utknie, że będzie tracić litery, aż wszystkie się zatrą i nic z niej nie zostanie.

Jedyną odtrutką było działanie. Zamiast siedzieć i pozwolić, by zjadał ją strach, powinna wziąć aparat, wybrać się do centrum i zrobić kilka zdjęć. Przydadzą się na bloga.

Z jej domu do mikroskopijnego centrum Dead Gulch był rzut beretem. Już o tak wczesnej porze przed Morning Glory Café parkowało mnóstwo samochodów. Ginny stanęła po drugiej stronie ulicy i sfotografowała całą scenę: wielkie półciężarówki, które służyły ranczerom i farmerom do transportu wody, siana i innych rzeczy; wesołe okno Morning Glory z rysunkiem winorośli oraz niebieskich, różowych i białych kwiatów; rosnące przy ulicy drzewa, które dawały głęboki cień podczas gorącego lata, a teraz były porośnięte błyszczącymi liśćmi; psa pasterskiego rasy Australian Cattle, który najwyraźniej tego dnia miał wolne i biegł chodnikiem zajęty własnymi sprawami; dwóch mężczyzn w kowbojskich kapeluszach i dżinsach rozmawiających przed drogerią. Spoglądając przez wizjer aparatu, Ginny patrzyła na świat obiektywnie. Ulica w małej wiejskiej miejscinie – spokojna, pożyteczna, wręcz piękna.

Dlaczego nigdy wcześniej nie umiała tego dostrzec?

Z osłoną na obiektyw w kieszeni przeszła na drugą stronę i zrobiła panoramiczne zdjęcie chodnika – ze sklepami z jednej i ulicą z drugiej strony – a potem weszła do restauracji na śniadanie.

Usiadła przy kontuarze na obrotowym stołku z aparatem w dłoni.

– Cześć, Ginny – pozdrowił ją Bill Miles, który siedział trzy siedzenia dalej. – Słyszałem, że twój mąż miał wypadek. Jak się czuje?

– Wyjdzie z tego. Jedziemy dziś z mamą do niego do Wichita.

– Chłopak ma kiepską passę z tym zamknięciem firmy i w ogóle.

Ginny zamrugnęła. Powiodła palcem po chropowatej obudowie obiektywu, czekając, aż dotrą do niej nowiny. Pokiwała głową, żeby Bill mógł mówić dalej.

– Proszę, proszę, kogo do nas przyniosło – powiedziała kelnerka, przeciągając samogłoski. Tina pracowała w Morning Glory od szkoły średniej, czyli pewnie od czasu, kiedy Ginny złożyła papiery do college'u. Drobna, ruchliwa, pozbawiona bioder kobieta na patykowatych nogach, z czarnymi smugami konturówki wokół jasnoniebieskich oczu. Ufarbowane na czarno włosy opadały jej na plecy w formie nieśmiałego loku. – Chcesz kawy, skarbie?

– Tak, poproszę.

Ginny sfotografowała moment nalewania przez Tinę kawy, plamę światła na kontuarze i słońce wpadające z ulicy. Ludzie przyglądali się jej z ciekawością, ale nie sprawiali wrażenia, jakby im to przeszkadzało.

– Poproszę naleśniki z bekonem. I sok pomidorowy z cytryną.
– Już się robi. A jak tam twój mąż? Po twoim wyjeździe czasami tu wpadał, żeby coś zjeść.

– Właśnie o tym rozmawialiśmy – powiedziała Ginny, wsypując śmietankę i cukier do kubka. – Walnął w śłup, ale myślę, że z tego wyjdzie.

– Przykra sprawa z tą jego firmą. Na szczęście to mądry facet. Spadnie na cztery łapy.

– To nie takie proste – powiedział Bill, potrząsając głową – kiedy mężczyzna dobiega pięćdziesiątki. Poza tym co tutaj zostało? Będzie musiał dojeżdżać do Wichita. A może nawet do Kansas City.

Kolejna porcja cementu wokół kostek. Matthew stracił pracę. Skasował samochód.

Czy to znaczy, że będzie musiała zostać? Co człowiek jest winien drugiej osobie? Gdzie są granice przyzwoitości?

Te pytania prześladowały ją, gdy połykała przesolone naleśniki z bekonem. Za plecami słyszała głosy ludzi pałaszujących śniadanie, szcęk sztućców, zwyczajny miły knajpiany szum, który przypominał jej posiłki jedzone w podróży. Zapragnęła odwrócić się i zobaczyć w oknie Góry Skaliste. Albo kogoś tak jak ona podróżującego z przyczepą. Chciała, żeby obok niej siedział Jack i opowiadał o drzewach brzoskwiniowych, *Strefie mroku* albo audiobookach, których słuchał w samochodzie.

Co było jej obowiązkiem?

Zapłaciła za śniadanie i wyszła z aparatem na zewnątrz. Stopy miała tak ciężkie, że czuła, jakby ciągnęły ją na dno. Znów swędziało ją między łopatkami.

Telefon w kieszeni zaczął brzęczeć. Dzwoniła matka.

– Ginny, gdzie ty się, do diabła, podziewasz? Od dziesięciu minut trąbię i dzwonię do drzwi.

– Poszłam na śniadanie do Morning Glory – odparła.

– Sama?

– Tak. – Ginny spojrzała przez ramię i zorientowała się, że to właśnie zrobiła: zjadła samotnie śniadanie w publicznym miejscu w swoim rodzinnym miasteczku. I wcale nie czuła się dziwnie. – Byłam głodna.

– To zostań tam. Podjadę i cię zabiorę.

– Muszę zrobić zdjęcie ciasta. Będę przed cukiernią.

– Nie do wiary, że myślisz o blogu, kiedy twój mąż leży w szpitalu.

– To moja praca. Nie mogę tego tak zostawić.

– Nieważne. Będę za minutę, więc rób szybko te swoje zdjęcia.

Ton głosu matki sprawił, że odechciało jej się wszelkiego pośpiechu. Szła powoli, fotografując wszystko, co ją zaniepokoiło, tak jak zwykle to była robić na

Zachodzie – trzy żardiniery z pelargoniami, parę zapomnianych ogrodowych rękawic obok, witrynę sklepu jubilerskiego, w której odbijała się jej twarz, a na koniec cukiernię. Weszła do środka.

– Cześć, Renee – zawołała od progu. – Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli zrobię kilka zdjęć ciasta cytrynowego? Jest takie ładne.

– Na twojego bloga? Ależ proszę bardzo. Czuję się zaszczycona, skarbie. Mam też przepis, specjalny, jeśli chcesz.

Ginny opuściła aparat.

– Naprawdę? Od lat marzyłam, żeby zrobić to ciasto!

– Wystarczyło poprosić. Mojemu sklepikowi nie zaszkodzi odrobina rozgłosu.

Kątem oka Ginny zauważyła na ulicy niebieskiego sedana matki.

– Muszę lecieć. Mogę napisać maila?

– Zadzwoń, dam ci przepis.

Ginny pomachała na pożegnanie i wybiegła na ulicę, żeby zatrzymać matkę. Czuła się tak lekko. Ciasto cytrynowe potrafi ująć człowiekowi kilogramów.

– Mamo, kiedy Matthew stracił pracę? – spytała, trzaskając drzwiczkami.

– Gdzie się o tym dowiedziałaś?

Zabrała się do przeglądania zdjęć. Wyrzuciła parę, które nic nie mówiły, i z zadowoleniem odkryła kilka całkiem dobrych.

– W knajpie.

– Nie chciał ci mówić. Dowiedział się kilka tygodni temu. Zamykają miejscowe biuro. Albo będzie dojeżdżał do Kansas City, albo całkiem straci pracę. Chciał, żebyś najpierw pojechała w tę swoją podróż.

– Aha. – Wyjrzała przez okno. Musiała przetrwać to, co usłyszała.

– To naprawdę dobry człowiek, Ginny. Taka hulaka jak ty nie zasługuje na kogoś takiego.

– Mówiłam ci wczoraj, że nie będę tego słuchać, i nie żartowałam.

– Po prostu nie doceniasz...

– Mamo.

– Nie możesz mi zabronić mówić, co myślę.

Ginny wyciągnęła z kieszeni parę białych słuchawek.

– W takim razie pozwól, że posłucham muzyki. – Włożyła słuchawki do uszu.

Matka mówiła dalej. Ginny słyszała część słów, większość jednak jej umykała. Nuciała z odtwarzaczem, żeby zagłuszyć dźwięki z zewnątrz. Ale dziecinada, pomyślała.

Choć równocześnie całkiem niezły sposób na wyznaczenie granic. Zapisała to po stronie plusów.

Zadzwoił telefon, wyjęła więc słuchawkę i odebrała, nie sprawdzając, kto dzwoni. Uznała, że to bez znaczenia. Ważne, że uciszyło matkę.

– Halo?

– Ginny? Tu Ruby. Co u ciebie?

– Hm, wszystko w porządku. A u ciebie?

– Ja... – Ruby odchrząknęła. – Muszę ci o czymś powiedzieć.
Zimny cień przemknął przez słońce.

– Coś z dzieckiem?

– Nie, ale nic dobrego. – Ruby zrobiła wdech. – Lavender miała atak serca. Nie żyje. Znaleźliśmy ją pod wierzbą. Była w swojej urodzinowej sukience.

– Mój Boże, nie żyje?! – Ginny przypomniała sobie godziny spędzone na oddziale ratunkowym. – To nie był woreczek żółciowy, tylko serce...

– Tak.

Ginny jęknęła z bólu i zagryzła palce. Poczowała pieczenie w gardle i za oczami. Gorące łzy zawisły jej na powiekach.

– Tak mi przykro. Nie mogę uwierzyć, że tyle czasu potrzebowałam, żeby tam dotrzeć, a teraz już nigdy jej nie zobaczę.

– Wiem. Ale wszyscy tutaj powtarzamy, że to była śmierć, jakiej każdy by sobie życzył. Szybka. Musiała przyjść wcześniej rano, bo Lavender wciąż miała na sobie swoją tutu. Siedziała pod drzewem razem z psami.

Mrugając i nie zważając na łzy, Ginny wyjrzała przez okno. Przypomniała sobie wspaniałe przyjęcie urodzinowe.

– Przyszła na koniec idealnego dnia. Cieszę się, że Lavender zdążyła się najeść tortu. – Jej opanowanie pękło jak bańka mydlana i z piersi wyrwał się szloch. – Kiedy pogrzeb?

– Nie chciała pogrzebu, tylko upamiętnienie. Ciało zostanie skremowane. Oczywiście prochy będą rozrzucone na farmie. Możemy poczekać kilka dni. Ile będziesz potrzebowała. Nawet jej siostrzeńcy się zgodzili.

Ginny pokiwała głową. Łzy spływały jej po policzkach strumieniem.

– Zadzwoń do ciebie później, dobrze? Teraz jestem w samochodzie z mamą.

– Chcesz, żebym do ciebie przyleciała?

– Och, skarbie! Nie, dziękuję. Poradzę sobie. – Uspokoiła głos. – Dziękuję za propozycję. Uważaj na siebie i dziecko. I dbaj o Willow.

Ruby roześmiała się miękko.

– Boję się, że kiedy wrócisz, Hannah będzie się o nią biła. Naprawdę się w niej zakochała.

– To dobrze. Pies potrafi uleczyć wiele ran.

– Tak samo jak koty!

Ginny ze zdumieniem odkryła, że uśmiecha się przez łzy.

– Pewnie.

– Zadzwoń do mnie.

– Zadzwoń.

Rozłączyła się, nadal jednak trzymała telefon w dłoni. Nie musiała znowu wkładać słuchawek. Jej matka była cicho.

– Złe nowiny? – spytała, włączając kierunkowskaz, żeby zmienić pas.

Ginny pokiwała głową.

– Lavender nie żyje. To były jej urodziny. Miała osiemdziesiąt pięć lat i – z oczu Ginny znów popłynęły łzy – cudowne życie.

– Tak mi przykro, kochanie. – Ula poklepała Ginny po ręce, a potem poszperała w torebce i wyciągnęła paczkę chusteczek. – Proszę.

– Dziękuję.

Ginny otarła twarz, ale łzy płynęły jej z oczu przez całą drogę. Patrzyła na zielone pola pod gorącym błękitnym niebem i myślała o tym, jak Lavender się śmiała. Myślała o Górach Skalistych i oceanie, który był w ciągłym ruchu.

– Ona naprawdę dużo dla mnie znaczyła – powiedziała matce. – W latach sześćdziesiątych pracowała jako stewardesa, a potem, gdy dobiegła sześćdziesiątki, przejęła farmę i założyła plantację lawendy.

– To bardzo odważne, jak człowiek ma sześćdziesiąt lat.

– Tak – odparła Ginny, znów czując dławiące łzy. – Nie mogę uwierzyć, że już nigdy jej nie zobaczę.

Lavender.

Lavender i jej życie, odwaga, siła, całkowity brak tolerancji dla bzdur. Co powiedziałyby teraz? Co by zrobiła?

Na pewno nie jęczałyby i się nie mazała. Nabierając w płuca powietrza, Ginny otarła łzy i usiadła prosto. Nie odezwała się ani słowem, dopóki nie wysiadły z samochodu. Zarzuciła na ramię torebkę i torbę z aparatem. Matka zamknęła drzwiczki i ruszyła do wejścia.

– Mamo, zaczekaj chwilę.

Ula odwróciła się nieufnie. Stopy miała zniszczone przez dziesięciolecia ciężkiej pracy, włosy cienkie i rozdwojone na końcach. Usta wprawdzie pociągnęła szminką, ale Ginny nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziała matkę umalowaną. Żadnego makijażu i wciąż te same luźne, zapięte pod szyję bluzki, workowate dzinsy i tenisówki, które nosiła przez całe życie.

Tym razem jednak Ginny dostrzegła łańcuchy przy jej kostkach – łańcuchy okoliczności, czasu i straconych szans.

– Kocham cię – powiedziała. – Wiem, że chcesz dobrze. Ale nie zostanę w Kansas. Nie wrócę do Dead Gulch. Jadę dziś na lotnisko i odlatuję.

– Nie możesz zostawić człowieka, który miał wypadek i stracił pracę! Tak się nie robi.

Ginny podniosła rękę – może po to, żeby powstrzymać potok słów.

– Przez całe życie starałam się być dobrą córką, dobrą żoną i matką. – Zrobiła wdech. – Nic nigdy z tego nie miałam, bo zawsze okazywało się, że nie jestem dość dobra. Musiałam się dowiedzieć, jak to jest, kiedy ktoś kocha mnie dla mnie samej, żeby wreszcie zdobyć się na odwagę, przestać być grzeczną dziewczynką i stać się sobą.

– A co ty sobie wyobrażasz? Że niby kim jesteś? Odkąd zaczęłaś pisać tego swojego bloga i robić zdjęcia, wydaje ci się, że jesteś lepsza od nas.

– Chciałam tylko... poczuć coś innego – odparła Ginny. – Przekonać się, co ja myślę o świecie, co ja widzę, gdy patrzę przez obiektyw albo rozmawiam z kimś, kto nie próbuje mnie zniszczyć. – Nowy strumień łez popłynął jej po policzkach. – Kocham cię, mam. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie. Czuła, jak siła Lavender trawi jej kręgosłup. Zaczepnęła powietrza i zdmuchnęła jej płomień.

– Ginny! Nie możesz tak po prostu...

Ginny jednak nie słuchała. Weszła do szpitala i odszukała salę, w której leżał jej mąż.

W środku zastała Marnie, która na widok przyjaciółki aż podskoczyła.

– Hej! – zawołała. – Jak się masz, kochana?

Był też Grange, najlepszy przyjaciel Matthew, mężczyzna z nadwagą i kozią bródką wokół pełnych ust. Twarz miał szarą ze zmęczenia, a pod oczami kręgi zdradzające brak snu.

– Hej, Gin – powiedział zachrypniętym głosem. – Miał nadzieję, że wpadniesz dziś rano.

Ginny spojrzała na Grange'a i usłyszała głos Ruby: „Może jest gejem?”.

Szczerze mówiąc, nie sądziła, żeby tak było. Uważała, że Matthew po prostu nie lubi seksu. Może miał niski poziom testosteronu, może stracił zainteresowanie żoną, może pracował za ciężko, może to wina chorych pleców? Nie wiedziała i tak naprawdę w ogóle jej to już nie obchodziło.

– Moglibyście zostawić nas na chwilę samych? – spytała.

– Ginny – powiedział Matthew – to było zupełnie niewinne. Nic nie znaczyło.

Marnie walnęła go po nodze.

– Zamknij się.

Ginny podniosła rękę.

– Nie chcę wiedzieć.

– Ginny, to...

– Przestań!

Do sali wpadła zdyszana Ula, cała czerwona na twarzy i spocona. Chwyliła Ginny za rękę.

– Moja córka postradała rozum.

– Przestańcie gadać! – zagrzmiała Ginny. – Posłuchajcie!

Jej krzyk tak ich zaskoczył, że zrobili to, czego chciała. Odwrócili się do niej i zamknęli usta.

A Ginny powiedziała:

– Matthew, odchodzę. Przykro mi, że jesteś ranny i że straciłeś pracę, ale dasz sobie radę. Nie mogę być dłużej twoją żoną. Nie mogę dłużej mieszkać w Kansas. Nie mogę być tym, kim chcielibyście, żebym była. Próbowałam, a wy tak się wściekaliście, że mi się nie udaje, że straciłam wszystkich. Rodzinę, męża i najlepsze przyjaciółki. Nie dlatego, że robiłam coś złe, ale dlatego, że przestaliście MNIE widzieć.

Marnie przewróciła oczami.

P r z e w r ó c i ł a o c z a m i .

Przez chwilę Ginny wyobrażała sobie, że strzela Marnie w policzek i ściera ten wyniosły wyraz z jej twarzy. Zalała ją fala wściekłości, tak jasnej i czystej jak spirytus, wypalając po drodze wszystko, co niepotrzebne. Przełknęła morderczy impuls i podeszła do męża. Pocałowała go w czoło.

– Nie myśl, że cię nienawidzę. Mam nadzieję, że będziemy umieli być dla siebie mili. Przepraszam.

Matthew miał łzy w oczach. Pokiwał tylko głową i złapał ją za rękę.

– Tak naprawdę wcale nie połamałem nóg. To kłamstwo. Twoja mama uważała, że nie zechcesz przyjechać, jeśli wypadek nie będzie dość groźny.

Ginny spojrzała na matkę.

– Naprawdę?

– Kochanie, ja tylko...

– Wystarczy. – Ginny ścisnęła Matthew za rękę. – Cieszę się, że to nic poważnego.

Roześmiała się, obróciła na pięcie i ruszyła do drzwi, nie oglądając się za siebie. Szła przez szpitalne korytarze, patrząc na ogromne błękitne niebo, które na nią czekało. Wyszła na wilgotne, gorące powietrze i wezwała taksówkę.

– Na lotnisko.

Czuła, że z łopatek wyrastają jej skrzydła, muskularne i silne, gotowe zanieść ją w nowe miejsce, przenieść do kolejnego etapu życia. Przed oczami stanął jej ocean, obietnica, jaką niosły ze sobą sekwoje i lot.

I wolność. I przyjaciele. Ludzie, którzy ją kochali.

Wydawało jej się, że słyszy ciuchutki, nieco zachrypnięty rzeczowy głos: „Dzielna dziewczyna”.



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Październik

W wilgotny i dżdżysty poranek Ginny krzątała się po maleńkiej kuchni. Wynajęty domek – jeżeli chodzi o metraż, wszystkiego może dwa razy więcej niż w jej przyczepie – stał na oregońskiej plaży frontem do fal, które tego dnia rozbijały się o skaliste wybrzeże spektakularnie i z wielkim hukiem. Ginny nuciła pod nosem, wsypując jagody do ciasta i rozbijając jajka, które wyjęła z kartonu z napisem „MIODOWA FARMA LAVENDER”. Kupowała je co dwa tygodnie, gdy wpadała sprawdzić, jak się miewa Ruby, która lada chwila spodziewała się rozwiązania.

– Mmm. – Do kuchni wszedł Jack. Klatę miał nagą, włosy potargane od snu. Pochylił się i pocałował Ginny w kark. – Wspaniale pachnie.

– Możesz zrobić kawę, jeśli chcesz.

Zadzwoił telefon i Ginny chwyciła go w pośpiechu. Na wyświetlaczu widniał numer Ruby.

– Już czas?

– Ginny, przyjeżdżaj. Ona strasznie się spieszy! Spotkamy się w szpitalu.

– Już jadę. Kocham cię! Nie mogę się doczekać, żeby ją zobaczyć!

Ruby zastękała.

– Och, och. Muszę iść.

Jack zdążył tymczasem włożyć koszulę.

– Kupimy kawę po drodze, dobrze?

– Jestem taka szczęśliwa!

Pojechali dżipem Ginny, bo ciężarówka Jacka była za duża. Zwykle zostawiał ją przy Walmarcie, gdy co trzy, cztery tygodnie wpadał do miasteczka. Kiedy czekali na kawę na wynos, wziął Ginny za rękę.

– Bardzo się cieszę, że nareszcie zatrzymałaś się w jednym miejscu na dłużej – powiedział, całując jej dłoń.

Po uroczystości upamiętnienia Lavender Ginny wyruszyła w podróż autostradą wzdłuż wybrzeża Kalifornii i z powrotem, zatrzymując się w różnych miejscowościach. Na jej blogu pojawiła się nowa rubryka, kronika lokalnych specjałów. Po drodze spotykała się z czytelnikami, poprowadziła nawet osobiście warsztaty fotograficzne w San Clemente. Z Jackiem umawiała się tak często, jak tylko mogła, ale dla obojga było to za mało. Ich relacja rozwinęła się na tyle, że

Ginny była gotowa przejść do kolejnego etapu. Wynajęła domek na obrzeżach Astorii, Jack zaś miał w przyszłym miesiącu przenieść centrum swych operacji do Portland. On także planował zamieszkać w Astorii – we własnym mieszkaniu – dzięki czemu mogliby spędzać razem więcej czasu.

– Ja też. – Pocałowała jego dłoń w odpowiedzi. – Wiedziałam, że zaczniesz rodzic, kiedy tylko się okazało, że możesz zostać kilka dni. To zawsze tak działa, prawda?

– Cieszę się. Chcę zobaczyć to dziecko. – Podał jej kubek z kawą. – No i będziemy mieli własną przygodę na Święto Dziękczynienia.

Wybrali się razem do Tofino w Kolumbii Brytyjskiej, żeby obejrzeć fale rozbijające się o brzeg. Oboje musieli złożyć podanie o paszporty, a gdy przyjechali na miejsce, byli podnieceni jak para dwunastolatków.

– To tylko Kanada – powiedziała Ginny. – Ale jest super.

– Masz rację – odparł Jack i przewrócił ją do tyłu, całując po twarzy i szyi. – Ty jesteś super.

– Ty jesteś super.

Teraz w rozkołysanym dżipie, z wycieraczkami rozchlapującymi wodę po przedniej szybie, podziwiała profil Jacka. Miał pobrużdżoną i wcale nie idealnie piękną twarz, która mimo to zdumiewała ją za każdym razem, gdy na nią spojrzała.

– Tak się cieszę, że cię spotkałam – powiedziała.

Uśmiechnął się i znów sięgnął po jej dłoń.

– W ten czy inny sposób musiało do tego dojść. Nawet gdybyś nie wyjechała z Dead Gulch, ja zatrzymałbym się po drodze, zobaczył cię i nasze światy wywróciłyby się do góry nogami.

– Ten sposób byłby dla mnie trudniejszy.

– Wiem. Ale i tak byś mnie pokochała.

Wszyscy zebrali się w poczekalni. Ginny i Jack przycupnęli na twardych plastikowych krzeselkach. Valerie usiadła obok Ginny. Ojciec Ruby, wysoki, szczupły mężczyzna z łysiejącą czaszką i bardzo poważną twarzą, która wydawała się absolutnym przeciwieństwem pogodnej twarzy córki, chodził w tę i z powrotem.

– Myślicie, że nic jej nie jest? – spytał z niepokojem. – To już tyle czasu.

– Na pewno wszystko jest w porządku – odparła Val. – Chcesz może kawę albo coś innego? Czasami przy pierwszym dziecku to trwa dość długo.

– Ale to już trzy godziny – powiedział Paul.

Valerie uśmiechnęła się.

– Tak.

Paul wrócił do spacerowania. Jack pochylił się do Valerie.

– Zabiorę biedaka na kawę.

– Dobry pomysł.

Gdy mężczyźni się oddalili, Ginny zapytała:

– Jak tam w San Diego?

– Szczerze mówiąc, jest lepiej, niż się spodziewałam. Moi rodzice już od jakiegoś czasu potrzebowali pomocy, ale ja byłam zbyt zajęta własnymi problemami, żeby to zauważyć. Mają duży dom w La Jolla, z mnóstwem pokoi, więc możemy cieszyć się swoim towarzystwem, a jeśli trzeba, zaszyć się w samotności.

– To cudownie. A Hannah?

– Zmieniła się nie do poznania. Nie wiem, czy po prostu był już czas, czy może rozkwitła przy dziadkach, czy wreszcie to zasługa tej podróży, ale radzi sobie znakomicie. Nalegałam, żeby przez kilka pierwszych miesięcy spotykała się z psychologiem, ale nawet on twierdzi, że wszystko z nią w porządku.

– Mam wrażenie, że to spotkanie z Ruby jej pomogło.

– Zabawne, jak to się wszystko plecie.

Mężczyźni wrócili, niosąc papierowe kubki z kawą z automatu. Paul spoglądał na swój ze zboląłą miną.

– Aż taka zła? – spytała Val.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej krzywo.

– Gorzej. Ale musi wystarczyć.

– Przynajmniej nie trzeba wróżyć z fusów.

Twarz mu się rozjaśniła. Upił łyk, krzywiąc się przesadnie.

– Problemy Pierwszego Świata, co?

Val roześmiała się dźwięcznie jak wiolonczela. Paul zmarszczył brwi i spojrzał na nią z uwagą.

– To ty jesteś tą blogerką od wina?

– Tak. Choć raczej: byłam.

– Uwielbiam twojego posta o starych winach. Pisałaś o Nortonach, prawda?

– To było dawno temu.

– To Ruby pokazała mi twojego bloga – powiedział, podchodząc bliżej. – A potem już sam go czytałem, bo był taki zabawny. Wydawało się, że nie traktujesz tego wszystkiego zbyt poważnie.

Val uśmiechnęła się i Ginny zauważyła, że twarz jej leciutko pojaśniła, a plecy się wyprostowały.

– Znasz się na winach?

– Nie jestem pewien, czy rzeczywiście. – Wsadził ręce w kieszenie swoich dobrze skrojonych, ale dość luźnych wełnianych spodni. – Interesuje mnie sztuka produkcji wina. To bardzo twórczy proces. Intrygujący.

Val poklepała ręką siedzenie obok.

– Zgadzam się. Tak jak w perfumiarstwie... jest tyle możliwości.

Paul pochylił się, żeby posłuchać.

Ginny się uśmiechnęła. Jack trącił ją łokciem i uniósł brew w kierunku pogrążonej w rozmowie dwójki.

Doskonale.

Okazało się, że pracy przy porodzie było pięć razy więcej, niż się Ruby spodziewała. Czuła się tak, jakby jej ciało centymetr po centymetrze wywracało się na drugą stronę.

– To BOLI! – wrzasnęła na całe gardło.

– Dasz radę, skarbie – powiedziała pielęgniarka. – Nie krzycz. Oszczędzaj energię na parcie.

– Nie mogę dłużej przeć – odparła zlana potem Ruby – bo mi wypadną oczy.

Noah roześmiał się. Błagał i przymilał się tak długo, aż w końcu pozwoliła mu asystować przy porodzie. Opierała się przez trzy miesiące – przez ten czas ich uczucie rozkwitało, a Ruby przybierała na wadze, nie mogąc się nadziwić, że Noah mimo to uważa ją za atrakcyjną. Walczyli też o to, by zachować farmę – koniec końców, udało się to dzięki kredytowi dla weteranów, sprzedaży przyczepy z kuchnią (przyniosła całkiem spory zysk) i nisko oprocentowanej pożyczce od ojca Ruby, który zgodził się jej udzielić, gdy zobaczył farmę.

W ostatnim miesiącu ciąży, kiedy Ruby dreptała już jak kaczka, a jej twarz przypominała księżyc w pełni, Noah ukląkł i poprosił, żeby za niego wyszła, bo chce być prawdziwym ojcem dla dziecka. Ruby wybuchnęła płaczem.

– Twoim oczom nic nie będzie – powiedział teraz. Rozbawienie, które słyszała w jego głosie, doprowadzało ją do wściekłości.

– Jestem w y c z e r p a n a! – krzyknęła. – Ile można przeć?!

Jednak energia w jej ciele wzbierała, coraz dziksza i potężniejsza. Ścisnęła Noaha za rękę i wstrzymała oddech.

– Chwileczkę, jeszcze chwileczkę! – zawołała położna. – Wytrzymaj, ile możesz, Ruby, a potem daj z siebie wszystko.

Ruby zamknęła oczy. Dalej, córeczko, pomyślała i sięgnęła umysłem do maleńkiej duszy, którą wyczuwała obok i która niecierpliwie próbowała wydostać się na wolność. Zróbmy to razem.

Zebrała w sobie wszystko, co miała, zaczerpnęła siłę od istot, które wyczuwała dookoła, szeptem i dotykiem dodających jej otuchy. Stała się kimś innym, kimś świetlistym, potężnym i gwałtownym. Wypatrzyła swoją córeczkę w śmiesznej średniowiecznej szacie. Pochwyciła ją i razem zanurkowały w świat.

Rozległ się płacz i po chwili włożyli jej dziecko w ramiona. Córeczka natychmiast zadomowiła się w matczynych objęciach, spojrzała na Ruby wielkimi niebieskimi oczami i przestała płakać.

– Witaj, moje kochane, upragnione dziecko – powiedziała Ruby. – Cieszę się, że

zechciałaś zostać moją córeczką. Dziękuję.

Wszyscy mówili, że noworodki nie potrafią się uśmiechać, że nawet nie widzą, Ruby jednak wyraźnie dostrzegła ruch różowych warg, gdy oczy dziecka spoczęły na jej twarzy.

– Witaj, Lavender. Tak na ciebie czekałam.

Z oddali dobiegł Ruby przyjazny śmiech drugiej Lavender, tej, która w poszukiwaniu przygód wybrała się na drugi brzeg.

– Tobie też dziękuję – powiedziała i opadła na poduszki.

Noah pochylił się i pocałował ją w czoło. A potem pocałował dziecko.

Wieczorem Ginny posprzątała kuchnię po kolacji. Jack zdążył już pójść do airstreama zaparkowanego pod wysokim drzewem, które tak lubiła. Paul i Val wpadli po drodze do znanej restauracji w McMinnville i było pewne, że wrócą późno.

Ginny miała nadzieję, że się zaprzyjaźnią. Oboje od bardzo dawna nie mieli kochanka ani partnera. Ścieląc kanapę w salonie, myślała o tym, co Valerie powiedziała w szpitalu: „Zabawne, jak to się wszystko plecie”.

W ciszy strzepnęła poduszki, wzbijając w górę obłoczki lawendy. Zamknęła oczy, pociągnęła nosem i naraz straszliwie zatęskniła za Lavender. Gdyby tylko mogła doczekać narodzin dziecka!

Ale tak to już się toczy to koło życia, prawda? Ułożyła starannie poduszki u wezgowia, wygładziła koc i rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy przygotowała wszystko na powrót Paula lub Val – tego, które zdecyduje się spać na kanapie.

Jej wzrok przyciągnęła fotografia, jedna z wielu, które pokrywały większą część ściany. W ciągu dnia zdjęcia skrywał cień, jednak wieczorem światło lampy opromieniało pochod życia Lavender.

Fotografia, która przykuła wzrok Ginny, ukazywała dwudziestocztero-, może dwudziestopięcioletnią Lavender w mundurze Pan Am. Była olśniewająco piękna i elegancko uczesana – włosy miała gładko upięte z tyłu, sylwetkę tak samo szczupłą i smukłą jak w wieku osiemdziesięciu lat. Obok stała roześmiana rudowłosa kobieta z warkoczem przewieszonym przez ramię.

Ginger.

Oddychając powoli, Ginny zaczęła przyglądać się uważnie pozostałym zdjęciom. Szukała potwierdzenia tego, co wydawało się zupełnie oczywiste. I znalazła. Lavender i Ginger na kempingu, obie w spodniach do kolan, sportowych butach i koszulach w kratę, z długimi włosami zaplecionymi w warkocze. Fotografia była czarno-biała, ale Ginny i tak rozpoznała kobietę, którą spotykała wciąż po drodze, w łazienkach i restauracjach. Ginger. To Ginger towarzyszyła jej w podróży.

Uśmiechnęła się i dotknęła twarzy na zdjęciu.

– Dziękuję – powiedziała.

A potem złapała parasolkę i pobiegła na wzgórze do przyczepy, która żółtym światłem lamp rozświetlała mrok, do mężczyzny, który wziął ją w ramiona i zagrzmiał:

– Tu jesteś! – zanim położył na niej swe dłonie i sprawił, że zaczęła się śmiać, i zanim zaczął się z nią kochać tak, jak na to zasługiwała.



PODZIĘKOWANIA

Od czasu do czasu wszechświat sprawia nam nagły, niespodziewany i wielce szczęśliwy prezent. Dla mnie takim właśnie prezentem było ponowne pojawienie się w moim życiu kuzynki Sharon Jensen Schlicht. Jej inteligencja, kreatywność i zdumiewające zdolności organizacyjne okazały się prawdziwym błogosławieństwem dla mojej pracy.

Praca na roli – czy to przy produkcji żywności, czy przy uprawie lawendy – to bardzo poważna sprawa, a ja musiałam zrozumieć, na czym polega życie na wsi. Podczas zbierania materiałów w hrabstwie Yamhill (w podróży towarzyszyła mi Sharon) poznałam dwie niezwykle kobiety, którym ta książka zawdzięcza wszystko, co najważniejsze.

Chrissie Zaerpoor z Kookoolan Farms (<http://www.kookoolanfarms.com>) na moje nieśmiałe prośby odpowiedziała hojnie, zapewniając bogactwo materiałów, które wciąż niosą się echem po moim życiu. Bez pewnego nieoczekiwanego popołudnia i niezliczonych maili duża część tej książki nigdy by nie powstała. Zachwyciły mnie kurczęta i kocięta, warzelnia i owce, a także sama Chrissie – cudowna, rzeczowa, ciężko pracująca kobieta. Chrissie, dziękuję ci za życzliwość, trudne prawdy, emocjonalną szczerłość i poczucie humoru.

Odpowiedzialność za wszelkie błędy spada wyłącznie na mnie. Mam nadzieję, że całość, ogólnie rzecz biorąc, ujęłam dobrze.

Drugą osobą, której muszę gorąco podziękować, jest Debbie Gorham z Willakenzie Lavender (and Alpaca) Farm, także w hrabstwie Yamhill (http://www.willakenzielavender.com/Willakenzie_Lavender/About.html).

To Debbie dostarczyła mi informacji na temat lawendy, opowiedziała o rozmaitych postaciach olejku i innych produktach z lawendy, a także o wyzwaniach i radościach związanych z jej uprawą. Nie tylko zresztą podzieliła się wszystkimi szczegółami z humorem i pasją, ale w dodatku zrobiła to w trakcie przygotowań do ogromnie popularnego święta lawendy, które miało się odbyć za dwa tygodnie. Debbie, dziękuję! I powtarzam raz jeszcze, że odpowiedzialność za wszystkie ewentualne błędy spada wyłącznie na mnie.

Wreszcie, jak zwykle, chciałbym podziękować mojej ekipie wydawniczej, a zwłaszcza Shaunie Summers i Meg Ruley, które zachęcały mnie do pracy i (dyskretnie) wywracały oczami, kiedy zanadto zbaczałam z tematu. Dzięki wam obu naprawdę jestem dużo lepszą pisarką.

PRZYPISY

[1] Amerykański dowódca z czasów wojny secesyjnej, zginął w bitwie z Indianami nad Little Bighorn (przyp. tłum.).

[2] Amerykańska stacja kablowa nadająca programy poświęcone prowadzeniu domu, pielęgnacji ogrodu, uprawianiu rękodzieła itp. (przyp. tłum.).